

LUDWIK ROMOCKI

MAZOWSZE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

Z PODOBIZNĄ AUTORA

Wszelkie prawa autorskie
zastrzeżone.



1913

WYDAWNICTWO KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY
WARSZAWSKICH POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH

SKŁADY GŁÓWNE W KSIĘGARNIACH
GEBETHNERA i WOLFFA

Druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego w Warszawie.

I.

— Dobra noc, kozy!—śmiejąc się, rozbawiony, Władysław Skalski przechylił się jeszcze raz nad schodami, aż do stóp których odprowadzała go rodzina, podejmująca go w gościnie, owdowiała siostra jego, Zofja Rudowska, z dwiema córkami, podlotami, i z ich nauczycielką.

— Dobra noc, wujaszku! — oddźwiękł głosik młodszej jego siostrzeniczki, Mani, gdy starsza, Jadzia, protestowała:

— Oho,—kozy!—

— Czy i mnie pan do nich zalicza?—

Skalski przegiął się jeszcze więcej nad poręczą,—a przychodziło mu to z pewną trudnością, z racji niejakej starokawalerskiej sztywności w krzyżach,—chcąc koniecznie dojrzeć trzymającą się, jak przystało, w odwodzie, w głębi grupy, nauczycielkę. Zamajaczył mu, po za wesołemi buziami dziewcząt i poważniejszą, siwizną, przedwcześnie nieco, obramowaną twarzą pani domu, figlarny nosek i złote włoski, od których policzki odbijały blado.

Posłał tam:

— Pannę Stasiuleńkę? Oczywiście!—

— Słodką Stasię... — zachichotała, żywiec, czternastoletnia, puciołowata szatyneczka, Maniusia, w ślad za czem rozległo się karcące, nauczycielki:

— A ty, nicpotem!—

Panna Stanisława objęła jedną ręką pupilkę, drugą podtrzymywała lichtarz, w którym pałaca się świeca rozświetlała z góry gromadkę czterech kobiet. Był to ładny obrazek i Skalski z przyjemnością patrzył nań. Jasne bluzki dziewcząt, niebieska panny, szara suknia pani Rudowskiej zlewały się w wdzięczną, akwarelową harmonję tonów. Śmiały się ku niemu rozweselone oczy.

— Stasiuleńka jest obrażona—mówiła ta, która z owego tła najwięcej leciała mu w oczy. Głos był przyjemny, chociaż przeciągała trochę, prawie że aż wywołując wrażenie afektacji, jakby pieściła się sama z sobą.

— Plus de poufance, que de znajomance—zasekundowała jej, wybujała nad swój wiek, szczupła trochę, bardzo jasna blondynka, Jadzia.

— No, dobra noc babińcowi!—zakończył, czując, że w szermierce językowej z przeważającą siłą ulegnie.

Słyszał jeszcze bezładne wykrzykniki i piski dziewczęce i głos matki: — Spać, spać, dzieci. — Był już w swoim pokoju.

Pan Władysław Skalski, zamknąwszy drzwi za sobą, poszedł prosto przed lustro.

Szedł do niego po radę, jak do dobrego, starego znajomego. Mebel tak duży, że mógł ogarnąć w nim wzrokiem całą własną postać, a zawieszony ruchomo pomiędzy słupkami mahoniowymi, podług tradycji rodzinnej własność ongi księcia Józefa, przechodząc drogą spadku po jednej z licznych córek pani Tyszkiewiczowej, znalazł się w płockim dworku. Władysław odgadywał, że go *in gratiam* przybycia tak znamienitego gościa, za jakiego przez siostrę był uważany, a w dodatku amatora starożytności, wstawiono umyślnie do gościnnego pokoju, gdzie zazwyczaj na wsi skupiają się raczej sprzęty mniejszej wartości.

Tafla, która kiedyś w pałacyku pod Blachą odbijała może wdzięki pani de Vauban i innych uroczych dam, padających w ramiona najpiękniejszego z mężczyzn owego czasu, zakreślała kontury stojącego przed nią dość wyraźnie, ile że współdziałały jej życzliwie dwie, zapalone już gościnnie, świece, jedna na stoliczku nocnym naprzeciwko, druga obok na stole pod oknem. Szkło wskazywało wiernie wysmukłego, dobrej figury, pana w doskonale skrojonym, czarnym żakiecie, który uwypuklał bohatersko pierś i wcinał się elegancko w biodrach. W butonierce pyszniła się róża *Comte de Camondo*, krwistym pąsem, dar przylepki, Maniusi. Ale zerwała ją panna Stanisława. Spodnie spływały nieskazitelnymi linjami jaśniejsz-

szych paseczków po ciemnem tle na obutą, wystarcza powiedzieć, przez warszawskiego szewca, stopę.

Pan był wspaniały i piękny.

Można było coprawda, baczniej się wpatrzywszy, zarzucić jego postawie, iż w szerzyźnie piersi, ciężkości bioder, pomimo ściskającego jak gorset zakietu, usadowiło się lat kilkanaście, dzielących go od młodzieńczej dwudziestki. Więcej jeszcze uwydatniła się strata tego, co, raz stracone, nie wraca nigdy, w ruchu, gdy pan Władysław zrobił kilka kroków po pokoju. Nie był z tych, biurowy człowiek, którzy gibkość członków konserwują w późne lata sportem i gimnastyką.

Wziął jeszcze ze stołu przygotowane małe lusterko.

— Poczciwe kobieciątka myślały nawet o tem, żebym miał wygodniej do golenia.—

Rudemu wąsowi, któremu wielkomiejski mistrz sztuki fryzjerskiej żelazkiem wraził szwedzką hardość i rozczapierzenie, nieposzanowane dostatecznie przez wilgoć wiejskiego powietrza, dał palcem prztyk w górę i przeglądał się uważnie. Twarz, męska, marsowa, prosiła się o aksamitny kołnierz munduru, czapkę ułańską czy kask dragoński. Mówiono mu to nieraz.

Tylko—cera, daleka od brzoskwiniowego puchu młodzieniaszka, czy smagłości młodzieńca...

— Chybaby mnie już odrazu musieli zrobić kapitanem, albo rotmistrzem.—

A, odkładając lusterko, mruknął do swych myśli:

— Nawet majorem,—z tych młodszych.

Basta.—

Konkluzja przyćmiła znacznie dobry humor, w jaki wprawiło go otoczenie, świadomość, że tu, u swej siostry, właścicielki pokaźnego majątku, on, który w Warszawie jest tylko pracownikiem firmy Treter i Wolski, znajduje się niby na własnych śmieciach, jaśnie panem. Serdeczność Zosi, zawsze widzącej w nim tego ukochanego młodszego braciszka, jak wtedy, gdy mu, znacznie starsza wiekiem, matkowała, objawy szacunku i sympatii dla wujaszka, w których prześcigały się małe—no, i—panna Stanisława...

On, który kłął drogę na obrzydłą wieś, — od Nasielska cztery godziny końmi, chyba, że kto woli utknąć na łasze wiślanej, a i tak nie wiele bliżej,—i od trzech lat „filował“ przed tą podróżą, spędzając urlop u wód krajowych lub zagranicznych, rad był, że tym razem urwał z pobytu w Szwajcarji dni parę na odwiedzin w Próchnówku. W miejskiem sercu odzywają się łącno wiejskie echa, drzemiące w szlacheckim atawizmie. Już, gdy się na stacji pytał o „konie z Próchnówka“, czuł, że jest tu czemś i kimś innym, niż w ulubionej kawiarni warszawskiej, gdzie nawet czasy rewolucyjne nie pozbawiły go szacunku usługujących „panów.“ A gdy stangret z herbowymi guzami mało nie zleciał z kozła, przeginając mu się

do ręki, zrozumiał, że wypada i zrobić jakąś rzeczoznawczo pochlebną uwagę o czwórce kasztanów i przyjmować dalsze oznaki czołobitności, tak jak je przyjmować powinien pan Skalski, jako należne sobie, jeżeli nie chce się w nowem milieu narazić na reputację—niegrzecznego.

Tenże Skalski, któremu w biurze mówią szefowie „panie Władysławie.“ Szwajcar ma tak samo na imię. Odzywy do obydwoch różnią się jedynie przystawką przed imieniem pierwszego, nie tonem. Różnica zasadnicza tkwi w pensjach, to prawda. I dobrego stanowiska nie rzuci dla „fumów,“ kto o nich zapomniał.

— Z tem wszystkim nie gniewałbym się, gdyby mnie Wolski widział jadącego tą czwórką—pomyślał „pracownik“ w drodze z uśmiechem,—jego para siwków ani się nie umywa do niej.—

Stangretowi, któremu, jak się okazało, dano na chrzcie świętym Michał, pochwalił, gdy nie wpadło mu na myśl nic lepszego, że „koniki tłuste.“

— A bo zarte, proszę jaśnie pana.—Michał nie bardzo się przejął pochwałą, oddaną jego pieczołowitości. — Ino owsa a zryć, a zryć, — łogier som za dwie kobyły zezre, a dziedzicka ksycy, ze za wiele obroku...

Zrozumiał przymówkę o instancję do dziedziczki i, nie chcąc się zbyt pohopnie angażować w tym względzie, rozkazał krótko:

— Jedź!

Swoją drogą pochlebiło mu, że pachół, wie-

dząc oczywiście, po jakiego personata go wysłano, udawał się do niego, jako do wpływowej osoby, o pomoc.

Powóz niósł doskonale po niezgorszej szosie, od której tylko parę wiorst miało być bocznej drogi. Koniec lipca był, upalny, ale miało się ku wieczorowi i spiekota dnia zastygała. Żniwo, tu i owdzie z sierpem jeszcze w dłoni, ale często już na kosiarce, uwijało się w pocie czoła, stare bóstwo tych ziem. Na złotem, różnych odcieni, tle, od jaśniuteńkiego brązu do sytego, brunatnego koloru, bukietami różnobarwnymi wystawały kopiasto, tu szeregami, tam rozrzucone, wiejskie spódniki. Owdzie białe koszule kosiarzy, dociągających nogę do nogi, w miarowym, niby powolnym, a jednak szybkim pochodzie, płynęły niby żagle po złotej fali. Robota wrzała; rok był upalny i wszystko dochodziło, dojrzewając, prawie jednocześnie.

Parę razy przejeżdżającego „związano,“ prastarym obyczajem, kładąc mu wiązkę zboża pod stopy,—na stopień powozu. Siwy chłop barczysty podszedł z nią, świadom swego prawa, hardo niemal stając przed końmi; ale pokłonił się do ziemi za poszanowanie zwyczaju—i datek. Dziewucha, harna, kopnęła się przez pole, że jej kiecki śmigaly w koło toczonych, brązowych łyd, by na przełaj dopaść czwórkę, którą przekorny Michał batem przezegnał do szybszej ucieczki. „Chyciła“ ręką ramy kocza, zdyszana trochę, z falującą, wysoką piersią, szeroka w biodrach, rozczzerwieniona na

dorodnej twarzy, szczerząc białe zęby, wesółą, śmiała do chłopca, choćby to był dziedzic, — mazurka...

Napotykali też wozy, bryczki, bryczuszki i słońca cywilizacji, samochód wieloosobowy, ogromną oszkloną klatę, sterującą z kurnikiem pasażerów przez ten szmat ziemi, który nie przerzynała jeszcze, płosząc gwizdem barbarzyństwo, lokomotywa. Ale jej kuzyn zachorzał właśnie i stał, nędzny i bezsilny olbrzym, na drodze, a w koło tłoczyli się, wysiadłszy, zirytowani i rajcujący osobnikowie.

Michał koźmi energiczniej zakręcił, potem wskazał pogardliwie batem na pobłyskującego w słońcu zgroźnie szybami, z bezsilną mściwością, potwora:

— Tzy wiorsty od mniasta ujechał i juz! Ino konie strasy...

Szosa pruła jasną strzałą okolicę, domkami wiosek gęsto nasiadłą, znak żyzności gleby. Mrok zwolna zbliżał się.

Wreszcie turkot kół, po zjeździe z zwirowego, ubitego nasypu, ucichł, powiało chłodniej od łąk, — grobla, płoty ogrodowe, zajazd przed bielejący ścianami, radujący się światłem w oknach, dwór.

Powitanie przez Zosię, niby marnotrawnego syna: — Nareszcie! —

Wieszające się u ramion wujcia siostrzeniczki. Kolacja, — kurczęta, sałata, owoce...

Trochę zdrętwiał od kilkugodzinnego siedzenia

na poduszce powozu, jakkolwiek nie za twardej; ale wszystkiego razem, jazda przez okolicę, gdzie postęp z tradycją widomie a ciekawie darły się za łby, dla inteligenta nie mogła nie być interesującą. Zaś powitanie w domu, w którym owa tradycja miała także przybywającemu służyć za wznoszący go silnie w górę piedestał, było tak serdeczne...

Nie miał nawet odwagi zapytać się, czy tu czasem, co podejrywał mocno, niema wilgoci. I przeboleł, że nie spotkał w drodze Wolskiego.

W dodatku, jak oczka są okrasą rosołu lub jak śmietanka podnosiła przy stole zalety zsiadłego mleka, nawinęła się tu ta panna Stasia.

Już znowu myślą wracał do niej.

Nauczycielki na wsi rzadko bywają ładne. A jeżeli są niemi, to starają się ukryć feler, niepożądany ze względu na pożądlivość męską. Tylko skład domu, wyłącznie żeński, w Próchnówku tłomaczył, iż nie zawahano się tutaj perłę taką wyłowić z toni wielkowiejskiej i pozwolić jej błyszczeć, ile tylko chciała.

W miarę wysoka, tak, że policzek jej właśnie mógłby spocząć na klapie jego surduta, a włosy, naturalnie fryzujące się, podsuwałyby mu się same pod usta, trochę filigranowa, ale niepozobawiona jednak od matki natury odpowiednich zalet powłoki cielesnej,—nóżki i rączki istne cacka, zwłaszcza ręce, lubo nie podłużne, ale małe, białe, o trochę może za silnie wystających niebieskich żyłkach.

A jak miękkie w dotknięciu i promieniujące sympatycznym fluidem, który z niektórych rąk kobiecych sunie odrazu prosto ku sercu mężczyzny. Poczul to przy powitaniu i przy szybkim, pożegnalmym, uciekającym a równocześnie—jak gdyby—przytrzymującym go splocie.

Nerwowa. I trafiła na nerwowca.

Ale któż nim dziś nie jest? I to jeszcze nie racja, by ślizgać się myślą w około—palnięcia głupstwa.

Wyjmował z walizki przybory nocne, stwierdzając, że nawet służba w tym „babim domu“ jest wyłącznie żeńską i pokojówka—także przystojna, zauważył przy kolacji—nie zupełnie stoi na wysokości lokaja, który powinien panu roztworzyć neser i przygotować, co potrzeba.

Ale za to wszędzie znać było troskliwą, kobiecą rękę, która pyłku, nie zakłócającego równowagi męskich posługaczy, nie zostawiła nigdzie. Specyficzna czystość pokoju, wypranego i wyprasowanego, niby bluzka dziewczęca na niedzielę, muślin przy oknie, zabezpieczonem siatką od najazdu much, kwiaty w wazonie, na stoliczku „do poduszki“ powieść jednej z popularnych autorek,—wszystko to mogło najbardziej nieczułością opancerzoną pierś starokawalerską poruszyć ku westchnieniu:

— A jednakże w życiu to „trochę kobiety“ miłem jest.—

I, jakkolwiek pewne cnoty kobiece są, z mały-

mi wyjątkami, tak ogólne, że wystawę ich trudno uważać podejrzliwie za celową, Władysławowi przypomniało się, że siostra, mówiąc o liczniejszych gościach, spodziewanych jutro, dłużej rozwozowała się nad znacym domem sąsiadów, państwa Majewskich.

— Poznasz szykowną pannę.—

— Czarną Helę—śpieszyła objaśnić Jadzia.

Ale, co mogło być zachęcającego w owych zachwalaniach, zepsuła Maniusia, nakrywając własny, dość kształtny nosek ręką, w zginającą się trąbkę zwiniętą.

— Z takim nosem!—

A pannie Stasi, która ma zadarty z lekka, ale delikatnie foremny, chrapki zadrgały pogardliwie.

Władysław wiedział, że siostra ma niewzruszone przesady rasy, ustępujące jednakże praktycznemu zmysłowi życia, i spytał dla orientacji:

— Znam Starża-Majewskich, ale twoi?...

— Pochodzą z frankistów—przecięła pani Rudowska.

Odpowiedź była zupełnie zadowolającą. To też była szlachta, od półtora wieku, kwiat inteligencji i kultury swej rasy, który przystał i zamalgamował się zupełnie z krwią polską, wydając szereg wybitnych ludzi a prawych polaków.

— A pan lubi brunetki?—zapytała,—czy nau-myślnie?—panna Stanisława, poprawiając machinalnie, gładzącym w górę ruchem, swe złotawe

włoski, od których uroczo odbijała mleczna, przejrzysta cera.

I modre oczy patrzyły na niego, jakby oczekując wyboru, wyroku.

Pomyślał, że gdyby tak jej śliczna rączka musnęła wąsy pana męża, nie oparłby się żadnemu życzeniu.

— Wujcio najwięcej woli szatynki,—a co, zgadłam?—figlarka Maniusia przytuliła się do nowoczesnego Parysa, wrywając mu z ręki dla siebie jabłko i oswabadzając go od kłopotu wyboru.

Zaszmerzało na schodach. Wzgardzona boginka wstępowała na Olimp, który dzieliła z Parysem; bowiem obok jego pokoju, jak się domyślał, leżał pokój nauczycielki. Jej sąsiad więc będzie musiał, przez delikatność, miarkować brutalność męskiej jaźni, zachowując się możliwie jaknajciszej. A wiedział o sobie, że chrapie...

Na to jest tylko jeden sposób: gwizdać nad uchem chrapiącemu, póki nie przestanie wydawać fatalnych odgłosów. Prawdopodobniej się obudzi. Ale w każdym razie chrap ustanie.

Jeno, że trudno jest rozdwoić się w dwie istoty, jedną śpiącą i wykonującą muzykę niepożądaną, a drugą czuwającą z zbawiennym akompaniamentem. Ha, trudno! W każdym razie rozbierał się jaknajostrożniej, jakkolwiek wolen od przywary ciskania butami o podłogę lub zgoła o ścianę. Nawet wieczorne ablucyje ograniczył,—trochę przez lenistwo, nie mając nigdy przekonania do systemu

Kneippa, a zwłaszcza od czasu, gdy mu powiedziano, że zimna woda na artretyzm niekoniecznie dobrze działa. Ciepłą niezawsze się ma pod ręką.

Ucieszył się sam sobie, że już rozstawił systematycznie, jak lubił, drobiazgi toaletowe na stole, szczotki, szczoteczki i flakony, zespół może nie tak liczny, jak u pierwszej lepszej eleganckiej damy, ale w każdym razie dostateczny. Gnieździły się w puzderkach z srebrnymi główkami, zdobnemi herbem Poraj,—róża, bardzo nadaje się jako artystyczna ozdoba. Kosztowały szelmy drobnostki bardzo drogo, bo dbał, żeby rzeczywiście były rzeczy ładne i w podobnym stylu, jak przybory, które oglądał, przypisywane Maurycemu *de Saxe*. A, tak bardzo, Skalski nie miał na to. Ale, ostatecznie, mógł sobie pozwolić. Zawsze miał dzisiaj, licząc z gratyfikacją i dodatkami, około trzech tysięcy rubli rocznie. Mógł z nich czasem wydać na graciki i owe „brimboryny.“

Na samym wierzchu leżała, gotowa do rannego użytku, symbol męskości, przepaska do wąsów.

Spoczął na łożu.

... Jak się nazywała—Stasiuleńka? Józefowicz, i z Warszawy. Są tacy w herbarzach, ale pewnie z nimi nie miała nic wspólnego. Że goła, to z góry wiadomo. Jednem słowem, pod każdym względem nic. Tylko, że—ładna i—miła.

Zkąd jemu takie, chociaż czysto teoretyczne, roztrząsania przychodziły? Żenić, usiłował się nawet kilkakrotnie, gwałtownie, pokąd fartuszek wy-

dawał mu się nietylko wypróbowanie zwykłym od wieków dojściem do fortuny, a w jego położeniu wyjściem jedynem. Ale w miarę, jak się przekonywał, że są przecież, lubo twarde i ciężkie, inne drogi ku siakiej takiej sytuacji, spostrzegł też, że teraz mniej chętnie przymknąby oczy na różne „ale,” przyłączone nierozdzielnie do—posagu. Póki nie miał nic do stracenia, byłby zarezykował wszystko. Dzisiaj bał się uronić chociażby prawo rozporządzania, nie oglądając się na nic i na nikogo, własną osobą i poświęcić swe jakkolwiek wygodnie przykrojone życie, w zamian za niepewny zysk.

Miał już jezusowe latka, z czubem lat kilku, i właściwie uważał się pod względem matrymonialnym za wycofanego z kursu.

Aż tu, ni ztąd ni z owąd, czuł w powietrzu swaty, a w sercu—*truble*, jak zwykła była mawiać jego ś. p. matka, której powiedzenia z Zosią przypominali sobie czasem z uśmiechem rozrzewnienia.

— Pamiętaj Zosiu, jak będziesz miała *truble*, to się zwierz matce—mawiała ta.

A komu on miał się dzisiaj zwierzyć?

W ogóle, sensu nie miało!

To atmosfera „babińca“ go tak przejęła, — kobiety o niczem innem nie myślą, jak o małżeństwach, swoich i innych.

I, na złość, zachrapał.

II.

Bardzo miłym jest uczucie, że nie trzeba się spieszyć do biura, gdzie uchylone są drzwi od gabinetu szefa, który złowrogiem chrząkaniem wita wejście opóźnionego. Władysław nie spóźnił się; miał sobie punktualność za punkt honoru, jeżeli nie obowiązku, i zresztą przeszła mu już w krew. Ale sama obawa przed grożącym chrząknięciem przyprawiała go o nerwowość.

— Stary nawymyśla,—no, wielka rzecz! Dziś panu, jutro mnie!—mawiali inni.

Nie.

I tak przychodziło nieraz znosić wyzwiska ogólne, pod adresem całego personалу, i szczególne, pod własnym, w wyrażeniach, utartych w terminologii kantorowej, która, mimo ozdobnych zamierzeń, niezupełnie utożsamia się z salonową. Wytrzymywać niesłuszne, pokornie, w myśl pierwszego przykazania służbowości: — Trzymaj gębę.

Drugie: — Milcz.

A trzecie: — Bądź cicho.

Wzwykł do swego jarzma, ale zawsze stale przykrą pozostała myśl przy przebudzeniu, że

punkt o dziewiątej z człowieka staje się znowu wołem roboczym, kółkiem w maszynie, nakręcanem i popychanem dowolnie.

To też pierwszem zawołaniem jego duszy, gdy nadeszło jutro próchnowieckie w penioarze z rozjaśnionego dnia, było:

— Chwała Bogu, że jeszcze mam wakacje!

Zegarek, zdobny cyferblatem z jednej strony, co jest rzeczą zwykłą u żyjątek z klasy czasomierzów, a różą z drugiej, ozdobą czy piętnem tego właśnie towarzysza dni człowieczych, wskazywał dziewiątą. Udano się na spoczynek, jak to na wsi i tem więcej przez wzgląd na utrudzonego podróżnika, nie za późno, przed jedynastą dnia poprzedniego, któremu było sobota w porządku dni tygodniowym.

Spał, jak obszył, dziesięć godzin. Czuł się dziwnie wypoczętym i rzeźkim, lubo miał przecież w kościach podróż dnia wczorajszego.—I już młodzieniaszkiem nie jestem, ani jednym z tych dawnej daty ludzi, w podeszłym wieku, którzy, dzień cały na bryczce się wytrząsłszy, zeskakiwali z niej rażno, drwiąc sobie z nowoczesnego dla zniewieściałuchów wynalazku, resorów.—Ale widocznie kuracja w Taraspie, kąpiele w gazującej naturalnie wodzie, woda w wewnętrznym użytku,—w co wszystko niebardzo wierzył, ale praktykował był, podług przepisów lekarskich, sumiennie,—łącznie z spacerami, zwłaszcza po ścieżce „dla leniuchów,” u stóp gór, i zupełnym wypoczynkiem duchowym, zrobiły swoje. Halt! przedwczesny tryumf,—coś

jakby mu strzyknęło w kolanie, przecież kołdrą otulonem. Ah,—okno było przez noc otwarte. Zauważył to już wieczorem, ale, by je zamknąć, trzeba byłoby wyjąć z ram siatkę na muchy. Nie chciał robić hałasu, ze względu na sąsiadkę, i noc była tak ciepła, że nie zdawało się nic zagrażać. Zapomniał, że przodkowie stale stawiali dwory w najniższym dołku wsi. Tam jest woda i niedaleko chodzić po nią. Słowiańskie lenistwo i żelazne zdrowie, drwiące z nieodstępnej w takich warunkach wilgoci położenia. Przypomniały mu się, z dawniejszych tutaj pobytów, próchniejące drzewa nad stawem przy ogrodzie. Z czego nazwa Próchnówek.

Czyli że przez delikatność dla panny Stasiuleńki miał cierpieć. Ale strzyknięcie się jakoś nie powtórzyło i wobec tego zdecydował tem chętniej, że:—Ha, kto kocha, cierpieć musi. Bo budząca go jutrzeńka próchnowiecka, *genius loci*, miała w jego wyobraźni rysy i postać panny Józefowicz. Przynajmniej ona była pierwszą osobą żeńską, na której paciorek jego myśli, przesunąwszy się w półśnie jeszcze po innych punktach, nałogowo,—odrazu zahaczył się i omotał w koło niej, z zadowoleniem, że pod jednym dachem z Władziem znajduje się tak miła osoba. Uniósłszy się na łokciu, nadsluchiwał nawet, czy przez ściankę, zdaje się, drewnianą, szmeru jej skrzydeł anielskich nie dosłyszcy. Ale duchy zwykły sprawiać się

cicho i anielica, do której marzeniem sięgał, nie mniej. Czy też jej nie było w pokoju.

Natomiast zapukało do drzwi, dość nieśmiało, jakby w obawie zbudzenia może jeszcze śpiącego, i, gdy zawołał: — Kto tam? — odezwał się głosik Maniusi:

— Wujciu, czy wujcio już nie śpi? —

— Widocznie, dziecko — odparł, — skoro się odezwałem.—

— Ale — odparł głosik tryumfująco, — mógł wujcio mówić przez sen.—

Mała miała rację. Zdarzają się takie wypadki. Ale wuj zaręczył, że przemawiał świadomie i na jawie, żądając od sprytnej małośniej, by wyjawiała swe życzenia.

— Wujciu, czy wujcio *naprawdę* nie pojedzie do kościoła?—

Było to już wczoraj, milcząco, ułożonem. Pani Zosia wspomniała, że rano gość będzie opuszczonym i może się wylegiwać do południa. Do parafjalnego kościoła była, po fatalnych kamieniach, bez mała godzina drogi i znużonemu dłuższą podróżą miało być wybaczonem uchybienie obowiązкови. Tem bardziej, że był „w podróży,“ gdzie, jak wiadomo, mszy i posty nie obowiązują.

Bezbożność mężczyzn nie zwykła rezygnować z przywileju.

Pan Władysław oświadczył swoje postanowienie siostrzenicze.

W odpowiedzi odezwało się westchnienie, zna-

mionujące, że ugięła się przed wolą męską, i z pokorą niewolnicy:

— To wujciowi każę przynieść śniadanie — a wtem zabrzmiała ironiczno-pogardliwa nuta — do poduszki!—

Poczem zrobił się gwałtowny łupot po schodach, świadczący, że chochlik, przerażony własną śmiałością, zmyka, co tchu w młodych piersiach i sił w nóżkach.

W następstwie zjawiła się służebna z tacą srebrną olbrzymich rozmiarów, której powierzchnia cała porośła była imbryczkami, garnuszkami, talerzami i talerzykami. Z zapasami żywności, przepelniającymi owe sprzęty, przetrwałoby można dłuższe oblężenie.

Niemniej pokojówka wywiązała się z pozorów nie jej danej instrukcji zapytaniem, czy aby czego jeszcze nie brak.

Wywiad z nią ustalił, że jest Małgosia, warszawianka. Przeflancowana jednakże na grunt wiejski, straciła może nieco z stołecznej dystynkcji, właściwej jej koleżankom z Faubourg St. Germain, Ujazdowskiej z przyległościami; w zamian zyskała na zdrowotności, rozpierającej stanik, pod którym miała na co fartuszek zawiązać. Natomiast towarzysko okazała pewne zdziczenie, uchylając się od palców, które, wyrażając zadowolenie z udzielonych odpowiedzi i odwiecznym prawem pana wobec sługi, zamierzały uszczypnąć ją łaskawie w policzek. Akt taki nie ma w sobie nic

zdrożnego; jest poniekąd obowiązkowym, jak ukłon i ustny komplement wobec damy z towarzystwa. Bowiem formy grzeczności są, odnośnie do różnych warstw społecznych, różne. Ale sama grzeczność obowiązuje zawsze i zaniechanie jej jest uważanem za lekceważenie.

Fakt, że uświęcone tradycją przepisy współżycia niższych i wyższych sfer socjalnych pod jednym dachem nie zostały zachowane, dręczył nieco pana Władysława. Intencje jego, rzeczywiście nie-naganne, mogły wyjść w fałszywym oświetleniu, przeprowadzone przez powiększający przyrząd ust Małgosi w kierunku ku jej pani.

Lecz z spokojem, który daje czyste sumienie, zstępował po schodach, gdy drzwi pokoiku obok uchyliły się i wyjrzała przez nie panny Stasi główka, w papilotach. Spotkania takie bywają na wsi nieuniknione i czysto przypadkowe. Sąsiadka przypuszczała może, że to właśnie służąca schodzi na dół i, potrzebując jej pomocy, chciała ją zawołać. Przerazenie, które odbiło się na ślicznej twarzy na widok aligatora męskiego, i otchłanna szybkość, z jaką płochliwa, złocista rybka w tej samej chwili poszła na dno, zniknęła w głębiach pokoju, z trzaskiem drzwi, — wykluczały wszelkie podejrzenie.

Oddalający unosił z sobą tylko wizję bieli szlafrocza, z ciemno-zielonym, marynarskim kołnierzem, z którego strzelała delikatna łodyga szyjki, po nad nią rozdęte przerażeniem chrapki noska,

rozwarłe szeroko grozą modre oczy i, niby peruka, wijące się jak małe wężyki w koło głowy, papiloty z skrawków papieru.

A więc panna Stasia pozostała także w domu i będzie miał może sposobność porozmawiania z nią jeszcze przed obiadem.

Cieszyło go to.

Ta kobieta stanowczo działała na niego.

W papilotach widuje się tylko—żonę. A jeżeli nawet one nie robią z niej Meduzy, to widać jest mocno ładną.

Wyszedł do ogrodu, oblanego blaskami słońca, które przygrzewało już zacnie, niedzielną pogodą. Przed werandą kładło się ogromne koło zielonego kobierca, kraśniejące w środku mniejszym kółkiem kwietnego, różnobarwnego klombu. W powycinanych geometrycznie wycinkach niebieszczyło tam i czerwieniło na przemian, a królował orgji tonów kaktus o grubawym pniu i szkarłatnem kwieciu. Niby wyspę ujęły kobierzec ramionami wątlých strumyków ścieżki, pracowicie i schludnie wygracowane. Po brzegach ich zewnętrznych chroniły się, pod cieniem lip, kasztanów i, nad wszystkie strzelających w górę smukłemi wieżami, brzoź, ławki, biało malowane. Przez powycinane bardzo umiejętnie przestrzały wdzięczyły się na dalszym planie, z zieleni murawy wyrosły, kępy krzewów i drzew.

Skalski przeszedł się w cieniu, odnajdując znajome kąty odkrył huśtawkę i kołobieg, — dobrze,

niech się dziewczęta gimnastykują! — plac tennisowy, — byle innie nie kazały wyskakiwać z rakietą! — i w wzorowo, a chyba nie bez kosztów, utrzymanym ogrodzie, widome ślady dobrego bytu, które wywołały u niego, nie zawiść, ale ciche westchnienie. Jednakże najlepiej tym, którzy pozostali, mogli pozostać na roli, gdy ptaki bezdomne, które odleciały ztamtąd, tłukły się z nadłamanymi skrzydłami po miejskim bruku.

Nie był to majątek rodzinny Skalskich. Z stuwłókowego, odwiecznego dziedzictwa, graniczącego z sąsiednim łomżyńskim, wyzuła ich klęska 63-go roku i bieda krajowa lat następnych, gdy gotówki nie bywało na okaz a potrzebujący jej zmuszeni byli za marny grosz wyzybywać się ziemi. Zosia wyszła za męża, z rozsądku, za fantastę, nierównego i przykrego często charakteru, który w dodatku, chorując długie lata, zadręczał swoje otoczenie. Prawda, że dzisiaj była panią trzydziestu kilku włók niezłego majątku i zachód życia opromieniał jej dobrobyt, w którym mogła wychować ukochane dzieci.

Osobiście brata jej łączyły z temi stronami, z dawniejszych czasów, raczej przykre wspomnienia, gdy był tu kilkakrotnie przywoływany na pomoc, wobec coraz nieznośniejszych dziwactw szwagra. Ale zawsze była to wieś, rola, z której powstał ród jego, nie z tej to z tamtej, ziemia, wdzięcząca się i płacąca dzisiaj hojnie tym, którym dotrwać na niej było danem.

Obrawszy sobie ostatecznie stanowisko obserwacyjne w altance, z której widać było werandę i drzwi, na nią wychodzące, czekał, zaciągając się papierosem, tak podwójnie smakowitym na świeżem powietrzu. Cekał—na pojawienie się panny Stanisławy, którego należało się oczekiwać, w myśl starego sprawdzianu, że niewiastę zawsze do chłopca ciągnie.

— Nie wiedziałam, że pan jest w ogrodzie—mówiła panna Stasia, gdy, w pół godziny później, siedziała obok niego.

— A gdzieżbym miał być?—zapytał.

— No, prędzej w podwórzu,— panowie więcej interesują się gospodarstwem, niż ogrodem.—

— W niedzielę?—

— Prawda, — ale mógł pan pójść do stajni. Mężczyźni wolą oglądać konie, niż kwiatki.—

— Cugantów na pewno niema, bo panie pojechały nimi do kościoła.—

— Właśnie, że fornalskimi. Cugowe wypoczywają, bo chodziły wczoraj po—miłego gościa.—

— Który woli—kwiatki.—

W tym samym czasie Michał, od którego niepodobna było wymagać, żeby poniżał godność stangretowską do powożenia fornalskimi, w od drzwiach stajni szturchnął w bok Małgosię, bynajmniej nie tającą, że go tam spodziewała się zastać.

— A ten pun, cy tyz taki?—pytał, przymrużając oko dowcipnie, podejrzliwie i—groźnie.

— Ehe,—już próbował!—

— Patzcie jego,—jaki galanty!—

„Galanty“ pan dowiedział się przy obiedzie, że wiele stracił, nie będąc na nabożeństwie, czyli, że za grzechy zawsze bywa kara, bo byli tam także państwo z Darzyna, Majewscy, z wnuczką, panną Helą, która, jak nawet Maniusia przyznawała, wyglądała bardzo ładnie.

— I ona wcale nie ma tak wielkiego nosa, wujciu.—

Jężyczki małych były już widocznie przez matkę, w właściwą kolej, nakręcone.

— Wcale nie żałuję—upierał się nieskruszony grzesznik, ze spojrzeniem ku tej, która dotrzymywała mu towarzystwa.

I dostał „od oczu do oczu“ odpowiedź.

Ale w tej samej chwili zagadała pani domu:

— Panna Stasia też niech żałuje swego—bólu główki, — spojrzenie ku panienom zdradziło, że jest to delikatna omowa lenistwa, którego nie wypadło zarzucać nauczycielce,—był Kazik Błoński...

— I wyglądał bardzo—dystyngowanie.—

Jadzia znać cenila najwyżej ten przymiot męski.

— I wzdychał—za panną Stasiuleńką.—

Odezwanie się Maniusi wskazywało, iż była mowa o uznanym, traktowanym na jasno i wesoło, flircie łączonych z sobą dwojga.

Pan Władysław spodziewał się, że, śladem jego, panna Stasia odeprze od siebie wszelkie podejście, jakoby chciała nadal modlić się do in-

nych bogów. Ze zdziwieniem i pewnem rozczarowaniem posłyszał:

— Jeżeli się już tak dokucza Stasiuleńce, to proszę jej powiedzieć, czy się Kazik o nią dopytywał.—

— Nie. Nie wypadało...— pocieszała starsza z panienek.

— Ale przyjedzie dziś wieczór na pewno — tryumfowała młodsza.

— Stasiuleńka nie wie, co myśleć o Kaziku,— w figlarnym tonie przebrzmiewało jednak poważniejsze zapytanie, jakby porada, po którą przegięta filuternie na ramieniu główka zwracała się do pani domu.

— Nie życzę mojej „najstarszej córce“ rozczarowania—brzmiała tym samym, życzliwym tonem odpowiedź Rudowskiej.

Lecz panna Józefowicz zmarszczyła złote brewki pod jasnym w kolorze, lecz chwilowo bruzdeczkami przychmurzonym czołem i oczy uparcie zatopiła w talerz przed sobą.

Władysław był oburzony. Jakto, on, człowiek starszy, poważny, okazywał dość wyraźnie tej dzierlatce—nie była już boginką!—swą sympatję, a ona odważała się namyślać się w ogóle nad innym przedmiotem swego upodobania, może przenosić nad niego jakiegoś bezwąsego młokosa, „Kazika?“ Nie, kochana panno Stasiu! Wolne żarty. Dziękował Bogu, że się nie zagalopował zbytnio.

A co do swatów i konkurów, właśnie też był w usposobieniu, żeby na takie rzeczy reflektować.

— Widzę, że w tym domu flirty kwitną— rzekł więc, ironicznie— zgryźliwie, sterując podniesionemi z zaznaczonem zdziwieniem brwiami ku zdrajczyni, która jednakże zarumieniła się teraz. Nie była przecież doszczętnie wyzutą z sumienia i to usposobiło go pobłaźliwiej nieco. Odwracając od niej ogólną uwagę, zwrócił się ku siostrzenicom.

— A Jadzia w kim się kocha?—

— W *hrabim* Kocie Rysiu — wyręczyła, przed ręką, siostrę małą, podkreślając z umyślną przesadą tytuł.

— W kim takim?—

— Bo jemu jest na imię Konstanty, Kotek...

— Z tych Rysiów, właściwie z lubelskiego, ale jedni od niedawna mają w dzierżawie Bierzewo, tutaj,— uzupełniała pani Zofja, patrząc się z uśmiechem na zakłopotaną starszą,— Jadzia bardzo dobrze swe afekty umieściła, bo porządny chłopiec, na politechnice we Lwowie. Teraz ma wakacje.

— I dy-styn-go-wa-ny—zapewne?— dociał niewinnej niepoczciwie, bo wszakże był zły na inną.— A Mania?—

— We mnie się kocha Toś Wisman — oznajmiła tryumfalnie.

— Ma też w kim!—

— O, nie znęcaj się nad mojami pannami — prosiła matka, z wdziękiem, który jej, przy siwiejących włosach, pozostał.

— Już widzę, że się sama jeszcze przejdiesz za mąż — odparł, całując ją co prawda zaraz na przeproszenie w rękę.

Tak zmasakrowawszy cały rodzaj żeński, zgromadzony przy stole, z uczuciem ulgi mógł zapalić poobiednie cygaro. Papierosy pali się od rana.

Drzemka,—kręcenie się po domu i ogrodzie z niechowającymi urazy małoletnimi. Z wychowawczynią ich stosunek na odległość pogrzebanego milcząco, ale do podjęcia, topora wojennego, z obustronną tendencją jednakże ku naprawie i ponownemu rozgrzaniu kotła, w którym na jednym różnie smażą się dwa serca.

Pod kotłem pali djabeł.

Aż pierwszy trzask tryumfalny z bata oznajmił najazd gości.

— Nawet jeszcze nie zdążyłam się przebrać — stwierdziła panna, uciekając.

— A wujciowi się „słodka Stasia“ podoba, — co-o? —

— Ciekawość pierwszy stopień do piekła. —

Przysłowia są wygodną odpowiedzią na niewygodne pytania.

III.

— Kó--łeczko, — z o--chotą,—pa--nowie — i pa--nie! — powtarzał od czasu do czasu młodzian, prowadzący tańce, dziwnie grobowym, monotonnym głosem. Ale, niezależnie od ponurego odzewu, niby głosu puszczyka, który puścił się hulać, ale wrodzonej, posępnej nuty nie umiał się wyrzec,—ochota była. Młodzież hasała po salonie, jak cielęta, gdy, zadartszy ogona, brykają z ucieszną fantazją po pastewniku.

Tak, niezupełnie pochlebnie i życzliwie, osądził Skalski, patrząc na wesołe tany przez otwarte drzwi z sąsiedniego pokoju, gdzie siedział przy zielonym stoliku. Zaliczono go do starszych...

Stało się to niezupełnie po jego woli, a już zgoła wbrew opozycji pani Zosi, która, podnosząc, że jak zwykle, niestety, panienki są w większości, nie chciała tancerza oddać grającym starszym pannom. Tak przedewszystkiem uzasadniała swój sprzeciw. Motyw mógł być poniekąd szczerzy, lubo z drugiej strony powinno było pani domu być na rękę, że, w braku gospodarza, brat podejmować będzie poważniejszych gości słowem i miłem

towarzystwem, gdy sama zbyt zaprzątniętą jest realniejszą stroną przyjęcia, pokarmową. Ten wzgląd zapewne skłonił ją ostatecznie do ustępstwa.

— Więc graj sobie,—a potem to się zrobi przy kolacji—dodała półgłosem, patrząc się znacząco i porozumiewawczo na Władysława.

Co się zrobi? Oczywiście usadzi go przy panie Majewskiej.

A co dalej?—Ano,—nic się nie zrobi.

Chociaż może i szkoda...

Gdyby wogóle miał ochotę się żenić...

Panna, co się zowie, przystojna. Gdy stanęła przed nim, ta zachwalana, i, jak przypuszczał, przechwalana, a z drugiej strony krytykowana, musiał sobie powiedzieć, że pewne przesady każą nawet trafny, bo uczciwy, sąd małoletnich. Wyszedł do przedpokoju, pomagać siostrze w przyjmowaniu nadjeżdżających. Gdy spłynął z ramion panny Heli piaskowy płaszcz, stała przed nim, w ciemnozielonej sukni, doskonale otulającej ale i uwydatniającej kształty, tak dorodna bruneta, o dużych, czarnych jak węgiel z aksamitem oczach, smagłej cerze, przez którą przebijała się zdrowa krew, i nosie, bynajmniej nie szpecącym właścicielki, że prawie aż zdumiał. Będąc biegłym w heraldyce, mógł, kto koniecznie chciał, dopatrzeć w niej wschodniej krwi. Przytem była jednak raczej o typie owych, ongi ormiańskiego pochodzenia, piękności,

które kiedyś, wyrwawszy się na karnawał do Lwo-
wa, tam podziwiał.

W każdym razie była to bardzo przystojna
i była to wiejska panna. Hoźość, zdrowie, bijące
od niej, przejawiająca się w ruchach siła i gibkość
członków, pewna zamaszystość, udawkowana
wrodzoną estetyką i dobrem wychowaniem, odra-
zu, gdyby się spotkało taką istotę na bruku miej-
skim, mówią: to panna „ze wsi.“

Zamaszystość zaznaczał ten specimen wiejskiej
urody może nieco przesadnie w krzepkim uścisku
dłoni, podanej Władziowi przy prezentacji,—dłoni
dużej. Ale też przynależna do niej osoba była du-
ża, bez mała jego wzrostu, a przynajmniej bardzo
niewiele niższa. Sam był ponad średni, więc na
kobietę był to śliczny wzrost. I dość tęga, lubo
o smukłej kibici, osadzonej ślicznie na krzepkich
biodrach. Biust był, niestety, zasłoniiony, ale szyj-
ka, biała, pozwalała rokować jaknajlepsze nadzieje.

Zacięcie w ruchach tłómaczyło się tem, że
dziewczyzna, ulegając ogólnej modzie, starała się
uwydatnić ów sposób „bon camarade,“ powinow-
waty męskości, z którym naogół jej było do twa-
rzy. Z rówieśnikami, młodymi sąsiadami, przez
których widocznie była lubioną, bo otoczyli ją od-
razu gwardją przyboczną, miała sobie tysiąc rze-
czy do powiedzenia; wesole wybuchy śmiechu
świadczyły, że bawi się chętnie i dobrze sama
i tamci z nią.

Ugrzęzła w owych „młodych“ też tak, że trud-

no było z nią chociażby parę słów, dla siebie, zamienić. Nie miał ochoty się pchać między gołowąsów, skoro sama nie posiadała tyle rozumu,— a miała przecież dwadzieścia jeden lat,—żeby się z poważniejszym mężczyzną wyosobnić.

A ostatecznie mu też nic na tem nie zależało...

Chyba, że, gdyby „czarna Hela“ okazała mu swe względy, fakt dałby trochę po nosku—Stasiuleńce i przekonałby ją,—jeżeli wogóle trzeba było przekonywać,—że Władzio może się podobać.

Niemożna bowiem było się łudzić. Słodka Stasia „puściła go w trąbę,“ raptownie i zdecydowanie, z momentem, gdy na tarantasie,—importowanym pono z południowszych okolic kraju przez Rysiów,—powożąc własnoręcznie bardzo „sznytowymi“ skarogniadymi, zajechał przed ganek pan Kazik Błoński. Oczywiście bez wąsa. Ale okazało się, że wąs był zgolony, i młody człowiek miał na pewno dwadzieścia kilka lat, w prawie i mocen się żenić. Był drobny i szczupły, o pospolicie jasnych włosach i pospolicie nieregularnych rysach, ale zręczny i cały w dobrym guście. Wiadomem też było, co dodaje urody, iż był, już w tak młodym wieku, samodzielnym właścicielem jednego z większych w sąsiedztwie majątków.

Okazywał rzeczywiście grzeczne, miłe i wesołe zainteresowanie Stasią, czemu pan Władysław, jako mający już nieco dłuższy szmat życia za sobą, nie przypisywał głębszego znaczenia, przyznając niemniej w duchu, że „bywają tacy warjaci.“

A panna Stasiuleńka wyglądała rzeczywiście cudnie i tak kusząco, w różowej sukience, z swym figlarnym noskiem i włoskami, kręcącymi się naturalnie, — no, nie naturalnie, bo były przecież uprzednio w papilotach, ale w każdym razie kręciły się drażniąco, — że nawet, kwadratowy dość i zdradzający świeże jeszcze, kolonistowsko — szwabskie pochodzenie, stary Wisman z Górek, nie mogąc się oprzeć delikatnemu czarowi zjawiska, trącał poufale, odrazu, Skalskiego:

— Panie dobrodzieju, — ta, — o! —

— Sąsiad zachował sobie świeżość uczuć, — śmiał się hrabia Ryś *senior*. Ten markował trochę hrabiego, ile że należał do jednej z owych rodzin, przeciętnie szlacheckich, które kędyś złapały tutuł, nie zupełnie licujący z dzierżawą tylko, na której siedział.

— No, panowie, bez atu — przerwał proboszcz, jako że osobie duchownej mogło nie wypadać brać udziału w temacie rozmowy i że miał ludzką słabość do winta.

Odzywka oznacza, jak w całej Polsce wiadomo, trzy asy i proboszcz był partnerem Władysława; jednakże w radość, którą sprawiła mu miła nowina, wmięszął się powiew melancholji na widok przefruwającej właśnie za ramą drzwi różowej sukni w czarno-frakowym ujęciu pana Kазia. Przegapił „kolor“ i rzekł: — Pas. —

— Pas chleba nie daje! — zmonitował partner. Może miał rację. Nie powinno się przedwcze-

śnie ustępować pola i miejsca. Skalski wypił jeden, drugi i trzeci kieliszek węgierskiego i tem więcej utwierdzał się w ostatniej refleksji. Hungaricum dodawało mu animuszu i bezmała klął w duchu, że przykutym jest do stolika, na którym padają martwe, kolorowe obrazki, gdy tam w pobliżu wdzięczą się żywe,—zwłaszcza jeden.

Pływające, rozlewne, nastrojające do marzeń tony walca, od którego się rozpoczął balik, ustąpiły, po krótkim międzyklinie wyskokliwej polki, ogniście dziarskiemu mazurowi. Po marzeniach, wesolem hopsa-sa,—zadzierzysty czyn.

Kar(o)l Wisman wybijał pięścią, na szczęście nie za mocno, takt po stoliku, a Aleksander hrabia Ryś rozpoczął:

— Najpiękniej tańczonego mazura widziałem kiedyś na „balu polskim“ w Wiedniu. Arcyksiężniczka Marja Renata z księciem Zdzisiem Podkołońskim...

Gdy wtem do pokoju grających wpadła, w posuwistem tempie tanecznem, z wyciągniętą dłonią, panna Hela, wlokąc trochę za sobą w drugiej znacznie mniejszego od siebie Błońskiego, który jednakże wesole uśmiechniętą twarzą dopomagał jej w przedsięwzięciu.

— Dobieramy! Proszę pana. — Promieniała przed Skalskim. Drgająca życiem w każdym nerwie, hoża, wesola, przypomniała mu mazurkę, która, tam w drodze, „związała“ go tak dziarsko. Jenó, że tanta była dziewczka od wideł, a ta, przy całej

śmiałości w swym sposobie bycia, zdradzała, w pewności każdego poruszenia, szyk eleganckiej panny. Niemniej, w modnych, czarnych aksamitnych pantofelkach, zdawało się, że jej palce u nóg aż prężą się do tańca.

— Służę pani. — Powstał.

— Ale wracaj pan — upominał niespokojnie proboszcz.

— To ja już go wam tymczasem będę musiał wyręczyć — podjął się dziadek panny, siwiuteńki, bardzo godnie wyglądający pan Tadeusz Majewski, który przedtem, wymówiwszy się od gry, przypatrywał się jej tylko, siedząc obok i z rzadka uczestnicząc w rozmowie.

— Słusznie, skoro wnusia go nam zabiera — hrabia Aleksander popatrzył się przez monokl w ściągłej twarzy trochę złośliwie na rezolutną dziewczynę.

— A ksiądz bądź zadowolony, — będzie ślub w parafji! — dosadził gruby Wisman. Ale tu brano rzeczy wesoło, po sąsiedzku, i uśmiechy tylko przebiegły po twarzach.

— Panie, spieszmy się, — inne pary czekają — niecierpliwiła się panna Hela, w której uszki bił wciąż nagłaco takt mazurowy, gdy Władysław, metodycznie, oddawał swe karty w ręce jej dziadka.

— Jazda, panie! — trochę jakgdyby urągajaco przywtórzył jej dotychczasowy towarzysz. Ale spieszyło mu się może do Stasi.

Więc, podkręciwszy węża, od drzwi salonu na

przełaj puścił się Władzio, mijając siostrę, która blisko drzwi przysiadła, z widocznie zadowoloną miną. Może ona wprost pchnęła sąsiadeczkę.

Władysław sunął ostro, raz, że rzeczywiście czuł w sobie przybór fantazji kawalerskiej, a przytem obawiał się, żeby nie wyglądać na ciągniętego przez partnerkę za rękę chłopaczka, jak przedtem po trochu Kazik. W salonie wrzało.—Mazur, wszystkie pary,—zanim wodzirej zdecyduje się na ściślej określoną figurę taneczną. Odurzony hałasem muzyki i tupotu nóg o posadzkę, chaosem przewijających się, ocierających się o niego korpusów w czarnych i kolorowych przesłonach, nóg, jak gdyby podstawianych mu umyślnie, rąk, machających mu pod nosem, łokci, wbijających się w żebra, nowy danser, wpadłszy w ów ukrop, musiał się przed sobą przyznać, że dawno dla niego minęły czasy, gdy, nawet w takich „opresjach,” czuł się w swoim żywiole. Bo tańczono „ostro.“ Jako okoliczność dla siebie łagodzącą mógł może poniekąd przytoczyć, że „później“ suwać zwykł po wielkich salach, jeżeli nie pałaców, to hoteli i klubów, gdzie więcej miejsca i ludzie sobie po piętach nie depcą „jak w karczmie.“ Przytem młodzież dzisiejsza pono wnosila w swojski, *recte* chłopski, ale uszlachetniony charakter tego tańca, niby chcąc mu wrócić jego źródłową, żywiołową siłę, jakgdyby coś z brutalności amerykańskiego cake-walku i bezceremonialności angielskiego two-stepa. Niechby no się zrobiło trochę luźniej, niech

mu ustąpią miejsca, a on pokaże im, tym młodzikom, jak się mazura tańczy,— niczem księżę Podkoroński z arcyksiężniczką Renatą... Walili obcasami, jak parobki, że cudem chyba drzazgi z parkietu nie leciały, a dziewczęta pozwalały sobą wytrząsać, jak drzewa owocowe, gdy z obranych już przez sadowego amatorzy usiłują „wygruchnąć“ coś jeszcze. Mignęła mu Jadzia, wcale nie dystygowanie i tak czerwona, że nie przypuszczał nigdy, iż może do tego stopnia zapomnieć o swych zasadach, wsparta o ramię ściągłolicego młodzieniaszka, odbitki rodu Rysiów, tylko bez monokla i, może chwilowo jeno, wcale nie krochmalowego. Rysiak go potrącił i nie powiedział nawet „pardon“, rodzona siostrzenica nadepnęła mu na lakierkę. Zresztą najwidoczniej o świecie bożym po za sobą nie wiedzieli; crème sukienka lgnęła do smokinga. Fraka zapewne młody politechnik jeszcze nie posiadał. Ale, skoro Rudowska uświęcała już dzisiaj macierzyńskim błogosławieństwem te amory...

Jak huragan przeleciała, w swej krótkiej białej sukience, Maniusia, literalnie trzymana w garści, bo objęta w pół, przez niedorostka w mundurku jednej z szkół polskich, w krępej, lepszego już jednakże nieco stylu, figurze przedłużającego odnogę polską Wismanów.

I dłoń w dłoń, ramię przy ramieniu, boczek przy boku, smukła, wdzięczna, nieco filigranowa, o misternym uroku delikatnego, z cieńkiej przezro-

czej porcelany dzbanuszką, z którego różowych linji wykwitiała, jak lilja z złotymi pręcikami, biała twarzyczka z runem złotawych włosków, miłośnie przegięta ku temu, który ją, tęskniącą, znowu odnalazł,— Stasiuleńka. Trzeba było przyznać, że pan Kazik miał frak beznagannie leżący i tańczył ładnie.

Innych Skalski już nie zauważył.

W każdym razie po średnich rozmiarów salonie, który na ośm tańczących par był „prawie,” hasało ich conajmniej szesnaście. Z werwą i zapałem, właściwym wiekowi, gdy się jeszcze skłonny jest do tak idjotycznej zabawy, jak brać się z nieznaną często kobietą w pół i biegać z nią po pokoju. Uważając jeszcze przytem na rytm muzyki. A taka zabawa zowie się taniec. Właściwą też jest szczególnie, jak niewygasająca choroba, niektórym okolicom. Już Kromer w opisie podróży po tych stronach, oddając słusność różnym cnotom ich mieszkańców, wspomina, w formie niepochwalającej, ich namiętność do płasów, bez których nie obchodzi się żadna niedziela, a nawet dzień powszedni, po pracy. Zacięci we wszystkim. Co przetrwało.

Dyć się mazur nic nie wstydzi,
Choć się ślepy—to dowidzi,
Lać tsa w gębę—spytaj gęby,
A bić w gębę—rachuj zęby!

Ale to wszystko jest dobrze, dopóki młodość grzeje. Lecz gdy kto wkroczył już z godnością na *mezzo cammin della vita*...

Władysław, naciśniony przez ogniście następujących, o mało nie przewrócił w kącie, wraz z krzeselkiem, tapera, wygrzmacającego na fortepianie siarczyście, ile że był jeszcze początek wieczora i grajek nie zmęczony.

Podrażniony trochę swą niezręcznością, tancerz, zawracając „k'sobie,“ chciał, widząc lukę przed sobą, wypuścić się z dyskretnym hołupcem, by potem, rum sobie czyniąc, przedrzeć się mężnie przez rozproszone szyki środkiem salonu w róg przeciwległy. Czarna Hela, postawna i szykowna,— z taką jest, owszem, miło tańczyć, wiedząc, że się tworzy dobraną parę,—płynęła, choć z temperamentem, zręcznie przy nim, idąc mu lekko „na wędzidło,“ jak dzielna klacz rasowa, życzliwa i wierna prowadzącemu ją.

Wyciął obcasem, zamiast w obcas, wyżej, pod przegubem, boleśnie; skrzywił się, przydepnął,— w tej samej chwili nawinęła mu się, wprost pod nogi, krzyżując drogę, niby obłok zdradliwy, choć piękny, suknia koloru jasnych malin, ktoś go „podparł“ z tyłu,— trzask, rym,—runął. Długi strzęp odrywającej się materji, z pod której, zbieła z wstydliwego przerażenia, śnieżą się nieprzeznaczone dla oczu męskich części składowe niewieściego stroju,—upadający pan, głową, niby taranem, walący z nóg ciżbę przed sobą, podczas gdy jego własne nogi, w upadku kosząc następujących, spełniają w tłumie dzieło okropnego spuszczenia. Otacza go malinowa chmura, spływa

nań, niby fala morska, zielona suknia, kłębią się pod nim, na nim, w koło niego ciała, które, na oślep, jeno podług stopnia jędrności czy miękkości klasyfikować może jako męskie lub żeńskie, zapach różnych perfumów, któremi przesycone są zawijające go suknie, kilka „ach,“ „oj“ i jedno— pono Błońskiego— „psiakrew,“—a taper wciąż gra.

Pan Władysław mazura miał dosyć.

Kulejącemu, bo oczywiście ktoś go przytem kopnął jeszcze właśnie w urażone przedtem miejsce, dostało się w dodatku piorunujące, ba, wprost bazyliżkowe spojrzenie panny Stasi, w szybkim odrocie ku miejscom, gdzie świętokradczy wzrok męski nie będzie stwierdzał, iż pomiędzy suknią a ciałem są jeszcze inne stroje. Jakgdyby ktoś naiwnie przypuszczał, iż żyjemy w czternastym wieku naszej ery, gdy koszule na pewno nie były jeszcze u nas wprowadzone, a co do halek historjografowie nie są zgodni.

Ale Skalski odczuwał krzywdę, którą mimowoli wyrządził biednej dziewczynie. Może sukienka nie da się tak naprędce zreperować, może panna Józefowicz nie posiada innej, odpowiedniej.

Uspokoila go coprawda w trosce Hela, która, najpierw podniósłszy się, oświadczyła z humorem:

— Ja mam wszystkie kości całe,—a pan?—

Dzielna była i poczciwa, że nie miała urazy do niego; chyba nie bez tego, żeby sobie w gwałtownym upadku, gdy ją pociągnął za sobą, nie nabiła

gdzie jakiego guza. I część śmieszności, którą się okrył, spływała też i na nią.

— Gorzej z panną Józefowicz — dodała, — ale to się tam przypnie.—

Tak, „ta plama się wypierze“ — pomyślał sobie, ale czy mu panna Stasia przebaczy?

Bo, znanem zjawiskiem, że pożądamy zawsze tego, co przed nami umyka, a odtrącamy, co nam samo idzie w ręce, — czując życzliwą sympatję dla Majewskiej i oddając hołd jej wdziękowi i charakterowi, tem więcej gonił myślą za tamtą.

Siedziała „wyreperowana“ przy kolacji, oczywiście obok Kazia, na szarym, ale za to najweselszym, bo „młodym,“ końcu ogromnego, rozsuniętego na skoś przez pokój jadalny stołu, przy którym przecież czterdziestka z górą zgromadzonych nie mogła się pomieścić. W sąsiednim pokoju więc był jeszcze stół dla „dzieci,“ przy którym prezydowała, niezbyt cicho, Manusia. Raz wraz dochodził ztamtąd jej głosik.

— To przez pannę Stasię wujek się tak przewrócił!—

— Obrabiają jeszcze „clou“ wieczoru — rozśmiała się czarna Hela, sąsiadująca z Skalskim, który właściwie prowadził z wieku i z urzędu hrabinę Rysiową. Ale do lewego boku, „od serca“, przydała mu siostra zręczność i niepostrzeżenie tamtą. Siedział jak na przeciętnej pomiędzy wiekiem a młodością. Zresztą starszych osób było stosunkowo bardzo niewiele. Proboszcz z najsza-

nowniejszą matroną okoliczną, też przewodniczącą lokalnego Koła ziemianek, panią Majewską, hrabia Aleksander z najgodniejszą z kolei sąsiadką, Wisman miał obok siebie przeważnie próżne miejsce pani domu, zrywającej się wciąż, by dopilnować wszystkiego, dwie inne z poważniejszych sklecone pary i młodzi, młodzi, młodzi. Ziemia mazowiecka pełną jest i niektóre domy zwiozły swój „przychówek“ trzema powozami.

Hrabina była kobieta, spracowaniem czy niezadowoleniem przycichła, i rozmowa toczyła się Władziowi przeważnie na lewo.

Właśnie była dwunasta i proboszcz, uważający na zegarek, odłożył już widelec,—ale, ku uspokojeniu pani domu, tylko lody go omijały, o które więcej stoi młodsze towarzystwo,—gdy padło z ust Heli:

— Ja, jak lubię wieś, jednakże wolałabym żyć w mieście. Daje więcej „pokarmu duchowego.“—

Rankiem jasnym, przed rozjazdem, towarzystwo wyspało się na werandę. Maniusia chciała *koniecznie* zrobić zdjęcie fotograficzne.

— Znałem ojca pańskiego — mówił pan Tadeusz Majewski do Skalskiego, poważnie.

— Ba, któż o nim nie słyszał,—wtedy?—uzupełniał Wisman, prostując się. — Byłem przecież i ja pod Płońskiem. Miałem piętnaście lat. Ojciec chciał mnie karać, ale on sam był stary rewolucjonista z 48-go, z pod Mierosławskiego. Bo my z Badenji przyszliśmy,—nie żadne prusaki.—

— Wiem i ja, już tylko z tradycji—pośpieszył Ryś,—ojciec pana Skalskiego był adjutantem Padlewskiego.—

I w tę chwilę przeleciał jakby duch płockiego wojewody, cień krwawy z aureolą nad czołem, postać, opromieniona rycerską odwagą, miłością pięknej żony, poświęceniem dla sprawy i tragicznym końcem...

Ale rozgwar wśród młodzieży, nawoływania, by się ustawiać do zdjęcia, doszły do punktu kulminacyjnego, gdy okazało się, że Kazik Błoński górą przez pokój gościnny wydostał się na dach oszklony nad werandą i zsuwał się po nim, chcąc być uwiecznionym na jego brzeżku w pozie, dominującej nad całym towarzystwem.

— Boże, zawali się jeszcze!—zawołała wystraszona pani Zofja.

I nie przebrzmiał jeszcze jej wykrzyk, gdy brzęk tłuczącego się i spadającego na głowy szkła, a potem ciężki upadek walącego się na deski werandy ciała ludzkiego wywołały straszne zawołanie grozy. Nieopatrzny zgniótł i przebił swym ciężarem kruchy daszek i, z wysokości kilku łokci runąwszy poziomo pod nogi oniemiałych teraz z przerażenia, leżał skrwawiony i nieprzytomny. Z dzikim krzykiem rzuciła się ku niemu, nakrywając go swoim ciałem, Stasia.

IV.

Nad warjatami i pijanymi czuwa Opatrzność.

Karkołomne przedsięwzięcie Błońskiego, podniecone nieskąpionem w gościnnym domu winem, przeszło bez poważniejszych dla poszkodowanego następstw. Zwieziony czempredziej lekarz nie domacał się żadnych obrażeń wewnętrznych. Obawiano się wstrząśnienia mózgu.

— Miało się też co wstrząsnąć — pomyślał zgryźliwie Władzio.

Niefortunny akrobata pokaleczył się tylko dotkliwie szkłem i miał plejzerowania się na parę tygodni.

Odwieziono go do dóbr własnych.

Panna Stasia wyprawiała rozpacze. Ich objawy były zrozumiałe i zupełnie naturalne tak długo, jak ukochanemu zdawało się zagrażać niebezpieczeństwo. Ale gdy obawa bardzo szybko rozproszyła się, łzy, tragiczne wykrzyki i dramatyczne załamywanie rąk chybiały celu.

Pierwszy odczuł to, otrzeźwiony znać zupełnie doznany wstrząsem, ich przedmiot. Pan Kazimierz, okazujący już, gdy go wywożono, trochę

zażenowania w obec jawnie objawiających się dowodów czułości panny Józefowicz, nie odpowiedział jej wcale na list, posłany w tropy za znikającym. List był posłany chyłkiem, bo pani domu na akt niestosowny nie byłaby się zgodziła, ale, pchnąwszy już zwerbowanego kryjomo posłańca, panna Stasia uważała za mędrsze, przyznać się przed panią Zosią, zanim, nieuniknionym porządkiem rzeczy w wiejskim świecie, sekret dojdzie wiadomości dziedziczki.

Rudowska pogniewała się trochę na „najstarszą córkę“, ale, jako takiej, przebaczyła.

Gorzej, że nie było odpowiedzi.

A najgorzej, gdy trzeciego dnia przyjechał pan Karol Wisman z synem najmłodszym, trwalszym w uczuciach do Manieczki a pono tak samo przeprowadzającym swą wolę wobec „starego“, jak ten niegdyś w stosunku z swym ojcem. Wisman przywiózł wiarogodne wiadomości o stanie ofiary—i inne. Wracając z miasteczka powiatowego, wstąpił po drodze do młodego sąsiada; znalazł go, lubo w łóżku, już zupełnie „munter“ i w najlepszym humorze. Bo oto, gdy rozpominali szczegóły wypadku i pochlebne dla poszkodowanego zainteresowanie panny Stasi, na prostoduszne zapytanie pana Karola, czy Kazik nie ma czasem intencji wziąć ją za żonę, tamten odpowiedział, śmiejąc się:

— Za gospodynię!—

To, oburzony bałamuctwem młodego człowieka, stary powtórzył w Próchnówku, na szczęście

nie publicznie, ale Władysławowi. Władysław, jakkolwiek wahając się, udzielił wiadomości siostrze, a przez nią doszła do interesowanej. Owego wieczora biedaczka nie pokazała się nikomu na oczy.

A Skalskiemu było jej żal ogromnie.

Robił sobie wyrzuty, że powtórzył sprawozdanie sąsiada z Górek. Gdy, po krótkim namyśle, podawał je, bez komentarzy, siostrze, kierowała nim wprost życzliwa dziewczynie myśl, żeby ją tym sposobem wyleczyć odrazu ze złudzeń, mogących jej jeszcze więcej sprawić przykrości. Bo tylko w starożytnych bajkach, nie mających pretensji do prawdy, królewicze żenią się z pasterkami, a nowożytnej autorce, której poczytny romans czytał właśnie „do poduszki“, gdy zamierzyła nauczycielkę wydać za księcia, przecież w ostatniej chwili pióro zadrgało.

Więc wcale nie zależało mu na upokorzeniu Stasiuleńki i byłby zapewne wolał, nie pośredniczyć w odślonieniu nagiej prawdy. Mimowoli przyczynił się do ciężkiego strapienia biednej i zarówno strapienie jej jak i własna „współwina“ bolały go. Przytem oburzony był szczerze na Błońskiego, który stawiał z istic „dziedzicowską“ pychę położenie na jasno. Flirtować można z nauczycielką, ale żenić się.....

Biedactwo się zadurzyło, nie bez winy tamtego, i teraz cierpi.

Wytoczył sprawę przed rozpoznanie siostry, ale

tu spotkał się z mniejszem zrozumieniem, niż się spodziewał.

— Ja tę dziewczynę bardzo lubię. W ciągu kilku miesięcy, które jest tutaj, potrafiła sobie pozyskać mnie i moje córę i wogóle się podoba. Nie wątpię, że jest naprawdę bardzo dobrego i poczciwego charakteru, bo inaczej nie traktowałabym ją jak — krewną, ale sama widzę, że jest trochę przesadzona. Wyrozumiewam to, bo jak u młodych dziewczyn... Chociaż ona wcale taka młodziotka nie jest, znacznie starsza, niż wygląda, ma dwadzieścia pięć czy sześć. Tylko ma taki *genre bébé*. Wyjątkowo jej z nim do twarzy. Przytem z duszy radaby się wydać za męż. Sama opowiada, że jest ich cztery siostry, dwie zameżne, jedna zaręczona, a ona, najstarsza, „niema szczęścia“. Nawet chciałam cię przestrzedz, ale przecież wiem, że jesteś za rozsądny i chyba, bez posagu, wprost nie możesz się żenić. Zresztą tymczasem był flirt z Błońskim. Nie przeszkadzałam, chociaż nie wierzyłam, żeby z tego mogło co być. Ale znowu nie myśl, żeby się nasza Stasiuleńka tak bardzo w swoim Kaziku kochała. Wyśmiewała go przed nami, że niepokazny, brzydki. Naśladowała jego manierę „dziedzica“.—

— Też pokazał się—w najgorszem tego słowa znaczeniu.—

— Nie przeczę. Ale wierz mi, teraz u niej jest raczej ambicja zraniona niż uczucie. Question plutôt d'amour propre que d'amour. —

— Ba — większość zawodów w miłości się do upokorzenia miłości własnej sprowadza. Niemniej — bołą.

— Nie roztkliwiał się — upominała siostra. Jednak zamyśliła się chwilę. Kiedyś tam i w jej życiu była miłość...

Przebrzmiało, minęło, jak wszystko w życiu przebrzmiewa i mija. Antenna spojrzeń i uściśnień ręki i pocałunków w cudnej szczęścia chwili, rozkosz pewności i niepewności udręka, gorycz zwątpienia i zawodu ból bezmierny, i potem...

Tak, jak powstała, głupia i szalona, zjawisko chwili rzewnej czy wesołej,—skoniała miłość; kilka cichych jęków jeszcze i wraz z niemi czas nieubłagany wspomnień popioły rozwiewa.

Słońce świeci, życie idzie dalej i w życiu słońce świeci.

Tak myślała myślą kobiety zrównoważonej, która nie chciała być płaczką wieczną nad grobem—pustym. Poszła odważnie dalej drogą życia a, jeśli odleciał i nie wrócił już do niej nigdy anioł miłości o skrzydłach tęczowych, w szatach z róż i lilji, to z rąk owych duchów, które czuwają nad kołyskami dzieci, spłynął na serce jej balsam spokoju i szczęścia—innego.

Ztąd hasłem jej było, nie robić tragedji z rzeczy, nie wartych jej: Ale czasem przesunęła się myśl: mogło być inaczej, — może czasem bywa inaczej.

— W każdym razie nie trzeba się roztkliwiać

nad zawodami sercowemi — tłumaczyła bratu. — Lepiej, wierz mi, brać miłość, jako rzecz naturalną, właściwą ludziom, nie coś nadziemskiego, niezwykłego. Kochać się będą, jak się zawsze kochali, jak świat światem, i próżnoby zakazywać. Ale niech się to dzieje bez owych tajemnic, najzdradniejszych dla tego, który je chowa, i bez zaprzeczania całej istoty w jednym uczuciu, bezpowrotnie. Najlepiej na jasno, prosto i, — o ile możności, wesoło. Ja tak uczę moje panny. Zład owe „flirty“, z których się śmiałeś, wiadome, usankcjonowane i — nie niebezpieczne. —

Władysław słuchał mówiącej, prawie z nabożeństwem, jak ongi, gdy mu, jako dziecku, znacznie starsza, użyczała wykładowo swej mądrości.

— To może być dobre — osądził wreszcie — tylko może twój system jednak nie do każdego się dotrafi, a Stasiuleńki nie pocieszy. —

— Masz tobie! — Jedziemy jutro do Darzyna, — przecież *nas* zapraszali. —

A kobieta zawsze do swego nakreśli, — pomyślał.

Jużci że zapraszali. Nawet panna Hela powiedziała mu: — Musi pan, będąc tu w okolicy, poznać nasz Darzyn. Leży bardzo ładnie, na wzgórzu...

Jakiś mazowiecki Mont Blanc, z królującą na nim czarną Helą.

Pojechać oczywiście musi. Byłoby niegrzecznie się nie pokazać i awantura z siostrą pewna.

Więc pojechał, w przeddzień wyjazdu powrotnego do Warszawy.

— Lubię mężczyzn zdecydowanych — mówiła Hela, gdy chodzili po ogrodzie darzyńskim.

Pozostawiono ich samych...

Wśród płaskich jak talerz równin zabłąkało się tu kilka wzgórków, jak owe aerolity, co czasem spadają z nieba, Bóg wie gdzie.

Szli właśnie jakby wąwozem, niczem jar podolski. Ścieśniał się przed nimi i zdawało się, że niema wyjścia.

Skalski zawrócił.

Rozmowa się urwała. Panna Hela powracała, przybladła nieco.

Siostrzeniczki patrzyły się ciekawie. Stasi nie było, bo została w domu z bólem głowy, — może i prawdziwym.

Rodzeństwo Heli młodsze, dwóch braci i dwie siostry, oglądało pana Władysława, jakby go w Próchnówku nie dosyć sobie upamiętniło. Wszystko to wychowywane, po wczesnej stracie rodziców, przez dziadków, — dość samodzielne, ale sympatyczne. Starzy widocznie bardzo dla nich dobrzy, dla gości uprzejmi. Jeżeli mieli zawód, pokryli go.

Mniej umiała go ukryć wnuczka. Zwykle wesoła i rozmowna, była teraz milczącą i nerwową. Wąsy Władzia snać podobały się hożej pannie. Był postawny mężczyzna, starszy trochę, — często dziewczęta, poważniej zastanawiające się nad małżeństwem, to lubią. Tak im się przedstawia mąż. Pozycję miał niezłą, opinię dobrą, był oso-

biście uprzejmy, dobrze wychowany, delikatny. Przytem rzecz była, jak Władysław przewidywał, z góry omówiona pomiędzy jego siostrą a starymi. Zosia oczywiście i pannie musiała śpiewać jego pochwały, a ta na ładną główkę nie upadła i wiedziała, co się święci.

Tymczasem nie święciło się, przez jego upór. Rozmowa, lubo z taktem światowym podtrzymywana, według sił i możliwości, przez wszystkich, nie kleiła się.

Władysławowi było głupio. Jednakże dziewczyna czuła coś do niego, coś ciepłego. Tak mówiło mu przekonanie. Ośmieszył się nawet na baliku w jej oczach, a przecież uczucie jej przetrwało niebezpieczną próbę. Może zresztą — trochę śmieszności w mężu nie zawadzi. Mąż to jest taki pan, dla którego trzeba mieć szacunek, którego się nawet może trochę lęka, a którego się mocno lubi, z cichem prawem uśmiechku.

Gdy Hela podawała mu na pożegnanie rękę, uściśnęła ją, machinalnym ruchem stałego wielbiela kobiet, zbyt czule; wyrwała mu ją spieszenie.

To było skończone. Niechciał, — więc, nie. Przechodziła nad nim do porządku dziennego. I pójdzie po innego. Miała widać zdrowe zasady Zosi: nie durzyć się długo jednym uczuciem. Gdy się tak próbuje po kolei rządeczkiem, wreszcie trafi się na swego. Właściwie najmądrzej. Jak panowie, prosząc do tańca. — Pani zaangażowana? — Ano, to po sąsiadkę... Każda potwora...

Chociaż ta nie była potwora, — oj, nie. Ładna dziewczyna! I w czarnym kostjumiku domowym, który leżał, jak ulany.

Władzio miał teraz zgryzoty sumienia, — żał po niewczasie.

A czekała go jeszcze przeprawa z siostrą.

Rudowska najmniej umiała ukryć swoje niezadowolenie, tajone, dopóki w Darzynie zmuszoną była odgrywać rolę mile uśmiechniętego gościa. A wezbrało „docna“ w podróży, gdy ze względu na córki trzeba było wybuch niezadowolenia i reprimendę odkładać na spokojniejszą chwilę. Lecz chwila znalazła się już w drodze. Bomba pękła — na piaskach, na szczęście, bo, trafiwszy na opór twardego gruntu, mogła być zakłócić spokój ziemi i firmamentu. Właśnie przed wjazdem na pola próchnowskie była wiorsta piaseczku w tak pięknym gatunku, jak go na całą Europę jedynie na Mazowszu znaleźć można. Koła powozu wrzywały się, niby w bezdenne błoto, a konie, z widocznym mozołem wyciągając kopyta z piaszczystego opatrunku, okazywały wielką ochotę przystanąć. Dla czego mędrsi od nich ludzie gliny nie nawieźli? Była tuż obok.

Księżyc, w sierp przekrzywiony, i gwiazdy przyglądały się ciekawie mozołom. Noc była jasna i widna.

— Wsiądziemy na chwilę — postanowiła pani — i pójdziemy kawałek piechotą. Ulży się koniom, bo je Michał już tak zapasł...

Właścicielka powozu i dziedziczka przemówiła i nikt nie odważył się jej sprzeciwić. Stangret był konfident, ale tylko z gośćmi.

— M-nichał, stój!—przetłomaczyła mu jeszcze wolę matki młodsza z pańienek, gdy starsza westchnęła sentymentalnie:

— Ach tak,—taka śliczna noc!—

Skalski miał ochotę zauważyć, że urok ślicznej przechadzki po nocy zepsutym zostanie, pomiędzy innymi, chociażby tem, że się spacerującym piasku w trzewiki nasypie. Ale ostatecznie można było iść burtą, twardszą, i w ogóle w niektórych chwilach życia lepiej jest milczeć, nie wywołując djabła z lasu.

„Djabeł“ postanowił dalej:

— Idźcie, pańienki, naprzód.—

Podreptały posłusznie. Był posłuch w rodzinie. Tylko Mania obejrzała się raz—za wujkiem.

Miał ochotę ją przywołać. Dzieckiem niewinnem zasłoniłby się, jak ongi pan Twardowski, gdy go moc piekielna wziąć chciała. Wyrwał się i obronił, prototyp szlachcica — fantasty, co i z djabełem kontrakt zawrze i Panu Bogu, jeszcze w porę, świeczkę zapali i życie przebalansuje pomiędzy dobrem a złem, pomiędzy czynem a marą nie ziszczonych pragnień, za którymi goni. Aż po śmierci zawisnie pomiędzy niebem a ziemią, w pół drogi. Ot, tam usiadł na rogu księżyca, nogi zwiesił i patrzy się na swego pra-prawnuka. Takich było wielu. Są jeszcze.

— Więc cóż, Władziu?

To nie Twardowski się pytał, drwiąco — wyrozumiale, lecz rodzona siostra, głosem, brzemieniem w burzę. Manusia dreptała daleko.

— Ano, widzisz... zaczął.

— Widziałam—poprawiła tonem nauczycielki, stawiającej, wobec omyłki ucznia, ostro i nieubłagane czas właściwy, dokonany, na miejsce niewłaściwie użytego, terażniejszego.

Władziowi chłodek przeszedł po krzyżu, ogromne chłopisko zgarbiło się, jak uczeń, gdy czuje zwisające w powietrzu niebezpieczeństwo doraźnej a dotkliwej kary, nawet rozczapierzone wąsiska zdawały się milimetr za milimetrem opadać żałośnie ku dołowi. Stopa mu ugrzęzła w jakimś dołku. Spojrzał melancholijnie za powozem, który, sterowany energiczniej przez zgromionego Michała, oddalał się także, niby łódź, która wyrzuciła skazańca na opustoszałe wybrzeże, pozostawiając go na łasce ludożercy w spódnicy.

— Jednak i tu jest piasek — zauważył Skalski niewinnie, obiektywnie i słusznie. Mężczyźni niegodnie słabi są, gdy im wytrzymać wypada atak niewieści prosto od frontu i szukają wtedy dywersji różnych i przebiegłych, acz nieskutecznych.

Więc pani Zofia pominęła zupełnie dziecinną uwagę brata i rzekła natomiast:

— Dla czego nie chcesz panny Heli?—

— A bo ja wiem?—mruknął, ale wewnątrznie.

— Przecież ci się podoba? — podobała? —

określiła jeszcze ściślej Rudowska. — Dziewczyna przystojna...

— Nawet bardzo — przyznał głośno, nietylko, żeby potakiwaniem zyskać względy Zosi, ale ze szczerego przekonania.

— Miła, praktyczna, z dobrego domu. Ma, jak wiesz, pięćdziesiąt tysięcy rubli, własnych, po rodzicach. Po dziadkach przypadnie jej kiedyś drugie tyle. Ty — przeceniała — masz z pracy twojej rentę, która przedstawia procent od odpowiedniego kapitału, i oczywiście możesz wymagać, żeby ci żona tyle wniosła. Ale zawsze, w gotówce, to jest ładny posag i w naszych stosunkach nie każda panna go ma. Przytem — wszystkie warunki. Nie tak łatwo ci może być, znaleźć podobne. Skaprysiłeś, Władku! —

— Ano, — skaprysiłem — przyznał półgębkiem. Wyznanie wychodziło smutne z pod zasmuconych wąsów.

— I — dlaczego? —

To było pytanie, którego najwięcej się obawiał. Nie z powodu odpowiedzi, jakiegokolwiek, którą wypadało mu dać Zosi. Można przecie zełgać, mniej lub więcej zręcznie. Kłamstwo jest bronią słabych. Ale bał się odpowiedzi wewnętrznej, rzetelnej, którą musiał dać w sobie i sobie. „Wyjaśnienie“ miało jasne, kręcące się, z pomocą papilotów czy bez nich, włoski, figlarny nosek i filigranową, lecz zgrabną figurkę, a na imię miało: Stasiuleńka. Było bardzo urocze. Bardziej, podług jego gustu,

od „czarnej Heli“. I takie teraz nieszczęśliwe, niezasłużenie. Tem chwyciło go za serce.

Bez żadnej kwestyi, gdyby nie „to“, zgodziłby się, skwapliwie i z miłą chęcią, a bodaj czy nie z entuzjazmem, na tak niespodziewanie podawane mu, niby na talerzu, zakończenie jego „nędzy starokawalerskiej“. Bo, lubo małżeństwo w zasadzie, jako mężowi dojrzałemu, przedstawiało mu się pod kątem widzenia srodze krytycznym, jako krok niepewny, nie wiadomo, co przynoszący, — przecież musiał przyznać, że, dawszy sobie połączyć stulą dłonie z panną Heleną Majewską z Darzyna, dostawał rękojmię przyszłości, zarysowującej się z wszech miar bardzo ponętnie. Praktycznie, licząc trzeźwo, jak siostra, zyskiwał solidne oparcie na wcale pokaźnym kapitale, który, prawnie pozostając własnością małżonki, jednakże zazwyczaj, gdy w stadle panuje dusz harmonja, podlega zarządowi i władztwu pana męża. Daje mu pozycję „kapitalisty“. Jakże inaczej stanąłby wtedy w obec panów Treter i Wolski. Z „pracownikiem“, który przedstawia pewną moc finansową, liczą się grubo inaczej. A może ich, w każdym razie, rzucić, założyć coś własnego, nie być dłużej „panem Władysławem“, tylko panem Skalskim, który innym mówi po imieniu. To było wyzwolenie z czeladnika na majstra, — wyzwolenie, usamowolnienie. Wolność, — boska wolność! Tak więzy małżeńskie z innych pęt, sroższych, wydobywają. A nowe więzy same mogły być różane. Dziewczyna była

miła, rozsądna, inteligentna, sympatyczna,—ciepła. Z tych, co bywają dobre żony. Starzy, — niech ich Bóg zachowa jaknajdłużej, aż do chwili, gdy spoczną w ziemi, a przynależna część spadku znów w jego rękach,—bardzo godni. W rodzeństwie swej przyszłej zyskiwał nową rodzinę. Zaś w swej — pani kawał kobiety, smaczny.

Ach tak, tak... I nie taił sobie, jak małem jest prawdopodobieństwo, żeby mu się jeszcze raz w życiu zdarzyła podobna sposobność. Siostra mu to przypomniała, ostrożnie, lecz wyraźnie. Ostatecznie nie był już tak młodym. Skapitalizowanie jego dochodów na rentę było rachunkowo beznagannem. Tylko, że taka renta jest zawsze niepewna. Zależy — od humorów panów Treter i Wolski. Oczywiście można zawsze jeszcze wtedy szukać i znaleźć inne stanowisko. Ale nie tak to łatwo, u nas, w kraju, gdzie jest zawsze jeszcze większa podaż rąk do pracy, niż owej pracy samej. Gdzie rozstrzyga tak niepomierne często nie uzdolnienie, tylko — protekcja.

Zawsze co innego jest procent od listów zastawnych! *Nota bene* Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Może jakiś kataklizm zewnętrzny czy wewnętrzny wstrząsnąć finansami państwa i doprowadzić je do „plejty“, bombardowanie Warszawy zrujnować i kamieniczników szczególnie i zespół posiadaczy miejskich „baranich skórek“, ale dopokąd stać piasków mazowieckich i pogranicznych, oparta na nich pewność papieru,

lepszego od renty francuskiej, trwać będzie w wieczność.

Tak bardzo też Skalski z zamianą ich na rezykowne przedsięwzięcie nie pospieszyłby się.

No, i pomijając, jak się zwykle mówi, stronę materyalną,—ciepło w domu, jego dotąd opuszczonym, kawalerskim. Ma, miłe wprawdzie, wygodne i eleganckie mieszkanie na Wspólnej,—cóż kiedy nie wspólne! Współmieszkanką jest mu tylko Samotność. Smutna osoba, wypłaszająca go wieczorami do ogródków, teatrów, nawet, hm, kabaletów. Owe uciechy wielkomiejskie są zabawne—czasem. Ale, tak codzień, powszednieją. I drogie są, w nieodpowiednim stosunku do przyjemności, których używają. Ma w sobie materiał na domatora. I na pantofla,—tak, tak. Zresztą czemuż koniecznie pantofla? Współżycie z miłym towarzyszem, rodzaju żeńskiego, wymiana myśli, i zdań,—Hela jest nie głupia,—dzielenie się przyjemnościami i troskami drogi życiowej z kimś, który współczuje, cieszy się razem i razem smuci...

A nad tem wszystkim jeszcze, niby korona z kwiatów, wieńcząca wiązanie gmachu szczęścia, wymiana uczuć... Miłość... Głupstwo?—O, nie. Niezapominajka, wabiąca nad ruczajem, fijołek, wśród traw pachnący, kwiecie polne, wdzięczące się nad drogą przechodniowi. Weź mnie, zabierz, do serca przytul, popieść, pieść... Miłość—krasa życia i uroda. Może—mówią—jego treść. Tak. Nie zaznał jej nigdy. Tej wielkiej, prawdziwej, za

którą tęskni, z sceptycznym uśmiechem, mimowiednie „trzeźwy umysł“.

Westchnął.

Oj, pieszczoty z Helą byłyby słodkie.

Nie wybrnął jeszcze z roztoczy marzeń,—siostra szła milcząc, dając — kruszącemu grzesznikowi czas do poprawy,—gdy powóz wjechał na twardszy grunt i Michał przystanął. Obok dziwacznie w blasku księżycowym zarysowujących się kształtów pojazdu, niby potwornej maszyny, bąka olbrzymiego, który zawalił drogę, czy samolotu osiadłego na mieliźnie, skupiły się dziewczęta, czekając na nadchodzących, wieszczki czy duchy, w swych jasnych, powiewnych sukienkach i płaszczach.

— Siadamy — wydała rozkaz Rudowska.

Konie, czując dom i stajnię w pobliżu, ruszyły rączo. Nie rozmawiano. I Skalski miał wrażenie, że wsiadł do łodzi ratunkowej, która wyzwoliła go od niebezpieczeństwa odpowiedzi sobie i siostrze.

Dwór próchnowski strzelał błyskiem jednego okienka, — z pokoju Stasiuleńki. Biedna, — nie spała, spać nie mogła.

A na rogu miesiąca przysiadł pan Twardowski i, przypatrując się prawnukowi, z cichym śmiechem fajtał nogami w czerwonych butach.

V.

Było już po północy. Sen przed dwunastą jest najzdrowszym, a pozatem ów, który jest najbliższym tej godzinie. Gdy stracono niepowetowanie jego najlepszą część, trzeba było się spieszyć, żeby przynajmniej „z drugiego sortu“ coś jeszcze zaczerpnąć.

— Spać, panny — zaganiała matka gaworzące sroczki. Miały przecież lekcje od samego rana. Od rana wiejskiego, nie tego, które w mieście zaczyna się około południa, stękające i poziewające. Panna Stasia skarżyła się coprawda czasem po cichu na urządzenie domowe, które jej już o ósmej kazało stawiać się, jak panią, umycie, uczesanie i z skrupulatnie zapiętymi wszystkimi guzikami i haftkami dziennego stroju, na wspólnem śniadaniu. Jej zameżne siostry miały lepiej; ich mężowie nie stawiali, stawiać nie ośmieliliby się tak surowych wymagań. Ach tak, panna zawsze jest czyjąś niewolnicą! Małżeństwo dla kobiety, to — wolność.

Może to, pomiędzy innymi, obszerniej było rozważanem w grubym liście, który, przygotowany

do wysyłki, leżał na półce koło okna, w przedpokoju. Tu domowi składali swą korespondencję, którą dalej służyła, a czasem sama pani domu, wręczała mleczarkowi, do codziennego odwozu do miasteczka, wspólnie z białym towarem.

— Stasiuleńka się znowu rozpisła — stwierdziła Maniusia, przeczytawszy *koniecznie* adres: Wielmożna Pani Anna Lichtowa w Warszawie.

— Jak?—zapytał Skalski, marszcząc brwi niechętnie; wolałby był usłyszeć jakie nazwisko na „ski“ lub „icz“.

— Licht. Ona mówi, że z tych wielkich garbarzy warszawskich, — objaśniała Rudowska, również niechętnie, ale z innych powodów; co mogło brata interesować, kto jest szwagier nauczycielki? — w każdym razie ma tylko bardzo skromną posadkę w jakiejś kasie pożyczkowej.—

— Ale panna Stasia mówiła, że będzie miał niedługo awans—pospieszyła dopełnić mała z tryumfem osoby wszystkowiedzącej.

Tu już serce pani Zofii wezbrało. Zbyt je karmiono goryczą tego dnia.

— Moja Maniusiu, co to kogo może obchodzić? — Proszę nie być wścibską, — niepotrzebnie oglądasz cudze listy. A pannie Stasi powiem, że jednak jesteś jeszcze zbyt dzieckiem, żeby cię wybierać na swą powiernicę.—

Grom strzelił. Mania opuściła ręce i uszy po sobie. Żegnano się szybko. Córki całowały ręce

matce, która młodszą szczególnie przygarnęła do siebie, głaszcząc ją po okrągłym buziaku.

— Cóż, zgoda między nami, córo?—spojrzała jej prosto w oczy.

Przywrócona do pełni praw oddawała czule pieśczoćy, zakręciła jednakże niepoprawnym języczkiem do odpowiedzi.

— Ale, bo widzi mamusia...

Poczem, jeszcze w sam czas, ucichła, posyłając przecież spojrzenie ku wujkowi, obiecujące sobie i jemu, że na tamto łono wyleje dalszy ciąg zwierzeń.

Jako też, gdy matka dając dobry przykład, skierowała się ku drzwiom, mała znalazła jeszcze czas, pod pozorem ostatecznego pożegnania się z wujaszkiem, podbiedz ku niemu i szepnąć mu:

— To za wujka burę dostałam! —

— Ach? — szepnął.

— Bo wujek się kocha w Stasi, — jak ja w Tosiu. Ja wiem, co to — miłość. Jak go dłużej nie widzę...

— Serce ci pika, — a jak go zobaczysz, to jakby ci je kto posmarował maślanką. No, — wyność się! —

— Ale wujek jutro nie odjedzie? — odwróciła się jeszcze, w drzwiach.

— Odjedzie, — po obiedzie, — odburknął.

Ładny miała system wychowania jego siostra! Bębny rozpuszczone, — malec wyrażał się o „Stasiuleńce“, jak o równej sobie, bez szacunku, win-

nego nauczycielce i osobie dorosłej. Chociaż, ostatecznie, był to raczej stosunek młodszych sióstr do starszej i uprawniał poufałość. Ale znów z swoją „miłością“! Matka chce uchronić dzieci przed zagłębianiem się w niebezpieczne uczucie, dając im wolną rękę. I ot są wyniki. Bo też Zosia dobra jest i rozumna kobieta, ale czy tak, pod każdym względem, nieomylna? Stanowczo pesymistycznie nastrojony, wziął z rąk rozespanej Małgosi lichtarz z zapaloną świecą i podążył do siebie na górę. Jutro ma wyjeżdżać,—ta-ak! Prawda, że się niezadługo w Warszawie może znów spotkać z Stasią, która w tych tygodniach wyjeżdża na urlop, gdyż panny, wzdychające i tak, że się je jeszcze przytrzymuje przy lekcjach, gdy wkoło już wakacje w całej pełni, mają mieć miesiąc „lenistwa“. Ale, czy się z nią spotka,—czy się ma z nią spotkać?—No, — czy? — Jutro, zaraz po obiedzie, wyjazd: przedtem, — jeżeli ją wogóle zobaczy, bo nuż będzie chora, czemu nie dziwiłby się wcale,—trudno chociażby o słów kilka. Siostra będzie pilnować.

Posłał myśl ku Niej. Myśl podobno mury przebija. Zwłaszcza, gdy jest skierowana silną wolą. Suggestja, telepatja — mądre miana na działanie myśli i woli, wyodrębnionych z ciała i rzuconych całą, nieodpartą potęgą w jednym kierunku. Dawna różdżka z bajek, otwierająca zawarte wrota: Sezamie, otwórz się.

— Zobaczyć Stasię! — myślał z siłą i energią, do jakich rzadko był zdolny; ale, gdy natura,

bierna raczej zerwie się raz do porywu: chcę, — w jej woli jest gwałtowność i siła szaleństwa.

Drażniono go już oddawna, drażniono go dziś dzień cały. Odradzano mu głośno, czy wrogiem milczeniem. Przeszkadzano mu... Jutro miał odlecieć motyl szczęścia, który już, już muskał go cudnemi swemi skrzydłami. Mógł go nakryć dłonią. Wtedy był jego. A jutro żegna się z nim, może, zapewne, na zawsze...

Nie, — teraz on chce.

Gdyby tak drzwi, koło których właśnie przechodził, się rozwarły?

Drzwi od pokoju Stasiuleńki rozwarły się.

Smug światła cisnął się chciwie, pochłaniając w sobie lichą jasność świeczki, w kurytarz i czełuść schodów. Na tle jasną lampą rozświetlonego pokoju, pokoiku panińskiego z białem łóżeczkiem i zgrabnemi mebelkami, w swym szlafroczku z zielonym, marynarskim kołnierzem, wdzięczna i śliczniejsza, niż kiedykolwiek, stała Stasia.

I stali tak naprzeciwko siebie, niemi, ale zachwyceni sobą.

Przynajmniej Władysław pił oczyma rajskie zjawisko, jak wędrowiec spragniony, gdy się dorwie krynicy.

A Stasiuleńka, blada, — och, jaka biedna i jak jej ślicznie było z tem, — rumieniła się coraz silniej.

Władzio czuł, że światło, przenikające jego rudy wąs, zapala na nim aureolę tryumfu.

Z tem wszystkim był zakłopotany.

Czekała na niego, czy nie, chciała przelotnie powiedzieć lub usłyszeć od niego słów kilka czy więcej,—położenie było kłopotliwe. Wejść do jej pokoju nie śmiał. Nie wypadało. Jakżeż? i to po nocy? A rozmowa pod drzwiami, nad schodami... Gdy czuł, wiedział, że bez rozmowy dłuższej nie odejdzie.

Stasię widocznie ogarniała ta sama niepewność, co począć dalej. Szepnęła nieśmiało:

— Chciałam tylko wiedzieć... jak było w Darzynie...

— Nic nie było — odpowiedział z mocą, że aż obejrzał się, przeląkłszy się zbyt donośnego brzmienia głosu.

— Naprawdę? — Widział, że poszukała wzrokiem jego dłoni. Nie rozumiał.

— Prawda, że pierścionków nie zamienia się — zaraz, — objaśniła, znów cichutkiem szeptem.

Rozśmiał się. Był to śmiech szczęścia. — O to się pani — obawiała? —

Kiwnęła główką nieznacznie, tak nieznacznie, iż ruch jej był ledwie dostrzegalny.

Ale niemylił się. Obawiała się o — to, — więc go — kochała.

Wtedy rzekł z decyzją męską: — Trudno, — tu w drzwiach rozmawiać nie możemy, — chwila jest zbyt ważną, żeby wobec niej zważać na — pozory, — proszę mi pozwolić na chwilkę, panno — Stasiu. —

Przekroczył próg, z którego usunęła się. Miał zupełną świadomość tego, co robi, lekkie drzenie

lęku nawet, które jest często towarzyszem odwagi. Był to na nowej drodze życia krok pierwszy, ale nieodwołalny. Gubił w oczach opinii pannę, o ile nie zostawała jego żoną.

Więc pierwsze jego słowa były:

— Mam zaszczyt prosić o rękę pani. —

Brzmiało to etykietalnie i wyszło z ust jego sucho i urywanie. Rzeczywiście, głos mu wiązał w krtani z wzruszenia i nie miał czasu namyślić się nad formułką, wybrać może inną, mniej oklepaną, nie tak wytartą, jak stary dukat. Ale, jak dukat, jest szczerą i ważną. Zresztą działał i mówił wprost odruchowo, pod parciem wewnętrznym, jak manekin, którego sprężyny, nastawione oddawna na godzinę i minutę, za nadejściem jej zaczynają działać dokładnie i niepowstrzymanie.

A oczy Stasi rozwarły się ogromnie, zdziwieniem czy przestraczem, i odpowiedziała mu:

— Nie, — ja — niechcę. —

I próbowała z jego dłoni wyciągnąć rękę, którą przedtem ujął.

Oslupienie ogarnęło Władysława. Nie? Stasia go nie chce? Jakto? Dlaczego? Więc—co?

Po drugiej stronie rowu widzimy kwiaty przepyszne. Nęcą nas. Lenistwo i ociężałość, może niebezpieczeństwo, każą nam wahać się. Nakoniec odważamy się na skok. Stopy dosięgły z wysiłkiem, lecz szczęśliwie upragnionego brzegu. Kwiatów—niema. Znikły. Gdzie są? Co się stało?— To miraż był? miraż szczęścia?

Stasia mówiła, głosikiem, brzęczącym milutko, jak dzwoneczki, które się zawiesza na szyi baranków, białych, łagodnych, pasących się na łące. A za nimi chodzi pasterka, cudnej urody.

Stasia mówiła:

— Bo, widzi pan, ja jestem biedna dziewczyna. — I wtedy Skalski począł mieć nadzieję, że jej „nie“, to jest takie „nie“ kobiece, znaczące „tak“. Tylko robiła sobie pewne skrupuły, które docenił jako szlachetne, z przyjęciem go. Bo, gdyby naprawdę go nie chciała, do odmowy dodaje się zwykle powód krótki, albo żadnego. Uzasadniona obszerniej odmowa znaczy przyjęcie.

A Stasia ciągnęła dalej:

— Pan mnie dziś chce, a jutro pan się może odmyśli. I ja będę miała tylko wstyd. Ja wiem, co są mężczyźni. —

Tu Skalski, coraz pewniejszy swego, uśmiechnął się mimowoli. Przypomniała mu się Maniusia: — ja wiem, co to jest miłość. Ale pożałował swego uśmiechu, gdy dziewczyna rzekła żałośnie, cichutko: — Pan — Błoński. — Potem, otrząsając się jakby z owego wspomnienia, poczęła słuchającemu przekładać wszystkie racje, dla których jego — miłej i — zaszczytnej, ach, — propozycji przyjąć nie może.

Mówiła długo i biegle. Nie słuchał jej, a raczej słuchał tylko melodyjnego dźwięku jej głosu. Nie przerywał, — niech mówi dalej. Upajał się tylko dźwięczną muzyką, która grała mu w uszach,

jak fletnie anielskie. Słowa jej dochodziły go jakby z daleka, chociaż stała tuż przed nim. Siedział na kanapce, którą wskazała mu gestem. Trzymał jej jeden paluszek, maleńki ciepły, drgający. Trzymał go delikatnie, ostrożnie. Ale ten jeden palec, mu pozostawiony, to była nić nierozzerwana między nimi. I patrzył się na nią, dziewczeczkę swą śliczną, kochaną, jedyną. Na swoją żonkę milusienką, która mówi takie mądre słowa odprawy. Oj, prawi, jak ksiądz. Ale jego jest i jego będzie. Będzie miał dobrą żonę. I cudną i dobrą. Toż przez dobroć dla niego ona go — nie chce. Żeby mu nie być ciężarem. Tak coś — palnęła, zdaje mu się. Mniejsza o ścisłość wyrażenia. Nie, — nie ciężarem będzie mu, tylko pomocą, pociechą i osłodą życia.

I począł szeptać:

— Skowronku mój! —

— Złotko moje! —

— Ptaku mój jedyny! —

Szept jego wpadał między jej słowa. Przeszkadzał im. Przycichły zdania mądre wobec miłości dziecinnych słów. Dziewczę przestało mówić.

— Ależ pan mnie nie słucha! —

— Nie. —

— Więc? —

— Żona powinna słuchać męża. —

— Gdzie to powiedziane? —

— Ach, jakie bezbożne! —

— Ale pan nie jest moim mężem! —

— Będę nim.—

— Nie.—

— Tak.—

— Nie.—

— Tak.—

Z ogrodu z oddali dolatywał śpiew miłosny słowika. Na ławce przed stajnią siedzieli Michał z Małgosią, rozbudzoną zupełnie. Gęby sobie nie żalowali. Mieli się ku sobie. Wiadomo wszystkim. Na św. Michała, patrona onego, się pobiorą. Dziedziczka jino se jinną pokojówkę wynajdzie.

Panna Stasia przysiadła na kanapce obok Władzia. Rękę położyła mu na ramieniu, poważnie, i ta przestrzeń ich dzieliła. Oczy utkwiała w źrenicach, jakby egzaminując go, zapuszczając sondę aż do najodleglejszych, najczarniejszych kątów jego duszy.

— Musi mi pan przysiąc, że pan mnie będzie kochał wiecznie.—

— Będę kochał wiecznie.—

— I nigdy pan nie będzie żalował swego postanowienia?—

— No! chyba nigdy! Pewny jestem, że nigdy.—

— Będzie pan zawsze dobrym dla mnie?—

— Jakżeżbym mógł inaczej?—

— I zawsze posłusznym?— rozśmiała się już.

— Posłuszniejszym od moich siostrzenic.—

— No, to kocham — kogoś. I — do jutra! —
Podsunęła mu szybkim, już zaraz cofniętym ru-

chem usta. Ledwo zdążył je pocałować. Były ciepłe, wilgotne, wonne i słodkie.

Wiedział, że teraz odejść trzeba. Już z ręką na klamce, żegnał:

— Dobranoc mojej narzeczonej.—

A ona skrzyżowała rączki na piersiach, jak czynią muzulmanki, i odpowiedziała, wdzięcznie, czule i tkliwie, a z pokorą:

— Dobranoc mojemu Panu.—

VI.

...jakoś to w życiu brzydko urządzone,
że obok róży zaraz znajdziesz kolce
i że się serca, ledwo połączone,
rozstawać muszą.....

Skalski szukał rymu do „kolce.“ Wierszowanie jest znanym symptomem miłości. Niezależnie od tego, Władysław przypominał sobie, że, kiedyś, w odległej młodości i on przechodził tak zwaną młodzieńczą ograszkę poetycką, która wybucha, nawet w sercu niedrażnionem, na widok zieleni drzew, bieli obłoczków i innych, zupełnie niewinnych, codziennych obrazów. Zanim się zacznie gorączkowo marzyć o słowie, rymującym do „warkocz“, unikając najwięcej zbliżonego dźwiękiem, acz niezupełnie poprawnego „smarkacz.“ Tryumfuje się, w liczbie mnogiej dobierając „oczy“ i „roztoczy“,—po raz milion i jedynasty, odkąd istnieje mowa wiązana,—nad przewidzianą trudnością.

Ale dziecinna choróbka, w sam czas skarcona przez rozsądną starszą siostrę-opiekunkę, nie miała czasu się rozwinąć w dożywotnie kalectwo. Cza-

sem tylko przychodziły, lekkie, recydywy. Był wrażliwym na piękno, a że poezja poniekąd do piękna się liczy... Chętnie czytywał ją, budząc takim poczynieniem podziw i podejrzenie o myszki u męskich znajomych, podczas gdy kobiety zazwyczaj najpierw nie chciały wierzyć w jego słabość, a potem swą niewiarę wynagradzały sympatją.

Znał, jako korespondent handlowy, język niemiecki i z drugiej racji niektóre „lied’y,” których sentymentalizm budził czasem echa w jego sercu. Tak, znane pożegnanie „Trębacza z Saekkingen,” które teraz mozolił się spolszczyć. Jazda bryczką niekoniecznie nadaje się do pracy poetyckiej. Nawet, jeżeli bryczka jest na resorach.

Ale, w dzień wyjazdu Skalskiego z Próchnówka, pogoda była okropna. Nie zapowiadała takiej noc, jasna i wesoła gwiazdami się śmiejąca, niby ku dniowi, równie wesołemu. Aż tu nad ranem zachmurzyło się nagle. Potem burza. Burza z piorunami, walącemi całą siłą na prawo i na lewo. Dostało się jednemu z drzew w ogrodzie, bliźutko dworu. Władziowi, rozbudzonemu, zdawało się, że coś jęło przez ścianę. Biedactwo, trwożyło się tam. Lecieć do niej, utulić... Lecz wolno mu było tylko trwożyć się o nią. Potem, jakgdyby z tym gromem przesilenie nastąpiło, lunął deszcz, ale to wiadrami, zatapiając w potokach wody wicher, który przedtem miotał się z wściekłością młodego cyklonu. Deszcz lał. Ustał na chwilę—niby—i znów

poprawił się. Tak, w kilku serjach, do południa. Cóż z tego, że ostatecznie słońce zatryumfowało? Drogi prawie nazwać było można drogami wodnymi, tak silne były opady. Oziębilo się nawet.

— Musiała być burza na morzu—utrzymywała z całą pewnością Maniusia. A Jadzia przypomniała z lekcji geografji, że golfstrom zmienił od niedawna swój bieg i nie dosyć już ogrzewa Europę, po której starych kościach zimnice przechodzą.

Matka zaś zawyrokowała:

— Lepiej będzie jechać bryczką. —

Do szosy było co prawda tylko parę wiorst, ale każdy wie, że wiorstę można jechać pięć minut, lecz można jechać i kwadrans. Przez kałuże po pół osi trudno śmigać. Tego zdania był nawet Ralf, stary wyżeł, który ledwo do bramy odjeżdżającego odprowadził.

Więc gość, który przyjechał wspaniale powozem, odjeżdżał marnie bryczką. Na tak ordynarnym wehikule siedziały z nim wprawdzie społem dwie damy, arcywysokiego pochodzenia: Miłość i Poezja.

Miłość poddawała temat a Poezja doklejała rymy. Ale nie umiała dotrzymać kroku swej siostrzycy i utknęła—na kolcach. Utknął i pasażer na trudnej końcówce. Jedynie wesoły djabeł-chochlik polny, który przyczepił się z tyłu do bryczki, znalazł dopowiedzenie gotowe:

...Tylko nie wierz polce...

Ale co to takiemu wierzyć!

Wjechali na małego przestwór oceanu, noga za nogą, „bo nigdy nie wiada, co pod wodom być moze,—moze kamiń,“ o który koń się potknąć gotów,—i Władzio miał czas, zanim przebrnęli, zrekapitulować w myśli wrażenia dnia dzisiejszego. Więc widzenie się z—narzeczoną. Wstał umyślnie jaknajrychlej, by ją uprzedzić i uprzedzić siostrę. Raniuteńkie wstanie, wobec niedospanej nocy, uważał sobie po trochu za heroizm. Tembardziej, że był to ostatni dzień, w którym, przed biurową pracą, mógłby być sobie jeszcze pofolgować. Ale wstał lekko i raźnie. Brzemię narzeczeństwa, wziętych na się obowiązków, jakoś wcale mu nie ciążyło. Burza i gromy piekielne, których się nie uląkł—dla siebie,—rozbudzając go, ułatwiły mu nieco rychłe ruszenie się z nocnego legowiska, w którym zażywać zasłużonego i odpowiedniego spokoju nawet zwierz dziki, a cóż dopiero człowiek, ma prawo. Uprzedzając zwykły najazd Małgosi z codzien pełniejszą tacą, zszedł na dół. Zdawało mu się, że za drzwiami, zamykającemi pokoi obok, coś się gmerze. Ale nie śmiał zapukać,—ani nawet przez zaporę, którą uszanować wypada, śłać „dzień dobry.“ Tylko serce jego napełniło się, wobec zasłyszanych szmerów, otuchą, iż niedługo pani jego zstąpi, w całym zwycięskim blasku swych wdzięków, z nieboskłonu, który w formie pokoi górnych rozciągał się nad domem próchnowieckim. Wstaje już, — ukochana, — więc

spieszy się do niego, tęskno jej za nim, jak jemu do niej. Jak będzie wyglądała, ślicznota, czy bardzo zarumieniona wzruszeniem i szczęściem tem, którem jego piersi wzbierały? A może noc niedospiana, — może nie spała wcale? — przysypała jej liczko kredą? Błada i biedna, — też, i jeszcze więcej podobać mu się będzie!

Na dole powitany został okrzykiem szczerogo przestachu.

— O la boga! — wrzasnęła Małgosia, akcentem tak wiejskim, iż wskazywał, że dziecię miasta szybko i zupełnie już zaaklimatyzowało się w sielskiem otoczeniu.

— No, — bo co? — spytał Władzio hardo.

— A — bo ja...

— Widzisz. —

W skróconej formie wyraziło się porozumienie dwojga dusz. I do serwetek, zdobiących stół, służebna dołożyła jeszcze jedną. Zakręciła się i wyszła.

W pokoju było pusto i głucho. Tylko z tykiem wskazówka zegara ściennego sunęła, niepochwytanie oku, aż pokąd nie przebyła pewnej przestrzeni, — dążąc od ósmej ku dziewiątej. Szarawo było, bo deszcz znowu przesłonił szyby zewnętrzną firanką w długie, cieniutkie paski. Szerszemi pasmami w regularnych odstępach odbijały na tej tkaninie grube sople wody, kapiące z dachu, a potok z rynnny dawał deseniowi po boku grube obramowanie.

Szelest monotony z zewnątrz potęgował wrażenie śpiącego pokoju.

Stół w pośrodku stał i czekał. Okryty był jasno lakierowaną ceratą i robił wrażenie łóżka, rozesłanego jeszcze. Tylko w jednym rogu skupiły się wyczekujące, jedna w drugą włożone, filiżanki i bielszemi plamami po bokach wskazywały miejsca dla oczekiwanych serwetki. A po drugim rogu stał Władzio, bezwładny, onieruchomiony nieruchomością przedmiotów i czekał również. Rażnowesołe usposobienie ustąpiło pod przygnębiającem wrażeniem samotności. Wspomniał podobne nastroje w swem mieszkaniu. Och, byle nie być samotnym! Nie długo już nim nie będzie. I z poczynającą się znów ulgą, którą przynosi nadzieja, dał przytyk w górę wąsom, które niedość długo się dzisiaj zeszywniły pod przepaską.

Wwiało Maniusię. Tłuscioszek wkulnął się bokiem do pokoju, rozespany silnie, ziewając w sposób okrutnie nieprzyzwoity, aż w młodej paszczęce równe i zdrowe rzędy zębów załśniły białą nagością. Pan Władysław pomyślał o swoich płombach. Ale od zwrotu w melancholję uchroniło go powitanie strachliwo—zakłopotane—radosne siostrzeniczki:

— O jej,—wujaszek!—

Równocześnie usiłowała dopiąć z boku suknię, przy której jakaś nieznośna haftka pozostała niez użytą. Wstyd wobec rodzaju męskiego, zdradzający się pierwotnie, ustąpił szybko wobec

tego, że to był wujaszek, istota, znaczy się, bezpłciowa. Bo do płci męskiej zalicza kobieta, już w najwcześniejszym wieku, tylko tych, których później świadomie nazywa epuzerami. Jednakże, aby był wilk syty i koza cała, ogólne zasady wstydlivości odezwały się powiedzeniem:

— Proszę, niech wujaszek nie patrzy.—

Potem tryumfalne:—już!—i rzucenie się, równie impetyczne jak pozbawione ważniejszych motywów, wujciowi na szyję. Zniósł mężnie tarcie młodego buziaka o własny, wygolony, i rzekł, z uznaniem:

— Już wstałaś!—

— Ja—zawsze,—ale wujcio!—Prawda, że wujcio dziś wyjeżdża... —szczyry żal brzmiał w głosiku.

— Wyjeżdża... —zabrzmiało echo żałosne od proga drzwi przeciwległych, za plecami obżałowyanego, echo, dźwięczące cienkim, acz melodyjnym szmerem, niby harfy eolskiej jęk. Tam stała Stasia. Wsunęła się w chwili, gdy nierówna wiekiem i niepołączona uczuciem para legła sobie w uprawnione i przepisane pokrewieństwem objęcia.

— Ale — wróci — rzekł z siłą i dobitnie pan Władysław. Wyprostował zgięte pod brzemieniem stu z górą funtów żywej wagi ramiona, podszedł ku biejącej w progę, — Stasiuleńka była dziś w anielsko białej sukience, — zgiął się znowu, ale tym razem dobrowolnie, gdy ujmował jej rączkę.

w pokłonie czci i hołdu i złożył na rączce onej pocałunek.

Manusia roztworzyła bardzo szeroko oczy i, gdyby wuj się był spojrział na nią, byłby mógł zauważyć po ich coraz bystrzejszym przebłytku, jak widocznie objawia się w wzroku ludzkim szybko, całą parą i „z skondensowaną intensywnością“ pracująca myśl. Jeszcze zanim padło dalej słowo z ust narzeczonych, Manusia, przechodząc w kilku sekundach wszystkie szczeble pośrednie od danej do wniosku, *wiedziała*, co mniej bystremu umysłowi męskiemu może długo jeszcze byłoby pozostało przyćmione mrokiem tajemnicy. Z równem zacięciem, jak przedtem wujowi, rzuciła się teraz na szyję nauczycielce.

A potem, z minką łobuzerską, rzekła:

— Zrobione.—

Warszawskiego wyrażenia nauczył ją uczeń wyższych szkół.

Było niestosowne, gwarą trąące, lecz nauczycielka nie skarciła go. Rączko zaczęła ścisnąć uczenicę.

Skalski zapytał:

— Dlaczego się panie tak czulicie?—

— Oho, — niby wujek nie wie! — A bardzo to ładnie mieć takie sekrety — przedemną! —

Młodziutki opas pomścił krzywdy dawne i zaczął skakać, z godną podziwu zręcznością, na jednej nodze po pokoju.

— Mylisz się,—to nie żaden sekret,—pouczył wuj.

Mniej owacyjnie zachowała się wobec „sekretu“ matka.

— Domyślałam się. — Ale było to raczej westchnienie.

Jeszcze wyraźniej na słowa przetłómaczyła je Władziowi, gdy, na jedną chwilę, znaleźli się w cztery oczy: — Jesteś pełnoletnim i wiesz, co robisz.—

No, chyba!—i nikt nie potrzebował go pouczać.

Ani Jadwinia, która dawała mu sentymentalne wskazówki, na jakim podkładzie oprzeć szczęście małżeńskie:—Wuj musi Stasię bardzo kochać, bo tylko prawdziwa miłość daje szczęście.—

To wszystko nie zepsuło mu humoru. Stasiuleńka promieniała, — była czuła, tkliwa i szczęśliwa.

— Więc, lubo teraz nie mógł znaleźć rymu na „kolce“

— Żenimy się, Michale!—zawołał nagle głośno.

Michał, widocznie nie uprzedzony jeszcze przez pokojową o wielkich wypadkach wśród sfer wyższych Próchnówka, wziął wykrzyknik jako zapytanie do siebie.

— A ino, proszę jaśnie pana. — I obrócił się konfidencjonalnie: — Swatali mi jednom z Górek, ale bez to się ozeszło, ze tyle, co kiecki na niej.—

— Pozytywizm życiowy gnieździ się najsilniej

w podstawowych warstwach społeczeństwa. Małgosia miała pono oszczędności uskładane...

Deszcz zaczął znów padać i opiekował się bryczką aż do Nasielska. Czasem zluzowywał go wicher, przepędzając krople wodne z taką gwałtownością, że jakby oczyszczał od nich na sekundy powietrze. Potem pchał je równoległe do ziemi, niby tysiące lanc, prosto w piersi jadących. Skalski próbował ująć mu, oszukać przynajmniej, rozdziwić jego impet, nadstawiając się bokiem. Ale Akwilon, pękiem grotów zbrojny, nie pardo nował; parł, z akompanjamentem szumu i poświstu, niby muzyki wojennej, wściekle naprzód, walcąc w napotykaną przeszkodę milionami pchnięć mokrych, ostrych, zimnych i dokuczliwych. Parł, z siłą i całą zawziętością rozpętanego ducha-niszczyciela. Czasem siekł poprzecznie wilgotnymi biczami. Aż nagle zakręcał je wirem, jaki się czasem tworzy na rzece, i z wszystkich stron naraz szarpał swą ofiarę, wbijając w nią bolesne igły z przodu, z tyłu i z boków równocześnie, jak owe piekielne maszyny średniowiecznych tortur, opasujące w swych objęciach skazańca śmiertelnym uściskiem. Drzewa przydrożne gięły się przerażone, ocalając się daniną połamanych gałęzi, roniąc liźy-liście. A wicher dął.

Biała szosa, wymyta, wśród szarzyzną widnokrąg zatapiającego deszczu, wiła się jasnym śladem, niby rzeka, niosąca podróżników do upragnionej przystani.

Tymczasem Skalski poczuł, że jego jaźń cielesna—podmięka. Różne deszczochronne, jakoby nieprzemakalne, pledy i dery, które tworzyły wokół niego rodzaj powijaka, przemokły do cna. Zkąd jego garnitur podróżowy, jakkolwiek z dobrego materiału, — zafundowany za granicą, — miał być trwalszym? Bardzo niemiłym jest siedzieć czas dłuższy po pas w zupełnie zimnej wodzie, bez innego ruchu, jak poruszenia szczęk, klnących bezbożnemi, a zupełnie bezowocnemi słowy.

— Psiakr...—

A w tem gałąź, oberwana przez wichur, lecąc, przejechała mu kąpiącemi liśćmi po twarzy. A widzisz, zamknij buzię!

Ach, te jazdy na wsi! Nie ma to, jak w mieście. Na ładne niewygody i utrapienia naraziłby się, osiadając tu gdziekolwiek z Helą „na roli ojców.“ Nie, nie,—nie ma to, jak—czasem—w Aleje, na gumach, z Stasiuleńką przy boku.

Herbata na stacji, mająca go przynajmniej, nie osuszyć, ale rozgrzać, złociła mu się w wyobraźni, niby chińska ambrozja. Ale ponad tą myślą, jedynym promieniem nadziei w beznadziejnem położeniu, górowała obawa, potęgująca się z każdą chwilą musowo wolnej jazdy, — żeby się aby nie spóźnić na pociąg. Następny odchodził dopiero za godzin kilka. Siedzieć, czekając, na stacyjce,—miłe! Tymczasem zdawało się nie sposób, sięgnąć po zegarek poprzez kilkakrotny pokład odzieży, burkę, palto, marynarkę, do lewej kieszonki od ka-

mizelki, gdzie towarzysz i czasomierz życia ma miejsce sobie przez zwyczaj i krawców wskazane. Szczelnie pozapinane opony rozewrzeć, dając się na pastwę wichurze i deszczowi... Jednakże obawa o najbliższą przyszłość przemogła nad lękiem obecnej chwili. Zgrabiałemi palcami w przemoczonych rękawiczkach rozpinał się. A wiatr, jakby tylko czekał na to, wciskał się w te pędy, gdzie się tylko utworzyła szczelina, coraz bliżej i bezpośrednio sięgając cielesnej powłoki męczennika. Ale trzymał już, zahaczający się jeszcze w drodze łańcuszkiem o różne guziki, zegarek w ręku i spojrzął nań. Herb Poraj-róża. Chronometr przekreślił się po drodze i prezentował właścicielowi stronę ozdobną, ale nie pożyteczną. Odwrócił go gniewnie, tracąc znów parę sekund, ku ucieście wichru, i stwierdził, że czas, który wydawał mu się w jego utrapieniu tak długim, leciał przecież niepomieranie szybciej od powozu. Czwórka z początku, wydostawszy się na szosę, poszła raźnie, jakby mając dosyć człapania w kałużach bocznej drogi, i wiorstę za wiorstą, trzymając się równo, szła dobrym, regularnym kłusem odpowiednio wyjeżdżonych koni. Czasem tylko baczny stangret dawał im parę minut wypoczynku w stępie. Deszczyk nie wpłynął tak dalece ujemnie na lotność biegunów. Lecz, gdy wiatr się zerwał, położenie pogorszyło się. Nie zdradzały same z siebie wielkiej ochoty, by pruć wichry piersią. Przewrotny Michał ich też nie zmuszał. Metoda owa dobrą jest w poe-

zjach, ale w prozie życia naraża organy oddechowe rumaków na kataklizmy w rodzaju zapalenia. Korzystano więc tylko usilniej z przerw w wichurze, zadowalając się podczas jej wybuchów mniej ostrym truchcikiem. Ale jeszcze w pół drogi, które wypadło „akurat“ przed karczmą na rozstajnych drogach, podczas półgodzinnego popasu podróżujący ustalił, że, jakkolwiek „prawie,“ ale zdążą. Nie liczył się z tem, że sama natura uweźmie się złośliwie na nich, stawiając im w drogę, im bliżej celu, tem więcej pagórków, malowniczo zdobiących brzegi Narwi, ale niepożądanych ze względu na wysiłki, które robiła szosa, czołgając się po nich. I konie z nią.

— Poganiaj, Michał! — upomniał Skalski tonem dziedzica, jeszcze zawsze, i niecierpliwącego się podróżnika.

Wiatr, wiejący w oczy, zabrał upomnienie i uniósł je w kierunku, gdzie Michała nie było.

Trzeba było powtórzyć, z zdwojonym wysiłkiem płuc. Chłop obrócił twarz, pocziwie strokaną. Snać rozgrywała się w jego piersi walka pomiędzy furmańską ambicją, niepozwalającą na spóźnienie się, a, również do jego obowiązków przywiązaną, pieczę o konie.

— Proszę jaśnie pana, — kunie zmęczone. —

Nie było rady. Trudno szkodować siostrę o paręset rubli. Jako też już ogier, najcięższy z czwórki, który w początku drogi z fantazją i z nadmiaru ognia sięgał zębami po kark sąsiadki, — potknął

się. Nieszkodliwie. Ale zawsze to był znak zmęczenia. Michał podciął go batem,—z zasady, niech uważa. Po chwili jednak sam wstrzymał kasztany do stępa. A tu czas szedł galopa. Ruszyłać znowu czwórka kłusa, ale wtem nadeszły te nieszczęsne pagórki. Znowu wolno. Stanęli.

— Co tam?—

— Łogier.—

Michał wskazał biczyskiem. Sprawca postoju stał, szeroko rozparty na nogach. Klaczki, wiernie podlegając jego przewadze, przystanęły także. Władziowi mignęła straszna myśl, że tam może pięćset rubli, nie srebrem, ale w koniu, namyśla się właśnie, czy nie zamienić się do bezwartości końskiego ogona.

— Żle?—

— Nje,—ino se musi wypocąć.—

Za to z nim, Władziem, miało być rzeczywiście źle. Przejechali most i nie zawalił się. Deszcz nawet nieco ustawał. Wiatr uspakajał się. Zato—nie dojechali. O wiorstę już widać było pociąg,—jego pociąg!—stojący na szynach, pod parą, gotów do odjazdu. Stangret, z heroizmem, aż podnosząc się na koźle, okrutnie trzaskliwem zawinięciem czterokonnego bata, przynaglił szkapy do ostatniego wysiłku. Zajeżdżając przed budynek stacyjny, mieli jeszcze przyjemność oglądać wagony, ale już w pełnym ruchu. Może można było w karkołomnym skoku dopaść, rezykując życie, pozostawiając walizę. Może... Bo Skalski, prze-

sądziwszy taki wysiłek jako bezskuteczny i bezsensowny, nie próbował.

Zaniechanie uprawniło w każdym razie krytyka do opinji, ratującej własną cześć:

— Zeby jaśnie pon był skocyl, — pan Błuński to zawsze tak...

Jeszcze i to przypomnienie i porównanie! Prawdomównemu został wręczony rubel bardzo zimno.

Przyszło na stacyjce czekać do wieczornego pociągu. Odzież, przemokła, lgnęła wilgotnym, nahalnym okładem do ciała. Szczęściem napój chiński nie zawiódł. Najdelikatniejsze listki krzewu herbacianego służą pono rodzinie cesarskiej, — dzisiaj zapewne prezydentowi rzeczypospolitej, — następne gatunki mandarynom, o ile ich nie odbiorą im bokserzy, — najgorsze na wywóz dla „białych djabłów.“ A że ci, w porównaniu do synów krainy tysiącoletnich pagód, mało posunięci są w kulturze, więc rozkoszują się rzucanemi im, jak psom, odpadkami. Ztąd herbata bywa w pogranicznych państwu niebieskiemu strefach ogólnie dobra. Złośliwi twierdzą, że to tu nawet jedyna rzecz, rzeczywiście dobra.

Skalski zachwycał się drugą już szklanką, którą mu panienska przy bufecie z miłym uśmiechem naląła z błyszczącego dumnie i brzuszek w poczuciu własnej godności wypinającego samowara. Miłą była — panienska z za bufetu. Wcale nie taka skwaszona, jak kisnące w szklanych słojach na blacie ogórki, korniszony i ryby, potwornie poza-

wijane w węzowych opłotach. Przeciwnie, apetyczna, jak bułeczki z masłem,—na talerzu, więc przypuszczalnie świeżo przygotowane, gdy pod szklanym kloszem spoczywały tafelki czekolady i pudełka z cukierkami, których daty urodzenia lepiej nie dociekać. Podróżny sięgnął po bułkę. Podsunęto mu ją z miłym uśmiechem, przy którym w okrągłej buzi sprzedawczynie zarysowały się miłuchno dołeczki figlarne. Gniazdka pocałunków. Dziewczyna była młodziutka. Buzia różowa. Musiała być smaczna, jak bułeczka, chrupiąca jędrnie pod zębami a smakowita. Szyńka, dodająca mącznemu pokarmowi mięsnej podstawowości,—różowa jak panienka,—z słoninką, delikatną, jak ona,—takżo smakowała Władziowi. Może były w niej trychiny. Ale to się okazuje dopiero później. W każdym razie dobrze jest popić kieliszkiem wódki. Zabija szkodliwe mikroby. I znieczula zarodki niezadowolenia i utrapienia w człowieku. A rozjaśnia mu odrazu widnokrag życiowy. Dodaje wogóle ochoty,—choćby do rozmowy.

— Pani z Nasielska?—

— Nie. Z Jabłonny.—

— To tam takie jabłuszka rosna?—

Jabłuszko aż zarumieniło się z zadowolenia po korzenie włosów, barwy lnu. W chabrowych oczętach zamigotały iskierki, niby maleńkie gwiazdki srebrne, błyszczące.

— Czy pan wszystkim kobietom takie pochlebstwa mówi?—

Oho, odcinała się.

Podobna była troszkę do Stasi, tylko niższa, a krągłjsza, o mniej delikatnych rysach. Niby młodsza siostra, wydanie porównywalnie białe i różowe, jeno mniej poprawne, ale — świeższe. I nawet w sposobie przekomarzania się miała coś, przypominającego tamtą. Przeprowadziła mu na myśl teorię jednego z znajomych, wielkiego kobieciarza, który utrzymywał, że typów kobiecych jest tylko kilka na świecie; reszta — warjanty. Odnosił to nawet do charakterów. Władysław nie należał do tych, którzy w pogoni za spódniczką pędzą przez życie. Są tacy. A wszelkie inne zajęcia są dla nich tylko pobocznymi. Nie był zaś także mizogynem. Trzymać się starał i na tem polu, jak we wszystkim, drogi złotej, pośredniej, jedynie godnej dojrzałego męża. A więc kobieta jest życia ozdobą, natury kwiatem, istnienia — dodatkiem, ale niezbędnym. Tak rozumował. Czyny życia nie zawsze zgadzają się z zasadami.

— Nie mówię pochlebstw, tylko prawdę — objaśnił.

Dziewczyna, w ruchu nie wykwiwnym, ale niepozbawionym ponęty, oparła podbródek na rękę, przyczem okazało się, że toczony ramię znakomicie wypełnia rękaw skromnego, ciemnego stanika.

— To każdy z panów tak się tłumaczy. —

Śmiała się dołeczkami. Dalipan — do pocałowania. Zgromił się sam w duchu. Toż — sprzeniewierzał się ukochanej narzeczonej. I chyba starzał się,

żeby gustować w takiej młodziutkiej. Ale, że koń ma cztery nogi i potknie się, a Władzio tylko dwie...

Wdał się więc w dalszą rozmóweczkę, żywo podtrzymywaną przez dziewczynę.

W miłym dyskursie szybko płyną chwile. Czasem przeszkadzał rozmawiającym jaki kolejarz, wstępujący do bufetu w celach alkoholycznych; dalej, na pociąg z Warszawy, nadeszło z miasta kilkoro spacerowiczów obojej płci, nieodstraszonych fatalną pogodą od przechadzki, stanowiącej tu pono największą z rozkoszy małomiasteczkowej egzystencji. Spowodowane takimi wtargnięciami przerwy w rozmowie mogły być niepożądane; z drugiej strony pozwalały zaczerpnąć oddechu, nie tylko fizycznie, ale i umysłowo, stronom, uprawiającym konwersację, która tem potoczniej szła w następstwie.

Dowiedział się więc Władzio bardzo wiele ciekawych rzeczy z życia stron owych, ale i także, że ma ładne wąsy. Wyraźnie mu to powiedziano. Właśnie, zadowolony z pochlebnego uznania, dał im tryumfalny prztyk w górę, z zabójczą miłą, jaką, niestety, przywykli przybierać w takich chwilach najskromniejsi mężczyźni, gdy ukazały się w poczekalni panna Hela z babką. Ostrożniejszego byłby turkot kół powozu na bruku przed stacją uprzedził o możliwej niespodziance. Ale namiętność zaślepia. I ogłusza. Bo, jako on głuszec, który nie słyszy nadejścia myśliwca, Władzio to-

kował tak, że wrażenia słuchowe, dochodzące z dalszej odległości, padły w znieczulone ucho.

Hela spojrzała się z zdziwieniem. Panienska z za bufetu właśnie była znów przegięta na łokciu i końce wąsów Skalskiego, aczkolwiek nie tknęły jabłuszkowego policzka, znajdowały się w każdym razie, podług pojęć towarzyskich, za blisko niego. No,—Hela, to jeszcze nie była Stasia. Wcale nie. Zresztą nic zdrożnego nie popełnił. Nawet nie zamierzał. No,—nie zamierzał? Tak z ręką na sercu, *occurrenste occasione*, czyli, gdy sposobność się nastrecza...

Czuł się przyłapanym na „chodzeniu po za szkołę“, niby żak. Trochę zły był na czarną pannę, zjawiającą się w mimowolnej roli kontrolera. Potrzebnie też jechała do Warszawy? Wiejskie panny od tego są, żeby siedzieć na wsi, pilnować drobiu i chrząkającej trzódki, jako tradycyjnie kobiecego gospodarstwa. A nie szwendać się po bruku.

O celu podróży pań objaśniła go pani Majewska, gdy, urwawszy krótko i niewdzięcznie—z bufetem, podszedł się przywitać.

— Jedziemy na zebranie ziemianek.—

— A — a — podjął domyślnie — nowa krucjata przeciwko nam, mężczyznom? — Czemże zasłużyliśmy...?—

— Niczem—wyręczyła babkę młoda, zerknąwszy trochę złośliwie ku — bufetowi. — Zakładamy szkołę dla gospodyń wiejskich, i w naszych stro-

nach. Narada ma na celu ustalenie jednolitego typu tych szkół, jaknajpraktyczniejszego. Rzecz okazała się pilną. Ztąd to niezwykle zgromadzenie naszych zastępów bojowych.—

Tłómaczyła się zwięźle i jasno, doceniając rzecz, a nie przeceniając jej.

Tak,—to była dzielna panna.

Pomagał im rozlokować się w przedziale, umieszczając różne torebki podręczne i pudełka na siatce.

— Zwykle zabieramy jedną walizkę i—na bagaż,—śmiała się Hela,—trzeba nieszczęścia, że dziś urządziłam się tak niemądrze. Bo jedziemy tylko na jeden dzień i nie warto było wozić z sobą więcej.—

Dbała snać o to, co sobie o niej pomyśli.

Gdy siadał obok niej, prawem skojarzenia wyobrażeń, nasunął mu się obraz podróży poślubnej. Ale,—prawda,—trzeba było uprzedzić.

— Widzą mnie panie w nowej godności,—rozpoczął żartobliwie,—jestem od wczoraj po słowie z panną Stanisławą Józefowicz. Proszę mi życzyć szczęścia.—

Zwracał się do pani Majewskiej, unikając wzrokiem wnuczki.

— Życzę panu z całego serca szczęścia — rzekła babcia z godnością. Pochylił się jej do ręki. Podnosząc głowę, spojrział ukradkiem na Helę. Zdawało mu się, że przybladła. Powiedziała jednak, wyciągając rękę do niego:

— I ja panu życzę...

Zrobiło się na chwilę cicho.

I najwyższy czas był, żeby pociąg ruszył.

Ale nie ruszał. Po jego cielsku, węgorza, posiekanego w zszczerzone znów kawały, przebiegało drżenie, łeb-parowóz syczał, uprzedzając o rzucie naprzód, na peronie cała załoga stacji, z panem zawiadowcą na czele, a w otoczeniu przedstawicieli miasta, uświęcała ważność chwili, funkcjonariusz u dzwonka, z ręką na taśmie, miał właśnie szarpnąć za nią, by dać „trzeci,” ostateczny sygnał odjazdu... Oczy w przedziale skierowały się ku oknu.....

Gdy, widny zdaleka, jakby wichru poświstem niesiony, w rozbryzgach wody i błota, tryskających ponad wysokie koła, wpadł przed stacyjkę tarantas, wyskoczyła z niego niewielka postać w brązowym, gumowym płaszczu, w dwie sekundy była już u wylotu budynku po tej stronie. Dzwon zajęczał, pociąg ruszał,—ruszał na prawdę z miejsca ostro, jakby chcąc sobie niecierpliwie wynagrodzić nudę postoju,—spóźniony podróżny był zmuszony biedz koło wagonu, zanim wciągnął się, z kocią zręcznością, na stopień.

Za chwilę mignęła w otwartych drzwiach przedziału twarz szukającego miejsca, Kazika Błońskiego. Twarz ledwo do poznania, bo z plastrem na czole i połową oblicza przewiazaną bandażem. Pamiętki wypadku w Próchnówku. Ale, po za tem,

widocznie cały i znów tak rzeźki, że zarezykował nowy. Głupiec lekkomyślny!

Takie było zdanie Władysława. Ale innego była jego sąsiadka.

— Jak pan mógł się tak znowu narażać! — zgromiła wprawdzie przybyłego, ale ton nie był nieprzyjazny. Przeciwnie brzmiała w nim nuta podziwu, czy przynajmniej uznania. Ha, kobiety cenią bohaterów. Najwięcej u niewiast popłaca junactwo. Oto — mężczyzna, który męskością swą bierze mnie, kobietę.

— Ano, co komu pisane, to i tak go nie minie! — odparł młody z brawurą, z którą mu było niezaprzeczenie do twarzy. — Zresztą, wielka sztuka, — przecenił rzeczoznawczo, bez pozy, — nasz „ekspres“ się jeszcze nie rozpędził. Gorzej się spałem w Próchnówku, — przyznawał się szczerze, — ale bo... zdaje mi się, że wypilem parę kieliszków za wiele — za zdrowie pani! —

— Za moje? — śmiała się. Ale nawet przyznanie się do pijaństwa zostało najwidoczniej przyjętem bez odrazy. — O, niech pan sobie poprawi bandaż, — zsuwa się. — Byłóż-to tylko miłosierdzie, czy zainteresowanie się?

A chłopak szedł śmiało do szturmu. — *Merci, mademoiselle*, — ale to rola kobiety, opatrywać rannych. — I nadstawiał szpetną, mazurską gębę, na którą piękna dziewczyna patrzyła się bez obrzydzenia i zręcznymi palcami delikatnie przyciągała odstające płótno. A szelma chłopak zaglądał jej,

łeb przegiąwszy pieśczośliwie, śmiało w oczy, nie odwracające się, i okazywał, że mu jest pod łaskotką palcy dobrze, jak kotu, gdy go głaskać po nadstawionym grzbiecie.

— O,—ślicznie pani sobie umie z mężczyznami postępować—dziękował, goniąc za ręką, która już odsunęła się, oczyma, jakby ją chciał wdzięcznie ucałować.

— Z panem—to byłoby trudno!—

— Taki urwis jestem?—Jeżeli kto, to pani dałaby sobie ze mną radę, bo—byłbym chętnie zawsze posłuszny...

Zakrawało to prawie na oświadczyzny, bo pan Kazimierz mówił żartobliwie, ale stanowczo. Pani Majewska położyła, rozsądnie, koniec przedwczesnemu może zawiązywaniu węzła.

— Póki pan jeszcze trochę chory, panie Kaziu, to pan taki pokorny. Oczekajmy trochę.— Mówiła życzliwie, po macierzyńsku.

— Tak,—póki pacjent jest w malignie...—dokuczała Hela.

— Bredzę,—podług pani,—dokończył.— Nic to,—pani się do mnie przekona, panno Helu. A szanowną panią—zwrócił się do babki—proszę, na miłość boską, niechże zawsze — tymczasem — pozostanę tym „Kaziem“, którym byłem w Darzynie zawsze, a nie jakimś „panem Kaziem.“—

Przymiłał się—wstrętnie.

Zaś baba rozważała zapewne tylko w myśli liczbę jego włók i tysięcy posagowych wnusi,

które wcale „odpowiednio“ się składały, i błogosławiła już w duchu „młodej i dobranej parze.“ A dziewucha—droczyła się jeno. Ale takiej, byle pokazać czepeczek, to hop! po niego.

...Będzie ślub w parafji...

Władzio urażony był, zrażony i obrażony.

A tamci wcale nie zważali na jego dąsy duchowe.

— Nie mógł pan dłużej wytrzymać bez Warszawki!—karciała panna swego wielbiciela, występując już jakby narzeczona, która ma prawo korzystać z przywileju dręczenia przyszłego dręczonego.

— Wcale nie,—bronił się żywo,—mam interes w Centralnem Towarzystwie Rolniczem.—

Łgał,—Skalski przysiągłby. A koronę wszystkiego stanowiło zaręczenie:

— Gdy pani każe, zagrzebię się, słowo daję, w domu, jak pies w budzie.—

Pies jest symbolem wierności.

A gryzie—możliwego rywala.

— Ale, — zapomniałem, przepraszam, — winszuję panu!—wyciągał łapę, to jest rękę, do Skalskiego. Wiedział już o jego zaręczynach. Zkąd? Plotki wiejskie szybkością przelotu zawstydzają druty telegraficzne.

Jednem słowem, Skalski nie miał tu co robić.

Siedział cicho, cofnąwszy się w kąt. Babcia drzemała. Młodzi szeptali.

Noc nadchodziła.

Wagon był skąpo oświetlony. Niewyraźnie majaczyły zarysy osób i przedmiotów. Pociąg puł ciemnię. O okna klapał deszcz. Stacje, rozświetlone lichy kilku latarniami, mijały szybko. Gdzieś niezauważona pozostała rezydencja księcia Józefa. Już Praga,—most,—rzędy światełek po obu stronach,—dalej, całe ich gniazda,—jeden ogromny obóz, Warszawa.

Władysław ocknął się z marzeń, gdy wjeżdżali na most. Marzenia były ładne. Gdy minął pierwszy nastrój niechęci do towarzyszków podróży, może właśnie przykład gruchającej parki zawrócił myśli jego na właściwy teren, który parę razy tego dnia, pod wpływem wypadków, opuszczały. Do własnego narzeczeństwa, mającego się niebawem zmienić w małżeństwo, do tej ukochanej, jedynej, która miała mu dać szczęście zupełne i on jej. Nie miał zaiste czego zazdrościć tamtym.

Czyż nie stokroć miłsza, cudniejsza, kochańsza, tysiąc razy więcej warta kochania była jego słodka Stasia od tej przeciętnie szablonowej wiejskiej panny? Urocza i cudna. Wiele piękniejsza w swej rzeźbionej misterności od tej—dziewy. Dobra i rozumna. Kochająca go...

Nie,—nawet myślą ci się nigdy nie sprzeniewierzę, dzidzi kochane! Moje ty,—moje... na zawsze. Kochać cię będę i pieścić cię i na rękach nosić. Światy ci pod stopy podścielę. Aniele—stróżu mój! Kwiecie mój czarowny, któryś dla mnie zakwitł...

Życie nam będzie drogą tęczą, baśnią zaklętą, czarów krainą, ogrodem szczęścia,—a jeśli cierń jaki nam drogę zagrodzi, miłości naszej oplotą go róże...

W mych ramionach poniosę cię przez bezdroża życiowe, ponad skały i przepaście, by nóżki twej nie uraziły, kochana, by sukienki twej nie sięgnęły szargające zarośla.

— Most. Przebudziło go może uczucie pewnego lęku, które miewał zawsze, ilekroć czuł, chociaż niby bezpiecznie oddzielony, pod sobą wodę. Nie lubił nawet wsiadać do łódki. Nie umiał pływać. Jakoś zawsze dufniejszym się jest, mając stały ład pod stopą. Już imć pan Pasek, człek rycerski, polecał się Bogu, gdy mu w Daniey przyszło nawigować.

Rozstanie z towarzyszami podróży było uprzejme, lecz obojętne, jakby nie miano sobie więcej nic do powiedzenia.

W mieszkaniu swem zastał chłód i kurz. Usługująca stróżka nie uważała, w nieobecności lokatora, za potrzebne ścierać pyłów; i tak się znowu nagromadzą.

Nędza kawalerska.

Ha,—niedługo to będzie inaczej, gdy na nowem mieszkaniu, w nowem życiu mieszkańca, rządzić będzie rączka biała, miluchna.

VII.

Spał niespokojnie. Budził się kilka razy, z lękiem. Miał wstać o wpół do ósmej. Miał — musiał. Do fabryki, w której pracował, była godzina drogi. Strach, żeby czasem nie zasnąć, i podrażnienie, że skończyły się na długie, długie miesiące, nieodwołalnie, piękne dni wakacyjne z wylegiwaniem się „na łożu boleści“ dowolnem, — gnębiły go, niby dwie zmory, siedzące w dwóch rogach łóżka. Wytrzeszczały na niego ślepie szydercze, ironiczne, groźne.

— Musisz wstać niewolniku, — musisz tam być na minutę, robociarzu, spełniaczu tępej, męczącej ciało i pognębiającej ducha pracy! Ino się poważnie przyjąć! Won, na bruk, w nędzę! A plon twej pracy zagarnia inny, rzucając ci ochłapy, byś żyć, nie, byś pracować mógł dla niego, na niego. Tak, głupcze, który bez majątku poważyles się przyjść na świat. Niedołęgo, który nie umiales się dorobić. Przecież bywają tacy, — szczęśliwcy. Mniejsza o to, jak. Bylesz miał. I to już zawsze tak będzie. Całe życie twoje takie. Do skonu!... Ach, durniu, durniu!...

I zmory jadowite, niezmordowane w słów truciźnie, jeno w przerwach między zdaniem wywalając czerwone ozory, kłuły go wciąż, budząc.

W Próchnówku wylegiwał się do południa, a w każdym razie do w zaraniu późno posuniętych godzin; potem — czekała nań Stasia, w miłym otoczeniu.

Tu czeka kantor i Wolski.

Aby tylko nie zasnąć!

Miał nastawioną, ku przebudzeniu, stróżkę i budzik. Obie podpory chyba nie zawiodą. Lecz — stróżka, to, — tak sobie, — czasem przychodziła w porę, czasem nie. Budzik, mechanicznie doskonały wytwór ludzkiej pracy i ludzkiego umu, powinien zastąpić wytwórcę w zadaniu, ku któremu został zbudowanym. Ale nuż się co zepsuje w sprężynowym łonie. Posiadacz zerwał się w nocy, strachem gnany, by sprawdzić, czy wskazówki są należycie nastawione. Obszedł się przytem z wiernym czatownikiem nieostroźnie czy brutalnie i ten, skarżąc się, wydzwonił zaraz, przedwcześnie, litanie godzin, które dopiero nadejść miały.

Z tem wszystkim o ósmej Skalski wsiadł do tramwaju, z nieskazitelnie sterczącymi wąsami. Fabryka była za miastem, za dworcem terespolskim, w stronach, które z dawnych lat opromienione są blaskiem bitewnym Wawra i Grochowa. Dzisiaj pozyskały sobie smutniejszą sławę. Tam gnieżdżą się dynastje bandyckie, władające bezkarnie okolicą. Po za tem kilka fabryk. Tereny tu

tańsze. Stosunek między basztami a rycerzami przemysłu jest ten, że ostatni darzą pierwsze sympatją, nieodwzajemnianą. W kantorach bywają kasy.

Jednym tramwajem tam nie dojedzie; trzeba „na przesiadkę“ dwoma. Na koszty podróży płacił zarząd, hojnie. Ale nie znosił opóźnień w ruchu pasażerskim.

A tu, jak na złość, najpierw, nim zazieleniał ogród Saski, przed rogiem Królewskiej, zastrejkowała elektryczność, koń tramwajowy. Nic dziwnego, — w dobie ciągłych strejków... I zanim upłynęło kilkadziesiąt sekund, stał sznur wagonów, cały pociąg, nieruchomo. A wskazówki zegarów posuwają się, obojętne na tą beczynność.

— Czy niedługo ruszymy?

A zkad to konduktor może wiedzieć. Jak elektrykę puszcza, to i ruszy...

Zapytania, skargi, klątwy. Kto ma bliżej do celu podróży, decyduje się zleźć z platformy i piechotą. Ale kto dotrzeć musi aż na drugi koniec miasta...

Na Pradze, zkadby miał oczywiście bliżej, niechciał Skalski zamieszkać. Wrodzone poczucie wykwintu, ochędóstwa, odstręczało go od ubogiej, brudnej dzielnicy. Zresztą, ztamtąd na odwrót, — cała podróż do miasta, do znajomych, teatrów i lepszych sklepów.

Iskra elektryczna wzmogła się w siłę i rząd wagonów, powoli, ruszył. Jeszcze obawa, czy nie

utknie znowu. Ale nie, coraz ostrzej, coraz gładziej. W pędzie kilką świegocących wróbelków wskakuje na stopnie.

... Warsiawski Kur-je-rek...

... Po-ra-nni...

... Za dwa-gro-sze...

Skalskiego serdeczne współczucie zdjęło na widok jednego z malców, dzieci ulicy, który o jednej nodze, posługując się drugą sztuczną, drewnianą, w przerażających śmiałością usiłowaniach, lubo z zręcznością linoskoczka, bił konkurencję.

... Dziękuję panu hrabiemu...

Przed Mickiewiczem trzeba się było przesiąść. Zsuwał nogę ostrożnie na oślizgły bruk. Dzień był znowu chmurny. Zawiewało.

Kiedyż nadejdzie ta „trzynastka“ fatalna, mająca podwieźć go do celu. Chodzi co ośm minut. Gdy się ma—szczęście, można czekać prawie całe ośm. Tobie nic, — Mickiewicz, boś kamienny i masz pelerynę!

Było jednakże jeszcze dwadzieścia minut do dziewiątej, gdy wysiadał przed dworcem. Ztąd najwyżej dziesięć, na przelaj, przez szyny, polem, ścieżką. Błoto napewne straszne. Nie wziął kałoszy. Jakoś z okna ulica wydawała mu się podeschła. Teraz żałował. Możliwość iść nasypem kolejowym, po żwirze, nadkładając drogi. Ale strach przed opóźnieniem wziął górę. Wkroczył mężnie w rozstępującą się, chłoniącą stopy, ziemię. Z przemoczonymi nogami potem siedzieć...

Ale był pierwszym w kantorze.

Stróż, imiennik, oddzwierze otwierający, powitał go z winną radością. Może zresztą szczerą. Skalski był dobry dla ludzi, więc i dla druha podrzędnej rangi.

— Cóż nowego, Władysławie? —

— Ha,—co tam ma być nowego, proszę pana? Wszystko po staremu. Podkradali się zawczoraj pod parkan,—tom ich akurat spłoszył.—

Sąsiedzkie wizyty były najulubieńszym tematem rozmów jego i w kantorze. Były też zawsze aktualne.

— Głupi są! — oburzył się szczerze imiennik wyższej rangi, litując się równocześnie nad głupotą ludzką. — Co u nas mogą znaleźć? Większe sumy leżą w banku; w naszej kasie tylko, co potrzeba na podręczne wydatki.—

— Hołota, proszę pana, — przywtórzył stróż, uchylając z uszanowaniem czapki, bo przestępowali już święty próg kantoru, z czem równocześnie sam też zmieniał się z stróża na szwajcara, — co takim gadać? — jakby zastanawiał się nad możliwością popularnego, pouczającego wykładu dla onych interesów. Zakończył wcale trafnie:—Zawsze parę rubli to jest, — a dla takich, byle miał co przepić! —

Kantor świecił pustką i czernił pulpitemi, ustawionymi w poprzek do okien, jeden za drugim. Było ich pół tuzina. Władysława najbliższy drzwi

do gabinetu szefów, zamkniętego hermetycznie. Korespondent zwrócił ku nim pytający wzrok.

— Ni, — starego jeszcze nima, — potwierdził szwajcar.

— Zresztą nic nowego się nie stało? — upewniał się tamten raz jeszcze.

Kasjerka się znów pokłóciła z buchalterem. Krzyk był taki w kantorze, że dyrektor wpadł ich uciszać. To się zdarzało perjodycznie. Stara panna, zawiędła w cnocie, i stary kawaler, używający w—niecnocie, już stąd wzajemnie sobie antypatyczni a zmuszeni służbą do ciągłego styku, wybuchali czasem przycinkowatemi czy urągliwemi słowy, do głośnej, ordynarnej kłótni. Lecz tym razem musiało być grubo, bo rozstrzygnięcie miało się oprzeć aż o „papę“ Tretera, królującego w nimbie niewidzialności zdala od fabryki. Tutaj rządził młodszy, Wolski, zwany jednakże, podług tradycji wszelkich kantorów, „starym.“ Skalskiemu nigdy określnik, familijnie samo-upadlający dla dzieci kantoru, nie chciał przejść przez usta.

Swoją drogą byłby chętnie zaczerpnął wiadomości o humorze—Wolskiego.

Ale już współpracownicy zaczynali się schodzić, śpiesznie.

Więc najpierw, cip, cip, drobnemi kroczkami, niby kurka, po ziarno, wiecznie o swą posadę wyłękła, lubo czasem ni stąd ni z owąd buńczuczająca się, jak indyczka, panna kasjerka, w wytartej, czarnej mantylce, z parasolką bawełnianą. Chuda pan-

na o żółtawej cerze, trochę z miejskiego powietrza i z biedy, trochę z wiecznego podrażnienia.

— A, wrócił pan nareszcie! — powitała korespondenta, — dzisiaj dopiero! —

Wyrzut był nieuzasadniony i zgoła bezsensowny. Wczoraj dopiero upłynął urlop. Zamilkł. Litował się nad nieszczęśnicą zawsze, ale...

— Stary tu już wydziwiał, że pan nie wraca. —

— Jakto? — spytał chłodno. — Czyżby się szefowi żal zrobiło „łaski.“

— No, — zamówień pełno, a maszyny się psują. —

Maszyny, sprawy techniczne, to nie był jego dział.

— To rzecz obermilera, — my pracujemy w biurze, nie w młynie. —

— Nic pan nie wie? — szydziła, — Jungo przepędzili, — jest nowy obermiler, — Junge, zdaj się, przez zemstę, wychodząc popsuł, gdzie co mógł. —

Nie wydawało mu się to prawdopodobnem. Junge był Niemiec rodem, ale porządny człowiek, starszy, pracował tu od lat kilkunastu.

— Za co go oddalili? — spytał jeszcze. —

— Nie mógł nadażyć z robotą. —

Eh, to pewnie maszyny, stare, nie mogły nadażyć! — miał na ustach, lecz powstrzymał się od uwagi, jeszcze w porę. Tu donosy do wysokiej „władzy“ były zasadą, o wszystkim, co kto z personelu, nie w myśl zarządu, powiedział.

Panna Józefa Stasiak była lizus. Józefa Stasiak! Odwróciwszy nazwisko, miał prawie inną przed sobą. Brr, co za porównanie! Choć w owalu twarzy, przychudłym, kantami podziurawionym, było rzeczywiście jakby coś, co przypominało mu bezwiednie tamtą, Ją. Manja upatrywania podobieństw. Toż w chłopsko filuternej gębie stróża-szwajcara zdawało mu się przed chwilą, że widzi, w grubszem ociosaniu, podobiznę familijną Błońskiego.

Tymczasem panna Józefa, zawiesiwszy mantylkę, pokazała się w przeraźliwej chudości swego dziewiczego, nawleczonego trykotowym stanikiem, biustu. Stół, nad którym wiecznie była przegięta, zmiażdżył, wepchnął piersi pomiędzy zebra. Wogóle nic nie nęciło w tej dziewczynie kobiecego. A nawet nie była jeszcze taka stara. Ale uciążliwa praca biurowa zniweczyła bezlitośnie krasę kobiecości.

Języczek pozostał tylko po niewieściemu ruchliwy, a może nawet weń przelały się, ujemnie, wszelkie dodatnie cechy płci. Rozpuściła go teraz. W dwie minuty bez kilku sekund dała mu ogólny i szczegółowy obraz wydarzeń, tak wyczerpujący, iż na legendowej wołowej skórze nie spisałby go, nawet dopożyczwszy z kilku jeszcze pocziwych bydłatek. Więc „papa“ Treter był bardzo chory, zresztą oddawna, coraz ciężej,—następował jaskrawy opis cierpień,—serce, wątroba, jednym słowem wszystkie organy szwankowały, jak to zwykle

u starego człowieka. Powód: niby to starość i pracowanie, ale kto go tam wie, jaki był za młodu,—po synu przynajmniej sądząc, który „bawił się“ w biurze, a jeszcze więcej poza biurem, oh, wiadomo. A jaki syn, taki ojciec. Panna Józia nie oszczędzała szefów; Skalski był dyskretnym,—nie poniżał się do donosów. Używała więc sobie, gotowa potem w danej chwili przysięgać, że to on to wszystko powiedział. Usiłował więc jej przerwać i zwrócić uwagę na towarzyszków niedoli. To było mniej niebezpieczne. Ale dostało się jeszcze Wolskiemu, który jest „ordynarny i brutal“, w czem zresztą trochę było słuszności. Przejechała wreszcie na głównego swego wroga, pierwszego buchaltera i jeździła po nim z lubością, niczem krytyk wartościowem dziele. To był „cham,“—streszczenie wszelkiej niskości i podłości w ustach córy miasta. Nie dosyć, że się spóźnia regularnie do biura, przychodzi ziewając, śpi na krześle, dręczy ją i prześladowuje, już swoją nieuwagą, zapominając zaciągać do książki najważniejszych pozycji, jeszcze się obraża, gdy ona mu łagodnie wskaże omyłkę, i częstuje ją wyrazami, używanemi zapewne w gabinetach, ale nie w porządnym kantorze... A „władza“ to znosi.

Ach, ten kantor! Skalski już, na samym wstępie, miał go dosyć, z jego atmosferą plot, kłótni, głupich, brutalnych, zjadliwych, upodlenia, poniżeń wzajemnych i własnych, na wyścigi, wobec „władzy.“

Szczeńciem nadszedł, najmłodszy w hierarchji, praktykant, popychadło do wszystkiego, szesna-stoletni, ale już zupełnie fizycznie i duchowo wy-rosty, a nawet przerosły dryblas, którego Skalski podejrywał mocno, że kradnie na markach, tej funkcji przydzielonych.

Pan Marjan Czosnowski uniżenie powitał w Skalskim przełożonego, oczekując, aż ów mu rękę poda.

— Panie Czosnowski, a marki są?—upomina-ła gorliwie kasjerka.

— To nie pani „djeto“! — odparł jej hardo,— czy to pani objęła korespondencję?—

— Ale ja wydaję z kasy na nie pieniądze!— a pan jak się jeszcze raz w ten sposób do mnie wyrazi, pójdę na skargę do starego.—

— A niech pani leci! — Praktykant miał „ple-cy“ buchaltera.

Zanosiło się odrazu na scenę.

— Czosnek, cicho! — wmięszal się, w formie powitania, nadchodzący pomocnik buchaltera, młody człowiek, grający rolę wesołka w kompanji, Groser, przysadkowaty, brzydki, z obliczem, skru-pulatnie piegami posianem. Groser był u buchaltera jeszcze lepiej zapisany, więc uciszył potomka znanej rodziny, za jakiego się Marjanek chętnie podawał; lubo Skalski stwierdził, że raczej pachnie cebulą.

Ukazali się magazynier, obermiler z pomocni-kiem, fakturzysta.

Załoga wielkiego okrętu handlowego skupiała się. Brak tylko jeszcze było pana Wajcenzanga, buchaltera, który przychodził późno, i młodego Tretera, który nie pojawiał się czasem wcale.

Obecni umieszczali się przy swoich pulpitych, na miejscach, do których byli przykuci,—galernicy. Podłużna salka, z przystawionemi w podłuż rzędu okien wysokimi stolikami, przed którymi w pół siedzieli, w pół stali na swych wyśrubowanych w górę taburetach, gdy z drugiej strony, wzdłuż ściany biegł niby wolny kurytarz, przejście dla dozorczy,—potęgowała wrażenie wnętrza galerii. Była niska i pomimo wysokich, ale za to wąskich, okien, dość ciemna, przy pochmurnym dniu.

Władysław (nie „pan“), krzątał się od biurka do biurka, roznosząc herbatę. Gotowała ją żona. To był jego prywatny dochodzik. Roztwierały się z traskiem pulpity. Wyjeżdżały na wierzch księgi i kajety podręczne. Groser w ucieszny sposób wychwalał uczciwość „gości,“ którzy mu już znowu zdołali ściągnąć obsadkę i linijkę.

— Panowie,—Czosnek wypił mi atrament, słowo honoru!—oświadczył.

— Słowo honoru panu daję, nie!—odparł tamten, nie dosłyszawszy o co idzie, a broniąc się przed podejrzeniami, stale ku niemu zwracanemi. Wybuchnął śmiech homeryczny.

Słowem honoru szafowano tu ostro.

Zegar ścienny wydzwonił dziewiątą. Niespokojne spojrzenia zaczęły zwracać się ku drzwiom

gabinetu dyrektorskiego. Czyżby szef, też raz przecież, ku ogólnemu tryumfowi, zasnął?

Ale nie. Bystre uszy złowiły stuk klamki z sieni, potem kroków. Roztworzyły się odzwierze. Przystojny, średnich lat, brunet, zdążywszy już zdjąć kapelusz i palto, w trochę kraciastej lecz eleganckiej marynarce, wszedł szybko. Nie zatrzymując się w pochodzie, Wolski szybko dotykał ręką pokornych dłoni z za pulpity i dążył do kasy.

— Dzień dobry, panno Józefo, — jakżeż tam zdróweczko? — trochę uszczypliwie, ale zdradzał dobry humor.

Kantor podchwycił odrazu nastrój.

— Panna Józefa wybiera się do Marjenbadu, panie dyrektorze! — zaintonował Groser.

Zatrzęsła się chudą figurą.

— Nie ładne są takie żarty, — czy nie, panie dyrektorze? —

— No, no, jest się też co obrażać, — a, panie Groser, bilans jest? — rozsądził po salomońsku.

Bilans się opóźniał, — co prawda, z winy Wajcenzanga, czy Tretera młodszego.

— Proszę pana dyrektora, słowo honoru, będzie. Tylko żeby pan dyrektor był tak łaskaw przypomnieć panu Treterowi...

— Wiem już — przeciął Wolski ostro. Skargi na syna firmy, którym się zastawiali obydwaj buchalterzy, były mu oczywiście niemiłe. Zrobiło się cicho, pióra zaskrzypiały.

Sprawdził szybko kasę. W powrocie, przechodząc koło ostatniego pulpitu, kiwnął:

— Panie Władysławie! —

Był to ustalony porządek. Korespondent podążył do gabinetu za szefem, który, przeglądając nadeszłą korespondencję, udzielał pracownikowi wskazówek co do odpowiedzi.

Skalski złożył metodycznie, otrząsnąwszy ją, stalkę, którą wypróbował, na swem biurku i wszedł do „sanctissimum.“ Niewielki czworobok, otapetowany mapami, kalendarzami i katalogami. Na półkach woreczki z próbkami. Za biurkiem, ministerjalniejszych rozmiarów, stał dyrektor, z rozwartym już pierwszym listem w ręku.

— Od Schnabel i Genz z Wrocławia, — — ah, plejte! — Wykrzyk zgrozy wydarł mu się z serca.

Pomięszał szyki Skalskiemu, który na wstępie chciał i czuł się zobowiązanym podać do wiadomości dyrektora fakt natury, nie tyle handlowej. Teraz przegalopowywał się biedak, spiesząc:

— Panie dyrektorze, zaręczyłem się — z nauczycielką mej siostry. —

— Plejte — powtórzył Wolski.

Niewiadomo, czy to się odnosiło jeszcze do firmy Schnabel i Genz.

Potem informował się dokładnie:

— Na zmianę stosunku pańskiego do nas to nie wpłynie? —

— Nie. —

— Winszuję. — Podał rękę. — W zasadzie woli-

my nawet pracowników żonaty, z kawalerami miewa się niespodzianki. — Była to aluzja do poprzednika Skalskiego, który inteligentnie sfałszował czek i drapnął z oszczędnością, nie rzucając żony i dzieci w nędzy, bo ich nie miał. — Oczywiście z panem to wykluczone, panie Władysławie, — stwierdził uprzejmie.

Tylko, gdyby nie to „panie Władysławie.“ Wolski nie był starszym od Skalskiego. Zawisnął jeszcze na sekundę okiem na własnej, grubej obrączce ślubnej. Uśmiechnął się. Był żonaty, — „odpowiedzialnie“, z Treterówną.

I powrócił do tematu.

— Przeczuwałem, że nas obelgują. — Dyrektor zawsze jest wszechwiedzącym i wszechprzeczuwającym. — Trzeba ich było trochę energiczniej nadusić. Mówiłem panu. —

Prawda, kazał im nawet „nawymyślać, ale tak, żeby się, broń Boże, czasem nie obrazili,“ co jest całą treścią tak zwanego stylu handlowego. Pan Władysław wykonał polecenie, jak najlepiej umiał; dyrektor podpisał, zadowolony z jego roboty. Zresztą nawidoczniej trzeba było w dobie jego nieobecności monit ponowić.

Ale — zamilczał.

— Takie są teraz skutki! — Wolski, który będzie się musiał tłumaczyć przed Treterem, szuka już teraz kozła ofiarnego. To może posadą kosztować... W tej chwili...

— No, może się uda jeszcze coś wyratować, —

napisz im pan jeszcze raz, zaraz, ostatni raz—po kawalersku!—

Będą gorsze dowcipy w kantorze, jak się zwiędzą. A pierwszy Wolski odda go jakim łaskawym konceptem na pastwę gawiedzi. Nie widział pana Skalskiego, walącego czwórką bachmatów z Próchnówka. A gdyby zgoła tenże Skalski stanął przed nim i oświadczył niechętny:—Żenię się z pięćdziesięciu tysiącami rubli posagu...

Trudno. Albo się kocha, albo nie.

I praca—podobno—życie osładza.

Zasiadł do niej, zabrawszy smętnie plik listów. Nudne były, głupie. Kiedyż Stasiuleńka do niego napisze? Obiecała mu. I w przerwach pomiędzy frazesami: — „mamy zaszczyt potwierdzić odbiór wczorajszego W. Pana i miło nam“... bodaj cię cholera zatrzaska!—a „polecając swe usługi W. Panu, mamy zaszczyt“... znowu zaszczyt, kpie jeden! — przezieriała przez wiersze równego, wzorowego pisma, w którym celował, różowa twarzyczka o figlarnym nosku i złotych kędziorkach. Trochę przeszkadza taka zjawa. Ale miłą jest.

Towarzyszyła mu, z pauzami, gdy myślał odrywał się od niej gwałtownie, zatapiając się w pracę, do chwili opuszczenia biura. I czyniła go niewrażliwym na niesympatyczną atmosferę spraw i rozmów kantorowych.

A jednakże odetchnął z nich dopiero naprawdę, gdy, rozstawszy się już z ostatnim z kolegów, znalazł się znowu przed Mickiewiczem, którego

nikt nie ukradł tymczasem, bo ciężar jest duży i co komu po poecie!

A u stóp wieszczą przepływał ludek warszawski.

Rojno tu było i tłumno.

Zbliżał się wieczór. Biura „państwowe“ wypuściły swoich, uprzywilejowanych od losu „stałą“ posadą i zapewnieniem spokojnej starości, urzędników już o trzeciej, czwartej. Poważniejsze instytucje szły niebawem ich śladem. Zwolnieni, z miłą ludzi, którzy najgorętszą już przeszli łaźnię i z spokojem zapatrują się na resztę dnia, dumnie kroczyli po chodnikach. Pogoda polepszyła się też trochę, nie gnając przechodnia do domu. I wyległy roje kobiet, starych, młodych, wszelkiego wieku. Na przechadzkę, z wizytami, nie bez zamiarów sprawunkowych. Przystawały przed wystawami sklepowymi, wahały się, ważyły, — jeden mig i już za oszklonemi drzwiami magazynu, gdzie tyle ślicznych rzeczy, nęcących duszę niewieścią, znikały wraz z ciałem nadobnem. Inne witały się, przystawały grupami, jakby stawiając sobie za zadanie, zahamować ruch publiczny. Szczebiotały, ugadywały się. Niektóre były śliczne. I wiodły za rączkę dzieci, postrojone, śliczne takż.

Władysław lubił kobiety.

Ale najwięcej i jedynie kochałby—swoją.

I własne „dziecki“ też.

Znowu opadli go chłopcy z gazetami.

...Wie-co-rowy...

...Gazeta Warszawska dla pana dziedzica? —
...Głupiś! Słowo dla księcia pana?—

Ano, minę miał niezłą. I niejedno oczko strze-
lało ku niemu,—czy tylko dla wprawy?

Rozwinął gazetę, zerkając przecież z roztarg-
nieniem ponad nią. Witał znowu ulice, przez sze-
reg tygodni niewidziane wcale a rano niechętnie.

Przed Bristolem stała, z sprawunkami w rękę,
panna Hela, rosła i hoża, witając się czy żegnając
z panem Kazimierzem Błońskim, który zapewne
zupełnie przypadkowo się tam znalazł.

W domu listu nie było. Oczywiście też jeszcze
być nie mogło.

Tylko nędza kawalerska wyła niemo wciąż
w pustych ścianach.

VIII.

Za to pani Anna Licht miała list od najstarszej siostry. Był to ów, który, gotów do wysyłki, zauważyła ciekawska Maniusia. Mleczarek dowiózł go wiernie na pocztę, żadna bańka z mlekiem nie przeciekała, — dowód porządku w gospodarstwie próchnowskim, — i nie zabieliła czerni liter. Przesyłka trafiła szczęśliwie na najpierwszy odchodzący wózek pocztowy i pod zbrojną opieką strażnika z karabinem, — co mniej dobrze świadczyło o bezpieczeństwie szosy, — zdążyła na pociąg, zdaje się ten, na który Władzio nie zdążył. I w dzień następny, zawstydzając wszelkie skargi na opieszałość poczty warszawskiej, była w rękach pani Anny Licht vel Lichtowej, w skromnym mieszkanku urzędniczym na Wilczej, w podwórzu, „ale bardzo porządnem.“ Najmłodsza z Józefowiczówien, ale najstarsza mężatka, bo odwrotnym zwykłych kolei porządkiem wychodziły za mąż, była też z nich najładniejszą. Zwłaszcza w wieku lat ośmnastu, gdy po jej rączkę, drżącą z wzruszenia i szczęścia, sięgnął Licht, wyglądała, podług jednozgodnego świadectwa świadków chwil owych, „jak marze-

nie.“ Była zresztą brunetką i teraz już, wcześniej, dość tęgą jak na „marzenie.“ Ale też dwoje dzieci kwiliło w kołyskach, a raczej kwiliło jedno, gdy drugie oddawało się na dywanie równie usilnym jak przedwczesnym próbom samochodowym. Ańdzia kochała, jak twierdziła, męża i nie robiła nic. Od tego była służąca, kucharka i niańka w jednej osobie. A mąż, żeby na to zapracowywał. Jako też na stroje i inne przyjemności. Zapewne, żeby mu oszczędzać wydatków na toalety, dni spędzała w szlafroczku, mniej eleganckim, niż dezabil Stasiuleńki. Czytywała książki z czytelni i poziewała. Trochę wizytek, teatr, kolacyjka w restauracji.

Licht, czyli — modnie i narodowo — Lichtowa nie była osobą pod żadnym względem wybitną. Jednakże w oczach sióstr fakt, że najpierwsza, jakkolwiek najmłodsza, doszła do wymarzonej pozycji małżeńskiej, otaczał ją blaskiem niezwyklej zasługi i mylnie jej przypisywanej, szczególnej inteligencji. Starsze szanowały ją, zarówno zamężna już także Czesia, za zawiadowcą stacji na drodze wiedeńskiej, jak zaręczona z przedstawicielem niższych rang magistratu Lucynka, tymczasem męcząca się jeszcze z dzieciakami cudzemi jako nauczycielka na prowincji, i Stasia, która dotąd „nie miała szczęścia.“

O szczęściu swem nie donosiła też jeszcze nic w piśmie, wysłałam w przedchwili wielkich wypadków, — za to o wielu innych rzeczach, bo jak słusznie przedrzewiała Maniusia, jej nauczycielka

lubiła rozpisywać się na kilku conajmniej ćwiartkach dużego formatu, zapisanego gęstemi, drobnymi literkami.

Anna musiała,—i tym razem,—dopłacić za porto, pomimo kilku nalepionych marek; z tem mniejszem więc zadowoleniem czytała:

Kochana moja Anusiu!

Zapewne tęsknisz za Twoją Stasiuleńką, i ja także za Tobą, siostrzyczko droga. Kiedyż losy nam znów pozwolą ujrzeć się, uściskać i pogawędzić po naszymu, wymieniając potrzeby uczucia, serca? Wiele się ważnych rzeczy stało od czasu, jak Ci nie pisałam, to jest od przedwczoraj. Wyobraź sobie, że ten głupi Skalski znowu mi asystuje! Pojmujesz, jak mi to jest wstrętnem, Ty, która znałaś uczucie Twej nieszczęśliwej siostry dla B., (nie chcę pisać nazwiska, bo mi jest zbyt zbyt okropnem). Pisałam Ci też, co to jest za niezgrabiasz, jaki nudny i przedewszystkiem jaki śmieszny! Ach, jaki on jest głupio śmieszny z swymi podkreconymi wąsami, jak u szczura. Nie wiem, czy szczur ma podkrecone wąsy, bo wiesz, jak się tych stworzeń boję i od nich uciekam. Są tu nad stawem. To są pewnie szczury wodne. Tak przynajmniej powiedziałam tej smarkatej wścibskiej, gdy się mnie o to pytała. Szukałam potem w historii naturalnej, ale tam tego nie ma. Trudno, niepodobna wszystkiego wiedzieć. I tak ci państwo wyobrażają sobie, że, gdy komuś nieszczę-

ście przeznaczyło być nauczycielką, to już jest takim słownikiem, do którego za swoje parę rubli każdy może w każdej chwili zaglądnąć. Ta Manusia, to powiadam Ci, jest nieznośny bęch i, że bym ja była jej matką, no... A trzeba wciąż łagodnością, gdy człowiek czasem ledwo ze skóry nie wyskoczy. Zresztą starsza nie lepsza, a zaudza mnie, bo się tak do mnie przyczepia, że odegnąć jej nie mogę. A wszystkiemu stara winna, chciałam powiedzieć matka, która rzeczywiście nie ma nic ulitowania nad moim losem. Ile razy ją całuję w rękę, — bo niby jestem „najstarsza córka“, och, ironjo! — prawie bym kąsać mogła. I to ona głównie winna, że się tak z B. obróciło. Bo przysięgam Ci, że i ja byłam pewna i wszyscy byli pewni. Tylko ta baba napewne zaintrygowała za moimi plecami. Jej się w głowie pomieścić nie mogło, że bym ja miała być panią jak ona. I teraz drzy o swego gagatka braciszka. Doprawdy, jest też o kogo, — nie schyliłabym się wcale, żeby godzinami klęczał i wieczną miłość przyobiecował. Obrzydliwe stare facecisko! Chodził za mną i oczy przewracał. Prędzej bym umarła, niż bym miała za niego wyjść. I pomyśl, on się uważa za dobrą partję. Ma około trzech tysięcy rubli rocznie, tyle wiem od małych, a one od matki. I nawet sam tak mówił. Ale to pewnie blaga i przesadzone, bo to przecież taki niedołęga, z nosa mu widać. Jest u Tretera i Wolskiego. To też nic pewnego. Pamiętaj, jak Edwardek Treter biegał za Lucynką,

co to się przypadkiem poznali. A potem nagle odpadł. Jemu się coś wydawało. Ładny numer! U takich ludzi być pracownikiem, to się jest na psiej łasce. A jakby ztamtąd wyleciał, to napewne innej posady nie znajdzie, bo jest za głupi.

Ach, jakby to ślicznie było z Kazikiem,—samo to imię nasuwa mi się pod pióro! Tak go zawsze w myślach moich nazywałam! No, nie miało być! Już takie widać moje przeznaczenie, żeby Twoja Stasiuleńka starą panną do grobu zesza, i mirto- wy wianek mi dacie! Dziwnie się jednemu wiedzie a drugiemu nie! Czem ja sobie na to zasłużyłam, mój Boże, żeby taki utrapiony żywot wieść, gdy każdej z was się poszczęściło! Co są za grzechy moje? Sama nie wiem, czem przewiniłam. Osądź ty, siostrzyczko droga. Napisz mi, proszę, co się tam u Ciebie dzieje. Jak się załatwiłaś z krawczką? Odebrała Ci tę spaskudzoną spacerową z powrotem, czy nie? Jabym na Twojem miejscu nie wiem jaką awanturę zrobiła i chociażby rejentalne wezwanie do odbioru jej posłała, ale nie zapłaciłabym ani kopiejki. Za taką robotę! I taka ma jeszcze czelność się domagać! Są rzeczywiście osoby, od natury niezwykłym zarozumieniem zaopatrzone. Zwłaszcza w niższych sferach. Jednakże tylko edukacja robi coś z człowieka i trudno, kto jej nie ma, ani wrodzonego poczucia delikatności. Czczę pamięć naszej drogiej matki, że nam zawsze wpajała iść prostą drogą życia, nikogo nie krzywdzić i nosa nie zadzierać. Ale też nie dać sobą po-

miatać. Więc z krawcową skończ i grosza jej nie daj. Tak Ci radzę szczerze, zresztą najlepiej sama wiesz, jak masz postąpić. Posiadałaś zawsze bardzo wiele taktu życiowego, to też Ci Pan Bóg poszczęścił. Kiedy zrobiła Ci stan za wysoko, to już nie Twoja wina i przecież dla niej figury nie możesz zmieniać. A co ona twierdzi, że urojenie, to jest tylko czelność tych istot. A że ofiarowała się sama z poprawką, jeżeli sobie koniecznie tak życzysz, to dowód, że swą winę przyznaje. Co się masz z nią długo wodzić, zwłaszcza jeżeli widziałś w tym nowym magazynie taką, co Ci się lepiej podoba, chociaż troszkę droższa. Ostatecznie nie po to poszłaś za męża, żeby sobie wszystkiego odmawiać. Na zrządzenie męskie nie zważaj, — oni wszyscy są tacy sami. Przecież na Nowy rok z gratyfikacji, skoro go nie chcą podwyższyć, będzie można coś upłacić.

Swoją drogą nie rozumiem, dlaczego mu nie chcą wciąż przyznać podwyżki, o którą tak dawno kołaczę. Widocznie nie umie się postawić, — wszyscy mężczyźni są niedołągi. Wobec żony to się gra rolę despoty i żeby wciąż truchlała, a sam przed każdym zwierzchnikiem truchleje. Jabym na jego miejscu dyrektorowi zrobiła taką awanturę, żeby mnie poznał! Jeszcze Ty masz wobec tego sobie od ust odejmować i piszesz mi, że znowu wam meble zajęli. Szczęście, że są na Twoje imię. I wiesz, to jest bardzo praktycznie, bo jakbyście się, broń Boże, kiedy rozejść mieli, toby zawsze

zostały przy Tobie. Oczywiście ja tak mówię żartem, bo wcale Ci tego nie życzę.

Jednakże ja zupełnie nie rozumiem, jakbym ja miała iść za takiego Skalskiego. Śliczniebym się urządziła. Byłaby bieda, żeby aż grzmiało. Choć dzieci to on pewnie już mieć nie może, bo za stary. Ale czasem, wiesz, takie mnie rozpacze ogarniają, żebym prawie za Michała poszła, tego zabawnego stangreta, o którym Ci pisałam, że się żeni z naszą pokojówką! Tymczasem tak z sobą otwarcie romansują, że zupełnie nie rozumiem, jak Rudowska na to może pozwolić. A ile razy jej brat do mnie słówko przemówi, to już nadstawia uszu. Nieznośna baba,—ach, pokazałabym jej, gdybym była panią Błońską. Nie pozwoliłabym memu mężowi progu jej domu przestąpić, z którym mnie łączą tak straszne wspomnienia.

Lecz próżne marzenia, a twardem jest nagie łono rzeczywistości.

Otóż wczoraj powiedział mi ten stary głupiec, krytykując podłe postąpienie Błońskiego, że on napewne nie postąpiłby tak. Wierzę, bo któżby za niego chciał iść? Ale powiedz mi, czy to nie były wyraźne oświadczyzny szanownego pana Władysława? Jestem zresztą najzupełniej pewną, że tylko potrzebowałabym koniec palca wyciągnąć, a ukląkłby odrazu na równe nogi. Plackiem wielkanocnym do nóg padłby mi, idjota! Nie śmieJCie się z niemądrej Stasiuleńki, że zawsze jest pewną, a potem nic. Tym razem mogłabym sobie sprawić

przyjemność dania rzetelnego kosza, oh, takiego bombiastego, żeby miał co dźwigać. Lecz niewarto. Po co sobie zresztą psuć z ludźmi, nie prawda? Zwłaszcza z starą byłby potem stosunek niemożliwy. A płaci, chociaż ja uważam, że za moją pracę to jest śmiesznie małe wynagrodzenie, ale, nie mogę mówić, regularnie.

Więc wyobraź sobie, co są za gusty i guściki. Swatają go tu, to jest stara, z panną z okolicy, Majewską, tą czarną Helą, o której Ci pisałam. Jest paskudna żydowica, chociaż uchodzi za przystojną. Niby z frankistów i „szlachta“, ale kto tam dojdzie! Tyle że bogata. Ja nawet nie rozumiem, jak ona może go chcieć? Bo ma napewno pięćdziesiąt tysięcy rubli zaraz, wiem dokładnie, i jeszcze po dziadkach grubo dostanie. Pewnie się na jakiej szacherce albo lichwie brudnej dorobili. I teraz są obywatelstwo ziemscy i bardzo szanowani. Tak pieniądz wszystko znaczy na świecie, a szlachetność charakteru na nic i jest zawsze zapoznawana. Dosyć, że jak Ci donosiłam, byli tu z swoim towarem. Także sposób, kawalerowi pod nos pannę podwozić,— jak Ty to uważasz, co, siostrzyczko droga? My nigdy nie byłybyśmy śmiały tak się narzucać i wogóle kobiety rolę jest, odczekać i przyjmować hołdy, ale nie kłaniać się jak niewolnica w tureckim seraju. Wiesz, jakie potem były plotki na Lucynkę w rodzinie jego, że niby go przyłapała. Chociaż, co prawda, między nami mówiąc, Lucynka była zbyt nerwowa i zanadto

obawiała się, że się jej wyślizgnie. Mój Boże, nie zawsze tak bywa, żeby się mężczyzna, jak Tobie, po kilku widzeniach, odrazu oświadczył. Przytem Ty, z Twojem szczęściem do mężczyzn, może, żebyś była poczekała, i lepszą partję mogłaś zrobić. Nie wyrzucam Ci, że skłoniłaś się ku Lichtowi, bo zawsze, jak to mówią, lepszy wróbel w garści, niż gołąb na dachu.

Więc ci starzy lichwiarze z Darzyna chcą oddać wnuczkę Skalskiemu. Rozbijała się za nim na balu i Bóg ją za to ukarał, bo rozbiła się sama przez niezgrabiasza. Potknął się, jak stary koń. Nogami ledwo powłóczy. On musiał już przechodzić różne choroby. Żeby sobie była dobrze zbita tę haczykową kłukę! Tylko, że jej nic, a ja sobie suknię zepsułam. Powinna zapłacić, ale o tem oczywiście nikt nie pomyśli. Zaraz się dało przyfastrygować i żadnej szkody niema

Więc, jak mi powiedział, że on nie postąpiłby sobie tak niegodnie, jak Błoński, nie odpowiedziałam nic, tylko, jak mówi nasz wielki powieściopisarz Sienkiewicz, złożyłam ręce w ciup i buzię w małdrzyk, czy też odwrotnie, bo dobrze nie pamiętam. Muszę zajrzeć, tylko nie pamiętam, gdzie to stoi. Podług mnie wogóle Żeromski dosięgnął wiele wyżej, chociaż przyznaję, że „Dzieje grzechu“ są trochę rezykowne. Wyobraź sobie, że Rudowska przysłuchuje się moim lekcjom literatury i robi mi przepisy co do wykładów! Także pretensja—obszarniczki. Dosyć, że Władziczek nie

bardzo się zachwycił haczykową kluką. Naturalnie, żeby ją pocałować, trzeba by najpierw trąbę odgiąć, jak u słonia. Jednak idzio jest, żeby takim majątkiem pogardzać! Zobaczysz, że sprawdzi się moja przepowiednia i ten człowiek nigdy do niczego nie dojdzie. Dzisiaj zawieźli go więc do Darzyna, bo już panny więcej podwozić nie wypada. I tak, mojem zdaniem, jest skompromitowana w własnych oczach. Tam ma bomba pęknąć. Ciekawa jestem, co z tego będzie. Chociaż mogę Ci zaręczyć, że nic mnie to w gruncie nie obchodzi!

Ach, siostrzyczko droga, jak to miło jest, móżdż przed kimś, który nas zrozumie, wylać na papier wszystko, co duszę naszą ściska, jak niewygodny gorset! W tej kwestji napisz mi, czy zawsze takie długie noszą. Nie byłam już przeszło pół roku w Warszawie. Figura wprawdzie wygląda przez to awantażowniej. Ja się nie potrzebuję ściskać, jak Ty. Ale, jeżeli Twój mąż Cię i tak kocha, to Ci to może być wszystko jedno. Ja się cieszę, że się wydaję jeszcze więcej wiotszą, bo to do mojej urody pasuje i jestem dystygowana. Wyglądam bardzo blado i mizernie, tak że napewne ulitowałabyś się nad Twoją Stasiuleńką, która sobie na swoje losy niczem nie zasłużyła i Ciebie, siostrzyczko droga, po tysiąc razy całuje

Twoja do grobu
Stasiuleńka.

P. s. O jedno możesz być spokojną, że za tego starego durnia, Skalskiego, nie pójde.

IX.

Hela Majewska nie tak łatwo zniosła zawód, który ją spotkał ze strony Władysława, jak się jemu zdawało. Podobał jej się. Był „w typie“ męża, jak go sobie dziewczyna jej pojęć i jej wychowania, myśląca poważnie, niezależnie od sporej dawki uczucia, wyobrażać zwykła. Nie szuka w towarzyszcu dni przyszłych, dobrej i złej doli, kochanka, tylko—męża, człowieka, który jej daje rękojmię przyszłości, któremu ufa bezwzględnie, zawierza, którego szanuje i poważa. Takim jej się przedstawiał Władysław Skalski. Lepiej, że nie był za młodym. W starszym widzi się opiekuna, obrońcę od przygód życiowych. Mąż wstępuje w miejsce ojca. I powinien budzić respekt, zarówno u innych, jak u własnej żony. Człowiek porządny, dobry, najlepszej opinji, z pozycją. Z pozycją może nie tak świetną, ale którą sobie swą pracą i zasługą wyrobił, więc tem więcej uznania godną. Rodzice czy opiekunowie się zgadzają, doradzają go sami, a więc niema rozsądnego powodu do drożenia się. Przytem działa suggestja właśnie tychże opiekunów, otoczenia. W tych warunkach, zwy-

kłym przebiegiem rzeczy, byłaby panna Hela Majewska chętnie wyszła za pana Władysława Skalskiego, nawet gdyby nie przyłączył się moment inny. A mianowicie, Władzio spodobał się Heli.

Matuś, moja matuś,
Wydaj mnie za Jasia,—
Spodobały mi się
Kółeczka u pasa!

Dlaczego za Jasia, a nie za Stasia czy Józia, tego piosenka bliżej nie objaśnia; bowiem Staś i Józio napewno równie pięknie pobłyskiwali świecącymi kółeczkami. Ino, że akurat, Jasiowe dziewczynie do gustu przypadły.

Więc czy bohatera postawa, czy rudawy wąs, czy cały sposób bycia właśnie tego osobnika zagrały na strunach sercowych dziewczyny,—wycofanie się jego z roli pretendenta i szybki zwrot ku innej pozostawiły w sercu owem bliznę, niezagojoną. Plastrem miał być Kazik. Tak się zdawało.

I otóż na drugi dzień prowadziła się Hela „z plastrem“ po Warszawie. Babcia towarzyszyła im więcej jako straż honorowa, z oddali, czasem wcale nie. Byli przecież bliscy sąsiedzi, znali się od dzieciństwa. Że Kazik pomoże pannie Heli przy robieniu sprawunków i oddaje samotnym damom usługi rycerskie, których od sąsiada nie wolno wymagać, ale można przyjąć,— w tem chyba nikt nie mógł dojrzeć nic nieodwołalnie nadzwyczajnego. A przytem Błoński postawił się odrazu otwarcie sam w roli starającego się. Jeżeli kto się

w razie, gdyby wyszedł z zapoczątkowanej kampanji bez pierścionka, narażał na śmieszność, zawsze z klęską połączoną, to tylko on. Więc Kazio szturmował odważnie i dzielnie, jak bułgarzy Adrjanopol. Ale twierdza nie była łatwą do zdobycia, ni skłonną do poddania się.

Oczywiście pochlebiało do pewnego stopnia dziewczynie, że „pierwszy epuzer“ z całej okolicy uderza o jej rękę. Było to też niejako wynagrodzeniem miłości własnej, urażonej świeżo pogardą z innej strony.

Ale Kazio to był tylko—Kazio.

Prawda, że „partja“ wiele lepsza od Władzia. Lecz Hela wiedziała o sobie, że ma dosyć na swoje potrzeby, bodaj nawet na dopomożenie mężowi. Nie była z tych, które z góry za ideał sobie stawiają, znaleźć milionera, poniewoli tylko przyznając „rabat“ na rzecz przymiotów osobistych. Nie stawiała zbyt wygórowanych wymagań do życia. Zawahałaby się może przed nędzą, gdyby jakieś płomienne uczucie nie przedarło wszelkich szrank,—przekładała skromniejszy, a zawsze wygodny, byt, z miłym nad dostatki z obojętnym.

Bo Kazik był jej, niestety, obojętnym. Żałowała tego, widząc, zupełnie praktycznie, korzyści, które przedstawiał związek z nim, — ale rzeczy zmienić nie mogła. Owszem,—lubiła go. Lubiła jako dobrze sobie znanego towarzysza zabaw, dziarskiego i wesołego. Przymykała nawet, jak się to czyni wobec przyjaciela, chętnie oczy na jego

wady, trochę lekkomyślność, pewną szorstkość bezwzględną, która przebijała czasem nagle politurowaną ramę dobrego wychowania, brak głębszych ideałów życiowych. Błoński był dobrym gospodarzem, doskonale prowadzącym swoje interesy, po za tem dosyć wyrachowanym w swoich wydatkach, o ile nie chodziło o przyjemności osobiste, lub chęć pokazania się. Miał w swym budżecie miejsce na potrzeby krajowe i społeczne, nie odmawiał w tych celach swej pracy. Jednakże stanowczo nie należał do owych młodych ziemian, którzy ze szczerym zapałem, z potrzeby serca i z przekonania rwą się do służby publicznej. U Błońskiego miała Hela niejednokrotnie wrażenie, że, co czyni, to robi dlatego, że tak wypada i przez ambicję. Był mniej gorliwym w zabiegach w koło domowych bolączek, pracy nad ludem pracy cichej, niewdzięcznej i nierozgłosnej, niż tam w Warszawie, przy świeczniku, gdzie zwraca się na siebie uwagę.

Nie miał też innych wybitnych wyższych upodobań i zapotrzebowań duchowych. Literatura, muzyka, piękno mało go obchodziły. Miał nawet pewien wrodzony dobry gust, ale brak zamiłowania. Jednym słowem nie „nowoczesny polak“, tylko raczej zmodernizowany powierzchownie, praktyczniejszy życiowo od swych poprzedników, młodzieniec „złoty.“

Niedobory charakteru na ogół wybaczano mu; jednakże Hela pamiętała krytykę dziadka, oględ-

nie ale stanowczo pod adresem tego właśnie sąsiada w porównaniu z innymi wyrażoną.

Wszystko nie były przeszkody, żeby kandydował na jej męża. Ale, bądź co bądź, wymagały poważnie, by je wziąć na rozwagę.

Więc, gdy otrząsnęła się z pierwszego, bądź co bądź przyjemnego wrażenia, jakie wywarł jego wstępny atak po wtargnięciu szturmem do wagonu i strząsnęła z siebie pewien niebezpieczny czar nasuwającego się jej wtedy, jak Władziowi, obrazu poślubnej podróży, — Hela wzięła siebie i swego wielbiciela w garść. Nie byłaby kobietą i polką, żeby nie korzystała z jego usług, jako to wiernego dźwigania paczek, pilnowania parasolki i starania się o bilety do teatru. Ale zaznaczała mu przy tem wciąż wyraźnie, że jest to dla niego czas próby, a ściślej początek takiego okresu, o wyniku pod każdym względem bardzo niepewnym.

Kazik—wściekał się wewnątrz. Zewnątrz uśmiechał się mile brzydką gębą i był na wysoki.

Pobył pań w Warszawie, obliczony z góry na dwadzieścia cztery godzin, przedłużył się w dwójnasób, jako że się nawet najenergiczniejsze niewiasty nigdy się na czas wyrobić nie zdołają.

I niepewnym się jest z niemi dnia ani godziny.

Kazik biegał jeden dzień cały za niebieską włóczką, ale koniecznie podług przywiezionej przez pannę „próbki“; chodził najpierw łącznie z wybraną, co osładzało zawód poszukiwań,—po tem jednakże, gdy paniom wypadły inne zajęcia,

wysłany został sam, jako „skaut.“ Miał koniecznie znaleźć taką samą, pod utratą łask królowny. Próbką była resztką z zapasu, kupionego w zamierzchłej przeszłości. Podług jednozgodnych zapewnień po wszystkich sklepach akurat takiej samej już wogóle nie wyrabiano. Tylko bardzo podobną. Ale podobieństwo nie wystarczało. Z nie-szczęsną włóczką była cała historia.

Panna Hela uczyła dzieci wiejskie robótek. Otóż chodziło o jakiś już rozpoczęty wzorek, do którego ta, a nie inna grubość i barwa materiału były potrzebne. Młody człowiek proponował wzięść zieloną, którą szukających częstowano, jako zbliżoną wyrobem, i został zgromionym jako barbarzyńca bez gustu. Właśnie gust, estetykę, pierwsze nocye piękna trza wpajać naszemu ludowi, który na nadmiar ich nie cierpi; inaczej wyroby ludowe nigdy nie trafią na rynek zbytu. Miała rację, ale Błoński przeklinał i rację i włóczkę i— Helę. Oczywiście, jako młodzieniec doskonałego ułożenia, po cichu.

Chwilami prawie żałował, że rozpoczął konkury. Myśl o nich mignęła mu błyskawicznie, gdy urodziwą, sympatyczną dziewczynę napotkał w podróży. Miała jakoś beau jour, czy też on był w usposobieniu matrymonialnem. Bo przecież dotąd, lubo, znaną sobie doskonale, brał pod uwagę, ile razy myślał o ożenieniu się, — była jedną pomiędzy innemi, nie jedyną. Wzięść sobie żonę, w zasadzie, chciał niezadługo, wyszumiawszy już przez

latek kilka, bo wcześniej rozpoczął. Pozycja żonatego, jako dodająca powagi, potrzebną mu była od momentu, gdy silniej zagrały w nim ambicje obywatelskie. Ale mógł, w rozumieniu własnem i ogółu, mienny, z dobrem nazwiskiem, gładki i dobrej opinii, sięgać wyżej, chociażby do arystokracji. Tylko, że tkwił mu w pamięci zawód, którego raz już doznał, celując nawet nie tak nabyt wysoko; niechęć obiektu, o który wtedy zabiegał, czy też brak wytrwałości, wobec obrażonej dumy, z jego strony, czyniły mu niemiłym wspomnienie owych przejść, znanych oczywiście w okolicy, na czem także jego ambicja cierpiała.

Tu wszystko pójdzie gładko, przypuszczalnie.

Zmyje także odrazu z siebie niejaką śmieszność, na którą, w jego własnych oczach, naraził go niewczesny, zbyt naiwny afekt panny Stanisławy Józefowicz. Że się w kimś jakaś nauczycielka kocha, to jest i zabawne i, gdy ładna, pochlebne i w porządku; ale, żeby sobie wyobrażała, że może zostać żoną... Przypuszczając u niego podobną naiwność, obniża go w opinii świata.

Małżeństwo z równą mu rangą społeczną położy odrazu koniec wszelkim przesłankom, godzącym w roztropność pana Błońskiego. Powiedzą conajmniej, z uznaniem: No, może mógł lepszą partycję zrobić, ale zrobiona jest rozsądna.

Sądził, że mu tem łatwiej pójdzie, iż wiedział o niedoszłym związku Skalski - Majewska. Panna jest podrażniona „odstawką“, na którą się naraziła,

i łatwą do pocieszenia się. Że chciała iść za — urzędniczka, nie bardzo świadczy o jej rozumie. No,—rozumu się od żony nie wymaga.

Wszystko się więc składało. Tak sądził.

Wszystko, oprócz wióczki. Odłożył poszukiwania do następnego dnia. Łatwiej zdobył życzone bilety. Do tego wystarczył posłaniec. Bilety *byli*. Do teatryku w Bagateli, jako że to letnią porą. Grano *revue*, której panie były ciekawe.

Po żwirze porozrzucanych kilkaset krzesel, jak duże pająki, osadzone nieruchomie w miejscu. Po kilka zawsze w koło ogromnej muchy, którą jest stolik. Porządniejsze, mrówcze szeregi przed wywyższeniem, na którym produkuje się kuplecista. Pod przyjaznem światłem mlecznych kopuł.

Ogród,—bo są w nim drzewa,—duży i, pomimo siakiej takiej frekwencyi, daje wrażenie, że sporo jeszcze pustego miejsca: Ogórkowe czasy. Bawiąca się Warszawa rozjechała się i nie powróciła jeszcze. Tylko niedobitki z niej błakają się. Trochę damulek mniejszego sortu a tem większego przystrojenia. Więcej „motłochu“, kantorzystów, urzędników. Wyróżniają się, zdobni latami i niezwykłe gęstą miną, używający wolności, słomiani wdowce, z nieodzownym kwiatkiem w dziurce młodzieńczej marynarki. Tu i owdzie ktoś przejezdny, ze wsi.

Ogromna buda drewniana—teatr. Wspólnymi siłami kilku „najmłodszych“, dobrawszy sobie do pomocy wypróbowanego reżysera, skleciło

sztuczkę, w której błyski dowcipu mieszają się w nieustalanej proporcji z płaskimi czy kalendarzowymi konceptami. *Revue* wlecze się, bez francuskiego rozmachu, ziewając szparami szkieletu scenicznego, których nie próbowano nawet pozszczepiać z sobą. Ciągnie przez nią chłód, jak przez nieszczelne deski budy z zewnątrz. Ale, że tu zawsze trochę cieplej, niż na chłodnym, po deszczowym dniu, dworze, więc większość publiczności kupi się tutaj, przyciskając się do siebie. Kazik nie mógł się przycisnąć do Heli, bo nie wypadało, ale, siedząc obok niej, czuł ciepło, bijące od dziewczyny. I było mu z tem bardzo dobrze. Pocieszało go po mozołach dniach, spędzonych w utrudzającej roli „fatyganta“. Mało zważał na to, co się działo na scenie. Wyjeżdżały karykatury mężów politycznych i społeczników, ośmieszanych gorliwie i z wielkim mozołem, ale nieszkodliwie. Potem aluzye do współbraci literackiej, które zapewne autorom wydawały się niesłychanie dowcipnemi; cóż kiedy niezrozumiałemi pozostały dla niewdzięcznej publiczności, nieskończenie mniej interesującej się swarami dziatwy w Apollinie, niż to sobie rycerze i ciury pióra wyobrażają. *Querelles d'artistes...*

Więcej zajęcia obudzały kształty dam, występujących na scenie. U żeńskich słuchaczy—stroje. Ale role nie nadawały się do rozwinięcia przepychu toalet. Były mitologiczno - fantastyczno - fantazyjne. Wskazaną jest w takich razach oszczędność

ilościowa szaty. Biedne aktorki sezonowe braku nie mogły wynagrodzić wartością użytego materiału. Zaś kształty byłyby lepiej pozostały zakryte, gdyż albo ich było za dużo, albo wcale.

A już co do głosu, to, czy je reżyser tak umiejętnie podobierał, czy zastrejkowały, ale jednolicie śpiewały przeważnie dla siebie, chroniąc uszy publiczności od wrażeń słuchowych.

Takie było pesymistyczne zdanie Władysława Skalskiego, który znalazł się tutaj, prawda, że, dyskretnie, w jednym z ostatnich rzędów. Właściwie nie wypadało mu bardzo się pokazywać. Ale, gdy wrócił do domu, zgnębiony pierwszym dniem, spędzonym znowu w kantorze, pustka, niepokieszająca, obca, wroga, przywitała go z taką bezwzględnością, że miał ochotę już od proga się cofnąć. Czuł, że reszty dnia, przemęczony i rozdrażniony, w zabijającej samotności nie wytrzyma. Wyszedł na miasto bez celu. Skierowawszy kroki machinalnie w Aleje, dotarł tutaj.

Wlazł, niewiadomo, po co, za innymi i siedział, osowiasty. Ale przynajmniej miał ludzi, lubo nieznanych, w koło siebie. I nawet jeden obraz sceny wyrwał go z obręczy nudy gorzkiej. Wisła, w osobie najprzystojniejszej z aktorek, mówiła pieśnią do ludu, swego wiernego ludu. Była w trykocie zielonym, symbolizującym wodę, gdy to, co stanowiło właściwy ubiór, skąpy, miało barwę szafirową. Liście, rozsiane w girlandach po postaci, pouczaly widzów, że mają rusałkę przed sobą. Ale

osoba była „jeszcze nienajgorsza“ i, podtrzymywana chrapliwym głosem towarzysza, sternika, nuciła, nie troszcząc się o kunszt śpiewu, ale zrozumiale i bez rażących wykolejeń. Miała zacięcie i ciepło w głosie. I temat porywał ją samą. Może też rozgrzał serce poety, że od stylu kabaretowego oderwał się wyżej. — Hej Wisło, — hej, Wiselko! — Więc, jako z szumem, młoda i rażna, a już wspañiała, spada, z Beskidów, haw dziwiają się nad jej urodą juhasy, z stromych urwisk ku niej zstępujący, w kierpcach i z siekierkami, jej ku obronie, i gędźbą, jako królowę, ją witają. Potem, gdzie Kraków, królów gród, i on smok siedział, a mogiły Wandy i Kościuszki, — jak ziemię polską rosić rozpoczęła, tak wiernie, rzek naszych matka, przez serce kraju się kładzie szeroką wstęgą. A na modrej wstędze, niby orderzy, galary z złotem zbożem płyną... Przez Mazowsze, gdzie warszawskich kościołów wieżyce strzelają, het ku Gdańsku, luterskiemu, lecz wiernemu. Przegląda się w niej kraj. I biel góralska i krakowska czapeczka czerwona, chłopskie sukmany, — co strojów, co ludów! A wszystko nasze. Zwierciadło ty cudowne. Tyś nasza i my twoi. Od wieków, w dobrej i złej doli. Hej Wisło, hej Wiselko. Krwią bitewną spłynęłaś i krwią z pod razów... A w tem załkało coś w pio-sence. Dziś.

I przeszło przez serca. Z tego kraju wszyscy...

.....
— Skalski miał znów przyjemność widzieć

pannę Helę z Błońskim. Po raz trzeci w przeciągu dwóch dni, to już było zawiele. Ale los jest zawzięty król i mściwy. Świat jest mały, dla znajomych, a cóż dopiero centrum jego, Warszawa. Może, gdy przedmieścia dołączą i zakwitnie miastogród, kiedyś, kiedyś, — Londyn...

Lesseps powiedział, że ze wszystkich miast kontynentu Warszawa ma największą przyszłość — powtarza z dumą każdy warszawiak. Ano, daj Boże, żeby Lesseps się nie poszkapał, jak z Panamą.

Hela z Kazikiem szeptali i przeginali się do siebie. Ona słuchała rzeczywiście ładnie. — Kształtna głowa z ciężkimi, kruczemi splotami, wysuwającymi się z pod ceratowego czy skórzanego, podróżnego kapelusza - czapki, przechylała się w nieświadomie wdzięcznym zarysie. Potem, mówiąc sama, obracała się zupełnie profilem, wyrazistym, niemal klasycznym. Trochę ostry, ale był w nim charakter. Plecy, pod płaszczem, proste i silne opadały krągłością ramion. Bił od niej zawiew młodości i tężyzny. Ku Kaziowi.

To też chłopak ślepi w nią, „jak sroka w gnata”. Wciąż się ku niej zwraca, przysuwa, — że aż nieprzywoicie. A babcia ślepa i głucha.

Zapewne, gdyby Władzio siedział obok Stasi, postępowałby mniej więcej podobnie i wcale sobie tego nie miał za złe. Pobłażliwość na postęпки bliźniego nawet u ludzi kulturalnych mało jest rozwiniętą.

Nie widzieli go. Chował się za kapelusz jakiejś siedzącej bezpośrednio przed nim damy. Nieśluszenie się widzowie skarżą na takie klapy przed oczami i dyrekcja szykanuje biedne kobiecka. Czasem tarcz osłania, właśnie w sposób pożądanym, ukrytego za nią.

Widział więc, sam niewidzialny dla nich, jak Hela podczas międzyaktu wstała, niby rozprostowując gibkie członki: Kazik, który, jeszcze gdy siedziała, wydawał się przy niej kiej mucha przy słońcu, zmałał, zda się, teraz jeszcze więcej, chociaż główkę pilnie wyciągał pod górę, jadąc z lubością ślepiami po bujnej postaci swej przyszłej żony, aż ku ustom, krasnym, czerwonym.

Nie, o tych nie można będzie powiedzieć, że to dobrana para, przynajmniej powierzchownie. Bo, wewnątrz, stosował Skalski do nich zastyszane, kędyś zdanie filozoficzne: Każda żona warta swego męża.

Młodzieniec wstał także i stał obok swej lubej, trochę drobny, ale smukły i elegancki, w zakiecie, bodaj czy nie lepiej skrojonym od Władziowego. Śnać bagaż dojechał następnym pociągiem. Obwiązana, jednakże węższym już bandażem, gęba dodawała mu uroku, zainteresowania. Może namyślnie przepaski jeszcze nie zdejmował, żeby nieco zakryć swą szpetotę! Słusznie! No i wyglądał na bohatera pojedynku, zrąbanego szabłą. A minę miał, jakby sam usieknął dziesięciu. I pewnie miła Helutka znów płótno zręcznemi palusz-

kami poprawiała. Dla tego może przeciągał maskaradę.

Stali, twarzami obrócenii ku rzędom krzesel. Gapiono się na nich ogólnie. Młoda para, narzeczeni, czy jeszcze nie, ale już niedaleko. Bo chyba on za nią dał się zarąbywać. Mało potrzeba gawiedzi do domysłów?

I lśnili w aureoli młodości i tego wzajemnego „mienia się ku sobie“ nad tłum, nad gawieź.

Skalski patrzył smutny. Chował się z zrećnością indjanina, który przycupnął przed wzrokiem „Skórzanej Pończochy“, za kapelusz, wyprawiający czasem niespodziewane a niepożądane nagłe zwroty. Niewiasta na miejscu usiedzieć nie może. I w jedną z takich chwil odsłoniętych, spowodowanych specyficznym kręcikiem niewieścim, padło oko wroga, Błońskiego, który, tryumfująco, nieomieszkał udzielić swego odkrycia sąsiadce. Panna Hela spojrzała — jakoś pogardliwie.

W jej oczach, Władysław czuł, że się dobijał. Narzeczony, świeżo, wałęsający się po ogródkach? I popychał ją, prawem odwetu, w ramiona Błońskiego.

Ostatecznie było mu to wszystko jedno. Wyszedł z teatru. W mieszkaniu listu od Stasiuleńki nie było.

IX.

— Kopjał! —

Głos szefa brzmiał jak piorun, prujący, od drzwi gabinetu, przestrzeń kantoru. Wolski stał, gniewny i rozdrażniony, w progu. „Papa“ Treter, na wieść o plejcie wrocławskiej, zjechał, pomimo wszelkich, siedm razy siedmiu chorób, do fabryki i przeprowadzał śledztwo. Winnym był naprawdę Wolski,—tem więcej rzucał się.

Kopjał! — zabrzmiało przez kantor. Pochyliły się plecy pana Władysława, skrobiącego pilnie piórką nad swą korespondencją; zamarł żarcik na piegówatem obliczu Grosera, który sam jeden w truchlejącej, na odgłos rozterki z gabinetu, ciszszej puszczał półgębkiem zwykle koncepty; pan Wajcenzang usiłował godnością pokryć lęk, czepiający się nastrojowo jego młodej jeszcze, lecz poważnej już łysiny; kasjerka przykucnęła na swym stołku, jak kura pod groźną ręką kucharki. Czosnek, wymykający się szczęśliwie z jakimś poleceniem na miasto, utknął, jak słup nieruchomy, w poprzek podwoji, mających dać mu ucieczkę.

Kopjał—to jest księga święta, arka przymierza „interesu“, w której „interes“ składa niezatarte

dowody swej żywotności na nikłych, przejrzystych bibułkach, odbijających wszystkie pisma, jakie, „kopiowym atramentem“ pisane, wyszły w świat dalszy i bliższy, nieść pożytek i zarobek instytucji. Lub — szkodę.

Średnich rozmiarów, „w formie handlowym“, czarno oprawna, skromną szatą kryje ta księga w sobie kopalnię bogactw różnolitej treści. W niej mieszczą się oferty, wychodzące z kantoru, i odpowiedzi na wpływające od „zaprzyjaźnionych domów“ oraz postronnych. Zapytania, tyżące wypłacalności, cnoty najgłówniejszej, firm, podejrzanych o jej lekceważenie. Odwrotnie—wyjaśnienia, udzielane „poufnie“. Listy polecające. A przede wszystkim pertraktacje, które zwykły poprzedzać każdy dochodzący czy niedochodzący do skutku obrót handlowy. Najniemiłsze są epilogi takich obrotów, gdy co do wypłaty, która jest wysiękiem całej pracy, następują nieprzewidziane trudności. Prośby i groźby, w słowach wzruszających, zdawałoby się, najtwardsze serce i mogących nastraszyć najupartszego, czernią, wiernie odfotografowane, na bibułkowych, porządkowo numerowanych stronicach.

Władysławowi błyskawicznie przeszło przez myśl jego pierwsze, kiedyś, zapoznanie się z techniczną stroną zajęć w około ważnej księgi, zanim jeszcze własne pismo wolno mu było w niej umieszczać. Więc „akuratne“ zmożenie szerokim, nawodnionym pędzlem, niczem niepodobnym do

malarskiego, kart, przeznaczonych do użytku. Przełożenie ich grubą bibułą, zapobiegającą zbyt-niej irygacji. Szybki przycisk pod „maszyną“, aparatem przygniatającym księgę, na sekundę, celem dokładnego wyprostowania kart. Szybkie wy-ciągnięcie z pod prasy, — roztworzyć, przyłożyć listy, — ale żeby się, chroń nieszczęścia, kartki nie zagięły; — zamknąć, znów pod prasę, zakręcić jak-najsilniej korbą i — odgadnąć czas odpowiedni, aby odbitki wyszły pod przyciskiem wyraźnie, a przytem jednakże listy nie utraciły zbyt wiele z czarnego soku. Proste, — jak w zasadzie prostem jest gotowanie jajek na miękko, a przecież ilu się tajemnicy nigdy nie nauczy. Bo zdolności ludzkie są różnie rozmierzone.

Wręczenie szefowi kopjału należało właściwie do zakresu zajęć praktykanta. Lecz młody Marjan był chwilowo dość sporą przestrzenią oddzielony od księgi powierzanej, pomiędzy innemi, jego szczególnej pieczy. Leżała blisko korespondenta. Ale Skalski, zajęty pracą, nie zauważył, że praktykant ma się ku wyjściu, i pozostawiał mu przyjemność wywiązania się z zwykłego zajęcia. Lepiej w takich wypadkach własnej osoby zbytnią gorliwością nie narażać.

Więc wódz armji uprzedził jednego i drugiego, jednym krokiem wielkoluda zrobiwszy wypad, przy którym złapał za przedmiot swych życzeń, dojrzany odrazu w pobliżu wzrokiem Światowida. Tylko podwładnym dostało się:

— Nigdy nie ma pod ręką tego, co potrzeba! —

I już zamknął drzwi za sobą.

Powiedział „tego“, a nie „kogo“, i nie miał w dodatku słuszności. Kantor zaszemrał buntowniczym szeptem. Bo drzwi były zamknięte i echa rewolucji wśród załogi nie dojdą uszu głównodowodzącego. Jakże! ubliżył wszystkim — tonem i wymówką. A najwięcej, jak godzono się, korespondentowi, który widać nie miał poczucia czci, skoro nie zaprotestował natychmiast i nie mówił nawet teraz ani słowa, on jeden.

— Panie Skalski, — pan też ma zdrowie! — winszował ironicznie Groser.

— Jabym sobie jednak na pana miejscu nie pozwolił od „starego“ przyjść w ten sposób — dodał Wajcenzang.

— Ah, co za niewola — jęknęła panna Stasiak, zaciskając jednak w tej chwili usta, z obawą, czy jej śmiałe słowa nie zostaną podchwyczone i — powtórzone.

Wśród szemrającej załogi Skalski zachował spokój. Nie brał wypadku tragicznie. Wolski był zirytowany, zdenerwowany, — trzeba czasem wybaczyć...

Tem więcej kłuli go koledzy.

— Pan wie, co to jest ambicja szlachecka, panie hrabio Czosnowski? — zwrócił się wesolek uszczypliwie, niby do praktykanta, którego ciekawość powstrzymała w odlocie.

Lunąc w gębę? czy nie? pomyślał Skalski, ale z humorem i z pewnością, że nie dopuści się gwałtu.

W odpowiedzi wyręczył go Czosnek:

— Słowo honoru, — niewiem. —

To już było trochę za wiele. Niższa ranga ośmielała się zwracać przeciwko wyższej. Prawda, że położenie nieszczęsnego Czosnka było trudne. Niemniej Władysław uznał za stosowne położyć tamę ogólnym nagabywaniam.

— Panie Czosnowski, proszę mi podać koper-ty firmowe. —

Wyższa ranga przemówiła urzędowo, niższa zastosowała się do rozkazu.

— A buchalterję proszę o przesłanie mi czeków, do potwierdzenia odbioru. —

Miał prawo wymagać. Ranga równa musiała w tym wypadku posłuchać.

Tak uspokoiwszy, niczem Neptun, wzburzone fale, Skalski pracował dalej.

Wobec tego jego towarzysze niedoli przeszli do spraw innych, także żywotnych.

— Panie Wajcenzang, nie może mi pan pożyczyć pięć rubli? — zapytywał Groser więcej w formie żartu, — słowo honoru, nie mam rubla w kieszeni. — To mogło być prawdą.

— Nie mogę — odparł lakonicznie pierwszy buchalter, ścągając kwiaciastą kamizelkę po okrągłym brzuszku.

— Panno Józefo, pani mi da pięć rubli zaliczki — zwrócił się jego pomocnik do kasy.

— Jak tylko pan przyniesie kartkę od pana dyrektora... pan wie, że mi pan dyrektor zabronił wydawać bez upoważnienia. Zresztą zwracam panu uwagę na to — korzystała z chwili — że pan już cały miesiąc naprzód wyczerpał! —

— O to się pani nie pytałem — odciął się, zły.

— O, ale zawsze dobrze wiedzieć! A panowie są tacy lekkomyślni i nic nie myślą o przyszłości. Kabaret, kolacyjki — a potem bieda! —

— Z panią tam nie był! — dopomógł przyjacielowi Wajcenzang.

— Jabym też, ani z panem Groserem, ani z panem, tam nie poszła i w ogóle z nikim. Wogóle nie rozumiem, jak można w obecności uczciwej kobiety takie rozmowy prowadzić. —

— Pani sama zaczęła — buchalter wyjął małeńkie lustro z kieszonki i oglądał bacznie ubytek włosów, kędzierzawiejących jeszcze tylko na skroniach.

— Ja zaczęłam? Klnę się na wszystko, co mi święte...

— O, święte i klnąć — ładne połączenie — sztydził.

Zamilkła na chwilę, zbierając zapas oburzenia, który miał wybuchnąć.

Z przerwy skorzystał wesolek na utarty dowcip:

— Panie Czosnowski, pan mi rubla pożyczysz? —

— Słowo honoru, nie mam. —

Wszedł, wnosząc zapomnienie czy zawieszenie broni, „gość“, klient czy w każdym razie intere-

sent, jednym słowem osobnik obcy. Śmiały snąc z natury, czy nie znając się na hierarchii, podszedł odrazu do biurka pana Wajcenzanga.

— Czy pan dyrektor jest? —

— Niewie kto z panów, czy pan dyrektor jest? — odrzmiął zapytany, ile że „gość“ nie był z pokażniejszych.

— Panno Józefo, czy pan dyrektor jest? — zapytywał z powagą Groser.

I nawet panna Stasiak utrzymała się w tonie, jedynie odpowiednim godności kantoru, telefonując dalej:

— Panie Czosnowski, czy jest pan dyrektor? —

Zapytanie doszło do właściwego źródła.

Pan Marjan, przegięty z całym ugrzecznieniem, jakiego się w takim razie wymaga, do gościa, rozpoczął wywiad, również zalecony, aby zbyt natrętnych, pomniejszych interesentów zdaleka trzymać od dyrektorskiej osoby.

— A jaki pan ma interes? —

— Nie do pana, — do dyrektora — gość był świadomy przeszkód, czy brutal.

— A może do buchaltera? —

— Nie. —

— Do kasy? —

— Nie. Do dyrektora. —

Młodocianą duszę praktykanta, wobec takiego uporu, ogarnęła rozpacz. Zwrócił się do najbliższej instancji:

— Panie Groser, — ten pan ma interes do pana dyrektora! —

Groser poleciał dalej:

— Panie Wajcenzang, — ten pan ma interes do pana dyrektora. —

I tym razem droga instancji tutaj się skończyła, zważywszy, że najbliższą już był sam poszukiwany.

Buchalter mruknął więc tylko, jako stwierdzenie rzeczy, ku kasjerce, drażniąc ją: — Pani sły-
szy, — ten pan ma interes do pana dyrektora. —

Opuścił swój pulpit i poszedł kroczek ku powstrzymywanemu jeszcze wciąż na uwięzi przez najmłodszą siłę kantoru. Lecz, zanim rozpoczął pertraktacje dyplomatyczne, zawilsze i dłuższe od tych, jakie prowadzą z sobą w politycznych zagadnieniach mocarstwa, — wszedł, — czy przeczuciem wiedziony? — poszukiwany, odnosząc kopjał.

Okazało się w mig, że gość jest ajentem od sprzedaży towaru, wielce przezeń zachwalanego, lecz nie mającego nic wspólnego z działalnościami „interesu“. Tem więcej rzutki przedstawiciel „kłódek patentowanych“ nastawał.

— Może do kasy? —

— Mamy żelazną. A jak ją nam mają rozbić, to żadna kłódką i takby nie pomogła. —

Nie mogła wogóle mieć zastosowania. Uznał to nakoniec, lubo niechętnie, „gość“ i odszedł.

— Prosiłem, żeby nie dopuszczać do mnie nudziarzy! —

Ba, — nieszczęście dyrektora, że się pojawił. Ale też może przedtem, gdyby nie owe korowody, możnaby się już było pozbyć „nudziarza“.

Tak przesądził Skalski, dzieląc winę między przypadek a kolegów, obrażonych z chwilą, gdy szef znów zniknął. Rutyna jest świętą i na niej stoją obyczaje handlowe.

Pracował tak długo, nie zważając na rzeczy, dziejące się wkoło, i odgraniczając się swą pracą od nich, aż, podnosząc głowę, ujrzał przed sobą — pejsy. Były to pejsy znajome. Żyd-faktor — zjawisko, nietylko wiejskie, ale i miejskie.

— Bardzo dobre loterje...

Któryż to już raz niez mordowanie za swym interesem biegający żydek, zachwalał mu „przez wszystkie rabiny zagwarantowane, lepsze jak państwowe“ ...

Ale Skalski niegrał. Nietylko, że mu się dość problematycznem wydawało, czy potem, w danym razie, nie będzie trzeba docierać aż do jakiego cudownego cadyka po wypłatę. Uważał pieniądź, włożony w taki „interes“, za stracony. Łudzenie się — wygraną...

Wyliczenie świetnych szans go nie przekonywało. Próbował nawet kiedyś, z ołówkiem w ręku, dowieść kolektorowi, że są naprawdę bardzo małe.

— Zawsze pan stawkie może wygrać — odpie-rał ów.

Za to kantor grał cały, — nawet panna Stasiak, tylko że w inną, jakąś „lepszą“.

Z ściąganiem rat były pewne trudności i ztąd częste wizyty stałego ducha kantoru.

Docierał nawet do gabinetu dyrektorskiego, wyrzucany ztamtąd nieodmiennie.

Władysław, oburzając się trochę, śmiejąc się trochę, podziwiał zabieglivość rasy. Taki niedoje, niedośpi, przemęczy i zamęczy się, często bez wyniku, narazi się na tysiące przykrości i upokorzeń, aby dopiąć celu, zarobku. I prędzej swego kawałka — śledzia nie przekąsi, aż póki interesu nie załatwi. A nasz — od szyneczku zaczyna...

I tym razem żyd wtargnął, nieustraszony, do pokoju, z kąd jeszcze dolatywały odgłosy rozmowy szefów.

Wyszli nakoniec obydwaj, wraz z kłaniającym się wciąż, lubo interesu nie zrobił, handełesem.

Humory dyrektorów poprawiły się, w nagłym przeskoku uczuć handlowych, które gdy tymczasem zamkną, jakkolwiek nieprzyjemną, kartę życia czyli kopjał, przechodzą odrazu energicznie do innych wrażeń.

— Cóż, panie Hantower, będzie wojna? — żartował, nie poraz pierwszy w tym sensie, z handlarza losów pan Wolski. Nie można przypuszczać, żeby informacji, stale zasięganej od Hantowera, pożądał na serjo. Chociaż zawsze takie żydki mogą czasem coś wiedzieć.

— Będzie. Japańce wzięli nowy kredyt, — to poco on im potrzebny? —

Wiadomość o kredytach „japańców“ była jednakże zasiągnięta z jakiejś już starszej gazety i nie zrobiła należytego wrażenia.

Za współnikiem, bardzo starannie, jak zawsze, ubranym, wchodził powoli, podpierając się laską „papa“ Treter. Powłóczył nogami, zartretyzowanymi. Na nich korpus krótki, gruby, kwadratowy, w szarem, bez szyku, również kwadratowo pociętem odzieniu. Twarz szeroka, złej cery, nabrzmiącej chorobliwie. Na czaszce biel czupryny, przeredzona. Ale oczy, niebieskie, o stalowym odbłyску, patrzyły przenikliwie.

— Wie geht's, Herr Skalski? — Treter był Niemiec, który wprawdzie od kilku lat dziesiątków polonizował się i spolszczył niemał, obojętny na walki narodowościowe a zajęty jedynie handlowymi. Ale chętnie przy sposobności używał swego języka.

Treter miał na ogół, u podwładnych, jak i znajomych, opinię, że „jeszcze nie jest najgorszy“. W interesach twardy. Bez cienia sentymentalizmu. Gotów wyzyskać każdą sposobność i każdego, do ostatniej nitki. Ale ceniono w nim wielką pracę i siłę rozumną. Z niczego prawie, z pięciu palcy stworzył wielką fabrykę i fortunę. Młyn był jego dziełem. Pono z fartuchem sam stał początkowo przy wyrobie kaszy i otręb. Kaszę zjadali ludzie w kraju, otręby czworonogi zagranicą. Eksport szedł setkami wagonów.

Stary, schorowany, jeszcze dziś był osiã, nadającã rozpęd i regulującã obroty. Znał siã na wszystkim. Jego w kaszy nie zjeść.

W oczach podwładnych, drżących przed nim, bo był wymagający i surowy, a mało stykając siã z nimi osobiście, znał jednakże cnoty i przywary, uzdolnienie i braki ka¿dego na wylot, — zyskiwał w ka¿dym razie jednym, sprawiedliwością.

— Omawialiśmy wlaśnie kwestjã Schnabel i Genz, — ciãgnął do Skalskiego dalej, po niemiecku, — pan nic nie zawinił, — zawyrokował stanowczo.

Władysław odetchnął w głębi duszy. Nie poczując siã do niczego i silny niewinnością sumienia, krył jednak tajony lęk, wobec wczorajszej nagany ze strony Wolskiego. Teraz mógł być spokojnym. Wolski był ożeniony z synowicã „papy“, ale jako posag otrzymał tylko stanowisko wspóldyrektora, z sutã pensjã i tantjemã, lecz w zale¿noœci od starego samowładcy.

Więc, skoro Treter przemówił, Skalski nie ma siã czego obawiać.

Stary umiał ocenić pilnego i pożytecznego pracownika.

To był pierwszy jasny przebłysk w tym dniu, świecącym zresztã słonecznie w szyby.

Treter, zajrzawszy jeszcze tu i owdzie, zbadawszy w mig wszystko, odjechał siwkami Wolskiego, — które uznawał tylko pod kątem widzenia pożyteczności. Rzucił jeszcze, na pożegnanie,

obietnicę gratyfikacji, równającą się w jego ustach zapewnieniu. Wiedział, czem podnieść zapał pracujących.

Na razie coprawda, zwłaszcza że Wolski poszedł do młyna, — pod wpływem radosnego zwiaśtowania, praca, mająca wzmódz się w następstwie tem gorliwiej, ustała, ustępując chwilowo miejsca rozkosznym planom, snutym na poczet oczekiwanej dokładki.

— Panie Wajcenzang, czy Altvater jest zupełnie dobry? — zapytywał Groser, którego marzeniem był wyjazd do wód zagranicznych, nie tyle w celach kuracyjnych, ile dla zabawy.

— On jest wyżej pari — potwierdził pierwszy buchalter, który zaraził młodszego nostalgią znanej sobie miejscowości.

— Jabym pojechała do Krynicy — pouczyła panna Stasiak, dodając zaraz, że co do siebie ograniczy się do koniecznego jesiennego żakietu.

— Pfu, — Krynica — to są stare i młode histeryczki — wiedział buchalter.

— A Altvater — kobietki szyk, co? — dopytywał kolega.

Kasjerka, w nastroju żakietowym, nie podjęła rękawicy i szczęście oczekiwania utwierdziło ogólną zgodę.

Przy obiedzie tylko, spożywanym na miejscu, z łaski niejakich zdolności kucharskich stróżki, Groser nie zapomniał przymówić Czosnkowi:

— Pan pięćdziesiąt procent obiadu panu Skalskiemu odjada! —

Skalski miał litość nad praktykantem, którego nie stać było na objady. Chłopak miał trzydzieści rubli pensji, a z domu pono nic. Przytem potrzeby — nadetatowe. I, utrzymując, że nie jest głodnym, towarzyszył biernie spożywaniu wytworów stróżowskiej kuchni, — która była licha, lecz suta. Władysław więc oddawał mu z reguły część swego obiadu.

Czosnek niby się żenował przyjąć, ale, proszony „pò koleżeńsku“, zawijał, aż mu się uszy trzęsły. I wesolek mu w tem nie przeszkodził.

Skończono posiłek, w bocznym pokoju, na cel ten, jako też i na skład rupieci przeznaczonym, i przeniesiono się z włączoną do obiadu herbatą na zwykle posterunki. Bo dyrektor, mogący się lada chwila znowu zjawić, niechętnie patrzył na maruderstwo przy jedzeniu.

Południe już minęło dobrze, dzień był ciepły i pod jego wpływem, oraz procesu trawienia, ociężałość zaległa w sali. Buchalter drzemał widocznie, wesolek ziewał, panna Józefa pochyliła skroń na podparte dłonie i być może, że harmonizowała wyjątkowo z panem Wajcenzangiem.

Ale kroki w gabinecie pobudziły odrazu ospałych. Dyrektor! — Nie. W drzwiach stanął młodzieniec dwudziestoletni, o wcale ładnej, jeno przyblakłej bardzo twarzy, z ładnie utrzymanym maleńkim, jasnym wąsikiem, o troskliwie uczesa-

nych, nieco ciemniejszych włosach, odziany bardzo elegancko. Gdyby nie trochę podobieństwa do starego Tretera, mógł uchodzić za złotego młodzieńca, bogatej klasy miejskiej, wwanego przypadkiem w miejsce, gdzie zgrzytały tryby pracy.

Edward Treter stał i otworzył usta do ziewnięcia. Potem wyciągnął scyzoryk z kieszeni, otworzył go i ostrzem począł sobie skrzętnie czyścić paznokcie.

Załatwiwszy się z tą czynnością, złożył i schował scyzoryk, podszedł do Skalskiego, przywitał się z nim, dość grzecznie, podaniem rączki.

— Co słyhać? — i odpowiadając sam sobie: — Mielicie wizytę! — Stróż go oczywiście już uwiadomił o bytności ojca.

Otworzył klapę pulpitu, przy którym miał miejsce, wspólnie a naprzeciwko Władysława. Zdjął mankiety, przyprawne, jedyną skazę na elegancji.

Nie witał się z innymi. Do towarzyskiej rangi Władzia miał może mimowolną i nieprzyznaną słabość, — zresztą buchaltera i jego pomocnika nieznosił. Przypilali go do pracy, — on ich posądzał o malwersacje.

— E, panie — Czosnowski, proszę o książkę główną. —

Zagłębił się w niej. Pracownik był bystry i zdolny, o ile mu się chciało. Nie potrzebował też tak bardzo, jako syn firmy.

Przez wzgląd na niego zwykłe rozmówki od pulpitu do pulpitu nie rozpoczęły się.

Pracował dwie godziny bez wytchnienia, prosząc tylko od czasu do czasu Władzia, by sprawdził, w ślad za nim, dodawanie kilku kolumn cyfrowych, celem wykluczenia wszelkiej omyłki.

Odłożył narzędzia pracy, bardzo porządnie, poszedł, pod wodociągiem w rupieciarni obmyć ręczki, szorując je, w punktach, atramentem splamionych, „kamieniem“, wywabiającym w lot plamy, założył mankietki i podszedł do buchaltera.

— Panie Wajcenzang, ja jestem z bilansem tak daleko, że za dwa tygodnie najdalej możecie z nim skończyć. —

Mówił chłodno, stanowczo. Podał również chłodno rękę, kiwnął filuternie pannie Józii i, wychodząc, zatrzymał się jeszcze przy Władysławie.

— Pan się żeni, słyszałem, — życzę panu wiele dobrego. —

Uśmiechnął się, — jak się Władziowi zdawało, życzliwie.

Wiedział pewno od Wolskiego.

— Od „a“ zaczyna się — arogancja — odezwał się, po jego wyjściu Groser.

— Co pan mówi? — wmięszała się w tej chwili panna Józefa.

— Nic, — tak sobie, — czy mi nie wolno się odezwać? —

— Niektórych ludzi dni w kantorze są policzone — przepowiadała proroczo.

— A pani będzie bilanse układać?—zgadywał, z trochę gorzką ironią, pierwszy buchalter,—bo to jest taka bagatelka, którą dziś—każde niemowlę potrafi!—

— Jak może się pan tak wyrażać o panu Edwardzie?

— O panu Edwardzie?—Naszą kochaną pannę Józefę porównałem do niemowlęcia i powinna pani mi być wdzięczną za komplement!—

O piątej kończył się tu dzień pracy. Przed czwartą Władzio już ukończył swą robotę. Listy, w trzech językach i alfabetach, polskim, rosyjskim i niemieckim, w każdym równie pięknie pisane, a co do treści tak doskonałe, że sam Władzio uważał, iż udały mu się, przytem bez żadnych poprawek, klamr, wykreślań czy wyskrobywań,—leżały w tece, gotowe, złożone za pośrednictwem Czosnka na dyrektorskim stoliku, do podpisu. Koperty już też były zaadresowane własnoręcznie. W tem właściwie Marjanek powinien był się wprawiać, ale korespondent zauważył, że ogólny pomocnik postępuje sobie z adresami, zwłaszcza obcojęzycznymi, lekkomyślnie i fantazyjnie, tak iż listy, o zgrozo, wracały lub zawieruszały się bez ratunku. Wziął więc Skalski dodatek pracy na siebie. Jeszcze trzeba było potem młodzieńca pilnować, żeby marki odpowiednio i wogóle nakleił. Najnie-milszym i uwłaczającym firmie jest bowiem dopisek w odpowiedzi: Tytułem wyłożonego za WW. PP. porto pozwoliliśmy sobie Szanowne conto Ich obciążyć na sumę...

No, ale będzie Marjankowi patrzył na palce i rzecz będzie w porządku. Chyba, że kanalja jeszcze, odnosząc listy na pocztę, marki obślini i odklei... Lecz już raz dał mu do zrozumienia, że w wypadki na poczcie nie wierzy, więc smarkacz chyba się będzie strzegł.

Tymczasem miał Skalski chwilę zupełnego wypoczynku i pełną myślą zwrócił się do tej, dla której pracował. Praca była wyężdżająca i zmudna, okraszona przykrościami, ale dawała chleb,—chleb, który będzie z Nią dzielił. I jak uroczu, gdy Ona go, po dniu pracowitym będzie oczekiwać. Te cudne wieczory, które mogą spędzać razem.

Bo — dzień do pracy — noc do spania — słodki wieczór do kochania.

Ciepły, serdeczny uścisk miłej rączki, słodkie usta, podane do pocałunku...

Takie życie miłem być może, miłem będzie, szczęśliwem.

Troski tak dalece nie zagrażają. Ma uznanie Tretera starszego, życzliwość młodszego.

Uzupełnił jego zadowolenie Wolski,—czy pod wpływem współników? Listy odesłał podpisane, bez najmniejszej zmiany, zarzutu czy wzmianki. A zdarzało się, że szykanował, marudził, niezadowolony z tego czy owego wyrażenia, dziwiąc się przykro, że intencji jego nie rozumiano, dano im zgoła opaczny wyraz. „Rutynowany korespondent, panie Władysławie, powinien“... duchem świętym,

odgadywać myśli szefa, nawet gdy się czasem, zanim list napisze, zmienia.

Ale dzisiaj nic z tego. Wszystko było widocznie w jaknajśliczniejszym porządku. Łaska dyrektora spłynęła jeszcze wyraźniej.

— Mogę pana zabrać z sobą, — jest dzisiaj miejsce w powoziku.—

Czasem zabierał którego z podwładnych, w powrotnej podróży „do miasta“, oszczędzając mu fadygi i wydatku. Ale trzeba było, żeby się na taki wypadek zeszły dwa czynniki: wolne miejsce w powoziku i dobry humor właściciela. Pierwsze zdarzało się częściej, gdyż pan Edward zazwyczaj odjeżdżał rychlej. Siwkom nic nie szkodziło, gdy się przekłusowały raz więcej. Dyrektor, dosiadający skrupulatnie do piątej w biurze, opuszczał je zwykle ostatni. I jechał sam. Dobijano się nietyle o wygodę ile o zaszczyt podzielenia z nim miejsca. Wajcenzang prosił poważnie, motywując konieczność obmówienia jeszcze jakiego interesu w drodze, wesolek żartem dobierał się do stopni, panna Józia miała tkliwe wejrzenia i żalosne westchnienia,—praktykant patrzył tylko z żalem, bo jego zaszczyt nigdy nie spotkał. Ale wszystkim, oprócz chęci zaskarżenia łask przełożonego, drażniła skórę, naiwnie wypowiedana, chęć przejechania się „powozem.“ Kto nim nigdy nie jeździł... Na Skalskiego ów czar nie działał; prosić i wkraść się żebraniną w przychylność nie umiał.

Ale miłem mu było wyróżnienie, zaznaczające się bez jego współdziału.

Władysław, imiennik, zdjawszy czapkę, stworzył bramę i siwe ruszyły, ścigane zazdrosnymi spojrzzeniami pozostałych.

Władysław „pan“ zabawiał się w drodze bardzo przyjemną rozmową z dyrektorem, który był zupełnie uprzejmy, nie poruszając i nie zaznaczając niczem stosunku służbowego. Zapytywał, lekkim tonem,—o, jak się rozmawia z znajomym,—o szczegóły pobytu Skalskiego w Taraspie i na wsi,—o narzeczoną, jak się Władysławowi wydawało, z dużem zainteresowaniem. Jednem słowem był uprzejmy, prawie serdeczny, tak, iż towarzysz gotów mu był w tej chwili odpuścić zupełnie wszelkie krzywdy, jakich kiedykolwiek od „władzy“ doznał. Bo też i trzeba było władzy przyznać, co mu kiedyś w jakiejś szerszej chwili dyrektor napomknął, że komenda nad zbieraną drużyną, żydowsko-niemiecko-polską, z różnymi odcieniami, łatwą nie była. Raz tu popuścić cugli, a było się zgubionym. Niewinni musieli pokutować za winnych.

Co do „winnych“ odznaczył jeszcze dyrektor sąsiada dowodem zaufania, pytając nagle, prawie w chwili, gdy Władysław miał wysiadać:

— Co też pan sądzi o Wajcenzangu?—

Skalski znał posądzenia, krążące w około osoby buchaltera. Podstawowych danych jednakże, tak samo jak „władza“, nie posiadał. Powiedział

to, przytaczając tylko, co jemu się podejrzanem wydawało.

— Otóż mamy do pana prośbę, żeby pan współdziałał z nami w poszukiwaniach. Gdyby pana to miało narazić na kolizje z Wajcenzangiem, to pan wiedz, że pan ma w nas oparcie.—

Dyrektor przemawiał nietylko w swoim, ale i w spółki imieniu. Zwracał się w kwestji dyskretnej z prośbą, skierowaną do osobistości a nie do podwładnego, którego równocześnie wyróżniał zaufaniem z pośród wszystkich i awansował na pierwsze miejsce.

Czy na wyszczególnienie nie wpływał wzgląd na zaręczyny Skalskiego, na ustalenie się jego jako poważnego w niedalekiej przyszłości ojca rodziny?

Tak uboga Stasiuleńka wносиła w wianie mężowi korzyści, nie wyrażające się jeszcze w cyfrach, ale brzemienne przyszłością.

W najróżowszym więc humorku jej przysły mąż pożegnał się z dyrektorem na rogu Wspólnej.

Wolskiego siwki uniosły dalej, w Aleje, ku dyrektorskim penatom.

Władzio, przystanąwszy chwilę, gonił wzrokiem za końmi, przypatrując się ich akcji, jak wyrzucały w górę kopyta, przyuczone do modnego, efektownego, wysokiego kłusa.

Ale nie zazdrościł dyrektorowi powozu, ani koni, ani żony, brzydkiej, ani żadnej rzeczy, która jego jest.

Miał swoją Stasię.

Czuł takie wezbranie uczuć w sercu, że, chociaż trochę zmęczony, nie tylko duchowo, ale fizycznie, całodzienną pracą, postanowił się jeszcze przejść w Ujazdowskie, spacerkiem, przy wabiącej pogodzie.

Pływały tam tłumy, sznurami po obu stronach ulicy, gdy wewnętrznym jej korytem sunęły powozy i dorożki, dwu- i jednokonne, taksametrowe i—bez taksy, jako też motorem poruszane,—czasem „prawdziwy“ automobil, prywatny.

Postrojone panie i eleganccy panowie.

— I to niby w Warszawie nikogo niema — zamienił uwagę z jednym z napotkanych znajomych. Rozdawał ukłony, powitania, udzielał wieści wesołej, odnośnie swej i Stasiuleńki osoby, odbierał powinszowania, życzenia.

Świat jest ładny i ludzie są dobrzy!

Tak szczerze cieszyli się z jego narzeczeństwa.

Uściskawszy kilka dłoni po drodze, dotarł, zachęcony powodzeniem, prawie aż do Belwederu, dziwiąc się własnej rzeźkości i ochocie do przechadzki. Nie kochał się w ruchu. Wczoraj dowlókt się wprawdzie również daleko, ale było to więcej machinalnie, jakby popychany troską. Dzisiaj było mu dobrze i wesoło.

Tu jednakże było już puściej i mała sposobność spotkania jeszcze kogo, z kimby się swoim szczęściem podzielić.

Ku miastu, środkiem alei, sadził dużemi susa-

mi pies, zapóźniony może za jakimś powozem. Przypomniał patrzącemu Ralfa i Próchnówek. Z przeciwnej strony w całym pędzie nadjeżdżał automobil. Co będzie? Zetkną się. Pies nie ustępował, aut też nie. Wreszcie, w ostatniej chwili, kierownik samochodu, że pies był duży i mógł spowodować może wykolejenie, usiłował wstrzymać maszynę. Szybkochód, nieprzygotowany na nagłą ustępliwość przewodnika, zaprotestował, obracając się w koło własnej osi i wjeżdżając na bankiet.

— O, zląkł się psa! — zawyrokował przechodzący andrus.

Czworonóg tryumfująco pogalopował dalej.

Władzia rozśmieszyła scena i dowcip warszawski.

Wieś ma swoje miłe strony, zapewne, ale czuł, że mu stolica swym ruchem, swemi murami, swym ludkiem przyrosła do serca.

W domu—była kartka od Stasi.

Ten dzień był dobry.

Takich więcej!

X.

Panna Hela wstała od rana, a była piękną, jak sam ranek. Wypoczęła już po Warszawie, o ile u hożej panny wogóle mowa być mogła o zmęczeniu. Co najwyżej nóżki trochę bolą, „zbrokdownowane“ na twardych, kamiennych taflach chodników i na asfalcie, gdy zazwyczaj, jeżeli nie po kwiatach i murawie, to przynajmniej po drogach i drózkach, dalekich od brutalności posadzki miejskiej, stąpać zwykły.

Przespała się i ot, noc, matka dobrotliwa, zdjęła to trochę ociążałości z członków, jak najlepszy lekarz, który, dbały o zdrowie swego pacjenta, małą dawką wypróbowanego lekarstwa postawił go znów odrazu na nogi. Dziewczyna czuła się rzeźką i wypoczętą, zdrowej i najlepszej myśli.

Wrażenia z pobytu w Warszawie też jej nie zatakowały zbyt. Kazik Błoński się starał o nią. Prawda. Rzecz była nowa, poniekąd przyjemna, z drugiej strony wymagająca, żeby się główką trochę pomęczyć nad rozważeniem i rozstrzygnięciem kwestji. Ale to nie było tak dalece pilne. I zdawała sobie doskonale sprawę, że rozstrzygnięcie nie

zależy od niej wyłącznie, nawet przeważnie nie od niej. W miejscu rodziców są dziadus i babcia, którzy, jak w innych, uprzednich wypadkach, przemówią ważne słowo. Wiedziała, że jej wprost nie przymuszą do jakiegoś wstrętnego jej związku; ale wiedziała także, że bez ich życzenia nawet życzony przez nią związek z trudnością się zrobi. Tradycja, której się poddawała, świadomie, o tyle inteligentniejsza od przeciętnych panien na wydaniu, wyobrażających sobie w naiwności serca, że ino one kierują własnym losem. I zastanawiają się głęboko, podług wszelkich reguł kochania, czy przyjąć łaskawie oświadczyny szepczącego miłe słówka konkurenta, czy też niegodzien jest ulitowania; gdy tymczasem rodzice, zajrzawszy do hipoteki zięcia—nie-zięcia, już postanowili i w mniej czy więcej zręczny sposób dadzą sroczce sposobność ogłoszenia podpowiedzianego jej wyroku, jako własnego.

— No, widzisz, żeby był brunet—zdradza prze-zorna matka—sama mówiłaś nieraz, że naprawdę kochać się możesz tylko w brunecie. To jest dzieciństwo, moja droga,—ale nuż potem się taki na twojej drodze życia zjawi,—gdy będzie zapóźno.—

— Ty go nie chcesz, — a patrz, jak — inna go łapie — ojciec ma doświadczenie i znawstwo męskie serduszka kobiecego za sobą.

Hela wiedziała, że takiej komedyjki nie będzie. Powiedzą jej poprostu: życzymy sobie,—albo: nie

życzymy, — z pełnem, rozsądnem uzasadnieniem. Na nie czekała.

Czekała trochę z niepewnością i lękiem. Zawsze jest rezykowne wyjść za tego właśnie, a nie za innego. Chwila zwrotna, stanowcza w życiu kobiety. Jej los, dobry czy zły, jej cała przyszłość, życie i szczęście, lub niedola.

— Przeznaczeniem kobiety jest małżeństwo— mówiła babka. Pewno. I panna Hela bynajmniej nie miała ochoty wędrować przez życie samotnie. Koniecznie do pary, rozumie się. Tylko, z kim? Już mniejsza, brunet czy blondyn,—rudawe wąsy też mają coś szczególnie marsowego, — ale po za tem, miły, niemiły,—dobry, niedobry,—porządny, nie porządny? Różnorodność typów, przymiotów i wad męskich jest duża. Oczywiście nie będzie perfekcja, księżę z bajki. Była rozsądną. Ale— jaknajmilejszy.

Kazik wcale nie był najmilejszym. Ztąd obawa. Lecz pytanie nie nagliło i dlatego spokój jej duszy był dość trwały. Zresztą niech najpierw wypowiedzą swoje—tamci.

Babka była za Błońskim, dość wyraźnie. Nie, żeby, kobieta doświadczona i rozumna, zamykała oczy na jego błędy, ale miała wogóle dużo pobłażliwości i wyrozumiałości dla młodych; chłopak zyskiwał ją sobie szczerością, serdecznością i wyrażnem zabieganiem o względy starszej pani. Był też najwyraźniej „mocno zajęty“ wnusią, którą ko-

chała bardzo i oddawane Heli hołdy przyjmowała za nią wdzięcznie.

Udzieliła swych spostrzeżeń i, pośrednio, rady młodej. Gdy dwie kobiety pozostaną same,—zdybały się dwie Marysie i gadały o tem—co po wiek wieków najwięcej niewiastę interesuje.

Ale dziadek Tadeusz jeszcze nie przemówił. A ten był głową rodziny.

Więc była chwila pauzy.

Tymczasem, po prawdzie, czarną pannę najwięcej kłuło w serduszkę wspomnienie o pewnym panu, który tam w Warszawie — włóczył się po ogródkach.

O nie, za takiego nigdy!

Lecz o tem niema co myśleć. Skończone. Było—minęło.

Hela wyszła do ogrodu.

Nie, żeby podlewać kwiatki.

Zajmowała się ogrodem. Ale od robót ręcznych był ogrodnik. Pomogła mu czasem, alić zresztą pani domu winna być głową, nie ręką; inaczey mechanizm gospodarczy cierpi na zbytnej gorliwości osi.

Tylko trzeba było się przekonać, o ile „le jardinier“ nie ustał w pracy w około Piękna podczas niebytności nadzoru.

A iskrę Piękna piękna panna miała w sobie, ów promyk świetlny, który opromienia kołyskę wybrańców losu, listek róży, który im dobrotliwa boginka składa na poduszce. I po życia kres nic

poezji złota wije się przez szarą codzienności przędzę. Świeci słońce, pachną kwiaty, choć burze wokół, choć wokoło śmietnik życiowy.

Tylko nie odbierać takiemu wybrańcowi fortuny obrączki złotej, którą nosi, niewidomą, znak ślubu z pozaświatem,—bo zginie...

Jak kwiat bez rosy, jak ryba bez wody—usycha.

To trochę poezji w życiu jest mu wszystkim, jest mu niezbędnem.

Zresztą mogą to być ludzie zupełnie praktyczni i „odpowiedzialni“ życiowo.

Hela była z nich. I, oglądając hodowle ogrodnicze, cieszyła się ich krasą i wonią, uśmiechała się do nich przyjaźnie, jak do istot żywych, miłych sercu, i zdawało jej się, że z równą poufałością wdzięczą się do niej.

Ogród w Darzynie nie był tuzinkowym, wiejskim ogrodem, jakich, porządnych zresztą i zadawałających mniej wybredne wymagania, napotkać wiele.

Tu przyczyniało się położenie do odrębności typu.

Dom mieszkalny, względnie nowy, bo budowany przez dziadka, piętrowy, stał na wzgórzu i spadał tyłem ku ogrodowi, który, rozłożony na lekkiej pochyłości, przerywanej nierównościami gruntu, prowadził aż do wąwozu; tam ongi — utknęli Władysław z Helą.

Wzory kwieciste, wbrew zwykłej pstrokaciznie, z jednobarwnych kwiatów złożone,—grupy drzew,

po części rzadkich, w których lubowała się pani Majewska,—grota, w pół naturalna, w pół sztuczna, — altany, — wszystko rozmieszczone bardzo zręcznie i z dużym gustem, — zaszczyt przynosiły połączonej pracy biegłego ogrodnika-założyciela, sprowadzonego ongi umyślnie do stworzenia planu, i wykonawczyń, któremi, pomijając najgrubsze mechaniczne mozoly, były panie miejscowe.

Dziewczyna stwierdziła, że wszystko jest na swoim miejscu, zaniepokoiła się tylko nieco mizernym wyglądem sosny srebrnej i zaalarmowała ogrodnika. Potem, rozglądając się daremnie za rodzieństwem, które się, z zwykłą samodzielnością, rozproszyło od samego rana, wydosłała się z ogrodu boczną furtką na drogę wiejską.

Wieś, przytulnie, usadowiła się częściowo naprzeciwko płota ogrodowego. Domki porządne, po trochu murowane, świadczyły o dobrobycie, przyjazne pokłony ludzi o dobrym stosunku do dworu.

Starzec, którego nawet chciwa na siły człowiecze współludność wiejska zwolniła ostatecznie od wszelkich posług, grzał się na przyźbie na słońcu. Miał jeszcze coś marsowego w sobie i rękaw pusty, zwieszający się od ramienia.

— Cóż, Mikołaju, będzie wojna?—

Niektóre pytania powtarzają się stereotypowo, „na lądzie i na morzu.“

— Chyba na wiosnę, proszę panienki, — bo wojna to już zawsze na wiosnę.—

— A w kościach nie drze?—

— At,—rewematys! Żeby tak panienka znowu do posmarowania...

Było posądzenie, że stary eks-wojak nawet mrówczany spirytus, bez lęku, wypija.

— No, a sadłem wysmarować?—poleciała inny środek wiejski, niemniej wypróbowany, jakkolwiek niedowierzająco panowie lekarze mogą się nań zapatrywać.

— Hano, — toć psyjdę! — Kieliszek wódki był zawsze przytem pewny, wyjątkowo. W tym wieku się już nikogo nie odzwyczai...

Dwa maleństwa, w pociesznie z dłuższych poprzerabianych szatkach, dygnęły, z wielką powagą i bardzo ślicznie. Ochroniarka miejscowa kładła wielki nacisk na ogładę towarzyską.

— Do ochronki, Hanusia? — a Frani co w nogę? Chodź, to się opatrzy. — Ale dziewczynki zapewniały, że owinięta jeszcze szmatkami stopa już zupełnie zgojona, tylko matka kazali, coby na nią nie nastąpić. Natura uprzedziła rękoczyn lekarski i chętna samarytanka mogła tymczasem zapakować swoje przygotowanie chirurgiczne.

W ochronce, wybielonej i wymiecionej do czysta, niewiasta niepewnej urody i niepewnego wieku przewodniczyła robótkom ręcznym ze słomy, włókna drzewnego, a nawet z papieru i płótna. Okazało się także, iż najmłodsza młódź wiejska, idąc drogą kultury i postępu, wpaja w siebie ze skutkiem nowe wierszyki, obwieszczające, w każ-

dym razie do rymu, proste i niezawikłane hasła życiowe. Nie była to poezja, ale w całym przedsięwzięciu praktycznem tkwiło ziarnko piękna.

Tak zeszedł dzień do południa. Ale potem, pracowita i „spółeczniczka“ miała sposobność powtórzenia sobie, że jednak miasto daje więcej—pokarmu duchowego: Prawda, że zajęcia miałyby i tutaj więcej, gdyby była rzeczywiście panią domu. Ale główny zarząd trzymała bądź co bądź w rękach, słabnących, ale jeszcze czynnych, babka; trochę była nawet, naganiając, — o ile tego wogóle było potrzeba,—wnusieć do roboty, o swoje prawa zazdrosną, jak to u starszych pań, i trzeba było z nią być ostrożną w samorzutnych poczynaniach. Wiedziały o tej słabości podwładne osoby, i tak niebardzo lubiące, by się pośrednie władze wtrącały do ich czynności; więc i na tę stronę trzeba było dyplomatyzerować.

Nie przychodziło to miłej, rozsądnej i ujmującej wszystkich dziewczynie trudno, ale zawsze ograniczało jej pole działania.

Tak,—zawsze małżeństwo dla kobiety, to jest samodzielność, przynajmniej w zakresie zajęć, objętych władzą słabszej połowy.

— O,—nasz pan, to się i do świnioków wtrąca — skarżyła się wprawdzie kiedyś klucznica Kazia Błońskiego—a gęsi już chciał skasować!—

Ale to jest odwieczna wojna pomiędzy panami a pańmi, na tle zagadnienia, czy damski inwentarz, robiący szkody w polu i wyciągający, nie-

znacznie, korzec za korcem, ze śpichrza, zbyt nie szkodzię pugilaresu męża na rzecz pończoszki z oszczędnościami żony.

I—zwykle w tej wojnie wytrwałość, cierpliwość i chytrych kobieca wygrywa.

Lecz, że nie było z kim jej prowadzić, więc przyszła bojowniczką syciła się przez drugie pół dnia przeważnie pokarmem duchowym, przywiezionym z Warszawy, w postaci najnowszych wydawnictw książkowych.

Panna Majewska była inicjatorką śmiałego projektu. Szereg domów okolicznych, za jej staraniem, założył „czytelnię latającą.“ Każdy składał pewną kwotę; ze zgromadzonej sumy zakupywano perjodycznie książki, które serjami miesięcznymi obiegały z jednego dworu do drugiego. Przy końcu roku rozlosowywano je.

Zaufanie zrzeszonych powierzyło wybór dzieł projektodawczyni. Zadanie nie było łatwe, zważywszy, że żądania były różne, od najskrajniej konserwatywnych do silnie postępowych. Oczywiście przeważało zapotrzebowanie powieściowe; niemniej dzieła historyczne i naukowe były poszukiwane.

Uwagi publiczności na marginesach mogły być cenną wskazówką dla krytyki.

„Bibliotekarka“ więc zajęła się przywiezionym, nowym zapasem. W części były tam rzeczy „zamówione“ na ogólne czy liczne życzenie, dzieła

rozgłośne czy ulubionych autorów; resztę dopełniał wybór Heli.

Nie dopomógł w nim w Warszawie Kazik; przyznał się otwarcie do nieświadomości zjawisk ducha ludzkiego, na papier przelewanych.

Książek było w paczce kilkanaście i co czytać na cały szereg dni. To też ograniczała się, w przedsmaku rozkoszy, do „przejrzenia,“ przeczytania tu i owdzie kilku lub kilkunastu kartek, czasami od końca, ile że kobieta zawsze przedewszystkiem ciekawą jest, czy kochająca się para zwalczy wszelkie przeszkody i do ołtarza dobieje, przyczem zbrodnia zostaje pokaraniem, a cnota wynagrodzoną. Albo też dobrze jest, aż popłakać się nad losem niešťczęsnej heroiny i wtedy jest „git.“

Czego nierozumiejący powieściopisarze puszczają się na bezdroża psychologiczne, nie wiedząc, że kobieta ceni naukę i pożąda jej „głośno,“ lecz po cichu,—dziecko, lubi—bajkę.

Trzeba było też porozcinać kartki. Służył do tego bardzo piękny srebrny, płaski, jakby nożyk na długiej, rzeźbionej ręczce.

Hela przypomniała sobie minę hrabiego Rysia, gdy kiedyś, na wizycie, bawiąc się machinalnie cackiem, wziętem ze stołu, zapytał o jego pochodzenie.

— Tem dziadek mój, rabin, karty talmudu przewracał—odparł z uśmiechem pan Tadeusz.

Babcia, trochę arystokratka, niezupelnie była zadowolona ze szczerzego wyjaśnienia.

Ale wnuczka śmiała się. Ów, dla niej już pra-pra-dziadek, z rabina żydowskiego protoplasta polskiego rodu, w oczach pra-pra-wnuczki był osobą za odległą, mistyczną niemal, w legendzie wieków tonącą i zamierzchłą, żeby odczuwać jeszcze jakąś nić żywotną, łączącą ją z nim.

Czuła się i była tak polką, jak więcej nią być nie mogła którakolwiek z cór tych pól mazowieckich, które posiane na nich ziarno przyjęły i wchłonęły w siebie, zamalgowały najdoskonalej z własnymi kłosami, zmieniły we własny owoc.

Tak ongi litewską krew i rusińską, tatarską i pruską, w bujnej swojej w krew serdeczną narodu przemieniła Rzeczpospolita.

XI.

— Wyjeżdżam jutro wieczorem,—a bez mojej wólczki nie wyjadę! — zapowiedziała wtedy Hela Kazikowi. Oświadczenie brzmiało nieco sprzecznie. Jakże? — Najpierw, nieodwołalnie „wyjeżdżam“, a potem „nie wyjadę“. Ale zrozumiał doskonale: czego sobie życzę, oto mi się pan aż do jutrzejszego wieczora wystarać musi. Nie pytał więc. Nie zwrócił też uwagi na znamiennej okoliczność, że przecież Wisła jakoś zielony z niebieskim umiała na sobie pogodzić. Postarał się. Tylko już sam nie zajeżdżał dwukonki. Powierzył sprawunek jednej z tych znajomych, które się chętniej do nas przyznają, niż my do nich. Odnalazł taką na poczekaniu w teatrzyku. Za hojną zapłatą podjęła się miła, uczynna — i przystojna nawet — osoba przysługi, nie wchodzącej w zwykły zakres jej funkcji. Jako eks-szwaczka była do wykonania polecenia zupełnie uzdolnioną. Kazio załatwił sprawę, wymknąwszy się, pod pozorem bufetu, z kądem rzeczywiście przyniósł paniom cukierki. Hela chrupała cukierki zdrowymi ząbkami i uśmiechała się. Nie był pewnym, czy jakim nieszczęsnym

przypadkiem nie podpatrzyła konferencji. A trudno było wyjaśniać. Że to wszystko w jej interesie, dla niej.

Na drugi dzień podzięka nie wypadła tak entuzjastycznie, jak sobie obiecywał. Widocznie, zdaniem panny, — dosyć miał przyjemności, że włóczki szukał. Taka jest wdzięczność. I, jadąc razem z paźmi, też nic więcej nie osiągnął nad — serdeczne, prawda, — zaproszenie do Darzyna, ale — od babci. Panna kpiła sobie nawet niemiłosiernie, że dla niej skraca pobyt w miłej Warszawce.

Lecz Płoński był uparty, z mazurska. Zresztą znana rzecz: konkury są zawsze jednym pasmem męczarni, potęgujących się tylko jeszcze w czasie narzeczeństwa. Królewę, którem jest w Polsce kobieta w obec wszystkich mężczyzn, z wyjątkiem ojca i męża, — używa swoich przywilejów najbezwzględniej na osobie chwilowego niewolnika, przyszłego władcy. Może w jasnowidzeniu przyszłej niewoli. Więc trzeba znosić wszystkie kaprysy — cierpiący. Taka już ogólna zasada. Tem silniej się potem babę weźmie za kark. Im wyżej cielę przedtem ogona zadziera, tem potulniej potem będzie musiało z ręki jeść.

Nie było zresztą powodu, żeby dostać kosza. Najwięcej małżeństw robi się dla tego, że niema powodu, żeby się nie zrobiły.

Klucznica *vel* gospodyni u Kazika, — po której Stasiuleńka zaofiarowanego jej uprzejmie następstwa objąć nie chciała, — zresztą osoba bardzo go-

dna, osadzona tu dla opieki nad Kaziowym dobytkiem przez jego matkę, w dalszej okolicy mieszkającą, — żyła w przyjaźni z ochroniarką z Darzyna. Te panie odwiedzały się nawet częściej, o ile im dwory użyczały bryczek, a osią rozmówek podczas wzajemnych wizyt były owe dwory. Potrzeba było jeno odpowiedniego nacisku z strony dziedzica, żeby fonograf powiadamiał go stale o wypadkach przeszłych i przyszłych u państwa Majewskich.

Gdy więc karetą wiozła panią Majewską z wnuczką do Próchnówka, z rewizytą a zarazem sprawozdaniem z obrad warszawskich, równocześnie tarantas Kazika grzmiał ku temu samemu celowi podróży.

Własnoręcznie powożącemu trochę nieprzyjemnie było się w Próchnówku pokazywać, z względu na Stasię, ale z drugiej strony należało się podziękowanie pani Rudowskiej za serdeczną troskę, z jaką zajęła się gościem w chwili jego nieszczęśliwego wypadku.

— Myślałam, że pan znów w Warszawie? — powitała go ironicznie Hela. Ale, że była dobrą dziewczyną, więc złagodziła:

— Jednak jest pan wdzięcznego serca, że pan przyjechał podziękować pani Rudowskiej za jej uprzejmą opiekę nad panem.—

Przecież domyślała się chyba, że nie dla tego, właśnie w ten dzień, się zjawił, i brzmiało to, jakby była rada, że za nią pogonił.

I naprawdę ujął ją znów szczerością, z jaką się pierwszy, w obec pani Zofji, do swych win przyznawał.

— Przedewszystkiem przepraszam szanowną panią za fatalny wypadek, któremu sam zawiniłem, i za przestach i ambaras, który Jej sprawiłem...

W oczach słuchającej Heli czytał: — Dobrze, chłopusiu!

I odzyskiwał dawną buńczuczność.

— Ale teraz kto się mną zaopiekuje?—Patrzył jej prosto w oczy dziarsko, a z prośbą.

— Nie jestem ajentem od ubezpieczeń!—śmiała się. Ale wzroku nie odwracała.

Siedział przy niej przy podwieczorku i była między nimi w każdym razie najlepsza komitywa.

Nawet, gdy później wyciągnął papierosa, sama, podając mu pudełko, zapaliła mu zapałkę. Dziewczyna, w towarzystwie męskiem młodych sąsiadów i towarzyszków zabaw, w imię równouprawnienia wyświadczyłaby może i innemu podobną grzeczność, na którą starsze panie, jako zbyt daleko idącą i roniącą coś z praw królowny, patrzyły niechętnie. W każdym razie Kazik, przytomnie, niby dla ułatwienia manipulacji, złapał za rękę, przytrzymując ją z wymownem spojrzeniem, siarczystszym od siarki, płonącej w jej palcach.

Dziewczyna zaczerwieniła się. — Puść pan, bo sobie opalę paznokcie.—

— Nie będzie czem drapać! Tem lepiej.—

Ostatecznie były to, wszystko razem, żywsze przekomarzania się, pod oczyma całego towarzystwa, tem więcej więc na pozór bez głębszego sensu. Ale—miło jest być tak obleganą, usilnie i zacięcie. Chociażby, żeby mieć sposobność do bronienia się. A najupartsza forteca zazwyczaj broni się tylko tak długo,—aż się podda.

Na tym terenie walki więc Kazik skarżyć się nie miał prawa. Gorzej mu poszło tam, gdzie raczej z góry byłby był poddał się chętnie, unikając wszelkiego starcia.

Stasiuleńka wyszła do gości, pomimo że wiedziała, iż wśród nich jest Kazik. Rudowska nie wiedziała bardzo, co na to powiedzieć, a raczej jak jej postępowanie, pod względem towarzyskim, osądzić. Stasia powinna była unikać spotkania z Błońskim. Mogła nie wiedzieć o jego pogardliwym wyrażeniu, tak jak on, witając się z nią z wyszukaną uprzejmością zaznaczał zachowaniem swem, że owo powiedzenie zalicza do rzędu plotek, — prawdziwych, ale które się dementuje tem usilniej przy pierwszej sposobności.

Panna Józefowicz *mogła* pokryć obrazę mantylką nieświadomości udanej. Szatka bywa wprawdzie zawsze dziurawą i wyłazi przez nią podszywka wspomnienia i przypomnienia; jednakże ocala pozory.

Ale taktowniej chyba było uniknąć zetknięcia się z — dziedzicem, dać mu, niepokazując się, nauczkę.

Przytem, jeśli w sercu Stasi było prawdziwe uczucie dla Kazia, to mogła sobie oszczędzić bolesnej przyjemności oglądania niewiernego.

Jednakże Stasiuleńka postąpiła inaczej. Nie było rzeczą pani Rudowskiej przeszkodzić ani krytykować głośno postanowienie narzeczonej brata.

Jeszcze najprędzej można jej było przebaczyć, że właśnie w roli narzeczonej, aby pognać swym tryumfem odstępcę, pokazać się chciała.

Nauczycielka więc zaznaczyła odrazu widoczną skłonność mszczenia się na zdrajcy.

Już, gdy gość, uzupełniając sprawozdanie pań, dodawał niektóre szczegóły z pobytu w Warszawie, mścicielka ironiczną minką i pogardliwemi, niezawsze stosownie umieszczonemi, wykrzyknikami i docinającemi pytaniami zdradziła skłonność do występu jako strona zaczepna.

Kiedy ostatecznie Błoński, szukając przedmiotu neutralnego, wdał się w obszerniejszą opowieść o przedstawieniu, na którym był łącznie z pañmi, i wspomniał o „Wiśle“, odszukając cieplejsze zwroty piosnki,—słuchaczka odezwała się, ni z tąd ni z owąd, tragicznie:

— Los Wandy jest losem wszystkich kobiet!—

Orzeczenie było bardzo głębokie i niebardzo zrozumiałe. W każdym razie domyślano się, że prelegentka chce powiedzieć, iż mężczyźni do rozpaczliwych czynów doprowadzają kobiety, i Błoński, zniecierpliwiony i podrażniony już, palnął:

— W stawie próchnowskim utopić się nie można, bo za płytki! —

Na to Stasia zerwała się od stołu i wybiegła z pokoju, trzasnąwszy drzwiami.

Sytuacja więc była zupełnie wyjaśnioną.

Gospodyni domu jakoś zarzuciła most przez rozwierającą się przepaść, litując się nad nerwami, które u istot narzeczonych drgają, jak wiadomo, niepomiernie wrażliwie, i dając równocześnie, prawnem starszej kobiety i dobrej znajomej, energiczną burę panu Kazimierzowi. Rozmowa poszła dalej.

Na ogólne uspokojenie nerwów uradzono przechadzkę. Jadzia podjęła się ukojenia tymczasem przyszłej wujenki, gdy niewdzięczna Maniusia wolała się zająć czynnością spostrzegawczą w obec kojarzącego się tutaj przed jej ciekawymi oczyma związku. „Związek“ szedł przodem, pod nadzorem grubaski, toczącej się chyżo na nóżkach i toczącej niezmordowanie języczek na ostrzu udzielanych słuchającym nowinek.

Więc, że Stasiuleńka jest bardzo rozkochana w wujku, co zresztą nic dziwnego, bo wujek, lubo nieznośny i dokuczalski, jest bardzo kochany wujek, i że wprawdzie jego kochająca siostrzeniczka wolałaby młodszego męża, — czy państwo byli teraz kiedy u państwa Wismanów w Górkach? — ale miłość słodkiej Stasi jest ponad wszelkie wątpliwości. I wujek też ją kocha, — więc będą szczęśliwi, prawda?

Kocham,—kochasz,—kocha,—słowo to odmieniało się wciąż, suggestywnie. Starsze panie, stąpające śladem młodzieży, Rudowska zwawiej, lecz babcia już nie tak raźnie, pozostały w tyle. Szli łączką, minawszy ogród i staw.

Słońce grzało jeszcze pięknie. Łąka, zasiana różnobarwnem kwieciem tak, że podstawowe zielone tło kobierca ledwo przez fantastycznie pstry deseń przeglądało, kładła im się pod stopy. Szli z początku z obawą, czy nie ulgną, bo wkleśnięcie było, wiecznie mokre. Ale Hela miała solidne, żółte amerykany na nogach, nie koniecznie tak zgrabne, jak balowe pantofelki, lecz nie obawiające się wilgoci. I sunęła śmiało naprzód, ku drodze, którą miano powrócić. Kazik, by podążyć za swą panną, musiał dobrze wyciągać nogi, — w lakierkach, bo jego stosunek z Próchnówkiem był etykietalniejszy.

Bał się, że chlupną gdzie w wodę, — zawsze kwestya piętnastu rubli, — ale bodaj i lakierki stracić, byle pannę zyskać.

Przedsięwziął mknącą raźnie łanię osadzić w miejscu. Dreptająca obok nich Manusia nie znowała go.

— Śliczne, te kwiatki—orzekł. Kobietę kwiatki nie zainteresują? Czarna Hela przystanęła. Ogarnęła wzrokiem łączkę. Koła i pasma lila, niebieskie, białe, czerwone, żółte, przedzierzgane jedne przez drugie, składały się na jaskrawy kilim impresjonistyczny. Malarzowi, któryby ten obraz

wiernie oddał, zarzuconoby przesadę, nadużycie i nieuporządkowanie barw. „Ot,—pobryzgał pędzlem i mówi, że to tak wygląda!“ — Może zresztą byłby wolał zrobić trawę niebiesko a kwiaty zielono, bo i to potrafią.

— Śliczne—stwierdziła Hela.

I ucieszyła się, że jej towarzysz odczuł wrażenie piękna. Nie posądzała go o taką — sentymentalność, sympatyczną.

Ale już znowu zepsuł, co osiągnął.

— To dla tego, że grunt taki mokry, — objaśniał.—Wartoby osuszyć. Prawda, że to niewielkie i znacznych kosztów wkładać nie warto, ale zawsze rów porządnym wyciąć — wskazywał kierunek odpływu, fachowo, z szybką orientacją. — Żeby pani widziała, jakie rowy są na moich łąkach, — główny, to jak fossa. —

Mogła odpowiedzieć: ciekawabym zobaczyć. Ale nie odpowiedziała. Manusia tylko wyraziła swą ochotę zwiedzenia także tamtych przestworów. Ale ta nie była pożądaną.

Hela była zła na siebie, że bierze młodemu gospodarzowi za złe jego praktyczność. Przecież sama nie była niepraktyczną, — przeciwnie. Lecz czasem to trochę poezji w życiu wzdraga się na spotkanie z prozą.

Do kolacji wyszła — Stasiuleńka. Obyło się bez wzajemnych przeprosin czy tłumaczeń. Słodka Stasia tylko, oparta o ramię Jadzi, była

doléante i mdlejąca. Pannie Heli wychwalała niesłychaną delikatność swego narzeczonego, jakiej u mężczyzn znaleźć rzadko. Niepokoilią się tylko, że niema dotąd od niego wiadomości. Ach, te poczyty!

XII.

Stasiuleńka wstawała teraz później. Śniadanie kazała sobie przynosić do łóżka. Lekcje były — albo nie były. Wobec tego Jadzia znalazła czas do napisania „noweli“, której bohaterką była sama, łącznie z młodym człowiekiem, zadziwiająco podobnym do Konstantego hr. Rysia. Były tam i łyzy i przysięgi i opór rodziców; ostatecznie bohaterka wstępowała do klasztoru. Co do bohatera, to początkująca autorka miała jeszcze wahania, czy i jaką śmiercią mu kazać umrzeć. Natomiast Manusia kulała się wesoło po ogrodzie i po podwórzu.

Rudowska chodziła mocno niezadowolona. Ale cóż było począć z „najstarszą córką“, teraz przyszłą bratową. Nie można ją było dłużej traktować, jako nauczycielkę. Jeżeli od czasu do czasu odbywało się jeszcze coś w rodzaju nauki, przeplatane rozmówkami o — miłości, to już była jej łaska tylko. Może inna postępowałaby inaczej. Lecz ostatecznie wakacje i tak miały się rozpocząć niedługo.

Stasia używała też teraz w szlafroczkach, dawniej

surowo w Próchnówku wzbronionych. Zdaje się, że właśnie ten rodzaj garniturów był w jej garderobie najobfitszym i cieszył się jej szczególnem upodobaniem. Więc występowała albo w owym białym z zielonym, albo w słomiano-żółtym z niebieskim szlaczkiem, chociaż pono jej w nim było najmniej do twarzy, lub w różowym fularze, karbowanym w riusze, który był — istne marzenie. Przybierała też widomie na ciałku, jeżeli się nie chce powiedzieć, że tyła.

Było jej zresztą z tem poniekąd ładnie, lubo zatracala doszczętnie swe pozory eterycznej wiotkości. Ale, co kto lubi, — gust turecki czy secesję.

Turczynki są gnuśne, a secesje histeryczki. Bo kobieta jest zawsze zło.

Przyszła perła, jedyna, haremu Władzia do zupełnego szczęścia odczuwała tylko jeden wielki brak, mianowicie pierścionka, który miał jednak przyjechać razem z narzeczonym w najbliższym czasie, gdy wypadną dwa święta, to jest niedziela i święto. Jedyny moment, kiedy urzędnik bez urlopu może na dłużej, jak dwadzieścia cztery godzin opuścić mury miasta, w którym znajduje się jego biurko. Tak długo trzeba było czekać, cierpliwie. O urlop nie wypadało przecież Skalskiemu tak zaraz po powrocie prosić. Wygląd pierścionka był już ustalony. Miał być z brylantem. To „najnoblejszy“ kamień i mający zawsze pozór najkosztowniejszy. Zresztą siostry miały też brylanciki. Tylko jej będzie większy. Spodziewa się tego

po hojności magnackiej Władysława i nie zawiedzie się.

Pani Zofia miała w pierwszej chwili, gdy narzeczeństwo się ustaliło już nieodzownie, myśl, żeby ofiarować bratowej stary pierścionek rodzinny, zachowywany właściwie dla prawdziwej najstarszej córki. Brylant. Dość duży i jeszcze otoczony mniejszemi, podług staroświeckiego zwyczaju. Kamień, piękny nawet bardzo, lubo starą modą szlifowany i wysoko, jakby niezdarnie, na grubej obrączce osadzony. Po wojewodziance Opalińskiej, z wielkiego wygasłego rodu. Poszła za szlachcica tylko, miennego, jak to zwyczajem było rodzin magnackich poczynać z zbytmiemi córami, dla zyskania sobie aliansem popleczników wśród wpływowych ziemian. Wiana wielkiego nie wносиła; za to spis klejnocików i szatek, bardzo długi, pozostał. I pozostał piestrzeń, na który zdobyła się duma szlachecka, nie dająca się zjeść w kaszy panu wojewodzie.

A szkoda była, zaiste, tego, co się, w przebiegu wieków, niewiadomo gdzie i kędy, rozkruszyło.

Więc koszule i giezła z nadołkami, bogato haftowanemi jedwabiem barwistym o wpuszczkach neselkowanych, drogie płótna flamskie i koleńskie, jedwabie i atłasy, ale też skromniejsze czamlety i muchajry, z wełny, jednakże kryzemi ozdobione,

Zaś, z klejnotów, korony, bramki, kanaki, zasznice, noszenia, manele, pontały, ferety, pierścienie.

Jako to noszeniczko złote, z rubinami i djamencikami całe; w środku osoba biała na koniu, pod koniem jeleń i pereł czternaście.

Pereł sznury dwa łokietne urjańskich.

Kałakuckich pereł sznury łokietne dwa.

I wiele pomniejszych rzeczy zdobnych, skrupulatnie wyliczonych.

Ale iście koroną wszystkiego była „korona, kompartmentów 13 w sobie trzymająca“, w nich złotych, szmelcowanych kaszчыków siedm, w każdym rubin przedni i pereły cztery w okół, tudzież kaszчыków pięć z rubinami mniejszemi.

A zacni i rozumni ludzie tę koronę na więcej niż dziesięć tysięcy złotych szacowali.

Było.

Ongi.

W takie więc śliczności strojna, szła panna wojewodzianka do ołtarza. A wkoło niej szmer re-spektu szedł, boć — Opalińska. Młodą i piękną była? Niewiada. Konterfektu nie pozostało. Prędzej starsza i nie tak przedniej urody, skoro ją w godne ręce „pana brata“ oddawano. Gdyby piękności rarytet był, łacniejby się może, jaki godniejszy amator zjawił. Ale gdy z dziewczki pożytek innego aliansu być nie mógł, magnat ją szlachcicowi zlecił.

Kochała-li swego męża, ta pierwsza, co ów piestrzeń nosiła? Pewno, — po ślubie. Boć taki zwyczaj był. I czemuż niewiasta nie miałaby kochać swego chłopca? Dziwnemby to było. Że nie

z miłości, szła, — częstoż o nią w owych wiekach pytano? Zdarzałoć. Ale zawsze to rzadki kwiat paproci był, co jeno raz w rok kwitnie.

I stała dobre były. Na ogół.

Dowód, że z miłości, w poezji szaty ją przestrajając, niepotrzebnie ludzie coś niezziemskiego robią. Tak myślała pani Zofia Rudowska, — tak chciała myśleć.

I dlatego nie ofiarowała Stasi pierścionka, do którego — zdawało się jej może — jakby tradycją była przywiązane, że właścicielka jego wchodzi w związek małżeński bez miłości. Właśnie ona tak go nosiła. I pamiętała swe łzy nad nim. Nawet dla Jadzi każe go przynajmniej przerobić. Albo będzie inny, a ten niech, jako zawsze pamiątka rodzinna, zostanie. Trudno, i najrozsądniejsze kobiety mają swoje zabobony.

Niechże jej brat kochany przynajmniej miłość ma w swym związku.

A Jadziuchna — matka czytała utwór, śmiejąc się — tworzy sobie imaginacyjne zapory, byle rzecz naturalną owiać upajającym wieniem romantyzmu. Ot, głupstwo dziecinne. Chociaż Stasiuleńki zdanie, wyrażone przytem, brzmi, że pani Rudowska widać ma raczej umysłowość męską, niż uczuciowość kobiecą. Bo zniżyć miłość do rzędu zjawisk powszednich, zwykłych, równoważyć ją z głodem naturalnym, który nietylko, wyłącznie, jakaś specjalnie dla nas wypieczona bułka zaspokoić może, ale tak samo niejedna inna... Tak, że niema

powodu z owej jednej bułki robić mistycznego chleba. Nie uganiać się za ową jedną, tylko znaleźć szczęście życia, spróbowałszy z inną, która nam się może sama w ręce wsuwa. Bez tragedji.

Stasiuleńki poglądy, z którymi występowała teraz stanowczo, były inne. Kochający się to byli raczej, jak dwie połowy bułki, które do siebie przynależą, i trudno sztukować odłamaną połowę inną.

Jak, praktycznie, umiała pogodzić swe zapatrywania z faktem, że w miejsce jednej, zawieruszonej połowy, Kżazika, wstawiła Władzia i jakoby pasował doskonale, — niewiadomo.

Tymczasem, tyjąc, „schła z miłości“.

Po za nieobecnością pierścionka, niepokoila ją też nieobecność listów z Warszawy. Spodziewała się od narzeczonego i od siostry, Lichtowej. Do Anny pisała na drugi dzień po wyjeździe Władysława, a raczej w ten sam dzień jeszcze, tylko, że list mogła wyprawić dopiero w następny. Do pozostałych sióstr i znajomych poszły również zawiadomienia, ale później, i ztamtąd jeszcze powinszowań być nie mogło. Od Władzia był nie list, ale karta, zaraz po przyjeździe do Warszawy, z zapowiedzią długiego, obszernego listu, w którym wypowie „więcej“. Tymczasem na karcie, mogącej być czytana przez wszystkich, powołanych i niepowołanych, jak to z odkrytkami bywa, ograniczał się do czułego ucałowania rączek. Był powolny i systematyczny, — starszy pan! — więc

potrzebował trochę czasu na „obszerniejsze“ wyjęzyczenie się. Wysłała mu w zamian też tylko kartkę, — po co takiego psuć zbytnią łaskawością? Ale dlaczego Lichtowa nie odpisywała? Stasiuleńka gotowa ją była posądzić o — zawiść. Jej listu była ciekawszą, niż Władziowego, który cóż mógł powiedzieć nowego. Że swą panią kocha? To jego psi obowiązek. A niepokoju o niego mieć nie potrzebowała. Pewny był. Taki się nie cofnie. Gdy raz słowo dał, Skalski staje u ołtarza. To nie Błoński, — po swojemu też zresztą szczerzy. Ci szlachcice są prawdomówni, — to trzeba im przyznać. Aż za prawdomówni. Błońskiego trzeba ukarać. Skalski powinien wyzwąć go na pojedynek. Tylko nuż sam przytem poważniejszą szkodę poniesie? Nie można tak upragnionego i nakoniec pozyskanego męża lekkomyślnie narażać. Nie była jeszcze zdecydowaną, jak to zrobić, i odkładała wykonanie swego planiku na później. Słusznie. Zemsta jest potrawą, którą należy spożywać na zimno.

Lecz zwierzyła się Jadzi, że narzeczony „powinien pana Błońskiego rozumu nauczyć“, Przez córkę, marzącą o wszelkich romantycznych powikłaniach, odgródka doszła do Rudowskiej. Zadrżała o brata. Słodka Stasia zaczynała serce jej napępniać coraz większym niepokojem. Gołąbka pokazywała pazurki, coraz drapieźniejsze.

Chociaż układ miała zawsze gołąbki. „Tęskniąc“ za narzeczonym, wybiegała na drogę, wprawdzie

nie jemu naprzeciw, ale mleczarkowi, który miał przywieźć pismo od lubego. Wybiegała nawet już wtedy, gdy jeszcze pisma być nie mogło. Działo się to zwykle pod osłoną nocy, bo furmanka najczęściej zabierała w powrotnej drodze z miasteczka różne sprawunki, nieodzowne potrzeby domowe, jako to chleb naprzykład, którego już na wsi się nie piecze, i mięso, od czasu gdy z dominialnych zwierząt jedynie jeszcze czasem wieprzka się bije na miejscu, na Wielkanoc. Hej, „ryby, grzyby i wędliny“;— grzyby jeszcze tylko pozostały z cnót wiejskich, — o ile rosną. Furman był maruda, drogi wiorst kilkanaście, — wracał po południu, wieczorem, czasem późno. Więc, o ile go nie było do kolacji, Stasiuleńka porywała za kapelusz, — ochronę od blasku księżyca, — i parasolkę, — od psów. Rozpina ją się i nadstawia kundysowi. Zanim się przez zaporę przedrze, zawsze zyskuje się na czasie. A, który głupszy, pomyśli, że fuzja, i drapnie z podwiniętym ogonem.

Jadzia była stale najgotowszą towarzyszyć przyjaciółce.

Aliści na drugi dzień po bytności Majewskich i Kazika złożyło się z przechadzką inaczej.

Spadli, czyli wpadli, bo konno, do Próchnówka Kot Ryś z Tosiem Wismanem „do swoich panien“. Najazdy takie były częste, jak wogóle życie towarzyskie kwitło w zżytej z sobą od lat okolicy.

Może najmniejsza była łączność pomiędzy Bierzewem a Górkami, ale wspólne cele sprowadzają

do jednego mianownika. Gwarno więc i wesoło zrobiło się znów w Próchnówku. Młodzi dokazywali. Stasia na równi z nimi, jakkolwiek od czasu do czasu stroiła buzię w smętny uśmieszek i wzdychała, dość głośno i widocznie, aby było posłyszaniem i zauważeniem. Za nim. Nie dziwota,—nie miała pary. Pogoda sprzyjała. Grano w tenisa, przyczem nawet bardzo dobrze się złożyło, że była piątka, bo, na zmianę, jedno mogło odpoczywać. Po wielu udanych i chybionych piłkach, których ocena połączoną była z zażartami sporami,—„dla odpoczynku“ rzucono się na kołobieg. W tej gimnastyce wprawdzie Stasiuleńka nie brała udziału, jako starsza i bojąc się zawrotu głowy.

— Żeby pani widziała, jak się Hela Majewska huśtała z nami, rok temu! — zachęcał Toś, — ta umie!—

Ale Stasiuleńka już w tenisie więcej odznaczała się w sporach, niż zacięciem do gry.

Za to dziewczęta domowe i młodzi z tem większym zapalem jęli się nowej zabawki.

Słup był solidnie i głęboko wbity w ziemię, z grubego, zdrowego drzewa zrobiony. Od wierzchołka, przytwierdzone do ruchomego, obracającego się poziomo koła, zwieszały się grube, mocne sznury, z węzłami u dołu, za które zachwyciwszy, należało się odbić stopami od ubitej w koło ziemi, by wnieść się w powietrze, z regularnym opadem i wzlotem znów. Przyjemność była „boska,“ jak twierdziła Manusia. „Ikarowa“ poetyzowała Jadzia.

— Jaka? karowa?—przedrzał Toś.

— Są osoby, które widać myślą o zielonym stoliku.—

— A inne o niebieskich obłokach.—

Młode towarzystwo przekomarzało się niewinnymi, beztroskliwymi żartami, przeplatając niemi sport ulubiony.

Rzeczywiście nawet niby poważna Jadzia wlatywała, literalnie, ku obłokom, nie mówiąc o Maniusi, którą nadchodząca, by wołać na kolację, matka dojrzała właśnie, o kilka stóp od ziemi, w położeniu prawie zupełnie horyzontalnem zawieszoną i fruującą.

Pani Zofja nie była sama. Towarzyszył jej papa Wisman, śmiejący się tubalnie, jak zwykle. Ale Rudowska była zasepiona. Sąsiad przywiózł nowinę, która ją dotknęła. Poczwiec był, w swoim rodzaju, specjalistą od plotek, a przynajmniej wiadomości lokalnych. Całymi tygodniami siedział w domu, gospodarując zawzięcie i doskonale. Ale, gdy się raz wydostał, najczęściej za interesami do miasta, po drodze nałogowo wstępował do sąsiadów po „co tam słyhać.“ — Wdowiec jestem, nie mam do kogo się spieszyć—tłómaczył się—dzieci powydawałem z domu, z wyjątkiem mojej najmłodszej „flancy.“ — Niemniej zapewne po trochu i miłość ojcowska do niecałkiem słusznie tak zwanej flancy przywiodła pana Karola w jego objeździe okolicznym na koniec tutaj.

— Wie sąsiadka? panna Hela zaręczona z Błońskim,—to były pierwsze jego słowa po powitaniu z gospodynią domu.

Rudowska prawie że nie chciała wierzyć, lubo pocziwy „szwab“ był wielo—lecz prawdomówny.

Jednakże widziała wczoraj u siebie dwojga, dziś jakoby narzeczonych, i zamiary Kazika były wprawdzie jasne i nieukrywane, lecz również niedwuznacznie panna dawała do zrozumienia, że się conajmniej jeszcze mocno waha. I, nagle, tak odrazu...

Ale nie można było wątpić. Sąsiad trafił do Darzyna, po południu, „akurat w pół godziny potem.“ Data więc zaręczyn była najdokładniej i najsumienniejszą ustaloną. Mniej przyczyny i bliższe okoliczności. Chociaż co do ostatnich pan Karol chętnie ze skarbcza swych wiadomości, otwartego na rozcież, udzielił, co wiedział. Czyli, zdaje się, było tak: Błoński, przy pożegnaniu z paniami Majewskimi, zapowiedział im się na obiad, czemu babcia nie chciała, czy nie uważała za konieczne przeszkodzić, a panna może nawet i nie bardzo w tak gwałtowną zapowiedź wierzyła. Tymczasem pan Kazimierz, na samym wstępie rozmówił się bardzo poważnie ze starym Majewskim i szczerością i otwartością, jak również okazywanem gorącym uczuciem do wnuczki, tak sobie zdołał przedjednać i ująć dziadzię Tadeusza, że dziadek wyraził się o nim, w jego obecności, przychylnie do

Heleny. To wystarczyło. Kazio jej się oświadczył z miejsca, i już.

— Panny są jak gruszki, — aby mocno drzewem potrząsnąć, już lecą — śmiał się rubasznie Wisman.

Z dalszych szczegółów wypadło, że zdobycie twierdzy nie było taką igraszką, jak przesądzał.

Pan Tadeusz sąsiadowi, dziwiącemu się, że tak szybko poszło, przyznał, iż sam nie spodziewał się, że wnuczka tak odrazu i właśnie tak rozstrzygnie. Panna Hela zaś wobec prześladowającego ją dociekliwością swą badacza zaślониła się wolą dziadka. Wyglądało to trochę na nieporozumienie. Dziadek, nie mając racji odmawiać prośbie młodego człowieka, czy może się starać, pozwolił mu próbować szczęścia; nie myślał jednakże wpływać, tak ni owak, na postanowienie wnuczki. Uznawał Błońskiego za porządnego, z wybaczalnymi „ale,” człowieka i nie stawiał, jako głowa rodziny, swej woli jego zamiarom wpoprzek. A ciąg dalszy zależał od Heli. Tymczasem wnuczka zrozumiała, że dziaduś tę kandydaturę poleca. I, gdy Kazik, korzystając z omyłki czy z łutu szczęścia, oświadczył się stanowczo, rzetelnie, uczciwie i zapewne z całego serca, — odpowiedziała „tak” — na odpowiedzialność dziadka.

Tak sobie mniej więcej rymowała Rudowska dramat, niesłyszany na własne uszy, ale do sklejenia z podanych jej najważniejszych urywków. Dra-

mat — dla niej, Rudowskiej, która, mając przed oczyma czyn dokonany zaręczyn brata z inną, jednakże, prawie nie przyznawając się sama przed sobą, miała wciąż jakieś niewyraźne złudzenie, że— może się jeszcze jakoś zrobi inaczej. Aż tu klamka zapadała, z tamtej strony. I zapadała głupio, przez omyłkę. Znała podobne wypadki w tragifarsie omyłek, która zbiorowo nazywa się: życie, z rozdziałami: miłość, małżeństwo, szczęście. Niejeden sam nie wie, z kąd mu się tak udało, — niejedna, dlaczego wyszła za męża, za tego, a nie za innego. Ktoś przypadkiem, niechcący, trącił jej rękę i dała wianek zamiast koszyka. Wyjaśnia się— po ślubie. Zapóźno.

Czasem się to jakoś ułoży. Nawet najczęściej. Gdy się dwoje porządnych ludzi dobierze. A „zmylona“ połowa znajdzie sobie inną.

Nie rzadko też zewnętrzny nacisk przyspieszył jedynie rozwiązanie, które byłoby i tak nastąpiło w tym samym kierunku. Hela była bardzo samodzielna. Stary Majewski bynajmniej nie despotą. Jednakże Błoński, uzyskując z góry jego zgodę na wszystko, co się stanie, postąpił równie prawidłowo, jak zręcznie. To był bardzo poważny atut w grze młodego człowieka. Pan Tadeusz znanym był jako charakter prawy i nieskłonny do układow. Był zupełnie zdolnym, gdyby sobie nie życzył kogoś na męża dla wnuczki, powiedzieć mu to, równie grzecznie jak stanowczo. Ale, gdy raz

pozwolił na konkury, pozwolenie rzeczywiście równało się poniekąd poparciu z jego strony. A Hela nie tylko kochała dziadka, ale i ceniła. Postępowanie jego było dla niej wskazówką, za którą byłaby prawdopodobnie poszła, nie dziś, to jutro czy później.

Zresztą starą zasadą, przed którą uginają się najromantyczniejsze i najsentymentalniejsze, jest: nie odrzuca się porządnego człowieka.

Porządny—to charakter i pozycja, a reszta są—poezje.

Więc — nie przebieraj panno — abyś nie przebrała—i zamiast kanarka—wróbla nie dostała.

Chyba, że tam w serduszku miłość tkwi, najgłębsze z uczuć, a od stworzenia świata z zasadami w wojnie. Utrudnia trochę położenie. Lecz serce Heli chyba było wolne,—widocznie. O ile nie przypuszczać, że właśnie *par dépit* się tak pospieszyła.

W każdym razie Rudowska stała znów przed rzeczą dokonaną.

I przed huśtawką bujającą.

— A to spódniczki fruują — grzmiał naiwnie Wisman. „Szwab“, wrosły w ziemię, na której po pracy ludek oddaje się ochocie szczerzej, a mało o salonową pruderję stojącej, stał się szlachcicem — rubachą niższego chóru, jak ich kopami znaleźć można.

Rzeczywiście, krótka sukienka Maniusi, wypeł-

nijąca zazwyczaj pocziwie swój obowiązek opieki nad pończoszkami, dopóki jej właścicielka chodziła po ziemi, teraz wypowiadała posłuszeństwo. Najważniejsza, że pończochy były całe, bo z tem w życiu Maniusi bywało różnie.

— O, dobry towar daje mi pani dobrodzika— zachwalał prostodusznie przyszły teść, mając jednakże widocznie więcej na myśli ich wewnętrzną stronę.—Ale i mój nienajgorszy—wskazywał z dumą ojcowską na swego tryskającego zdrowiem chłopaka.

— Dzieci, — dosyć, — kolacja! — wołała Rudowska.

Trwało chwilę, zanim udało się zahamować rozpęd kołobieg. Rozpędu wesołości i języczków młodocianych nikt nie usiłował zahamować. Bo też zadanie byłoby trudniejszym. Kolacja była „rozumie się“ wesoła. Tylko matka siedziała milcząca. Na szczęście nie potrzebowała się wysilać na rozmowę z gościem, który znakomicie się bawił z młodymi. Nowina, przez niego przywieziona, rzuciła w kąt dalekiej przeszłości nawet rozważania tenisowe.

— Za trzy lata i my się zaręczymy—Maniusia będzie miała siedmnaście, a ja już dwudziesty—tryumfował młody Wisman.

A student politechniki patrzył się na Jadzię. Rumieniła się.

Stasia wyraziła, powątpiewająco, kilka trafnych

uwag o niestałości męskiej, a nawet, wyjątkowej—
i tem więcej potępienia godnej,—żeńskiej, nawią-
żując do aktualnego wypadku. Że osoba, która
„kochała się“ w jej narzeczonym, tak szybko się
pocieszyła, ubodło słodką Stasię. I równocześnie
obniżyło w jej szacunku tego, o którym panna
Hela tak łatwo zapomniała.

XIII.

Na polach elizejskich spotkały się trzy duchy— osoby.

Duchy — mówi się, bo naprawdę widome były sobie wzajemnie i akurat w tych postaciach, w jakich stąpały ongi po ziemskim padole.

Więc pierwszą była osoba, nietyle pięknej urody, ile pięknie przybrana, w sukniach, płci żeńskiej przystojnych. Trudność zmiarkowałbyś, do jakiej nacji przystała. Bo miała, z Paryża zapożyczony, szustokor, *juste au corps*, i z niemieckich unterroków pochodny interak na sobie. Krój szat zaś całkiem dziwny i od wszystkiego odmienny.

Ale miała też na głowie koronę, kompartymentów trzymaście w sobie trzymającą, w nich złotych, szmelcowanych kaszczyków siedm, w każdym rubin przedni i perły cztery w okół, tudzież kaszczyków pięć z rubinami mniejszemi.

Po czem poznać było wojewodziankę Opałińską.

Zresztą było to w polskim kompartymencie elizejskich pól.

Przed nią stała osoba męska, w szacie długiej,

jako ją żydy po dziś dzień noszą. Jenó że szata, czarna, z jedwabiu burgundzkiego była a kołnierzem sobolowym zdobna, jako też czapki sobolowej mąż ów uchylił, grzecznie, przed niewiastą, ale bez pokory, starzec siwowłósy i personat w swym narodzie.

Efraim Majer.

Królów bankier, mąż uczony a przez własny lud o odszczepieństwo posądzon.

I, w czerwonych butach, pan Twardowski, fortelem szlacheckim się na chwil parę od pokutniczego pobytu na pustym księżycu wymignąwszy.

— Czołem państwu! — wołał zdaleka — dali-pan, tom się wynudził na mojem pustkowiu, z Bartkiem ino, co gnój widłami rozrzuca, za całą kompanję, zgoła szlacheckiej osobie nieprzystojną. I nie macie pojęcia, jaki cham głupi. Nic tam nie rośnie i, jako mężowie uczeni stwierdzili, nie urośnie nigdy, a on wciąż mierzwę po śniegu rozwłóczy. Na umyśle porażon jest. Taka jego kara. Moja zaś nie mniej sroga, wysiadywać z nim i na mrozie. Żeby choć gorzałki kufę, jakom na niej kiedyś z Krakowa wyjeżdżał!—

— Zasłużyłeś waszmość na los swój, bluźnierstwami i życiem rozwiążem, a z djabłem się zadając, — rzekła surowo niewiasta, — jeszcze ci się poszczęściło, żeś, już do piekła niesion, rogu miesięcznego zachwyił. Teraz tam siedź!—

Mąż w jedwabiej czerni z sobolem zaś rzekł:

— Łaska Opatrzności wielką jest i, rozpamiętując prawdy stare a do nowych dążąc, zbawienia najść każdy może. —

— Ino moim państwu miłym rzekę, jakem się ztamtąd chocia na chwilę dobył — przerwał niepoprawny — ot, przypatrzcie się mej osobie. Buty — moje, ale kubrak Bartka, com mu go, śpiącemu, zdarł, własną ferezyę dla niepoznaki mu narzuciwszy. Nim się ocknie, wrócę, boć muszę, skoro wyrok taki. Tymczasem się waszmości państwa widokiem i rozmową godną ucieszywszy. O czem dyskurs szedł pod tę porę? Gdybym aspana, pannie, — tfu, daruj, splunąć muszę, bez twej urazy, — Majewski, nie znał jako statystę i sensata, posadziłbym, że w koperczaki do pani dobrodziki uderzasz? —

— Żarty trefne waść porzuć i ustatkuj się narreszcie, bo pora — przestrzegła.

— Łatwiej rzec niż uczynić, a nudów bałem się zawsze gorzej dyabła. —

— Za toś też na nudę samotną skazan! —

— Nie ma gorzej. Urozmaicam ci ja sobie, jako mogę. Zawszeć po blasku księżycowym, gdy miesiąc zaświeci, coś niecoś na ziemi ujrzę, z czego serce się uraduje i gęba rozśmieję — lub czasem skrzywi. —

— Toś gadaj waść, co wiesz, — spytała Opałińska, ciekawości oprzeć się nie mogąc.

A statysta — bankier zawtórował poważnie:

— Poczty ziemskie tak tu nieregularnie dochodzą.—

— Ba, gadać mógłbym choćby całą godzinę. Pokąd noc nie zapadnie. Bo teraz, lubo szara godzina już jest, mój gospodarz się jeszcze po tamtej stronie ziemi przechodzi, gdzie ciemno, aby im też trochę poświecić. Mnie zaś mniej nieznanne strony zaciekawiają i tem chętniej z uwięzi się urwałem. Ale, skoro noc się zrobi, wracać muszę, z powodów trzech, tak wykalkulowanych. Raz, żeby się Bartek nie rozbudził, po wtóre, żem tego, co w naszej ojczystej ziemi się dzieje, ciekawy, a po trzecie...

— Muszę—dowiedział Efraim.

— Tak. Muszę—westchnął Samuel, ale, z frasobliwości się otrząsając, mówił dalej:

— Imaginujcie sobie waćpaństwo, czego to się czasem nie dojrzy. A właśnie to panią dobrodzikę obchodzić będzie, ile, że na jej prawnuka sidła niewieście zastawione są, jako on węcierz na rybę, i już mizerak się w zatrzasku trzeponce.—

Poczerwieniła wojewodzianka z niecierpliwości, o ile duchy w ogóle rumienić się mogą, tak że twarz jej, zasuszona i zawiędła, żółta, naraz niby jabłuszko, szkarłatem przyrumienione, z pośród kryz szerokich w koło szyji długiej i z wśród koronek kwefu wyglądała.

— Mówże waść—rozkazała impetycznie.

— Zaczem pospieszam, miłemu wezwaniu należytą folgę dać—żartował figlarz.—Quaestio taka

jest, iż niebożę na umor rozamorował się w niewieście, na którą i ja bez dysgustu patrzę, co do cielesnych zalet. Aliści ducha lekkiego jest i trzpiot i, co gorzej, swego galana ino za nos, recte za wąsy wodzi, które chłopisko srogie ma, lecz wolę wobec wdzięków płci nadobnej słabą.—

— Azaliż durzy go jeno? —

— Gorzej. Bowiem za niego wyjść chce. A święcie rzetelnego męża nie warta. Ino stroje w głowie a zabawy, małżonek zasię, jako wół roboczy, aby ich dostarczał ichmości. Z niego zaś sobie podwika dworuje pokątnie, a gdy go osiodła, prosto w nos finfy puszczać mu będzie. —

— Toż niema sposobu go obronić od jej natarczywości—zaturbowwała się frasobliwie.

— Amor dziecko jest, z którym ładu dotrafić trudno—zauważył mędrzec.

— Wielka jest aćpana mądrość, co się w mig na jego wnuczce sprawdziło! — oddał kuglarz wet za wet.

— Jakże to?—

— Ano imć panna Helena, dziewczka na schwał, w której dużo krwi zacnej jest a snać mało z asindzieja rozumów, na tychci wąsach serduszko swe zawiesiła. Ino, że spadło k'ziemi, wzgardzone. W te pędy, jako w naturze nie ginie nic, schylił się po nie urwipołec jeden, dobrego rodu i fortuny cnej, lecz na nazwanie owo z innych racji zasługujący. —

— Czemże?—Lekko ludzi nie sądzić. —

— Dalipan, sam na sobie różnemi wyroki ferzję podbitą noszę, jako znajomy mój, pan Łaszcz, inom ją na chwilę pacholowi zostawił. Otóż wiele daruję kawalerskiej fantazyi i szlachcica zdobi, jak skromność pannę. Jednak postępku takiego na sumieniu niemam, jako ów młody, który się o rękę cnej panny dobija a hazardem ją kompromituje. Przez oknom zajrzał do jednego domu w sąsiedztwie, gdzie taki aspekt przedstawił się. Siedziało czterech, przy kartach francuskich, malowanych, i przy winie. —

— Kostera—mruknął bankier.

— Żeby! Byli tacy i wojewodzianki imć stryjec w satyrach swych srodze im dobódł. Lecz ten nie to. Kawaler ostrożny jest i na tem mienia nie straci. —

— Więc cóż mu wasze zarzucasz?—

— Pili godnie...

— I ja kieliszeczka małmazyi, na despekt nikomu, nie odmówiłam — wtrąciła pobłaźliwie niewiasta.

— Wysłuchaj waćpani i osądź. I my pilim, że aż się braciey ze łbów kurzyło, niby od mis z kapustą, i zwady były i burda, lecz jedna rzecz święta: honor, swój i cudzy. Siedzą sobie chłystki, zjechawszy się przypadkiem jakoby, przy szklenicach cieńkich, w których wińsko z szumowinami u góry, lura pewnikiem, i jeden z nich rzecze w te słowa:

— Kazik, starasz się, słyszę, o Majewską, —
kosza weźmiesz!—

— Nie.—

— Tak.—

— O kosza „białego“, że w trzy dni ją do-
stanę!—

Jak się waszmość państwu podoba to? O rękę
panny z zacnego domu niby o wyścig z gończymi
zakład o białą lurę!—

— Horror jest—wojewodzianka wzniosła oczy
ku górze.

— Niegodne—przytwierdził dziad, smutnie.

— I żebyż jeszcze miłość na ekskuzę miał.
Lecz, jeno, by na swoim postawić!—

Trzy głowy pokiwały poważnie, nawet Twar-
dowski.

— Nie tak za czasiech moich było — rzekła
Opalińska, szmerem smętnym a poważnym.—Gdy
młodzian o dziewicę uderzał, wprzód zgody rodzi-
cielskiej się upewniwszy, z powagą do przyszłej
swej przystępował. Acz i żarciki mogą być, przy-
stojne, bo wesołość nie grzech, jeno nie za oczy
i z czyją ujmą. Cale mi się ta rzecz nie podoba
i nic dobrego o stadle, tak poczętem, nie rokuje.—

Tak też zważyli mędrzec i figielkarz.

— Z trzech głów zdania gdy jedno wyniknie,
słuszne jest—mówił pierwszy.

— Bartek nie takby postąpił, choć cham, —
biadał drugi.

Ale, że nie lubił w smutku utykać, więc, chcąc

też kompanję rozweselić, do jinnych rzeczy przeszedł, opowiadając, jako imć pana Skalskiego podpatrzył, gdy od siostry, zacnej niewiasty, za to, że do panny przeznaczonej się nie kwapił, burę otrzymywał. I przedstawił zdarzenie tak śmiesznie, iż się oblicza słuchających nieco rozjaśniły.

— Bo też, kto miłości w sercu nie czuje, trudno mu gwałt zadawać, — rzekła słuchająca, — miłość jest jak miód słodki, a serce tonie w niej, jak mucha. Albo li do pszczoły, miód wytwarzającej, porównać ją można, która pilnie zbiera słodycz kwiatu ukochanego. Lub do lawy wrzącej, którą góry ogniste wyrzucają i pochłania wszystko. —

A mężę dziwili się i ucieszyli, iż tak uczenie i pięknie wywiodła.

— Któż o miłości mówić ma, jak nie kobieta, — odpowiedziała im, — od Safony aż po naszą Družbacką Elżbietę wszystkie my o niej mówim, jeno jensza udatniej, inna prostszym sposobem się eksprymuje, wedle stanu i edukacji. Co na języku, to w sercu. —

— Snać waćpani małżonka miłowałaś srodze — badał mistrz Twardowski.

— Obowiązek mój był — rzekła surowo. Ale potem, zamyśliwszy się, westchnęła i rzekła cichutko:

— Ponoć czasem miłość i wprzód obowiązku przychodzi i wtedy najśłodsza jest. Byle nie grzeszną była. Ale w tej materji ja eksperyencyi niemam. —

Wzdymał się szustokor, pod naciskiem ziober, w których serce gwałtowniej się poruszyło, zasumiał interak, kiwały się kryzy i korona aż się przekrzywiła

Z wzruszenia.

A Twardowski orzekł :

— Waćpani wiekowi nie ubliżając, któremu wspomnienia wigoru dodały, cóż dopiero u młodszych, gdy ich słodka gorączka najdziel —

Efraim Majer przecenił tak :

— W psalmach starego zakonu jeden cały o miłości jest a wszakci i nowy zakon jej nie zakazał. Jako jest rzecz ważna, pożyteczna i zbożna.—

Białą brodę powoli pogładził a sobole spływały mu z powagą po czerni lśniącej jedwabiu.

Zaś Samuel na swe buty i kubrak spojrzął :

— Czas do domu—czas.

Dank Ich mościom za kompaniję.

Na mnie pora.

Nocy skrzydła opadają na tę stronę ziemi, która okrągłą jest jak kula, czegoby nikt nie uwierzył.

Jej galant, księżyc, milczkiem się za nią skrada.

Muszę przysiąść na nim.

Aby zaś mój parobek pod ten czas nie przy marzył z szczętem lub, rozbudziwszy się a szatę bogatą na sobie widząc, z radości pomięszania zmysłów nie zaznał, iż do stanu szlacheckiego podniesion jest.

A że noc jasna, może jeszcze co spsocę.

XIV.

Na ziemi, w Próchnówku, po wieczerzy, był jeszcze zamiar zabawy w chowanego w ogrodzie, ku czemu zapadająca ciemność ofiarowywała się z pomocą. Ale wniósł się w zabawę niepoprawny figlarz, pan Twardowski, każąc miesiącowi świecić tak jasno, że rozświetlał wszelkie ulubione i znane już poniekąd oddawna towarzystwu kryjówki. Na staw, nad którym jedno z spróchniałych drzew stanowiło z ukryć najlepsze—przed paru laty, zanim się tajemnica spróchniałego drzewa rozpowszechniła,—spływały blaski księżyca białym pomostem.

— Po nim duszyczki schodzą na ziemię, na pokutę—objaśniła szeptem tajemniczym Mania.

— Nie wierzę — zaprzeczył student, który był pozytywista.

— A ja się duchów boję — upierała się mała.

— E, co tam z duchami,—przerwał Toś,—wiecie państwo co? Panie odprowadzą nas, wszystkie razem, konno, kiedy taka jasna noc. Pani Rudowska pozwoli.—

Pomysł podobał się ogromnie. Nie był wpraw-

dzie też zupełnie nowy, bo już dawniej wykonywany, ale jakoś dziś przedtem nikomu na myśl nie wpadł. Projektodawca, z pychą Kolumba, pobiegł do stajni, dysponować Michałowi. Zgody pani Zofji można było być pewnym.

Jadzia tylko żałowała, że nie będzie już miała czasu odczytać panu Konstantemu swego utworu, który napewnoby mu się podobał. Ale prosił o powierzenie mu go, by z tem większem skupieniem odczytać go w Bierzewie, zanim do snu znużoną skroń, z myślą o autorze, złoży. Wyrażał się nietylko dystyngowanie, ale poetycznie. Tymczasem chluba literatury polskiej, wraz z tamtymi paniami, poszła kłaść amazonkę, a młodzian, z jej rękopisem niezupełnie na sercu, bo krawiec kieszonkę zewnętrzną kurtki zrobił po stronie prawej,—pozostał sam, marząc, na werandzie. Nie długo jednak, gdyż turkot przed gankiem przypomniał mu obowiązek dobrze wychowanego arystokraty pożegnania się z odjeżdżającym sąsiadem z Górek.

Pan Karol kończył rozmowę z panią domu. Ile że temat był gospodarczy i bardzo na dobie, towarzyszył rozprawom przywołany rządca. Kończono na ganku.

— Tak, proszę pani, — jeżeli te gałgany z cukrowni nie postąpią nam na burakach, to—strejk! My ich nauczymy! Robotnik coraz droższy, praca z tem uciążliwa, a oni nam jeszcze na cenie chcą obrywać.—

— Święta prawda, panie dziedzicu — przywta-
rzał rządziciel.

— Strejk?—wahała się pani Rudowska, w któ-
rej uszach słowo, różne widma wywołujące, brzmia-
ło niesympatycznie.

— Tak. Tylko potrzeba solidarności. Nie zro-
bimy kontraktów. Sami się nas potem prosić bę-
dą. Ale—żeby żaden obywatel na własną rękę i dla
własnej korzyści chyłkiem nie zajeżdżał do pana
dyrektora cukrowni, układać się z nim na własną
rękę. Nie przypuszczam też tego. Przecież wszy-
scy tu w okolicy jesteśmy, chwalić Boga, tak po-
stawieni, że żaden zaliczki brać nie potrzebuje.

— A co będziemy w to miejsce sadzić, proszę
pana dziedzica?—rządca skrobał się po głowie.—

— O,—cykorję,—len—przedstawiał dokładnie,
rachunkowo, ze znajomością rzeczy, kosztorys wy-
datków i wpływów, obliczał robociznę, dawał prak-
tyczne rady co do uprawy pod wskazane produkty.

Rudowska słuchała uważnie.

— Z cykorją to już mniej więcej znam — zau-
ważyła — widziałam w kilku majątkach. Trochę
kłopotu z suszarnią. Ale len? Wiem, że próbują.—

— Tak, tak, — będziecie panie, jak prababki,
siedziały przy kołowrotkach i przędły. Wszystko
się wraca na światło — śmiał się pan Karol. — No,
żartuję, odstawia się do fabryki.—

— Ba, — z tą odstawą, — po naszych dro-
gach!—

— E, jest rada! Gorzej, że dokładnej obróbki

potrzebuje. Ale, co do odstawy, to zbudujemy kolejkę współkową.—

— A gdzie będzie stacja?—

— Jaka chytra kobieta,—zaraz chciałyby u siebie! Porozumiemy się. Mówiłem z panem Tadeuszem Majewskim.—

To był argument, ostatecznie przekonywający.

Równocześnie jednak przywiódł pani Zofji na pamięć ostatnie wypadki w Darzynie.

Dobrego doradcę pożegnała więc serdecznie ale z ukrytym żalem, że przyjechał jako zwiastun niedobrej wieści dla niej, jak ongi dla Stasi. I westchnęła. A na to odpowiedziało westchnienie za jej plecami. Kot Ryś z mniejszą uwagą przysłuchiwał się pożegnalnej rozmowie, niż leżało w interesie rozwoju przemysłu krajowego. Jednakże młody technik tyle wywnioskował, że jego bogdanka, córka obecnej, dobrze zamożnej, jeżeli nie bogatej, właścicielki Próchnówka, będzie odpowiednio mienną, a on jest synem dzierżawcy i nie będzie miał nic, oprócz tytułu, niezbyt wysoko cenionego. Jakgdyby rękopis, spoczywający na jego sercu, przelewał złożone na stronicach swych wątpliwości w serce młodego.

Lecz Rudowska, jakby odgadywała czarne zwątpienie przyszłego zięcia, zagadnęła go dobrotliwie:

— Co?—na pannę trzeba czekać?—

Panny pracowały nad przedłużeniem swych kostjumów, a już Michał, w towarzystwie Tosia,

wiódł niecierpliwe rumaki. Kłacze z czwórki, używane równocześnie pod wierzch.

Były to z natury, obłaskawienia i użytku, zwierzęta łagodne, ale, gdy je po nocy odrywano od snu, niepodobna, żeby nie zdradzały pewnego niepokoju.

W ciszy nocnej dochodziło ze stajni rzenie ogiera, oświadczającego się przeciwko uprowadzeniu towarzyszek.

Kasztanki, ściągnięte silnie popręgami pod damskie siodła, kręciły się, plątając uzdy, za które stangret je prowadził. Nieufnie rzucały dużemi, mądremi oczyma ku latarni, sterczącej przed domem, oślepiającej je za bliskiem światłem.

Soczystą zielenią barwił się w jej świetle żywopłot.

Dalej widniało białe, na ciemni murawy, niby koło młyńskie, podmurowany zegar słoneczny.

Zresztą bliższe drzewa i krzaki tonęły w czer- ni, własnym cieniem podszywając żalobną krepę nocy, rozwidnioną dalej strzałami księżyca. Ale przed gankiem samym, po za szerokiem kołem, żółtawem od latarni, prawem przeciwieństwa зда- wało się, choć oko wykół. Ludzie i konie widocz- ne tylko były, i o tyle, o ile wstąpiły w ów krąg. Często półciałem ginęły za nim. Tu widniał łeb koński, z rozdymającemi się zlekka chrapami, a, zda się, tułowia pozbawiony. Obok, kasztano- watym połyskiem, sunącym po grzbiecie, świecił niby koń bez szyi.

Tosia, który, siedząc na własnym wierzchowcu, przywiódł bieguna swego towarzysza podróży, z początku wcale nie było widać, tylko rozległ się jego głos rozpaczliwy:

— Pa-an-ny,—proszę się spieszyć!—

Położenie jego wśród niepokojącej się grupy zwierzęcej nie było wprawdzie tak rozpaczliwym, ale zawsze niewygodnym. Schylającemu się, bo mu się zdawało, że prowadzony przezeń koń przestąpił przez cugle, musnął inny ogonem przez twarz. I to było powodem naglącego wykrzyku. Niemilo jest brać po obliczu chociażby końskiem włosiem, w dodatku twardem.

Nakoniec zjawiły się niecierpliwie oczekiwane, w progę. Mania jeszcze poprawiała pasek u bluzki, Jadzia czapczkę żokejską, — która, lubo krzywo, ale ślicznie siedziała na bujnych, jasnych włosach, zdaniem Kocia,—a Stasiuleńka, główny powód opóźnienia, uskarżała się ogólnie, ale wymownie, na różne braki amazonki, która coprawda nie była jej, bo we własnej garderobie nauczycielka tak zbytkownego przedmiotu oczywiście nie posiadała, tylko odstąpioną jej przez Rudowską. Matka towarzyszyła dawniej córkom w ich wyścigach konnych; gdy Stasia przybyła do Próchnówka i zdradziła chęć ją zastąpić, suknia została jej, wraz z najspokojniejszą z klaczy, oddaną do łaskawego użytku. Stasiuleńka lubiła, nie celując w nim, „pański“ sport; kilka przejażdżek przekonało ją, że z dobrze wyjeżdżonego konia i z przy-

trzymującego swemi zagiętymi kulami, starszej daty damskiego siodła spada się chyba dobrowolnie i umyślnie. Pani Zofja zaś rada była, że ostrożna, z musu, opiekunka powstrzymuje młodociane zapały.

Darowanemu koniowi się nie zagłada w zęby, a w darowanej sukni nie dopatruje się braków. Zwłaszcza, że była przerobioną na Stasię.

Słusznie więc jej dawniejsza właścicielka rzekła, zniecierpliwiona:

— Ależ, po prostu tyjesz, moja Stasiu.—

Od czasu narzeczeństwa mówiła jej „ty,“ w miejsce dawnego „panno Stasiu“ czy omawianiu przez trzecią osobę: „niech Stasiuleńka...“

Ale Stasia odczuła przytyk i, odwdzięczając się, zapłakała słowami:

— Mój Boże, już się znowu wszyscy nad Stasiuleńką znęcają!—

Rudowska przygryzła usta. Już i jej stosunek z przyszłą bratową psuł się, i to chyba nie z winy Władziowej siostry.

Tymczasem nikt się nad Stasiuleńką nie znęcał, tylko ogólnie siadano na koń.

Dla pań niezupełnie łatwe zadanie utrudnionem było przez ciemności. „Egipskie,“ jak twierdził Toś, — „próchnowieckie“ — poprawiała go Mania.

— Nie kłóćcie się, państwo, i jazda!—zdobyła się na energję Jadzia.

Lecz, że opomnienie zwracało się równocze-

śnie przeciwko Tosiowi, Mania ujęła się za nim, pośrednio:

— Jakże ja mam jechać, kiedy nie mogę trafić nogą w strzemię,—tak ciemno!—

— I my się wcale nie kłócimy, tylko powtarzamy lekcję geografji,—dopomógł jej kawaler.

Stasi nie miał kto dopomódz do wsiądzenia, jeno Michał, bo tamci przeważnie mieli dosyć do czynienia, każdy z swoją damą. Stangret jednakże zapewne równie sprawnie sprostał zadaniu, odgarnąwszy wprzód Małgosię, która, śladem panien, po dopomożeniu im przy toalecie, wyległa przed dwór, pogapić się na ich odjazd.

— Ostruznie, — ni łód tyłu do kunia, bo tudezy. —

— A do chłopca to nawet od przodu nie! — odparła rozzłoszczona. Ale odstąpiła, posłuszna, niewiasta. Odda mu przy sposobności.

Wyprawa zapowiadała się wszechstronnie burzliwie.

Nawet hrabia Kot, któremu młody, półkrwi źrebiec, usiłując wysadzić munsztuk z zębów, wyrwał cugle z ręki, zaopiniował:

— Rzeczywiście moglibyśmy ruszyć. — Jadzia pierwsza, z jego pomocą, była w siodle.

Lecz panna Stasia marudziła jeszcze.

— Zaczekajcie, moi drodzy, — muszę suknię poprawić.—

W ciemności — rzeczywiście było potrzebne

troszczyć się o elegancję. Rudowska potrząsa głową.

Ruszono. Wyżeł też wziął udział w ogólnej wycieczce.

Przez koło świetlane przesunęły się kasztany, potem rasowy skarogniady Rysia i tęgi, płaskogruby kuc Tosia. Michał otwierał bramę. Rudowska zrobiła w myśli krzyżyk dobrych życzeń za odjeżdżającymi.

Przez podwórze. Wsią, śpiącą już; gdzieś tylko, w małych szybkach świeci się. Kundys wypadł z za węgła z urywanym poszczekiem. Kasztanki minęły go pogardliwie, skarogniady łeb spróbował między nogi wpakować, by tem potężniej odsadzić napastnika, ale jeździec miał się na baczności. Toś machnął szpicrutą ku psisku i, szcześniejszy jeszcze parę razy, odmyśliło się, zanim Ralf zdążył je potarmosić.

Groblą, pomiędzy łąkami, które po tamtej stronie rozciągały się na przestrzeni włók kilku, przecięte strumieniem, który stanowił jakby naturalny kanał odpływowy. Nie zupełnie ku temu zadaniu wystarczał i Błoński byłby zapewne przeprowadził racjonalniejsze osuszenie pozostałych mokradeł. Ale i łąki, zupełnie zalane poświatą księżycową, i wijąca się przez nie srebrna szarfa wyglądały tak pięknie, że usprawiedliwionym był wykrzyk Jadzi:

— Ach, jak dziś cudnie!—

Oko ludzkie dostrzedz nie mogło, że figlarz na księżycu gotuje nowy żart.

Towarzystwo, wyklóciwszy się przedtem, jechało w milczeniu, stępa.

Jak więdźmy stare, przygarbione, przykucnąwszy, o wykoślawionych członkach, ówdzie w kalcie odłamanych ręką ludzką gałęzi czy piorunem potrzaskanych pni, czerniały w niebieskawej szarzyźnie mroku księżycowego nieodstępne i najwierniejsze dróg polskich towarzyski, wierzyby.

Na łące kopczyk, na nim krzyż. Samobójca po-
grzebany. Kto? kiedy?—nikt nie wie.

— Podobno czasem wychodzi na drogę—twierdziła Manusia, bojek.

— Zapewne szukać towarzystwa — odciął niedowiarek z politechniki.

— Chociaż tego nikt nie wie, czy duchy chodzą po ziemi, czy nie—oświadczył Toś.

Jakoś nikt tego nie był bardzo pewnym i z duchami lepiej nie zadzierać, — więc zrobiła się znowu cisza. Tylko kopyta końskie stukały głucho o ziemię, czasem jaśniejszym brzękiem podkowy o kamienie, któremi grobla gęsto była nasiana. Zaskrzypiało siodło lub dźwiękło strzemię. Szedł głuchy pochód w ciszę nocną.

Aż nawet do marzeń, zdało się, mało podatny Toś Wisman zaczął marzyć, głośno.

— Branki wieziemy, odbite z jasyru, — musimy się przekradać ostrożnie koło turków i kozaków,—nie prawda?—

— A ty jesteś Skrzetuski — podchwyciła, uradowana, pomysł Mania.

Toś mało nie spadł z konia, z wielkiego zadowolenia.

— Pan Kot—Longinus, bo milczy—rozdawała dalej role.

— I wzdycha — zdobyła się na złośliwość Jazdia. Ale przechyliła się na koniu i zajrzała swemu rycerzowi w oczy.

— Moja — Oleńka — szepnął, niezupełnie trafnie, ale został zrozumiany.

— Stare dzieje!—wyraziła pogardliwie panna Stasia, gniewna, że ją w obsadzie ról pominięto.— Wogóle Żeromski jest więcej współczesny.—

— Tak pani mówi, jak pan Piernatowicz, nasz nowy profesor literatury, taki w zastępstwie,— stwierdził młody Wisman, — ale my mu nie wierzymy, chociaż to jest bardzo zdolny człowiek i niedawno opowiadał nam, że sam napisał nowelę, tylko jej jeszcze nie dał do druku. A my się pomiędzy sobą śmiejemy, że jej pewnie nikt drukować nie chce.—

I wtedy to karygodna ambicja spłynęła w niewinne dotąd serce panny Jadwigi Rudowskiej: być drukowaną. Cóż miała być gorszą od pana Piernatowicza?

— A czy w niej jest o miłości? — dopytywała się tymczasem jej siostra o utwór profesora.

Uczeń nie umiał objaśnić.

— A czy też Kazik *na prawdę* kocha Hełę?

Stasiuleńka aż, zupełnie niepotrzebnie, targnęła uzdą. Znowu to przypomnienie i ten głupi Skal-

ski, który nie umiał nawet wzbudzić trwalszego uczucia.

Zaturkotało od naprzeciwka.

— O, — Rzędzian! — tryumfował uczeń szkół polskich.

Istotnie był to mleczarek, turkocący swym wozem po „wiejskiej szosie.“

Gdy mijał ich, Stasia sobie przypomniała?

— A list jest do mnie?—

— Jest, proszę pani.—

Ale już przejechał i Stasia zaniedbała go zatrzymać. Odbierze pismo po powrocie z przejażdżki.

Może jej postępek był w pół umyślny, lekceważący.

W każdym razie czasem zaniedbanie opłaca się drogo.

Wózek z mleczarkiem i listem, nie od Władysława, ale od Lichtowej, potoczył się dalej.

Gdy jedna osoba milczeniem czy nieprzychylnymi uwagami zbywa każde odezwanie się innych, nastrój towarzystwa opada. Widocznie nienajświetniejszy humor słodkiej Stasi oddziałał na innych i na przyspieszenie rozstania. Dojechano jeszcze tylko do granicy próchnowieckiej. Pożegnania się ostateczne,—na strasznie długo, bo najwyżej na parę dni, — zabrały jednakże, wraz z umowami co do najbliższych spotkań, sporą chwilę. Przytem okazała się rzecz fatalna. Kocio pomacał się po kieszeni, by się upewnić, czy drogocenny

manuskrypt jest na swoim miejscu, i ręka zadrżała mu, jak żołnierzowi, gdy sięgnie do ładownicy—pustej, czy urzędnikowi banku, odkrywającemu kradzież pugilaresu. Cennego zwitku nie było! Musiał wypaść, gdzieś, po drodze. Może w chwili, gdy jeździec został ściągniętym niemal przez szyję żrebca, wystraszonego psim napadem. I napewne kundys porwał papier i zjadł. Nigdy nie dowie się świat o losach bohaterów opowieści panny Jadwigi Skalskiej. Czyżby ich połknął Ralf? Nie. Wyżły są inteligentne i zbyt poczciwie, przysiadłszy, okazywał swą niewinność, machając ogonem i uczestnicząc w ogólnej trosce.

Ryś był przygnębiony i bliski samobójstwa, Toś współczuł z nim szczerze, Jadzia przebaczała,— bo czegoż się ukochanemu nie przebaczy? — ale z boleścią w sercu. Mania przedstawiała najfantastyczniejsze przypuszczenia co do losów dokumentu, przyczem jej się jednakże „prawie zdawało“, że widziała coś białego w psim pysku, a nauczycielka przypieczętowała się w oczach wszystkich złościwością:

— Byle mu nie zaszkodziło! — To jest psu. Wszyscy byli oburzeni. Miał się nowelą otruć, czy co? A Jadzia, na wypadek, gdyby nie miała złać pióra, miała przedsmak życzliwej krytyki literackiej.

Ale wynagradzała to pierwsze niepowodzenie— miłość.

— Bądź zdrowa—Oleńko—szeptał nieśmiało Ryś-Podbipięta.

— Do widzenia—poprawiła. Wtedy anielski błysk szczęścia, o ile przy niepewnym księżycu blasku rozeznac było można, rozjaśnił smutne oczy Longinusa; pochylił się na siodle, jak pada naprzód sosna, toporem drwała podcięta, i złożył pocałunek na podanej mu ręczce. Toś, za przykładem, krótko decydując się, cmoknął także w łapkę Maniusię. Pierwszy raz, wogóle w jej życiu, od kogokolwiek ją taki zaszczyt spotykał.

Postanowiła rękawiczkę zachować na pamiątkę.

Zatętniały kopyta rumaków, rzuconych klusem przez młodych rycerzy, by zagłuszyć rozpaczny ból rozstania, w ciemnie nocy.

Panie wracały głucho i zwolna, upatrując jeszcze, czy nie zabiela może gdzie po drodze kartki papieru.

Ale nie tę niespodziankę gotował mistrz Samuel ze Skrzypna.

Manusia krzyknęła nagle przeraźliwie, zrywając konia:

— Co to? —

Pochylona na siodle, z rozwartemi szeroko z łęku oczyma, wskazywała szpicrutką wprost przed siebie.

Na drodze, dość daleko jeszcze, widmo nadnaturalnej wielkości, niby olbrzymia postać, w powiewnych, białych zwojach, zbliżało się.

Konie, powstrzymane, prychały, jeźdźczynie, unieruchomione w nagłym, szalonym przestrawie, zamierały w grozie.

— Duch!—

Zjawa zbliżała się szybko, sunącym ruchem, to jakby wirując w koło siebie, niby w szalonym tańcu warjackim.

Księżyc szedł w ślad za nią, cienie nocy obok.

I wtedy Jadzia, pomimo wątpliwych pozorów fizycznych i moralnych, najodważniejsza, dała szpicrutę wierzchowcowi, kręcącemu się w kółko. Stał dęba, lecz wraz, ciśnięty z ręcznic naprzód przez dzielną dziewczynę, runął w galopie, wprost na postać. W krótkich, urywanych, strachliwych skokach, bocząc się, poszły za nim konie towarzyszek.

I nagle zjawa zniknęła.

Pierworodna córka Rudowskich obróciła się na siodle.

— Jest za nami,—przejechaliśmy—przez nią!—
I, zrozumiawszy, uspokoiła wylekłe:

— Słup mgły.—

— Jeszcze nigdy nie widziałam takiego—niezupełnie dowierzała jeszcze siostra.

Ale „widmo,“ posunąwszy się dalej kawałek drogą, zahaczyło w wirującym obrocie o wierzbę, rozplynęło się, przepadło kędyś.

I Stasia dopiero przypomniała sobie, jako wiadomo, że z topielisk w gorąca letnie tworzą się

czasem opary, tak zbite i skłębione, iż w fantastycznych postaciach—straszą ludzi.

Ale była silnie zabobonna i wzięła owo zjawisko bądź co bądź za zły znak. Przytem strach przebyty wstrząsł jej nerwami tak, że, zsiadłszy z trudem, trzęsąc się cała, przed gankiem, zaledwie pożegnała się ze swemi wychowanicami i, nie oglądając się za Rudowską, która może już spała, podążyła do swego pokoju, z jedną myślą tylko, znaleźć się w łóżku.

XV.

Rudowska nie spała. Siedziała w swoim pokoju przy biurku nad ćwiartkami papieru i czytała. A była to jedna z przykrzejszych lektur w jej życiu. Niejeden list — brzydki w życiu odebrała... Jak ongi, pamiętała, gdy z maleńką wtedy jeszcze Jadzią znalazła się, wysłana przez lekarzy, u wód szląskich, pierwszy raz, po zamążpójściu, odłączona na dłużej od człowieka, — którego nie kochała. Tak. I wiedziała, że nie pokocha go nigdy, że wiecznie będzie pustka w jej sercu, smutek, tęsknota i brak, jak gdy z życia monstrancji wylupano najdrogocenniejszy kamień i krwawi niezagojoną raną naczynie złote. Znosiła swój los z poddaniem, z rezygnacją cichą i spokojną, silną uczuciem obowiązku, który wzięła na siebie i spełniała lojalnie, z pogodną twarzą, nie żaląc się. Starala się stapać do taktu z piosnką, jaką jej życie zagrało. Tam w sitowiu stawu próchnowieckiego siedział wpółlukryty faun złośliwy i grał na piszczałeczce dni kolej nowej pani pięknego ogrodu. Brodaty był i kosmaty. I brzydki. Czasem zagrał weselej i już nogi młodej kobiety, strząsającej

z uroczej główki bolesnych wspomnień czad, porzywały się w płas. Aż w tem sfałszował, umyślnie okrutnie złośliwy, szczeknął grubemi tonami, zawył ohydny piskiem. Dusza jej uciekała w innych światów głąb. Klękała przed relikwiarzem i modliła się. Krwią ociekało serce.

Tak grało jej życie.

Przyszła córeczka i wniosła, zda się, spokój, chwilowy.

Śliczna pani Rudowska wyładniała wtedy w piękną.

Czy potrzebne były te wody? — Chętnie się dała wystać.

Podobało jej się tam. Córa równin mazowieckich ujrzała góry w koło siebie. Darty się pod niebo. Wskazywały drogę duszy. Nie byłyc to szczyty najwyższe w świecie, ale nie znała innych; dzieciną, nie towarzyszyła rodzicom w wojażach zagranicznych. Po roku klęski. Zaś następne — nędzy.

Więc, najpierw zdziwiona trochę, wznosiła wzrok ku wyżniom, stąpała po stromych ścieżkach, zaglądała ciekawie z urwisk w przepaście. Cieszyła się zieleni stoków i patrzyła na twarde panerze ścian kamiennych. Śledziła za płochliwemi, ale, jakby wesołemi, kolorowemi jaszczurkami.

Powietrze, kąpiele wzmacniały ją cieleśnie i dochodziła do pełni rozkwitu kobiety. Czuła w sobie dużo sił, jakby zbudzonych z drzemki, i chęć i ochotę do czynów, jakby do życia nowego.

I wtedy na jej drodze stanął... lekarz. Polak. Jedno z pierwszych chłopskich dzieci szląskich, biorących się żwawo do wskrzeszenia z martwych najstarszej piastowskiej dzielnicy. Tu praktykował, aby później pójść w okolice, nie ziemczate jeszcze, z pochodnią zapału, z zasobem wiedzy, z wiarą w rzeczy dalekie. Tem ujmował Zofię.

Nie był wykwintny, ani wytworny. Ot, syn chłopski. Śmieszny nawet czasem w swej prostocie naiwnej. Niejednokrotnie wręcz odstręczający zupełnym brakiem pojęcia o formach towarzyskich; nie istniały dla niego, bo nie wiedział o nich. A przecież zarazem rozczulający swym załękiem, ilekroć spostrzegł po jej twarzy, że uchybiwszy im, odpychał ją. Patrzący jej w oczy, wdzięczny uczeń, gdy poprawiała jego gwarę, wydobywającą się wciąż z pod wyuczonego „pisanego“ języka, pełną germanizmów i archaizmów, z przed wieków, szczątków mowy, jaką mówiono — tu i w Krakowie — w czasach, gdy Szląsko wynaradawiać się poczęło. Tak zostały. I śmiała się czasem wesoło z owych charakterystycznych wyrazów, jędrnych i silnych; lub odwracała głowę, rumieniąc się, gdy padło słowo, obniżone rozwojem kilku wieków do pospolitego znaczenia.

Ale brał ją swym ogniem, zimnym i chłodnym niby, ale płonącym uparcie, co przepalił ściany i z niemieckiego więzienia dał wyjście uśpionemu w zaklętej pieczarze wojsku.

Ten miał życie przed sobą, cel, walkę, czyny.

I klękał przed nią i całował ją, po chłopsku, pokornie, nahalnie, po dłoniach, białych, wrywanych. — Jakby: Dziedziczko, ulituj się, ulituj! —

Skróciła pobyt. Wróciła. Wierna żona. Nie opowiadała. Nie było ani do czego się przyznać, ani z czego śmiać się. Nie pokochała, lecz widziała życie przed sobą—inne.

Po latach spotkała się z wzmianką dziennikarską o długiej karze więziennej, która spadła na występnego polskiego agitatora.

Później kiedyś ilustracje podawały portret zasłużonego działacza - wskrzesiciela. Nie zmienił się przez lat dziesiątek. Ta sama twarz o twarzych, grubo wykutych rysach, niby kilofem górnika, lub z tych, co na starych grobowcach przetrwały, prostolinijne i twarde jak one.

I bezmyślna uwaga wiecznie znudzonego, zgorzkniałego więcej beczynnością niż chorobą, męża:

— Wygolony, — aktor czy ksiądz? —

A oczy z fotografii patrzyły prosto przed siebie, przenikające, inteligentne.

Pamiętała je, — czarne, piękne.

Obok była podobizna żony znakomitości.

Nieładna, — tak oceniła prawie z zadowoleniem patrząca na tę, — która jej miejsce wzięła. I ubrana skromnie, po małomiejsku. Stosowna dla niego, chłopka czy córka jakiegoś sklepikarza. Ale twarz była miła i jakby szlachetnej dumy w niej było coś. Może z męża.

Ta poszła za nim, nieoglądając się. W życia bitwę, wsparta na jego ramieniu, podpierając go słabszemi, wiernemi siłami. Mieli czyny za sobą, klęski, ale i bitwy wygrane. I mieli szczęście wielkie w sobie i w koło siebie, w dziełach swych. Byli szczęśliwi. Szczęśliwą była — tamta.

Mogła nią być — pani próchnowska. I nie słyszeć fauna, zgrzytającego coraz przeraźliwiej dręczącemi rozdzźwiękami ciągłego nieporozumienia, niezrozumienia. Nie pomyślała wtedy o rozwodzie. Nie zastanawiała się nawet teraz nad tem, czy można było go mieć i jakby jej życie poszło. Tylko wiedziała, że mogło być inne.

Dwa razy w życiu los zawiódł ją, rzucając jej — odczepne.

Ale jeszcze zanim zmartwychwstały przed nią owe mary szczęścia, już miała za nie pokutę.

... List anonimowy... Wkrótce po jej powrocie do domu. Do niej. Jeszcze względnie. Ciekawy, próżnujący, głupi kuracjusz wywierał zemstę za ukłon chybiony, na który natrętowi nie odpowiedziała. Pismo — złe, brzydkie. Płakała nad niem długo.

Poszła z niem do męża. Niby — śmiał się i niechciał o niczem słyszeć. Nie dopowiedziała nazwiska. Nie było go w liście.

... Aktor czy ksiądz?...

— I nieraz jeszcze w życiu inne przykrości jej mówiły czarne literki, pełzające czy piętrzące się po bieli papieru.

Ale oddawna nie taką, jak ćwiartki, nad którymi siedziała dzisiaj.

Gdy wyprawiła panny z gośćmi na spacer konny i przebrzmiały wesołe okrzyki i rozgwar odjazdu młodych, zrobiła się odrazu cisza w domu, przynębiająca. Na psychę pani Zofji, przytłoczoną opadem niewesołej, niepożądaney nowiny o zaręczynach tej, którą przeznaczała kochanemu bratu, — podziałała tem przykrzej. Za rychło trochę jeszcze było, żeby iść spać, chciała zresztą odczekać powrotu panien. Próbowwała wziąć się, jak najczęściej wieczorem, do rachunków gospodarczych. Ale nie było dzisiaj wiele do zapisania w pokratkowanych książkach i nie zabiła swem zajęciem nad kwandras czasu. Potem starała się ująć w cyfrach przedłożone jej świeżo przez sąsiada plany zmian i ulepszeń w gospodarstwie. Ale w obliczeniu zbyt wiele było niewiadomych, zależnych od przeprowadzenia owych planów. Sięgnęła po którąś z broszurek, leżących na biurku. „O meloracji rolnej“.— „Praca bakterji w ziemi“.— „Racjonalna hodowla bydła rogatego“. Wpadło jej w ręce „Mleczarstwo krajowe“.

Czytała, skupiając całą uwagę:

... Śmietaną mięsza się dobrze (podgrzanie do 35 — 40°).

Kubek, o ile nie jest suchy, popłukuje się kilkakrotnie śmietaną. Przy popłukiwaniu nie należy wstrząsać, żeby nie utworzyły się w śmietanie bańki powietrza, a następnie nalewa się otworem

większym śmietaną. Przytem należy trzymać kubek pochyło, żeby śmietana spływała po ścianie wolno i w cienkiej warstwie, bo w ten sposób unika się tworzenia baniek powietrza, a o ile są już w śmietanie, ułatwia się im wydostanie się na powierzchnię...

Śmietana,—śmietany,—śmietanie.

Analiza metodą Hammerschmidta.

Weszła Małgosia:

— Poczta,—mleczarek, to się wcale nie pokazała, bo tak późno wrócił z miasta,—boi się,—ino z podwórza odesłał sprawunki.—

Przeglądała paczki. Tego i owego brakowało. Zapomniał czy niedostał w niedość bogato zaopatrzonych kramikach. Małgosia pomstowała na niedołęstwo chłopskie.

Pani machinalnie roztwierała listy. Pierwszy, w większej, niedbale doklejonej kopercie, tak że ją wsuniętymi palcami rozdarła. Miasto nasyła dzień w dzień wieś, z której żyje, kilku takimi przesyłkami, z ofertami i zachwaleniami, polecając do łaskawego użytku różne niepotrzebne rzeczy.

Wypadła chmara kartek listowych. Na samym wierzchu, na leżącej przed pochyloną Rudowską, uderzyło w jej oczy, niby uderzenie tasaka, znaniem pismem:

— O jedno możesz być spokojną, że za tego starego durnia, Skalskiego, nie pójdę.—

Przypadek zrządził. Nazwisko pociągnęło jej wzrok.

Teraz dopiero obejrzała kopertę. Była nawet adresowaną do niej, tylko z dopiskiem „dla W. P. Stanisławy Józefowicz“.

Nie była pewną, czy oglądała adres. Ale nie szukała dla siebie uniewinnienia. Przeczytała wszystko. Szczęście brata stało jej wyżej, niż niedyskrecja, już przez traf uprawniona.

Więc list panny Stasi do Lichtowej, w którym kreśliła, stanowczo skarykaturowany, portret „starego durnia, za którego nigdy nie pójdzie“, i drugi, w którym siostrze donosiła—o swoich zaręczynach z nim. Ten był nie krótszy.

„Zapewne zdziwisz się, czytając te słowa. Jak to czasem Bóg dziwnie zrządzi i jesteśmy listkami drzewa na tym świecie, które los miota w jedną i drugą stronę. Jest jednakże widocznie pewna nagroda za stałe i uczciwe postępowanie. Wyobraź sobie, że zaręczyłam się z Skalskim. Prosił mnie na kolanach, błagał i jęczał tak długo, że nie mogłam przecież zwichnąć mu życia. Po prostu nie miałam serca, żeby się tego dopuścić zimną i nieubłaganą ręką. Znasz Twoją Stasiuleńkę, jak jestem dobrego i szlachetnego serca i nie pamiętam uraz, mi wyrządzonych. Więc kiedy klęknął przedemną i zaczął skomleć jak pies, — powiadam Ci, stopy mi lizał prawie, — ulitowałam się nad nim, niewczesnie może, i — przyjął go. Gamoń, powinien był to dawno zrobić! Wiedział przecież, że

może liczyć na moją miękkość i słabość, ale mężczyźni są tacy niedomyślni! Swoją drogą nie masz pojęcia, jaki był mną zajęty, chorował prawie i chodził zupełnie jak głupi. Głupi, bo jest, ale już rozum, jak mi wszystkie przyznajecie, będę ja miała za siebie i za męża. Jaki był śmieszny, kiedy mi się oświadczał! Drżał cały, jak listek osiny, i czekał mojej odpowiedzi, jak skazaniec czeka wyroku śmierci. Byłabym wiele dała za to, żebyś widziała tą scenę, chociaż wiesz, że nie jestem pyszna i tryumfująca.

Co prawda, jacy ci mężczyźni są lekkomyślni i nie uważają na nic, gdy zależy im na dogodzenie własnej zachciance! Wyobraź sobie, jak było. Powtarzam, że jest za niemądry, że bym go posądzała o chęć skompromitowania mnie, tak że bym się wycofać już nie mogła. Chociaż i to może być. Ale mniejsza z tem. Więc pojechali wszyscy wczoraj wieczorem, cała godna rodzina, stara, bęchy i on, do Majewskich, oświadczać się o tę bogatą żydowicę. Bo ta hołota z Darzyna są żydzi, żeby mi tam niewiedzieć co kto wmawiał. I że tam sam król Stanisław Poniatowski pachciarza, czy tam bankiera Majera do chrztu trzymał, razem z pejsami, i z szlachcianką go ożenił, — można sobie wyobrazić, jaką! — i że herb dostali nadany, w którym jest krzyżyk, to wszystko razem w moich oczach wiecznego przekleństwa z nich nie zdjęło. I że pradziad był w legjonach, — pewno jako handełes! A dziadek jakoby na powstanie pół mająt-

ku oddał, w co ja nie wierzę, bo jeszcze zawsze są bardzo bogaci. Ale na całą okolicę czczą go za to jako takiego rabina. Słusznie wszyscy mówią, że zdegenerowana jest zupełnie szlachta polska, jeżeli z takimi wychrztami brata się, jak z równymi, i nawet niewiedzieć jakie honory im oddaje. Pomyśl tylko, że stara Majewska jest hrabianka z domu. Dowiedziałam się przypadkiem dopiero niedawno, bo nigdy o tem nie mówi. Może się wstydzi, że za żyda poszła. I okupić chce swą winę działalnością społeczną, bo jest przewodniczącą u Ziemiarek. Jej córuchna też tam rej wodzi. A jest wykapana żydówka. Tak starą pokarało, że się na szachrajskie pieniądze skusiła. Władysław, który jest uprzedzony na ich korzyść, upierał się, że „czarne Hele“ nic typu nie ma, tylko jest brunetka, jak włoszka, czy ormianka. Ale niech mnie Pan Bóg skarże, i wiesz, że nigdy się z prawdą nie mijam, jeżeli ją w tej chwili za straganem nie zasadzić za Żelazną Bramą. Tamby sobie mogła do paniczów ząbki szczerzyć. A, wiesz, że muszę się zaraz, jak tylko będę w Warszawie, pierwsza rzecz, wybrać do dentysty, bo moje porcelanowe plomby nic nie warte i każę sobie złote wsadzić, tylko może lepiej już po ślubie. Bo wtedy będę miała na to i przedtem jeszcze gotów Władysław się wystraszyć, bo mężczyźni są wrażliwi. On nie wie, że te dwa przednie u góry są wprawne i musisz mi poradzić, siostruniu kochana, jak się potem w małżeństwie urządzić, żeby się nie zmiar-

kował. Ja tylko mam obawę, że, jak się wpije pocałunkami w moje usta—ach, czytałam niedawno taką śliczną rzecz, ale nie mogłam się z nikim podzielić wrażeniami — to mi jeszcze wyłamie. No, będę go trzymała krótko. Przed ślubem nigdybym się nie dała pocałować. Wiesz, jak miałam Ci za złe, gdy mi opowiadałaś, że przy Twoich zaręczynach sama podałaś Lichtowi usta, żeby rzecz przypieczętować. Szanująca się kobieta nigdy w ten sposób postępować nie powinna. Nigdy! I wiesz, że tego nie zrobię. Nawet, gdy, domyślasz się, błagał mnie, jak go przyjął, o zaręczynowy pocałunek, dałam mu bardzo chłodno do zrozumienia, że się wiele za daleko posuwa. Z panami trzeba tylko tak. Nic nie uchybiać sobie i nic nie uронić z swojej godności.

W strachu jestem, żeby Błoński kiedy nie paplał, bo raz się z nim założyłam, o głupstwo, w żartach, i miał mi przywieźć *une discrétion*, — Błoński jest, trzeba przyznać, bardzo dystyngowany,— to jest, ja miałam sobie wybrać jaką drobnostkę, cukierki czy co podobnego, jeżeli wygram. A on—buziaka. No wiesz, tak się to w żartach mówi. Przytem byłam pewna, że wygram. On mówił, że się Skalski nie będzie o Majewską starał, a ja, że tak. Wtedy, jak byli tutaj wszyscy na wieczorku. Bo nie myślałam, żeby był taki naiwny i odrzucał piędziesiąt tysięcy rubli — a później drugie tyle, powiedz, moja droga, co pieniędzy jest po świecie i w czyich one znajdują się rękach! Sami mu je

przecie tkali do kieszeni, razem z panną. Że panny nie chciał, to wyrozumiem, chociaż na wiele trzeba przymknąć oba oczy, gdy się chce karierę zrobić, czy nie? Więc byłam pewna, że na nią polecą. Miarkowałam też po starej, bo wiesz, jak jestem przenikliwa, jak się obawia, żebym ja czasem nie stanęła na przeszkodzie jej pięknym planom i ukochanemu jej Władziowi nie zawróciła w głowie. Wiesz, że byłoby mi to igraszką, gdybym była tylko chciała. Ale wtedy ani o tem myślałam, bo byłam pewną Kazika, Błońskiego. Jak to nic pewnego nie ma na świecie. A zwłaszcza w zamążpójściu. No, teraz to jest zrobione i daję Ci słowo honoru, że bez najmniejszego wysiłku z mojej strony. Więc jak się ten ciapa na swoich zerwanych pedałach gruchnął z żydowicą na posadzkę i potem już przy kolacji ona mu daremnie oko sypała,—osądź sama, co za nahalność, bo ja bym nigdy nie przebaczyła, żeby mnie kto tak ośmieszył na całe życie,—tak widzieliśmy wszyscy, że się piękny marjaż nie klei. Wyszłam z Błońskim do ogrodu, gdyż byłam trochę zgrzana w tańcu i wiesz, jaka jestem nieostrożna, nic nie zważam na przekłątą wilgoć tutaj, od której pewnie będę na zawsze zreumatyzmowana. Ale zażądałabym wtedy od nich odszkodowania i renty dożywotniej, chociażby przez proces, jak mnie widzisz. Doszliśmy aż nad staw i on utrzymywał, że zakład przegrałam. O tem jeszcze szeroko pisało, bo przecież Skalski mógł się nawrócić, do rozsądku,

lecz, że Błoński nalegał i myślałam, że się prędzej oświadczy, dałam mu się pocałować. Ciemno było i myślałam, że jest dżentelmen. A teraz, nuż będzie plótt? Radź, siostruniu kochana. Ty przecież sobie pisywałaś takie gorące listy miłosne z tym studentem i nawet o was różnie mówili, bo języki ludzkie są złe, ale nie myśl, żebym ja wierzyła. W naszej rodzinie jest honor, uczciwość i prawość przedewszystkiem. I Licht napewne przecież o tem nie wie. Nie spostrzegł się też po dziś dzień, że masz łopatkę trochę krzywą, cośmy się kiedyś jako dzieci pobiły i felczer powiedział, że z tego pękła i zawsze już tak zostanie. Jak Ty mogłaś ukryć mężowi? Musisz mi powiedzieć, bo wiesz, że ja o takich wybiegach zupełnie nie mam pojęcia i jak to jest w małżeństwie. Zabawne jest, że ja starsza, muszę się Ciebie, młodszą siostrę, o wszystko radzić, ale już dzisiaj taki odwrócony porządek na świecie, że młodsze prędzej wychodzą za mąż, co, zdaniem mojem, być nie powinno, tylko wszystko po kolei. Jestem systematyczna z natury. Dla tego Ci też tak po porządku wszystko opisuję. Są takie, co nawet porządnego listu napisać nie umieją, tylko jak groch z kapustą. To Ty zawsze tak mięszasz, co sprzeciwia się całej mojej naturze, i Twoje listy można równie dobrze od końca zacząć czytać, jak od początku. Mnie, niestety, przyszło naprawdę być długie lata nauczycielką, bo na Twoje wykształcenie były tylko pieniądze wyrzucone, gdyż nie potrzebowałaś, po-

zyskawszy sobie męża, więc więcej i nawet zupełnie uporządkowaną jestem w duchu i w moich listach. Mogłabyś z nich wzór brać, siostrzyczko droga, chociaż tego nie potrzebujesz niby, ale całe życie się uczymy, jak powiedział Sokrates. I gdybyś została wdową, musiałabyś do swego losu wrócić i poznać, jak jest gorzki.

Powracam do tego, od czego zaczęłam, po kolei i loicznie. Błoński się nie oświadczył i zębów mi nie wyłamał, chociaż mnie dość mocno pocałował. Wieśniacy są w ogóle mało delikatni i mają coś z chłopów. Chociaż u chłopów to jest żywiołowe, jak się na to zgadzają nasi wielcy pisarze, a u nich tylko degeneracja. Zresztą od chama to nawet wymagać nie można, żeby był kulturalny, ale co innego od Błońskiego i powinien mi się być oświadczyć. Że tego nie zrobił, to go tylko w własnych oczach hańbić powinno i już z tą skazą niezmazaną pójdzie przez całe życie, przy boku „pięknej Heli“. Zaziębiłam się trochę nad stawem, a on powiedział tylko „caca, buzia“. Zawsze mówiłam, że z panami nie można się wdawać w żadne konfidencje, bo tego ocenić nie umieją, i jakście mi wtedy radziły, z tym urzędnikiem od akcyzy i, no, wiesz, jeszcze z kim, że „nic Ci przez to nie ubędzie“ i ja byłam taka głupia, żeby Was słuchać, bo myślałam, że jesteście doświadczeńsze, to jest głupstwo. Nie wierz chłopcu, jako psu, — jak ma tym razem zupełną rację Sienkie-

wicz. Ja zupełnie nierozumiem, że się Wam w ten sposób z Waszemi mężami udało.

To też posłuchaj, jak sobie Twoja siostrzyczka postąpiła godnie i uczciwie, i nie myślcie, żeście wszystkie rozумы pojadyły. Pojechali do Majewskich, a ja życzyłam sobie z całego serca, żeby się nareszcie z tą czarną zaręczył i był spokój w domu. Siedzieli dość długo i już po północy było, a wiesz jak ja się duchów boję. Biedną Stasiuleńkę samą w domu pozostawili, gdzie napewno tłucze się duch Rudowskiego, który samobójczą śmiercią skończył, tak mi się wydaje, chociaż niby nagle i po długiej chorobie. Opisywałam Ci już niejednokrotnie, kto jest Rudowska. Nawet mi nie zaproponowali, żebym z nimi pojechała. Prawda, że ja powiedziałam, że mnie głowa boli i że nie pojedę, ale to tylko przez delikatność, którą mam wrodzoną. Tylko na to trzeba wznioślejszych dusz, żeby się domyślić. Nie miałam ochoty jechać, bo i tak wiedziałam, że z tamtego małżeństwa nic nie będzie. Skalski wciąż już za mną chodził, jak cielę za krową. A gdybym pojechała, to taki byłby pozór, że chcę przeszkadzać, i baba wściekałaby się na mnie. Mądrze zrobiłam i, jak wyrachowałam, tak się stało. Skalski, powracając, zapukał do mnie. Mieliśmy pokoje obok, bo w tak zwanych kołach ziemiańskich nic się nie zważa na najprostszą przyzwoitość. Co innego, jak rodzice nasi jeszcze żyli i odnajmowali pokój, do którego było przejście przez nasz. I nawet nie potrzebo-

wali, bo ojciec nieźle zarabiał i z tego odnajmowania więcej było ambarasu niż pożytku, zwłaszcza, gdy lokator na obiad najlepsze kaski dostawał, ale mama się uparła, że ja już byłam na wydaniu i niejedno małżeństwo tak się skojarzyło. Więc był cel loiczny i ja mam dziedziczną loikę. Ale po wsiach nie rozumiem, dla czego zawsze wszystkie gościnne pokoje są na górze, obok siebie.

Jak zapukał, tak wyszłam do Skalskiego, najzupełniej obojętnie, i zapytałam, czego chce. A on odrazu przed progiem padł na kolana i przysięgł mi miłość wieczną, w małżeństwie. Tak to się odbyło. Jak zbawienia pragnę, nic nie dodaję i nic nie ujmuję.

Masz—i powinszuj mi.

Rudowska była wściekła, ale mi teraz wszystko jedno. Skalski słowa nie złamie, bo jest szlachcic, herbu Poraj. To jest róża. Niewiedziałam, że są takie herby. Jabym wolała konwalję albo gwoździć. Może się da zmienić, bo wszystko jedno, aby tylko był herb. Muszę mu powiedzieć, że ma się teraz pisać Poraj-Skalski, to jest szyk i niech odrazu wszyscy wiedzą. A ja będę Stanisława Poraj-Skalska. Nazwiska panińskiego podobno się teraz na biletach nie dodaje. Nie, żebym się go wstydziła i nie myślcie, że się będę nad was wywyższać. Będę też miała koronę na bieliźnie. Nie jest żadne nieszczęście, że jej nie macie, i nie smućcie się, bo nie każdemu to jest danem. Osta-

tecznie wszyscy ludzie są sobie równi, gdy raz do-
czesny żywot zakończą. Rodzina, albo się popra-
wnie mówi ród Skalskich ma swój grób familijny
na Kamionku. Wolałabym na Powązkach i nie-
wiem, dlaczego się tak stało. Oni mieli majątki
pod Warszawą, cóż, kiedy wszystko stracili. W każ-
dym razie będę, jako Skalska, spoczywała w ich
grobie i daleko od Was. Ale nie martwcie się, bo
w dzień Sądu ostatecznego się przecież nasze du-
sze znowu spotkają.

Wolałabym przytem, żeby Władysław miał
większą pensję. Ma rzetelnie trzy tysiące rubli,
stwierdziłam. Zagadnęłam go któregoś dnia od
niechcienia, czy za dwa tysiące małżeństwo może
się utrzymać w Warszawie. Miałam Was na myśli,
choć wy macie do czterech. Ale co to kogo ob-
chodzi i nawet Was nie wymieniałam, tylko niby
mówiąc o znajomych, chociaż myślałam, gdyby
można, Was zaprotegować. Widzisz, jaka ja je-
stem poczciwa, i już w tem się nie zmienię, możesz
być pewną. Więc on odpowiedział, że dwa to bar-
dzo skromnie, ale za trzy to już można. Już wte-
dy miał ochotę się oświadczyć, tylko byłam tyle
taktowna, że nie dopuściłam. Znasz mnie, jak nie
umiem się narzucać, ani korzystać z chwili. On
nie kłamie i te trzy są pewne.

Lecz gdyby Licht tam mógł do kogo trafić
o podwyżkę albo inne, lepsze miejsce dla nas, to
byłabym Wam szczerze zobowiązana. Zawsze trzy
jest strasznie mało i będę się musiała ogromnie

ograniczać w swoich wydatkach. Wiesz, że jestem skromnych potrzeb, gdy nie mam pieniędzy na nic, cobym chciała. Będę odrazu potrzebowała kilka sukien nowych, bo w mych panieńskich przecież chodzić nie mogę, jako mężatka. Władzio dałby na wszystko, bo jest dobrowolny, lubo niedołęga, ale, jak nie będzie miał z czego, to wtedy wiesz, jak jest. Wszakże młody Treter się jeszcze nie ożenił? Tylko czasem Ty nie próbuj na niego wpływać, bobym w tej chwili powiedziała Lichtowi, Anusiu droga, dla Twojego własnego dobra, żeby Cię nie wystawiać na zaczepki takiego Donżuana. Ale ja pójdę do niego, jak będzie potrzeba, i przysięgam Ci, że wyjdę równie czystą z jego gabinetu, jak dotąd najłżejszy podmuch nie splamił czystości piór moich. Boję się tylko, żeby się potem kto nie dowiedział i ludzie nie gadali. Siostrzyczko moja, już kończę. I co Ty mówisz na to wszystko? Jak to czasem pycha bywa pokarana. Jeszcze wczoraj zapewne, odebrawszy list mój ostatni, na który nie potrzebujesz odpowiadać, tryumfowałaś nademną, biedną sierotą. A tu Ci Twoja Stasiuleńka pokazała, co umie. Ściskam Cię z całego serca i życzę Ci tak pocziwie wszystkiego dobrego, jak, nie wątpię, Ty mnie“.

Dwa, odebrane jeden za drugim, listy pani Anna Lichtowa, czy z lenistwa, o czym mogło świadczyć niedoklejenie nawet szczelnie koperty, czy w niesłusznem jakimś rozdrażnieniu zawistnem, opatrzyła tylko, ponumerowawszy je ołówkiem,

krótkim, loicznym zresztą dopiskiem: — Nic nie rozumiem, wczoraj niechciałaś i wymyślałaś na niego, dzisiaj bierzesz? — Poczem było kilka wykrzykników.

Tak je odesłała. Zbiegiem różnych nieszczęśliwych okoliczności dostały się w ręce, najmniej do odbioru ich przeznaczone. Koperta, jak to bywa, niedbale gumowana, lekceważenie przez Stasiuleńkę listu, przypuszczalnie Władziowego, którego nie odebrała od mleczarka, nakoniec, ciosami dnia spowodowane, roztargnienie pani Zofji złożyły się na — wypadek. Rezultat różnych linii pochodnych, które wyszły z różnych punktów, dążąc nieświadomie ku temu samemu celowi, i skrzyżowały się, na godzinę i minutę, jakby za danym nakazem. Zdarza się. Zwłaszcza, gdy punkty wyjścia, lubo rozstrzelone, są rozbryzgami jednej plamy. Był nią charakter tej, dla której przesyłka była przeznaczoną. Wywołał jej własny odruch lekceważenia, odruch zdziwienia siostry i, pośrednio, roztargnienie pani Zofji. Wszystko na świecie jest loicznym. Czas i przestrzeń wywołują opóźnienie i zboczenie wyników. Ztąd postępowanie nasze, ściśle wypływające z charakteru osobnika, niezawsze sprowadza rezultat, który dać powinno. Raczej daje go z opóźnieniem lub odmianą. Gdy nastąpi z matematyczną ścisłością, mówi się, stosownie do tego, czy się z niego cieszymy czy nad nim ubolewamy: szczęście—nieszczęście.

Pospoliciej, wyrażeniami spopularyzowanemi z języka narodu filozofów: glik i pech.

Panna Stasia miała „pecha“.

Pani Rudowska, skończywszy czytanie obydwóch listów, przełożyła je do innej koperty i zaadresowała ją do brata.

Cios będzie bolesny, lecz tak lepiej, niż rozbiąć go na dawki, i niesie zarodki lecznicze sam w sobie.

Stasia wyjedzie jutro z Próchnówka.

XVI.

Do Próchnówka nadjechała „maszyna“, młoc-karnia. Jechała bo długo i ciężko, ciężar okrutny, przez kilka par koni wleczony z trudem po drogach i z niebezpieczeństwem po mostach. Ale przybyła na miejsce z opóźnieniem tylko kilku dni, co z tryumfem zaznaczał przedsiębiorca, wypożyczający kosztowny mechanizm na okolicę. I opóźnienie spowodowała oczywiście nie droga, tylko samowola sąsiadzka, przetrzymująca potrzebny aparat u siebie nad termin. Czasem i tygodniami czekać było trzeba. Trudno, punktualność nie jest polską cnotą. Ni względ na sąsiada. „Jak kto chce“.

Czekano i żymano się więc, dziwiąc się potem, gdy inny sąsiad, czekający swej kolei — niecierpliwił się,

Ale jakoś to się wszystko urządziło i załago-dziło zawsze — bez wojny.

Tymczasem robota duchem szła, praktyczna i oszczędna, nie roniąca w drogach do stodoły z snopów ziarna, młóconego odrazu, iście po ame-rykańsku, niemal wprost z kłosa w polu.

Kocioł buchał dymem i iskrami,— ale zdala od budynków, — pas transmisyjny sunął z zawrotną szybkością, młockarnia, M. Cornick, podłużnie kwadratowy gmach z żelaza, desek i prętów, lekkim wyglądem utajający ciężkość, warczała, wchłaniając otchłania w dachu gaszty zboża, które, w mgnieniu oka w jej wnętrzościach przetrawione, wysypywały się ziarnem i odlatywały słomą.

Majster, dwóch pomocników, rządcą, dziedziczką, panny oraz rój pomniejszego gminu rejestrowego kupili się w koło scenerji, nie zważając na prażący żar słoneczny.

Dziedziczka, znalazłszy odrzucaną słomę prózną wszelakiego ziarna, orzekła, darząc łaskawem okiem maszynę, niby istotę żyjącą, zdolną zrozumieć pochwałę:

— Czysto wydaje. —

— Bo nowa — objaśnił, niepotrzebnie, ale w zapale gorliwości, rządcą, tak, że aż Manusia zauważyła:

— Pewno. Żeby była stara ...

— Nie trzepałaby tak szybko, jak ty językiem ...

Matka nie była w dobrym humorze, pomimo zadowolenia z maszyny. Maszyna przyjechała, a Stasia odjechała. I to nie był powód do niezadowolenia. Tylko — scena, poprzedzająca wyjazd nauczycielki — najstarszej córki — narzeczonej brata.

— Pani śmie cudze listy otwierać! Tak złodzieje postępują! —

Na własnych śmieciach usłyszeć coś podobnego.

Omyłka.

— Ach, omyłka?! —

Gorzej jeszcze, że śmiała odesłać list pod — właściwy adres.

— Do sądu! Zabójczynie mojego szczęścia! —

Na które nie zasługiwała, a szczęście brata zostało ocalone. To najważniejsza. Ale zawsze gorzki smak krótkiej lecz gwałtownej sceny pozostał. Może dobrze, że trzeba było i wypadało do świeżo ustawionej młockarni zajrzeć; zajęcie odrywało myśli od niesmacznego wspomnienia.

— No, dzieci, czas na podwieczorek—zawyrokowała Rudowska, stwierdziwszy, że nowe przedsięwzięcie jest porządnie w ruch puszczone i idzie składnie.

I trzy kobiety ruszyły z powrotem ku domowi, na przełaj przez świeże ściernisko, milcząc. Tylko Jadzia poskarżyła się, że pozostałe w ziemi szczątki zżętych kłosów, mszcząc krzywdy, którą im ludzie wyrządzili, kłują ją, twarde, ostre i zacięte, po stopach, niedostatecznie zabezpieczonych wyciętymi półbucikami.

— Bo też na przechadzkę w pole ubierasz się tak niepraktycznie, jak...

Chciała powiedzieć, „jak Józefowiczówna“, ale wstrzymała się jeszcze w porę; nazwanie usuniętej nie będzie nigdy już w Próchnówku wymienionem. Nigdy, a przynajmniej przez czas długi. Wiedziały o tem dziewczęta, lubo rozprawa z Stasiuleńką odbyła się w ich nieobecności. Matka wysłała je

przezornie do ogrodu. I nawet sentymentalnemu życzeniu nauczycielki, ażeby pożegnać się z uczenicami, twardo odmówiła.

Dziewczyny miały tylko sobie krótko oznajmione, że panna Stasia wyjechała i że zaręczyny z wujkiem zerwane. Uzasadnienie znajdzie się, gdy będą starsze. Mania byłaby z chęcią włożyła zaraz bodaj siwą perukę, a Jadzia tłumiała łzy.

Po przyganie pani Zofji domyśliła się przynajmniej jednego z zarzutów, robionych przyjaciółce, i pożałowała szczerze zguby noweli „z przeszkodami z strony rodziców“.

Córki jednakże zbyt kochały matkę i matka córki, by lekkie zaćmienie serdecznego, miłego i trochę koleżeńskiego wzajemnego stosunku potrwalo dłużej nad chwil parę.

Już też Manusia, zbyt długo milcząca, trzepała języczkiem, przystanąwszy w miejscu i oglądając się za „maszyną“, z którą, jako z nową a interesującą znajomą, trudno jej było się rozstać:

— Niech mamusia patrzy, jak ładnie! —

— Ale wykrzyknik odnosił się nietyle do praktycznej strony obrazu, ile do jego malowniczości.

Na żółtem tle młockarnia żółta z czerwonymi lisztwami wydawała z siebie sterczące na jej dachu przy popychaniu snopów dwie dziewczyny w pasiastych spódnicach i białych koszulach. Na drabinę, wiodącą do góry, dał się pomocnik majstra, w granatowym spencerze. Wóz podjechał, dokładając

barwy drzewne i skór końskich. Rządca w szafrowym kitlu, — gromada w ciemniejszych, najmniej dwubarwnych przyodzieniach, kupiła się wkoło.

A wszystko grało ruchem i mieniło się w złotym, pełnym żarze słońca.

Postały chwilę, odczuwając zgodnie piękno, potem matka zarzuciła ramiona w koło przystających do jej boków córek i szły po żółtej przestrzeni, harmonijną, kolorową także, trójcą.

— Czy nie ładnie im? — mówiła panna Hela do pana Kazimierza. Przyjechali konno, przedstawić się w nowej roli narzeczonych. Rychło za dnia, aby dniem jeszcze wrócić, bo nie wypadło nocą. Nawet babcia chciała, żeby które z rodzeństwa towarzyszyło Heli, ale zarówno ta wnuczka, jak wydelegowany wnuk uznali „przyzwoitkę“ za przeżytek. Dzieci bywają coraz samodzielniejsze. Ale ostatecznie, w danych warunkach, — uchodziło.

Nadjechawszy, nie zastali pani domu, ni nikogo.

Małgosia chciała smyrgnąć w pole po panie, ale powstrzymali ją, skoro i tak zapewne nie długo spodziewać się należy powrotu. Wyszli sami na przeciw i już od bramy dojrzeli powracające.

— Ładnie? — Musi im być gorąco. jak się tak trzymają wpół! —

Nie, — przyszły mąż Heli nie był wrażliwym na piękno.

Jest to u panów rzecz zwykła i tak przyjęta, że aż prawie razi i budzi podejrzenie o lekkość charakteru, gdy jest inaczej.

Jednakże Hela byłaby wołała, gdyby jej mążzonek posiadał coś z prometeuszowej iskry.

Tamten ją miał, — Władysław, — Władzio, — aż zanadto, skoro się włóczył po teatrykach!

Kazik mniej cenił piękno, niż elegancję; z zadowoleniem przyglądał się po swoich breeches'ach, różowego koloru, i rzekł nagle:

— Musisz się pani nauczyć jeździć po męsku, — to w Anglii największy szyk? —

Musi? — i dla szyku poświęcać estetykę?

— Witamy — wołała Rudowska zdala, z staropolską gościnnością, lubo przyjazd tych gości właśnie bynajmniej jej nie był na rękę. Budził echa niedoszłych marzeń. Czegóż się niemądra dziewczyna tak pospieszyła? Teraz, po zerwaniu z Józefowiczówną, o którym pani Zofia nie wątpiła, brat był wolnym i — zapewne — namyśliłby się. A tu klamka zapadła. Co jednak znaczy czterdzieści ośm godzin w życiu ludzkim!

Trudno.

Jeszcze trzeba było przybyłych objaśnić jakkolwiek o zniknięciu Stasi. Zrobiła to jaknajszybciej i ogłędnie, zaznaczając, że wszystko zerwane.

Zdawało jej się, że po buzi Heli cień przeleciał,

— Ach, gdyby i tu się mogło zerwać — pomyślała Rudowska.

Ale prawdopodobieństwo było zbyt małe.

Podług statystyki większość zaręczyn kończy się małżeństwem, a zwłaszcza takich, solidnych, ugruntowanych na współdziałającej zgodzie osób i rodzin. Nie, — nie było co marzyć.

W przekonaniu utwierdziła ją panna, przechodząca nad opowiedzianym wypadkiem, bez głębszego zainteresowania, do porządku dziennego.

Może być, że straciła w następstwie nieco na humorze. Jednakże ostatecznie młodzi żartowali i przekomarzali się z sobą, jak zwykle, z wyższą może, uprawnioną teraz, poufałością z strony Kazika, a stale uporczywym odcinaniem się z strony panny.

Ostatnie strzały, dla honoru, — na gruzach twierdzy.

Zabawili niedługo i odjechali, ku wielkiemu żalowi panien domowych, które rade były prowadzić dalej studja porównawcze nad osobliwością stanu narzeczeńskiego, ku czemu druga w krótkim czasie para nastęczała pożądaną sposobność. Za to matka nie gniewała się, gdy zniknęli, — mary nieziszczonej przyszłości. Wzdychała, pozostawszy sama.

Rozmyślała, jak tam Władzio przejdzie katastrofę. Jest przecież nie baba, tylko mężczyzna, i to dojrzały, więc cios go nie złamie, — ale zawsze będzie bolesny. Biedny, kochany braciszek! Taki dobry i taki zawierający — intrygantce. Teraz mu się oczy otworzą.

I wtem przeszła ją wątpliwość. Czy tylko? Czy rzeczywiście skutek odprawy Stasi i relacji,

skreślonej równocześnie bratu, będzie niemylnie, jakiego oczekuje? A nuż Władziulek, w swej poczciwości, znajdzie — okoliczności łagodzące, nuż mu tam — kokietka „wytłomaczy“ wszystko nieporozumieniem. Taka ma tupet. I byle dostać się pod czepek, do wszystkiego gotowa. Pod tym względem pani Zofia nie miała już najmniejszych złudzeń co do charakteru „najstarszej córy“. Ale Władzio — miał przecież złudzenia, niczem, pomimo niejakiich przestroóg siostry, niewzruszone, i czy cios wystarczy, aby zburzyć w jego sercu i myślach gmach — szczęścia, stawiany, niby na wieczność?

Rudowska, im więcej myślała nad zagadnieniem, tem była niespokojniejszą. Niepokoiła ją zwłaszcza nieobliczalność dalszego postępowania „słodkiej Stasi“. Co zrobi? W szacie gołąbki utajona jastrzębica!

Zaczynała się obawiać, że Józefowiczówna, wypędzona z Próchnówka, napadnie i opadnie w te pędy w Warszawie Władysława, szukając u — narzeczonego opieki przed „złością i zemstą“ jego siostry. Zofia zbyt pewną była braterskich uczuć braciszka i wychowańca, żeby się obawiać, iż on uwierzy w to, co na jej szkodę wściekłość obrażona wymyśli. Chociaż, im więcej się zagłębiała w przypuszczeniach, tem skłonniejszą była do pesymizmu. Bez wątpienia Władzinek kochał siostrę — jak matkę. Lecz czyż nawet miłość ku rodzicom nie bywa zachwiana, ba, nie wali się w gruzy, gdy wejdzie w sprzeczność z innym uczuciem,

najsilniejszym w świecie, uchylającym wszystkie inne, — miłością w właściwym, najsilniejszym znaczeniu?

Zadrżała na myśl, że intrygantka wyrwać jej może i zabrać serce ukochanego brata. Bo po Stasi wszystkiego można się było spodziewać. I po ślepej miłości Władka, jaką zapalał do osoby — niegodnej.

Pani Zofia złorzeczyła prawie chwili, tak upragnionej, w której brata powitała nakoniec w Próchnówku. Tak się cieszyła na jego przyjazd i pobyt. Zapomniała, że w raiku, którym go otoczy, czyha wąż, przytający. Jeżeli miała jakie lekkie obawy, że nuż się nauczycielka bratu spodoba, to raczej instynktowne, oparte na starej prawdzie, że między dwojgiem różnej płci, wbrew rozsądkowi, — nigdy nie wiadomo. Ale tysiąc razy taka budząca się sympatyjka przechodzi bez śladu. Czemuż tu musiał się właśnie zdarzyć ów tysiąc pierwszy wypadek! Czemu? Bo sprytna i chytra dziewczyna skorzystała z położenia. Skorzystała z wrażenia, jakie jej uroda zrobiła na wrażliwym mężczyźnie, z codziennych spotkań z nim, współżycia pod jednym dachem, słabości jego charakteru. Zofia nie wątpiła dzisiaj, że owo wypadkowe spotkanie wieczorne, które doprowadziło do zaręczyn, było, jak zapewne wiele innych, uprzednich, ściśle i mądrze obmyślanem przez polującą na niepodejrzliwego dziewczuchę. Prawie już miała takie wrażenie, gdy jej brat po krótkie bliższe okoliczności

zareczyn opowiadał. Ale zapóźno było, aby go przestrzegać. Zresztą bała się, czy posądzeniem niesłusznem nie krzywdzi niewinnej. I, ostatecznie, można było darować krok, lubo niewłaściwy i nieogłędny, o ile nastąpił pod niepohamowaniem parciem prawdziwego uczucia. Ale o uczuciu po stronie panny Stanisławy nie było mowy. Tylko rachuba, zwykła, ordynarna, i połów męża!

Co teraz zrobi ta wściekła osoba? Czy, jakby postąpiła każda, mająca choć trochę godności, przycichnie i nie wypłynie już na powierzchnię, którą zmąciła, odsłaniając się sama? Czy też będzie próbowała, nie dając za wygraną, odzyskać, co straciła przez własną nieostrożność?

To prawdopodobniejsze. Lecz co przedsięweźmie? Jakie kroki poczyni i w jaki sposób? Była do pewnego stopnia zręczna i — czelna; równocześnie jednakże niemądra i lekkomyślna. Nieobliczalna.

Najgorzej mieć do czynienia z takimi osobami. Każda walka życiowa jest partją szachów. Można odgadnąć i obliczyć z góry grę przeciwnika loicznego. Ale jak się przygotować na ataki nieloiczne? Są tem groźniejsze.

Mądry postąpi przypuszczalnie mądrze. Rozporządzając odpowiednim rozumem, wie się, jak postąpi. Trudniej czasami z głupim. Bo może wpaść na taką myśl, — przez brak myśli, — której nie przypuści człowiek rozsądny. Ale najtrudniej

z osobą pół mądrą, pół głupią i w dodatku narwaną, a złą.

Bóg wie, co taka narobić może.

Postępowanie Stanisławy było, w oświeceniu jej zwierzeń do Lichtowej, pół mądre, bo, wbrew zaprzeczeniom, najwidoczniej robiła wszystko, celowo i zręcznie, by dobić do upragnionego portu małżeńskiego. Pół głupie, już choćby, że zwierzała się z swoich prawdziwych mniemań o swym przyszłym, narażając się na niedyskrecję i szwank całego planu. Narwane, jak świadczyły przycinki pod adresem tejże siostry, z którą przecież podwójnie powinna była dbać, jak z powiernicą, o dobry stosunek. Nakoniec była osobą złą, niewdzięczną, zjadliwie nienawidzącą ludzi, dla niej najzyczliwszych w świecie, jak świadczyły sądy, wydawane o rodzinie, w której znalazła nieco więcej serca, niż się zwykle daje osobie obcej.

No, i jej opinia o „durniu“, za którego jednak wydaje się gwałtownie za męż. —

Ach, żeby tylko poczciwy Władzio czasem nie dał się ogłupić — miłej istocie!

Pani Zofia nie spała w nocy. Troska, dnia towarzyszka, jest snu nieprzyjaciółką.

XVII.

Skalski oczyścił szczotką „biurową“ szybko garnitur, na którym osiadły niektóre pyły kantowerowe, umył pospiesznie ręce, musnął wąsy i gotował się opuścić pole pracy.

Dzień był urozmaicony różnemi wypadkami.

Najpierw, rano, gdy nadszedł, zastał w lokalu niezwykle zamieszanie i wzburzenie.

U progu zatrzymała go, łamiąc ręce, kasjerka, która dnia tego, idąc z nim w zawody co do punktualności, przydrepciała pierwsza. Ale, pod wpływem niezwykłego wzruszenia, zapomniała obwieścić mu swój tryumf i udzielić, równie niezasłużonej i niestosownej, jak nieuniknionej w jej usteczkach, wąskich i skrzywionych, nagany.

— Wie pan?—Kasę rozbili!—

I nie czekając zapytania o sprawców rozboju, wyrzuciła z wyschłej piersi namiętnie:

— Złodzieje! łajdaki!—cholery!—

Ostatnie oznaczenie, jako najmniej kulturalne i aż zadziwiające w ustach osoby, liczącej się poniekąd do cywilizowańszych, ale za to iście popu-

larne, spодobało się najwięcej stróżowi, który powtórzył, z groźnym naciskiem:

— Cholery!— dodając, już z własnego skarbca ozdób upiększających:

— Zatracone!—

Rzekł, a raczej zaklął i zamilkł ponuro, zwracając się ku poszkodowanej, kasie ognio- ale nie złodziejotrwałej. Szedł ku niej pochód żałobny. Pan Władysław, zapomniawszy zdjąć kapelusza, pierwszy raz w życiu, odkąd przestępował, dzień za dniem, święte progi, imiennik Władysław, wszakże już oprzytomniawszy, bo z czapką w łapie, i, — załamując ręce, że aż trzeszczały w stawach a chude, kościste łokcie groziły przebiciem wytartej osłonie,—panna Józefa. Stanęli przed żałobnicą i zadumali się. Kasa była tęga, wielka, poważna. Starej konstrukcji, z tych, co wzbudzają respekt i zaufanie rozmiarami i wrażeniem, raz, że mieszczą rzeczywiście w sobie złota, srebra i papierów wartościowych dużo, dużo, a wtóre, że są nie do zdobycia, urągając wszelkim zakusom dłoni zuchwałych. Ponoć nowsze kasety, więcej eleganckie, a niby mniej solidne, w istocie rzeczy odporniejsze są. Ale sterczący w rogu kantoru piec żelazny, skarbiec młyna parowego pod firmą Treter i Wolski, kupiony był ongi „okazyjnie“ przez papę Tretera jeszcze i dotąd spełniał zadanie swe zadawalająco. Jenó, że czasem psuł się zamek, jak sprężyny u starych, znudzonych już służbą, zegarów. Ale naprawa połączona była

z mniejszym zawsze kosztem, niż kupno nowej kasy. O zamiarze takim była kilkakroć mowa, ale stary Treter był konserwatysta i uparty i niechciał na nowy zakup, chociażby w drodze wymiany z dopłatą, żadną miarą się zgodzić.

Może i miał słuszość. Druty elektryczne przepalają najwięcej opatentowaną, najświeższego pomysłu, opancerzoną niby dreadnought, budowę, a specjaliści w cechu, z skromnych niegdyś rzezimieszków dzisiaj czelni łami-kasy, umieją się posługiwać, dyskretnie, zręcznie a skutecznie, wszelkimi nowoczesnymi wynalazkami. I jak na lądzie wały i wieże warowni próżno przeciwstawiają rosnącą grubość i tęgosc materiału coraz potężniejszym działom oblężniczym, jak na morzu blachy pancerników przyrastają cal po calu, na próżno, przeciw pociskom Armstronga,—tak przechówki rzeczy drogich, cennych i kosztownych, nadaremnie bronią się coraz rozpaczliwiej przeciwko postępom w technice rozboju.

Czasem taki „stary grat“, mimowiednie, najdłuższy stawi opór. Tu złodzieje zaczęli od zamka, sądząc, że powiedzie im się roztworzyć go, jakkolwiek narzędziami, zwykle przez człeka uczciwego ku celowi nieużywanemi. Odkręcili czy oderwali wpierw kółko z literami, które nastawia się na hasło magiczne, znane tylko wtajemniczonym, by klucz znalazł drogę do dziurki. Zakłęcia obcy nie znali. Rady szefów firmy, posiadzicieli sekretu, niesposobnem było zasięgać. Niedelikat-

nem też budzić ich po nocy. Użyto więc gwałtu, a potem wytrycha, którego ślady zaznaczyły się bolesnemi rozdarciami i szramami w koło zamku. Lecz nie puścił. I złoczyńcy, zupełnie ordynarnie, wcale nie, jak na nowożytnych operatorów przystało, wyświdrowawszy dziury w pancerzu, jęli odginać podważaną blachę stalową. Lecz po za jednym jej pokładem był drugi. Spróbowali, nie mogąc wiernej stróżki złamać od serca, wziąć ją od głowy. Podgięli płytę u góry. Ale pod nią był piasek, wypełniający głowę. Zabezpieczenie od żaru ognia. Odgarnęli go i, bezwzględnie, wyrzucili na podłogę.

Jak objaśniał szwajcar, można było, zajrzawszy z góry, dostrzedz otwarty wyłom w następnej płycie, szeroki, że rękę wsunąć można.

O prawdziwości jego twierdzeń przekonali się obecni.

Tak, niestety, niezbitą było prawdą: świętokradcze dłonie sięgnęły do wnętrza.

Panna Stasiak upadła, szlochając, na krzesło.

— Ale ile tam było?—sprowadził Skalski nakoniec kwestję na grunt realny. — Pani najlepiej powinna wiedzieć, panno Józefo?—

— Nie pytaj się mnie pan w takiej chwili! — odjęła. Beczała, jak bóbr.

Zrozumiał, że należy uszanować jej ból, i zwrócił się do stróża z pytaniem, jak się, o ile strażnikowi wiadomo, napad i gwałt odbył.

— Ano wleźli, proszę pana, cholery, widać oknem do suteryn, bo szyby wybite i okno roz-twarte, i zaś z dołu schodami na korytarz do kan-toru. I już!—

— A stróż ich nie słyszał?—

— Gdzie tam! — zaklinał się, rozpoczynając kląć na nowo i urozmaicenie:

— Bodaj jejich wszystkich zaraza! —

— A furtka, no i brama, były zamknięte?—ba-dał Skalski.

— Przecie! — stróż był prawie obrażony — przeszli przez parkan, cholery. — Psy, to mi już dwa razy wytruli.—

— I naprawdę nic nie słyszeliście? Mieszka-cie obok kantoru, przez ścianę, a, jak rozbijali kasę, musiał być hałas.—

— Żebym też zaś był usłyszał, albo żona, to co? Poradzilibyśmy? Inoby nas pozabijali!—

Prawdopodobnie. Władysław wywnioskował, że imiennik jego słyszał nocne postuki, ale nie miał ochoty życia narażać. Nawet trudno się zbyt-nio dziwić. Na odważnego mógł może wymknąć się i zaalarmować mieszkańców niezbyt odległych, najbliższych budynków. Ostatecznie telefonować po pomoc.

Ale nie korespondenta rzeczą było wydawać wyroki. Lubo nie szczędzili nimi nadchodzący kantorowicze. — Stróż musi wylecieć! — i, gdy znaleziono kozła ofiarnego, wypadek, tracąc na wadze, nabrał jedynie cechy zdarzenia; przerywa-

jącego w sposób pożądaną monotonię zwykłych zajęć. Oglądano kasę, obmacywano ją, z współczuciem i ciekawie.

Tylko jedno wciąż pozostawało nieustalonym: ile w niej było.

— Jak pan myśli, panie Czosnowski, — milionik był, ha? — kpił Groser.

— Co hrabia sądzi o miljonie? — dopomagał mu Wajcenzang.

— O Boże, — marki też były w kasie! — jęła, przypominając sobie, Stasiakówna.

Wobec tego Czosnek nabrał przekonania, że może niektóre różnice w poglądzie na cenę i liczbę marek, jakie powstawały pomiędzy nim a resztą śmiertelników, zostały przez interwencję włamywaczy wyrównane, i rzekł śmiało:

— A co mnie to obchodzi? —

— Każdego taka strata obchodzić powinna, — zakrzyczała z oburzeniem kasjerka, — komu w ogóle interes leży na sercu, a nie własne dobro. —

Ale młodemu Marjanowi śnać na sercu ulżyło, bo poważył się na słowa bezczelne:

— Do luftu z interesem! —

To było zbyt mocne. Słuchający oniemieli.

Kasa wyglądała, pomimo ran, poważnie, czarno i groźnie.

Nareszcie pierwszy buchalter udzielił młodzikowi, miarkowanej osobistą przychylnością i względem na niedoświadczenie, ale stanowczej przestrogi:

— Są rzeczy, o których się w taki sposób wyrażać nie wolno. —

Marjanek schylił główkę pokornie.

Lecz już znowu zaczęły się rozważania nad przypuszczalnym przebiegiem włamania. Powtarzano poczynione już uwagi i zgodzono się, że wszyscy wypadek przewidywali. Stróż, powtarzając po raz dziesiąty, co — nie wiedział, łączył się z zdaniem ogółu, w nadziei, że złagodzi jego opinię co do swego opieszalstwa.

Był zgiełk i rozhwor, niebywały.

Tylko kasa stała niema i boleściwa.

W ukrop wpadła władza, w osobie Wolskiego.

— Co się, u diabła, stało? —

Pół tuzina głosów pospieszyło z odpowiedzią, jaknajwięcej wyczerpującą.

Lecz najlepszą odpowiedzią był widok wygiętych blach i rozsypanego piasku.

Dyrektor, obejrzawszy bacznie uszkodzenia i dotknawszy palcem ran, zapytał odrazu:

— Ile w niej było? —

— Panno Józefo, ile było w kasie? — powtórzył buchalter.

— Proszę pani, pan dyrektor pyta, ile było w kasie? — powtórzył jego pomocnik, gdy kasjerka, łzy roniąc coraz rzęsiszsze, nie wydawała się zdolną do odpowiedzi.

A Czosnek, nie śmiejąc zabrać głosu, patrzył się przecież na nią pytająco.

— Zaraz, zaraz — zerwała się — w tej chwili — wszyscy na mnie! —

— Niech się pani nie denerwuje, — radził dyrektor uprzejmie, lecz stanowczo, — przecież pani zawsze wieczorem na karteczce wynotowuje pozostałą gotówkę. A reszty dojdziemy. Chyba, że kartkę „dla pewności“ pani mi także oddała do zamknięcia? —

Drwił sobie, nie biorąc wypadku do serca. Wiedział, że w kasie może być najwyżej paręset rubli, — reszta z dziennego obrotu. Grubsze wpływy odnosi się zawsze do banku. Zresztą chwilowo ścisk o pieniądze był w młynie i na pewno zasób gotówki nieznaczny.

Panna Józefa drżącymi palcami z jakiejś książki ukrytą wynalazła karteczkę.

— No, — trzysta rubli, — jeszcze nie zginęliśmy — osądził. — Można było właśnie za te pieniądze nową kasę kupić — cieszył się, że podsunie pod nos opornemu Treterowi.

Wydobył kluczyk i próbował otworzyć. Lecz w zamku tkwił, zdaje się, obłamany szczątek wytrycha.

— Ano, zamku nie roztworzyli — stwierdził — tylko wyjęli tam górą? —

Z krzeselka próbował, zagłębiwszy rękę w otwór, sięgnąć do wnętrza i domacać zawartości, czy próżni. Wsuwał ramię jaknajgłębiej, niecierpliwiąc się. Lecz przedsięwzięcie było niemożliwem, czy wymagało większej wprawy.

— Trzeba sprowadzić ślusarza—postanowił.

Praktykant skorzystał chętnie z sposobności przewietrzenia się.

Tymczasem władza przeprowadzała śledztwo z stróżem.

Wynik zapowiadał się dla badanego nieomyślnie.

— Władysławie,— co najmniej, przegapiliście! Od czego dałem wam naumyślnie rewolwer?—

— Jako żywo, proszę pana dyrektora, nic nie słyszałem—upierał się obwiniony.

— No, panowie, dość tego, — proszę na miejsca — zwrócił się szef do półkola, głosem, jakim zapewne ów francuski prezydent izby, wobec wybuchu bomby, obwieścił: — panowie, posiedzenie trwa dalej!

Jednakże był nieco wzruszony, gdyż niedomknął drzwi do gabinetu, i słychać było, jak telefonował po Tretera i po policję.

Korespondencyę krótko zlecił Skalskiemu i poszedł oglądać okno, przez które złodzieje się wkradli.

A po jego wyjściu zabrzączał w izbie rój pszczół i szerszeni.

— Władysława godziny są policzone—orzekła kasjerka, ocierając resztki łez rękawem — co za niedbalstwo takiego chama! —

Dodatek uspokoił Skalskiego, który na dźwięk imienia i przepowiednię drgnął mimowoli; sybila mówiła o „chamie“, a nie o szlachcicu.

Swoją drogą — wczoraj Junge, dziś szwajcar, jutro mógł być—on.

Wiele się wymaga od pracowników, bo nawet nadstawiania piersi, z pogardą życia, za pryncypałów.

I spojrział melancholijnie ku rozbitej kasie, która, wiek swój męski tu strawiwszy i padłszy ofiarą zawodu, miała iść—na żelazo, niepożałowana napewne przez Wolskiego.

Korespondenta wyrwał z zadumy wykrzyk okropny i niespodziewany kasjerki:

— O Boże!—

— Cóż takiego?—zawtórował Groser.

— Szal mi ukradli!—

Okrywała nim czasem chude plecy od przeciągów i pozostawiała stale na noc w kantorze.

Stała, wlepiwszy oczy w kołek, na którym — nie wisiało nic.

— Trzeba go było zamknąć do kasy — radził, po niewczasie, Wajcenzang.

— Pewnie go który zabrał dla swej kobiety,—zawsze się przyda,—tak, jakby pani biedną okryła!—pocieszał poważnie pomocnik.

— Panowie sobie żartujecie — zakrzyczała gorzko—bez delikatności i serca, a co ja zrobię?—

— Kupi sobie pani nowy!—

— Co on był wart!—

— Złoty i groszy pięć!—

— Siedmnaście i pół kopiejki netto!—

Prześcigali się wzajem, gdy, złamana, padła głową na pulpit, z nowym szlochem.

Władysław patrzył się na nią bez zbytniego współczucia; wiedział, że Stasiakówna, liżąc się, zwrot straty u władzy wydebi, z naddatkiem.

Wstała, mściwa i straszna:

— A za to, że naigrawacie się, obrzydłe łotry, i was tu niedługo nie będzie, złodzieje!—

Panna Józefa, gdy przychodziło do ostatecznego wybuchu, nie przebierała w wyrazach. Buchalterya nie pozostała jej dłużną.

— Jak pani śmie! Patrzcie tę małpę! — rzucił się Wajcenzang.

— A to ci cholera!—krzyczał Groser.

Nastąpiła doborowa wymiana iście chamskich wyzwisk i przekleństw, w tonie tak podniesionym, iż Skalski miał nadzieję, że dojdzie do uszu krążącego w koło gmachu dyrektora.

Na razie, ogłędnie głowę przez drzwi wścibiając, ukazał się Hantower.

— Gott der gerechte,—was a gewalt?—

Dojrzał w tej chwili spustoszenie kasy?

— Zaraz powiedziałem!—

— Komu? złodziejom, żeby przyszli? — dopytywał Groser, mniej namiętny w kłótni i mający jej już dosyć.

— Pan sobie potrzebuje zawsze żartować! — Podszedł na palcach, z uszanowaniem momentu ku poszkodowanej, kasie, i, jak wprzód inni, po-

czął ją oglądać z wszech stron, wreszcie dotykać palcami.

— To grube robote jest — orzekł z pewnem znawstwem — ja widziałem kasę, co uni rozbili u Wenera, obok, w druciarni, — to na glatt było przerzniete, jak brzytwem, i całe kafli wyjęte.—

— Tafle—poprawił Groser.

— Niech mu będzie tafli.—

Zgodność jego podziałała na zgodę stron jeszcze walczących, a przynajmniej w obec dopytywań żydka spór przycichł na chwilę.

— Wie pan, panie Hantower, — ten los, który mam od pana, też był w depozytach i skradziony!—kpił wesołek.

— Nu,—oni się po wigranę nie zgłoszał —

Nadszedł, niezwykle rychło, „jakiemś przeczuciem wiedziony“, jak oświadczył, Edwardek Treter. Panna Józia duchem podleciała ku niemu z skargą. Lecz zbył ją krótko, odsyłając do dyrektora.

— W tej chwili nie mam czasu na rozważanie tej historii — rozstrzygnął dyrektor — w każdym razie proszę — wszystkich, żeby się takie sceny nie powtarzały.—

Czosnowski przywiódł z sobą ślusarza, młodego, sprawnego, z tych sprytnych, jak się to czasem w Warszawie uda, który w mig wyciągnął z zamku tkwiącą przeszkodę, chwilę pomajstrował, przypitował podany sobie kluczyk, chwycił sprężynę,—zakręcił i—kasa stała otworem.

— Niczem najlepszy włamywacz—chwalił wesolek.

Majster śmiał się, zadowolony.

— Partacze są, proszę panów, — ba, żeby to człowiek nie był uczciwy!..

Uwaga skupiła się ku zbadaniu rozwartego wnętrza. Tłoczono się w koło. Dyrektor własnoręcznie wyciągnął drucianą plecionkę z pieniędzmi. Była—i gotówka w niej była, w całości. Dalej weksle, papiery ważniejsze, tu składane, — nienaruszone.

I wtedy powstała radość ogromna i tryumf ludzi poczciwych nad niepoczciwymi, których zamach nie udał się. Dali za wygraną, w ostatniej chwili? spłoszył ich kto? dzień biały zapóźnionych w robocie?

Pozostało niewyjaśnionem.

Nie, żeby sprawiedliwość ludzka nie zrobiła, co do niej należy, w celu wyświeatlenia spraw.

Zjawił się, przywieziony przez starego Tretera, który napad na swą ulubienicę osobiście wziął do serca,—agent-detektyw. Badał wszystkich i każdy kąt budynku. Spłoszył szczury w suterrenach i myszy w młynie. Ale nie znalazł nic, na czem metodą Szerloka możnaby oprzeć dalszy bieg poszukiwań.

Były wprawdzie ślady stóp ludzkich przy parkanie, co poniekąd zwalniało szwajcara od możliwego przypuszczenia, iż furtki zaniedbał zamknąć, czy zgoła, w znowie, gości nią wpuścił. Jenó że

odciski owe, niewyraźne na twardym, od dwóch dni oschłym gruncie, na domiar nieszczęścia zartarte były śladami stóp dyrektora, który dom obchodził w koło, i, towarzyszącego mu przytem, stróża.

Badacz wymierzył wprawdzie, co pozostało z obcych; lecz w czasach, gdy ludzie uczciwi i nieuczciwi noszą obuwie fabryczne, nie na szczególną każdego miarę robione, trudno ich po niem rozeznąć.

W obec tego przystąpił do ostatecznego wysiłku, wskazanego przez wiedzę, na służbie bezpieczeństwa publicznego. Oznajmił z powagą, że zdejmie i uwieczni ślady palców, które targnęły się na pancerną szafę. Nazywa się to daktyloskopia. Górny dźwięk wyrazu podziałał odurzająco na słuchających. Patrzyli się z poszanowaniem, większem jeszcze od ciekawości, na niekształtne, zamazane zdjęcia. Te sprawę rozjaśniają.

Nieprawdą jest, jakoby wiedza nie wzbudzała czci i uznania.

Jeno mały lęk przeszedł Skalskiego, że wśród odbitek znajdują się i jego palce, które, na równi z odręcznymi członkami wszystkich kantorowiczów, dotykały się ścian oglądanej kasy. Ale pocieszył się myślą, że także dyrektora dłonie powędrują do szacownego zbioru odbitek.

Poszedł detektyw, a przyszedł rewirowy. Spiisał protokuł.

Wtedy dopiero wpadł zadyszany reporter jed-

nego z pisemek lokalnych. Strapił się ogromnie stwierdzeniem, że nic nie skradziono.

— Boję się, że redakcja mi za dorożkę nie zwróci!—

— Wyssie pan po drodze z palca co innego— kpił Wolski, który był niełaskaw na prasę, odkąd kiedyś opisano jakieś zajście z robotnikiem w młynie.

— Żeby chociaż kradzież paru tysięcy — biadał sylf, niepokieszony.

— No, może na inny raz! — w każdym razie dziękujemy panu za życzenie.—

Zapytania telefoniczne i kilka osobistych wizyt, oddanych przez ludzi, stroskanych o dobro bliźniego i zaspokojenie własnej ciekawości, przerywały dalszy ciąg dnia.

Ogółem panowało z powodu wypadku zadowolenie w kantorze, wdzięcznym trafowi za nowe wrażenia. Przeważała też radość, że „interes“ uniknął straty; bo konieczny wydatek na inną kasę i tak prędzej czy później musiał obciążyć konto.

Zaś, pomimo opornego w zasadzie stosunku do szefów, ich podwładni nie byli tak źli, żeby im życzyć uszczerbku.

Tylko Wajcenzang rozważał, jakgdyby z pewnym odcieniem żalu:

— A gdyby tak byli książki pokradli, panie Groser, to co?—

— Ano, założylibyśmy nowel — śmiał się zapytany.

— Oczywiście...—rozpoczęła Stasiakówna. —

— Tak, tak, bo my w nich szachrujemy na potęgę, — niech pani nie zapomni o tem donieść władzy! —

Chciał utruć przeciwniczkę? Był tak czelny?

Czosnek nagle, nieśmiało, wyraził obawę, czy wydatek na kasę nie uszczupli aktywów bilansu i, w następstwie, gratyfikacji.

— Śmieję się pan z tego! — pouczył go wesołek—co to znaczy przy naszym obrocie! Pan wie, ile sprzedaliśmy otręb tego roku? — Nie,—nie wie pan? — Pan w ogóle nic nie wie, słowo honoru! Przejdź się pan do młyna, spytać obermilera,—ja panu nie powiem, bo jeszcze kto—obejrzał się ku kasjerce — pomyśli, że zdradzam sekrety interesu! —

Praktykant nie poszedł za radą, udzieloną mu żartem, ale Skalski, skończywszy korespondencję, zajrzał do fabryki, mieszczącej się w podwórzu. Był chwilowo wolnym. Nie mógł się tylko wydalić z „interesu“ przed upływem godzin biurowych. Nadchodziły jeszcze czasem telegramy, wymagające odwrotnej odpowiedzi.

Najprzykrzejszemi mu bywały takie częste godziny przymusowej bezczynności. Zwykle zabijał je czytaniem.

Dziś szedł do młyna, przypominając sobie prośbę dyrektora, by uważał na podejrzone czynności buchalterji. W biurze trudno było na razie

czegoś dociec,—może w młynie odnajdzie nieprawidłowości.

Ale to było trudno. Worki, pył biały i szary, uwijający się robotnicy, młynarz i magazynier, zajęci robotą, — nie był moment do badań. Robota szła żwawo, po mazursku, z nawoływaniem, często żartami, czasem kłótnią, ale ostro.

Zawrócił, przechodząc obok furtki przy parkanie.

Furtka była wpół uchylona.

Wyjrzał przez otwór na świat boży, wolny, za obrębem — więzienia.

Przy furtce do parkanu przytuloną była postać niewieścia.

Stasiuleńka!

Błada, mizerna, — stęskniona, — ale cudna i żywa.

Nie pytał, z kąd, co, jak, — porwał w ramiona, ścisnął i całował.

XVIII.

Rozczulał się nad nią, taką śliczną, kochaneńką, bladą, biedną, która czekała na niego u parkana, jak wyrobnica czeka na swego męża.

I dopiero po gorących, oddanych, ach, jak ciepło, pocałunkach, oderwawszy twarz i wąsy od kochanej buzi, ale nie puszczając rączek, więznięcych w jego dłoniach, znalazł czas na stwierdzenie słowami tego, co już było przypięczone zgodnym czynem.

— Kocha? —

— I jak! —

Mówiła tak miękko, słodko.

— Jak kocha? —

— Bardzo. —

— Tak, jak ja? —

— Więcej! —

— Nad wszystko w świecie? —

— Nad wszystko w świecie. —

— Kochana! —

Teraz przeszło go zakłopotanie, co przede wszystkim z tym słodkim fantem zrobić. Dać jej tu czekać pod parkanem, zanim sam się uwolni

na resztę dnia? Zawsze chwila czasu zejdzie na wytłomaczenie się Wolskiemu, — Wolski się skrzywi, nie lubi, żeby pracownicy przedwcześnie opuszczali kantor, — ale trudno! — tylko, że w każdym razie listy napisane będzie chciał przejrzeć, jeszcze w obecności korespondenta. A tu kochanie będzie stało przy płocie!

Jednakże do kantoru jej nie chciał i nie mógł wprowadzać. Bo dokąd? Poczekalnią dla gości pierwszej klasy był gabinet dyrektora. Przed taką śmiałością Skalski się wzdragał. Bez wątpienia dyrektor byłby uprzejmym, ale — zdziwiłby się. Pomniejsze wizyty miały do rozporządzenia kantor i przyległą rupieciarnię-jadalnię. Tu i tam jego słodka wizytka byłaby narażoną na spojrzenia, a może uwagi — gawiedzi. Nieszczęściem czy — szczęściem o zaręczynach jego dotąd w szerszych, pozadyrektorskich kołach nie wiedziano.

Poprosił więc swoją Stasiuleńką błagalnie i pokornie, by wytrzymała jeszcze kilka minut na posterunku, na którym, jak mu szepnęła, wartowała już długie pół godziny, nie śmiejąc go „deranżować“.

Delikatna była i rozumiejąca jego położenie.

Pożegnał się, jakby się nie mieli widzieć miesiące całe, i młodzieńczym kłusem wpadł do — więzienia.

Ale uwolniono go — przedterminowo.

Z dyrektorem niezupęłnie gładko poszło. Zdziwił się i miał minę niechętną człowieka, który ustępuje, na ten raz, bo inaczej jakoś nie wypada,

lecz jest bez mała obrażony prośbą, której uledez musi.

— Myślałem, że pańska narzeczona jest na wsi? —

Właśnie przyjechała, — zupełnie niespodziewanie, — tłumaczył się Władzio.

— No, — stęskniona! — dyrektor odzyskiwał, godząc się z faktem dokonanym, dobry humor, nieco ironiczny.

Lecz od obowiązku oczekania, aż sam listy przejrzy, Władysława nie zwolnił. W jednym trzeba było nawet zmienić słów kilka. Minuty ubiegały. Władysławowi wydawało się, że ma rozżarzone węgle pod sobą. Stasiuleńka! Nuż ją jaki przechodzący robotnik lub włóczęga zaczepi.

— Byle tylko nie było depesz — zakończył dyrektor.

Skalski uznawał w duchu słuszność obawy. Wolski słabo władał niemieckim i trudno mu było jakąś skomplikowaną depeszę samemu ułożyć. Edwardka, który rodowitego języka jeszcze nie zapomniał, już, jak zwykle, nie było w fabryce. Wajcenzang, lubo zatraćający trochę żargonem, mógł dopomóc, lecz dyrektor odwoływał się niechętnie do niego.

W kantorze, gdy wychodził z gabinetu, powitały Skalskiego rozweselone, ironiczne i drwiące oczy. Czosnek, który przy pulpicie buchalterji opowiadał coś, zamilkł i starał się przybrać jaknaj-

obojętniejszą minę. Łatwo się było domyślić. Podpatrzył!

— Pan już nas opuszcza? — zdziwił się niby buchalter, gdy Skalski zamykał spiesznie swój pulpit.

— „Do ciebie, luba, spieszę już...” zanucił pomocnik, z modnej operetki.

Wtedy Skalski odwrócił się, groźny.

— Moja narzeczona na mnie czeka. —

Ucichło.

Był już na kurytarzu, gdy, tryp, tryp, dobiegły go kroczi. Kasjerka nie wytrzymała.

— Moje najlepsze życzenia panu. —

To było szczere, z serca, jakkolwiek przysuszonego. Jednakże — kobieta ...

Wierna narzeczona czekała wiernie.

— Bardzo się pani dłużyło? — zapytał.

— Och, strasznie! —

Ale w jej tęsknym głosiku dźwięczała jakaś nuta weselsza; rada była, że go widzi, że go ma przy sobie.

Teraz dopiero przyjrzał się jej dokładniej. Miała na sobie skromną, szarą sukienkę, nawet niezupełnie świeżą, ale czystiutkie białe mankietki i takiż kołnierzyk przy staniku, skrojonym trochę na modłę męską. Szary, z cienkiego filcu, kapelusik, z opadającymi malowniczo skrzydłami, przypięty szpilą o koralowej barwy główce do złocistych pukli, okalał, wdzięcznie, wdzięczną twarzyczkę z figlarnym noskiem.

— Oh, — tak jestem — z podróży — kłopotowała się pod jego badawczym okiem.

Jednakże mankiety i kołnierzyk, a bodaj i kapelusz, wyglądający nowiuteńko, musiała chyba założyć na cześć narzeczonego.

Oczywiście, — żeby mu się spodobać lepiej. Nic nagannego.

Wyglądała skromnie i dyskretnie, lecz z pewnym *cachet* umyślnej prostoty, — ot, właśnie na jego żonę.

Powiedział jej to z uwielbieniem. Rozśmiała się.

Wsunęła mu rączkę, w świeżej, białej, z cieniokiej skórki rękawiczce, pod ramię i poszli.

Czuł ją przy swym boku. Była ciepła i milusia.

Szli nasypem kolejki dojazdowej ku stacji.

Prowadząc ją ostrożnie, by nóżka nie potknęła się na wystających belkach podkładowych, milczał, z wielkiego szczęścia.

Wreszcie przystanął, — i nóżki obok niego wstrzymały krok, — by się upewnić ostatecznie:

— Więc bardzo kocha? —

— Bardzo. —

Wtedy dopiero spytał:

— Ale jak się to stało, że tak niespodzianie — pani tu spadła? —

Przytuliła się do niego, jeszcze silniej.

— Potem powiem — dźwięczało żałośnie, jakby z skruchą i prośbą o przebaczenie, — teraz niech — nie pyta o nic. —

Przycisnął ją do siebie, okalając ją ramieniem.

Widocznie jakieś nieszczęście ją spotkało, biedną. Potrzebowała pociechy, otuchy, rozrywki.

Jął jej pokazywać okolicę, wyliczać fabryki w okół. Okazywała ogromne zainteresowanie.

— Młyn zaraz odnalazłam, bo ma najwyższy komin z wszystkich — mówiła.

— A jakże — potwierdził z dumą, przejmując się uznaniem, oddanem „jego“ fabryce.

— I pan też jest wysoki — śmiała się już, przeginając głowę, by tem więcej z dołu ku niemu w górę patrzeć, z udaną trudnością, zalotnie.

— No, i — Stasiuleńka też dobrze wyrosła, chociaż niby takie chucherko. —

Mówił do niej pieszczotliwie, przez trzecią osobę, nie śmiejąc i nie uważając za stosowne odrzucić „pani“, ni przejść na zbyt poufałe jeszcze „ty“.

Doszli do stacji.

— Tak się bałam, tu iść sama! —

W tramwaju zażądał z dumą:

— Dwa bilety! —

Wtedy dopiero powstało pytanie:

— Dokąd jedziemy? —

— Ja mieszkam u mojej siostry Lichtowej, ale!... chciałabym się koniecznie z — panem rozmówić, nie u niej, bo — tam mieszkanko — małe, a rzeczy dyskretne, — och, straszne, ważne ...

Boleść zarysowywała się na jej twarzy. Słuchał, na razie bezradny.

— A — pan — dokąd? — rzuciła nagle.

— No, — zaambarasowanie Władzia rośło, —

sam, byłbym pojechał do siebie, na Wspólną, ale z chwilą, z którą spotkałem — mój skarb, to jest oczywiście wykluczonem. Skoro — pani nie chce mnie zabrać do siostry, a w drodze trudno o ważnych rzeczach rozmawiać, — wstąpmy gdzie do cukierni. —

— Niecierpię cukierni! —

— Ale cóż zrobić? Może w Saskim ogrodzie siądziemy gdzie, albo dojedźmy do Alei w Ujazdowskim...

— Pełno i wszędzie podsłuchują... Panie... Władysławie, pan — nie zawiódł mego zaufania — wtedy — w Próchnówku, więc i dzisiaj jestem pewna... Pójdziemy do pana. —

Niespodziewane postanowienie zmieszło Władzia. Czuł całą niestosowność.

Ale już mówiła lekko, niby żartem:

— Zresztą — ciekawa jestem, jak mój pan mieszka. A może — bo jestem zazdrosna — odkryję tam ślady — innej niewolnicy? —

Opierał się jeszcze. Ale prosiła i tłumaczyła tak ładnie, że prawie sam nie wiedział, jak się znaleźli na Wspólnej.

Minął ich Edwardek Treter.

Uśmiechnął się, jak się Władziowi zdawało, więcej ku Stasi, niż ku niemu, serdecznie, prawie poufale, uklonił się i szedł dalej, elegancki, wyświeżony, jakby z żadnym kantorem nie miał nic wspólnego.

— Pani go zna? — spytał Skalski, wprost odruchowo.

— Poznałam go kiedyś przez jedną z moich sióstr, — z którą brali lekcje tańca razem, ale to już dawno — objaśniała.

W mieszkaniu wyraziła najpierw swój podziw nad urządzeniem, lubo nie przedstawiało ono nic nadzwyczajnego. Stało wprawdzie w dwóch pokojach kilka mebli cenniejszych, starożytnych, odstąpionych Władziowi przez Rudowską, a którym patronował portret imię pana Onufrego Skalskiego, chorążego zakroczymskiego, który Opałińską miał za sobą. Kopia, zdjęta na zamówienie Władzia, z podobizny, zawieszona w Próchnówku. Po za tem urządzenie było, co najwyżej, gustowne.

Ale Stasi podobało się nad miarę, chwaliła wszystko, że aż panu domu serce rosło, okazała nawet winną rewerencyę chorążemu Onufremu, ku zadowoleniu potomka. Przytem, marząc głośno, rozporządzała już mebelkami do przyszłej siedziby, której wyszukaniem zaraz się zajmie.

Szczebiotała wesóło. Była jak dziecko, niewinne i rozkoszne.

Aż...

Aż przyszła chwila, kiedy Stasia przypomniała sobie — o rzeczach strasznych, ważnych, które miała opowiedzieć.

Ah!

Jęknęła nagle i padła na kanapę, zakrywając twarz dłońmi.

Widział rozrzucone złoto karbowanych włosów, skłonnych w tym momencie ku rozsypaniu się w nieładzie z pod wysuwających się szpilek; po karczku białym, śnieżniejszym od bieli kołnierzyka, przebiegały drgania, jakby od tłumionego szlochu.

Oderwał lekką przemocą jej dłonie od twarzy, którą obrócił siłą prawie, ku sobie, — zajął łyzy w niebieskich oczętach.

— Co mojemu kochaniu się stało? —

Tulił i całował rączki, drobne, atlasowe, ściskające nerwowo jego dłonie. Prąd jakiś gorący, wewnętrzny, przechodził z nich po nim, wstrząsając całym jego jestestwem, owładając nim, przykuwając go, niby nierozzerwalnie i na wieki złączonego, do tych rączek, które przytrzymały go, bezwiednie zapewne, lecz silnie, jak kleszczyki, zgrabne i delikatne, ale doskonale i pewnie działające, nie boleśnie a trwale.

I zcałowywał łyzy z nieodusuwających się pod dotknięciem wąsów rzęs i całował usta, które jakby prosiły się same o pociechę pieśczości.

A Stasiuleńka mówiła, wśród łkań. Wyrzuciła słów, raz zacząwszy, dużo. Beładnie. Mówiła i mówiła. Nie wszystko mógł zrozumieć. O wielkiej krzywdzie, którą jej wyrządziła pani Rudowska, która jest, oczywiście, siostrą — pana Władysława i na którą ona, biedna Stasiuleńka, wobec tego nie chce i nie myśli nic złego powiedzieć. Ale pani Zofia, w chwilowem rozdrażnieniu

niesłusznem, jakie się może zdarzyć u najzacniejszej osoby, a którego z pewnością kiedyś sama żałować będzie, postąpiła sobie z biedną Stasiuleńką, tak jak się z nikim postępować nie powinno. Rozumie pan? z nikim! A już najmniej z taką nieszczęsną, pożałowania godną istotą, jaką jest w tej chwili narzeczona Władzia. A przecież jest narzeczoną — pana Władysława. I każdy człowiek ma prawo, żeby uszanować jego sekrety, zwłaszcza gdy są zupełnie niewinne, a tylko ktoś uprzedzony może wyciągnąć z nich niesłuszny wniosek. Bo ona — swego narzeczonego kocha, pomimo jednego niemądrego listu, który był żartem pisany, a z którego pani Zofia wywnioskowała, Bóg wie co. Już nie mówiąc o tem, że cudze listy są święte. Wobec tego nieszczęsna Stasia sama zdecydowała się opuścić dach, pod którym spędziła zawsze miłe i najmiłsze dni swego życia. Najmiłsze, — w których poznała — obecnego tu pana. I przyjechała, nie, żeby tłumaczyć się przed nim, bo do tego wcale niema serjo powodu, tylko, że — już — dłużej — bez niego — wytrzymać — nie mogła.

Władysław pochwycił i zrozumiał przedewszystkiem ostatnie zdanie.

I z pozycji stojącej przeszedł do klęczącej, całując, na kolanach, wdzięcznie rączki tej, która go tak kochała.

O zatargu zaś z Zosią, którego przyczyna niebardzo mu była jasna, przesądził w duchu, lekko, po męsku:

Baby pokłóciły się!
Zdarza się pomiędzy najzacniejszemi i nie grozi zerwaniem stosunków na wieki.

Jał więc, aby odwrócić myśl ubóstwianej od przykrego tematu, zapewniać ją, szczerze a wymownie, o swej miłości, która przetrwa wszelkie próby.

Potem zastanawiano się nad zagadnieniami przyszłości, jakie nastęrczają się parze, mającej ślub z sobą zawrzeć, a są rozliczne i przedstawiają praktyczne trudności, jako to kwestja, gdzie i kiedy ślub się ma odbyć, — zgodnem było zdanie, że jaknajprędzej, — kwestja mieszkaniowa, urządzenia sobie — mieszkania i życia. Pole do wymiany zdań bardzo obszerne. Zajęcie, jakkolwiek wysilające duchowo, bardzo miłe.

Leciały kwandranse. Zmrok zapadł. Światłem go nie wystraszo, bo, jak słusznie zauważyła Stasiuleńka, najlepiej się gawędzi o szarej godzinie. Siedzieli przy sobie na kanapce, jak ongi w Próchnówku. Tylko trochę bliżej. Władzio był do niewypowiedzenia szczęśliw i dumny z miłości i zaufania swej przyszłej. Stasia garnęła się do niego.

Serce go zabołało, że, wobec posuwającego się bezlitośnie wieczoru, trzeba kres położyć uroczemu rączka - w - rączkę.

Stasia nawet nie chciała słyszeć o rostaniu — już.

— Przecież u mnie do późnej nocy zostać nie

może — śmiał się, widząc kapryśne skrzywienie usteczek.

Milczała.

Ale na ulicy przyznała mu się, że się jej — zupełnie prozaicznie—jeść chce, a u Lichtów zapewne już po kolacji.

— Ha,—to chodźmy do restauracji,—kompromitujemy się po cichu i publicznie — żartował. Swoją drogą byłby wolał, gdyby się rzeczy układały zwykłym biegiem, z poszanowaniem, słusznym, dawnych tradycji; ale od początku wszystko z Stasią poszło tak jakoś odmiennie, że już własnych zasad nie przeciwstawiał losowi i — woli Stasi.

Lecz zawsze wybrał lokal mniej uczęszczany, gdzie usiedli sobie skromnie w kąciku, chociaż narzeczona znalazła miejsce niewygodnym i stolik na środku sali odpowiedniejszym. Z drugiej strony wciąż zdradzała obawę spotkania znajomych i utrzymywała uparcie, że zna tego i ową, lubo wskazywani przez nią państwo wcale nie zwrócili uwagi na przybyłych.

— Kaprysi, — mój kaprysek kochany! — szeptał pieszczotliwie Władzio.

Ale wymieniała po nazwisku groźnych świadków ich sam-na-sam; jeno, ponieważ już oddawna nie była w Warszawie, zapewne ją zapomnieli. A może są tak zgorszeni, widząc ją w towarzystwie jakiegoś pana, że poznać niechcą.

— Skompromitował mnie pan już tak, że pan

ożenić się zemną — musi. — Oczy jej błysnęły — żartobliwie.

Odprowadzał ją pod ramię. Tuliła się do niego, ale wciąż utrzymywała, że spotykają znajomych. Aż jakoś dziwnem się Skalskiemu wydawało, że się ani jeden z nich nie uklonił, ani głowy za znajomą nie odwrócił.

Nadłożyli kilku ulicami, bo Stasiuleńka, jak się sama przyznawała, rozstać się z Władziem nie mogła i twierdziła z całą pewnością, że jeszcze niema godziny jedynastej, więc brama domu otwarta i można się nie spieszyć. Napróżno Władzio, z chronometrem w ręku, byli, w zasadzie, przeciwnego zdania. I pan Władysław i zegarek mylili się napewno...

A potem stróż się napewno omylił i zamknął bramę przedwcześnie.

Lecz „na zgodę“ podsunęła Władziowi usta do pocałunku. Otwierający wrota stróż patrzył się, stoicznie. Za to Władzio, wobec niekrępującej się w uczuciach czułości, jakkolwiek miłej, odczuł przelotnie trochę żeny.

— Do jutra — rzuciła jeszcze jego narzeczona, z anielskim uśmiechem, słodkim, niby miód, do którego lgnęła mucha - Władzio, i zniknęła, w półcieniach sieni, z oczu, goniących ją chciwie, lecz, już przez zamkniętą bramę, napróżno.

Wtedy twarz Stasiuleńki, zmieniając odrazu wyraz, skrzywiła się w grymas zły, niezadowolony, zacięty.

— Twardowski, który pod tę porę na swej łodzi, miesiącu, zawędrował nad Warszawę, błysnął rogiem księżyca, przez okno na Wspólnej, ku imć panu Onufremu.

— Czołem, mości chorąży, — wieszować pono niebawem aliansu z mieszczką warszawską! —

— Stać Skalskiego i na to — odparł dumnie mąż Opalińskiej — jeno, że dziewa natrętna i ochfiarująca się sama. Cale mi się nie podoba. Jużem drżał o młodzika, chocia dobrze pod wąsem przecie jest. Ano — z cięższych opressjej dobra krew cało wyńdzie! —

XIX.

Jakoż praszczura pewnoś zaraz potwierdzić się miała.

Rozmarzonemu całkiem Władysławowi zastąpiło, na rogu jednej z równoległych do Marszałkowskiej ulic, dwóch drabów.

— Która godzina, proszę pana? —

Zaiskrzyły w twarz oczy bezczelne, zuchwałe.

Zrozumiał. Nie dając odpowiedzi, chciał minąć. — Niedobrze, — w prawicy tylko cieńka laseczka, — w koło pustawo, — zresztą każdy drapnie, przezornie...

Sięgnęła mu ku kieszonce łapa, pewna swego. Odtrącił.

— Majcherkiem, brachu! —

I wtedy, co w ocieężałym nieco mężczyźnie drzemało z turzych sił onych, pod których ciosem gięły się blachy krzyżackie, spadło okrutnym rozmachem, lewej tylko, pięści, niby uderzenie młota, na andrusowską czapkę z kaszkietem.

Napastnik padł, jak długi, w rynsztok. Drugi cofnął się, zdumiony, i odbiegł, rzucając:

— Ci — z cirku?! —

— Krzyże gałganowi trochę przetrąciłem — przyjął ocalony z zadowoleniem pochwałę siłacką, nie oglądając się dalej za „ofiara“ i podążając szybko, by jaknajdalej znaleźć się od widowni bohaterstwa, z którego praktyczniej nie szukać chwały, wiatru w polu i ambarasu dociekiwań.

Lecz wypadek roztrzeźwił go podwójnie.

Krew żywszym obiegem napłynęła snąc ku mózgowi i umowi ostrzej wszelkie zagadnienia rozważać kazała.

Zresztą Skalski, nie będąc orłem, nie był — osłem. Był przeciętnie rozsądnym człowiekiem. Oczywiście, niektóre uczucia zaślepiają — najmędrszych.

Lecz w nagłym roztrzeźwieniu z poezji życiowej ku jego, brzydkiej często, prozie, zbudziły się równocześnie wątpliwości i pytania, które, leniwo czy umyślnie odsuwane, przewijały mu się już, niewyraźnie, w głowie.

Wypadek, uderzający z zewnątrz w kręgi myśli a nie tykający zupełnie ich osi, zwraca ją czasem wstecz, prawem mechanicznego odruchu.

Żywiej pobudzona myśl Skalskiego, usypiająca pod słodkim haszyszem styku z ukochaną, zaczęła pracować nagle, mimo i prawie wbrew jego woli, nad rozbiorem ostatnich przeżyć, niby hamulec, dotąd zawieszony, a zwracający się, z chwilą napięcia, tem silniej przeciwko dotychczasowemu rozmachowi.

Zkąd wyszło zastanowienie Skalskiego? Czy

z refleksyi, którą zakończył przecenę rozbójniczej napaści: Jak to się jednak trzeba mieć na baczności?

Czasem życie jakby stawia sobie za zadanie, uczyć łatwowierności. Wszystko wkoło niedowierzającego tchnie szczerością i uczciwością. Przepaja go podobnemi uczuciami ku bliźnim i każe wierzyć, bez fatygi sprawdzania. Aż, odrazu, przychodzi przestroga.

Skalski miał moment trzeźwości i w niej przypomniała mu się historia zajścia pomiędzy siostrą a narzeczoną, w przedstawieniu Stasi. W pierwszej chwili, słuchając „babskich żalów“, machnął ręką. Jednakże rzecz pozostawała niejasną. Znał swą siostrę przecież — bez mała od urodzenia własnego. Wiedział, że była niezdolną do jakiegokolwiek podłości. Więcej, — nawet, jak na kobietę, dziwnie wolną od małostkowości. Przytem wiedział, że Stasię, bez zaślepienia, lubiła. Małżeństwu ich była wręcz przeciwną, — tak. Ale, jeżeli przyjęła czyn dokonany zaręczyn wymówką, zrobioną bratu, — to pewnym był zupełnie, że nigdy nie da odczuć niezadowolenia przyszłej bratowej. Na to była za delikatną, za dobrze wychowaną, zbyt rozumną i przede wszystkim wielkoduszną.

Awanturę więc musiała wywołać Stasia, — oczywiście nieumyślnie. Ale westchnął. Potrzebne to było? Takie kochane, — ale takie — niemądre stworzenie! Kaprysyk! kaprysyk — niepotrzebny.

Była to pierwsza, leciutka skaza, która nieznacznie przyćmiła na chwilę kryształ charakteru Stasiuleńki w jego oczach.

Wrażenie było przelotne i otrząsnął się z niego niebawem, pozostawiając czasowi rozjaśnienie nieporozumienia.

W mieszkaniu, przesunięte krzeselko, przełożony na inne miejsce drobiazg wywołały mile wspomnienie rączki, która tych przedmiotów dotykała i niedługo władać niemi będzie, oraz Władziem.

Swoją drogą coby Zosia powiedziała na bytność narzeczonej u niego? — Mniejsza wprawdzie o zdanie Zosi. To jest, nie mniejsza, boć ją kocha i ceni, lecz ostatecznie nie jest chłopczykiem, drżącym przed ochmistrzynią; nic strasznego się nie stało i ani Stasia, ani on nie mają powodu się rumienić. Lecz zawsze lepiej będzie zachować nieuszanowanie pozorów w tajemnicy przed siostrą. A to było mu wręcz niemiłe; bo siostra przedstawiała zdrową i rozumną opinię.

Z tem wszystkiem obraz ukochanej ogółem nic nie stracił na świetności barw pod powiekami zakochanego, które sklejiły się do spokojnego snu.

Ale przebudzenie było niemiłe, — okropne. Bo przyniosło wyjaśnienie „nieporozumienia“. Nie potrzeba było komentarza Zosi. Nie dawała go zresztą, tylko króciutki szkic zdarzenia, serdeczne słowa i — załączniki, które mówiły wyraźnie: Rozstrzygnij sam.

Władysław, czytając je, w pół ubrany, miał najpierw wrażenie jakiegoś złego snu. Śpi jeszcze. Zmora go dusi, straszna, potworna. Ale nie, — to była jawa — „starego durnia“.

Określenie — darowałby. Nie miał już lat dwudziestu, — to wiedział, i świadomość owa, jak wiek właśnie, czyniły go wyrozumiałym. Nie miał się też za — Metternicha.

Lecz cała treść wynurzeń „słodkiej Stasi“ przedstawiała mu jej kryształową dotychczas osobkę w świetle tak uwydatniającem jedną skazę obok drugiej, że — upuścił z rąk porysowane brzydki i brudno — szkło czeskie.

Padło na ziemię i stłukło się. Bo było liche.

A on patrzył oczyma, nieruchomo wlepionemi w dal, za kimś, który znikał, za czemś, co odchodziło.

Czasami mężczyźni płaczą. Zdarza się. Po wielkim bólu. Ale to zwykle później, gdy już ból odszedł, a z nim szczęście.

W pierwszej chwili...

Z piersi Skalskiego wydarł się nagle wprost ryk.

I dobrze było, bo z nim odeszło szaleństwo, które w takich chwilach krąży, czyhając, nad mózgiem.

Pozostał ból i niewymowne przygnębienie.

Ubrał się machinalnie i sztywnym krokiem automatu wyszedł na ulicę.

Aura, jakby się dostosowała do jego nastroju, przeszła od ciepła dnia uprzedniego do podłego

zimniska, z wiatrem, poświstującym, jak w podróży szczęśliwego narzeczonego z Próchnówka.

Szczęśliwego — wtedy.

I nieprawdą jest, jakoby szczęście czyniło człowieka bezwrażliwym na wpływy zewnętrzne. Przeciwnie, — wtedy otulał się od deszczu. Dzisiaj zapomniał nawet zapiąć paltota.

W biurze wiało także dokuczliwie przez wszystkie fugi nieszczelnie domykających się okien. Ale — nie to... W jego duszy było zimno.

Zresztą nic się nie zmieniło.

— Panie hrabio — pytał Groser Czosnka — podobno pan się zaręczył, z hrabianką jakąś? —

Zemsta za wczoraj.

Ale Skalski nie podniósł głowy.

Gnębiła go, przy odrabianej pracy, myśl, co począć dalej, jak się rozmówić i — rozstać z — narzeczoną. Umówili się, że wstąpi po nią o szóstej do Lichtów, zarazem poznać bratową i szwagra.

Położenie tem kłopotliwsze, — przychodzić z zerwaniem.

A jednakże nie mógł się, jakkolwiek z winną, rozejść tak bez słowa.

Był zbyt — nieśmiały na to — i zbyt dobrym. I przecież nawet zbrodniarzowi daje się sposobność do wypowiedzenia się, w obronie.

Więc spotkać się z nią musi, chociaż niechętnie.

Byle tylko Stanisławie nie strzeliło czasem do głowy, przyjść znowu po niego. Nie, to, to nie!

Tymczasem, krótko przed zamknięciem biura, praktykant, który się szwendał po za niem, wszedłszy, zaczął szeptać tajemniczości Wajcenzangowi. Władysław nie śmiał spojrzeć ku nim, bojąc się napotkać ironiczne uśmiechy. Już i tak miał dosyć biedy, opędzić się kasjerce, która kilkakrotnie, lubo najżyczliwiej w świecie, zagabywała go o jego narzeczeństwo.

Szczęściem wspomnienia pamiętnego dnia wczorajszego, mającego przetrwać w kronice kantoru jako dzień, „w którym się do nas włamali“, — odwracały jeszcze uwagę od innych, pomniejszej wagi, wypadków. Aż utrwaliły się dwa pewniki, po pierwsze, że stróż Władysław, od samego rana odprawiony przez dyrektora, słusznie, jako winny, oddalonym został, a po drugie, co było znacznie pewniejsze, że „cholery-złodzieje“ nigdy odkrytymi nie zostaną.

Niepewnem pozostało, czy „wyda się“, w jaki sposób buchalterja prowadzi książki, uszanowane przez złodzieji.

Za to odkrytą została narzeczona korespondenta, czekająca na niego przy furtce. Co do tego Skalski już nie miał wątpliwości i złe przeczucia jego sprawdziły się, gdy, ociągając się trochę, bo wolałby się spotkać znowu z bandytami, niż z nie-szczęśnicą, wyszedł z biura.

Stasia czekała. Niby ta sama Stasia, którą kochał — przedtem, — może — jeszcze. Nic nie zmieniona. Zawsze śliczna. Tylko że na szarem tle

miała czarny żakiet, dla ciepła, bardzo zgrabny, do figurki. I kapelusik inny, coś w rodzaju toczka.

No, i minkę miała niełaskawą, zniecierpliwioną.

— Strasznie długo mi pan czekać kazał! —
Milczał.

Naciągnęła struny łagodniejsze.

— A mnie tak tęskno było — za kimś i nie mogłam wytrzymać. Miał pan przyjść do nas, a ja, niemądre stworzenie, musiałam polecieć po pana. — Trzepała szybko, z pewnem zakłopotaniem. Władysław czuł po za niem niepokój. Oczywiście domyślała się, że Skalski miał prawdopodobnie tymczasem wiadomości od siostry. Dla tego, bojąc się, i słusznie, o wrażenie, — nie czekając, aż i czy narzeczony przyjdzie do Lichtów, przyleciała po niego.

Tak myśl, jasna i twarda w loice, określała Władziowi położenie. Tak było. Był wprost przerażony swem jasnowidztwem. Cierpiał i wstydził się za Stanisławę; narzucała się.

I, rzecz dziwna, czy nie dziwna, w obec tego, — słodkie słowa o tęsknocie za nim — już nie działały.

Próżno usiłowała go jeszcze wzruszyć.

— Czekałam. Wszyscy już wyszli z kantoru. Przechodzili koło mnie. Przypatrywali się, jak osobliwemu stworzeniu. Oh, tak wstyd było Stanisuleńce! —

Ale usteczka, wdzięczące się, jakby zdradzały

równocześnie jakiś grymas zły, brzydki; w oczach, owych cudnych, niebieskich, czaiło się coś. Pod lazurem morza czyha rekin.

W zakochanym, baranku, stąpającym ochoczo za melodją, którą wygrywała z ręcznie pasterka, zbudził się upór kozła. Ba, bez mała miał ochotę bóść nadstawionemi rogami.

Czyli przebudził się mężczyzna, nie za głupi i roztrzeźwiony.

W krótkich, uprzejmych, ale stanowczych słowach podał Władysław Skalski pannie Stanisławie Józefowicz do wiadomości, że z listu jej do siostry przekonał się o — omyłce, którą co do własnych uczuć popełnia sama. Wobec tego lepiej będzie, że się, nie będąc, niestety, do siebie dobrani, rozejdą, jeszcze w porę.

Oświadczenie, acz zwięzłe, było treściwe i przystępne. Panna Józefowicz zrozumiała, że, gdy człowiek, na ogół miękki i ustępliwy, zdobędzie się raz na postanowienie, trudno będzie je zmienić.

I wpadła w furję.

Wiatr dał po nasypie i uniósł znaczną część jej słów ku zatracie. Wszakże z tych, które unikły zagładzie, Władzio dowiedział się, że postąpił sobie niegodnie. Skompromitował biedną dziewczynę, podstępnie i umyślnie! Bo przecież „całe miasto“ widziało ją u jego ramienia, z nim na kolacyi, ba, pan Edward Treter oglądał się za nimi właśnie w chwili, gdy wchodzili do domu, w którym mieszka Skalski. Co też sobie pan Treter

pomyśli o takim pracowniku! Ona bynajmniej nie życzy panu Skalskiemu, żeby przez takie niegodne postępowanie stracił posadę, ale byłaby to słuszna kara boża! I kto wie, czy tak nie będzie, bo cóż można mieć za zaufanie do człowieka, który uchyla się przed odpowiedzialnością za swe kroki!

Wprawdzie może się bronić tem, że pozory tylko przemawiają przeciwko nim, — o które jednak on, jako mężczyzna, dbać był powinien za nią. Jednakże świat z pozorów sądzić będzie i biedna ofiara jest na wieki zgubioną.

Tu Stasia uderzyła w ton tragiczny.

Rzewnie i wzruszająco jąta odmalowywać różne sposoby, któremi życie, i tak już dla niej nic nie warte, sobie skróci. Sposoby były różnorakie i, w razie wykonania, oczywiście groźne. Począwszy od zapalek, których łebki przełknie w szklance wody, a skończywszy na Wiśle, po której popłynie jej trup.

Władysławowi włosy z zgrozy powstawały na głowie, pod kapeluszem.

Wiatr dał po nasypie. Rozwiewał słuchającemu paltot, robił z nieszczęśliwca śmieszoną figurę, niby stracha na wróble.

Władzio pocił się.

Ale nie ustępował.

Zaciął się.

Milczał.

Bo też próby przerwania potoku wymowy, spływającego obok, byłyby próżne.

I w chytro mazurskiej mózgownicy przebłysnęła mu przecież myśl, że obawy panny Józefowicz o niezatartą hańbę są zgoła przesadzone. Naprawdę niewidział ich nikt w sam-na-sam, jeno Edwardek na ulicy, — cóż dziwnego, — narzeczonego, spacerującego z narzeczoną? I, ostatecznie, stróż w domu Lichtów, który był świadkiem ich pocałunku pożegnalnego. To gorzej, — aleć pocałunek, dany narzeczonemu, jeszcze nie kompromituje kobiety na wieki!

Więc, twardo, nie uznawał swego obowiązku do jakoby rehabilitacji.

I nie uznawał, żeby, wobec tego, panna Stasia miała być zgubioną.

Ni, żeby miała powód do skrócania sobie życia.

Nie sądził też, żeby groźbę wykonała.

Gdyby wszystkie porzucone narzeczone miały się topić... Zazwyczaj wolą zaręczyć się z kim innym.

Swoją drogą Stasia była warjatka. Żeby ochłoneła przynajmniej.

Ale nie. Niby krater, zionący ogniem, w coraz gwałtowniejszych wybuchach, gdy raz rozpęta się w nim siła żywiołowa, rzucała gradem słów, płomiennych, piekących, których żar z trudem usiłował wiatr wiejący ostudzić.

Krzyczała, rzucała się.

Władzio patrzył z strachem.

Dochodzili do Bahnhofu, powoli, bo przystawała w momentach największego uniesienia.

Nagle rzuciła się pędem naprzód, przez szyny. Czy pod pociąg?

Nie, — wpadła do tramwaju, ruszającego właśnie.

Władysław nie gonił jej dalej.

Obrócił się powoli do jednej z dorożek, stojących w pobliżu.

Kazał się wieźć do domu.

Dygotał zębami, jak w febrze. Próbował się otrząsnąć, postawić moralnie na nogi, wymyślał sam sobie: — Cóż to, — baba jestem? — Ale wyprężone przez czas przejścia nerwy odmawiały posłuszeństwa. I zimno mu było, naprawdę. Cóż, u licha, miałżeby się, obok wstrząsu duchowego, zaziębić równocześnie na ciele? Śmieszne!

A jednak.

A jednak, ledwo mając siłę rozebrać się, położył się w domu do łóżka i leżał w półśnie gorączkowym.

Majaczyła mu się Stasia, w różnych sukienkach, Próchnówek, ogród, staw, siostrzenice, siostra z miną poważną, — panna Hela, dziwnie zamysłona. Potem wszystkie widziadła znikwały, mary. Jakby jakieś głosy mówiły, znane i nieznanne, i szeptały coś. Zdrętwienie zupełne nadchodziło, aż znów budził się, wyskakując całym ciałem w górę. Nad ranem, bo szarzało już w pokoju, niby się zdrzemnął trochę, ale zbudził go

lęk, że już czas do biura. Spojrzał na maszynkę do robienia herbaty, umieszczoną stale na stoliczku osobnym. Przypomniało mu się, że nie jadł wcale kolacji. Lecz nieczuł się głodnym. Tylko dziwnie zmęczonym, zbolałym. Ręce miał rozpalone i głowę. Zapewne nic strasznego, — trochę przeziębienia i gorączki.

Może byłoby dobrze wyleżeć się dzień jeszcze w łóżku. Chłopska kuracja, pod pierzyną, najlepsza na wszelkie choroby. Albo miną, albo się rozwiną doskonale. Z drugiej strony wstyd mu było za samego siebie. Czuł, że niedomaganie ma przez pół przynajmniej powód psychiczny. Ulegać mu, było dowodem słabej woli. Czytał niedawno zdanie anglika, członka najdzielniejszej rasy w świecie, że pod obuchem przejść duchowych przedstawiciel przeciętnie podrzędnego narodu — rozchorowuje się; anglik leczy się — pracą. I już wyciągał jedną nogę z pod kołdry ku dywanikowi, by wstać. Ale — nie. Nie mógł się zdobyć na czyn, godny anglika. Był tylko słowianinem. Zbitym moralnie i przeziębionym, gorączkującym trochę, fizycznie.

Pozostał skulony w łóżku.

Stróżka, gdy nadeszła sprzątać, zdziwiła się, zastawszy lokatora. Wyraziła żywe współczucie i wspomniała o kataplazmach. Zrobiła także herbatę.

Pod wrażeniem jej słów współczujących i czynów miłosiernych pacjent jął odzyskiwać już

nieceo humoru. Cóż, kiedy zepsuła wrażenie, wręczając mu list, właśnie nadeszły.

Od Stasi. Stasia donosiła, — że jest chora z zmartwienia, leży i błaga o dobry uczynek, „którego się nigdy nie odmawia, nawet osobie obcej“, by ją odwiedził.

Chora? Leży? Już chciał się zerwać. Rozchorowała się z zmartwienia, — lub — mignęły mu łebki zapalek.

Tylko, — zastanowił się, — czy to prawda?
Już nie wierzył.

Zaufanie, gdy raz pierzchnęło z serca, nie wraca.

Ale gorączki mu wznowione rozmyślanie o tem, co przeszło, nie umniejszyło.

XX.

Przed Rudowską leżał gruby pakiet. Pakiet już, nie list, z rozmiarów. Spadł na biurko. Nie z powietrza, tylko zwykłą drogą. A jednak był po trochu niespodzianką. Bo pochodził od Stasi. Zaadresowany jej ręką. Do pani Zofji Rudowskiej.

Czegoż mogła ta — niesympatyczna dziewczyna sobie życzyć? Pani Zofja miała wielką ochotę, odesłać przesyłkę z powrotem, nierozpieczętowaną. Ale—jakoś nieuchodziło. Zresztą Stanisława mogła mieć na prawdę jakiś interes poważny. Jaki? Okaze się, przeczytawszy. Rudowską nie kierowała próżna ciekawość. Była rzeczywiście tak wyjątkową kobietą, że gotowa była list, przeznaczony dla niej, pozostawić nietknięty. To tylko Manusia zerkała ciekawie ku tajemniczej, grubej kopercie, zgadując od kogo pochodzi.

Pani Zofja z niechęcią otwierała przesyłkę, patrząc się po głoskach, widniejących na wierzchu. Były kręte i nierówne. Nie zajmowała się nigdy grafologją i nie wyobrażała sobie, żeby z pociągnięć pióra można wyczytać zalety i przywary piszącego. Śmiała się, słusznie, z dziewczynek, któ-

re kiedyś posłały, i to za radą mądrej Stasi, próbki swego pisma do oceny jednego z mędrców, jacy, ku wypełnieniu i urozmaiceniu łamów a uciesze czytelników mnogich czasopism, składają swe doświadczenie w kształcie wyroków na drukowanym papierze. Jadzia otrzymała wtedy objaśnienie, mało ją zadawalające, że jest naturą zimną i chłodną, niezdolną do gorętszych porywów, suchą, trzeźwą i pozbawioną dążności poetyckich. Już trochę bliżej prawdy znalazł się znawca, wnioskując z literek Maniusi, że ma do czynienia z osobą, jeszcze bardzo młodą, niezupełnie wyrobioną, której przyznawał równocześnie szlachetność i dumę, a nawet pychę, a pomawiał ją o sentymentalizm i skłonność do marzeń.

Stasia, ostrożnie, pomimo, że ją namawiano, swego pisma do przeceny nie posłała.

Nie było ono piękne, nad czem, w cichości serca, ubolewała nieraz pani próchnowiecka, żałując, iż nauczycielka przykładem dzieciom nie służy. Ale to było nie do zmienienia.

Litery, stawiane przez Stasiuleńkę, wiły się, w cieńkich i bladych pociągnięciach, zygzakowatemi szpalerami po papierze.

— Szanowna i ukochana moja Opiekunko — pisała Stasiuleńka, ku zdziwieniu opiekunki, mającej w pamięci scenę pożegnalną, — niech Pani wybaczy mnie biednej, że w nieszczęściu swoim zwracam się do Niej jako do Anioła dobroci, którym Pani była zawsze dla mnie, opuszczonej sie-

roty. Pamiętałam też i pamiętam o tem zawsze i słowem jednym nigdy nie okazałam, jeżeli mnie w moich uczuciach i dumie szlachetnej czasem urażono. Co niech pani Pan Bóg przebaczy! Bo On przebacza wszystko.

Piszę dzisiaj do Pani te słówek kilka, na które się ledwo zdobyłam, bo chora jestem i do łoża niemocy przygwożdżona, postronkami z bólu moralnego. I niechaj będzie przebaczonem temu, który to sprawił. Niewie, że mnie zabija. A, gdy jako duch stanę przed nim, pokutniczy i karzący, będzie za późno i już nie odrobi, co uczynił. Wtedy go może żalność zdejmie i ból okrutny, po niewczasie, jak ten, który mną szarpie, że aż położyć się musiałam. A Pani przecież wie najlepiej, poznawszy mnie i oceniwszy, że nie jestem naturą miękką i najsrozsze ciosy losu znosić zwykłam z podniesionem dumnie czołem, które jest bez skazy, jak ja. Więc widzi Pani z tego, jaki grom to być musiał, który spadł na moją niewinną głowę i powalił mnie, jak gałąź, podciętą wichrem, że leżę bezsilna i jęcząc, pytam się: czy to jest możliwe? Czy możliwem jest, aby złość ludzka była tak wielką i przebrała wszelką miarę? Czyż my, kobiety, na to tylko jesteśmy stworzone, aby mężczyźni pastwili się nad nami? Przecież Pani kobietą jesteś, więc mnie wyrozumiesz! Znasz też mój charakter, jak jest czysty, i że nie jestem zdolna do najłżejszej przesady, ani mijać się z prawdą. Prędzejbym umarła i serceby mi pękło.

Chociaż i tak czuję w niem wciąż bicie nienaturalne i doktor powiedział mi, że powinnam unikać wszelkich wzruszeń, bo są w ogóle dla ludzi szkodliwe. Pewnie niedługo umrę i wtedy będzie kres mojego życia. I nikt nademną nie zapłacze, tylko psy wyć będą, bo są litościwsze od ludzi. Nademną się już znęcano tak wiele, że czuję, iż nie do łóżka się położyłam, tylko do trumny, z której już nie wstanę. Taki będzie los Stasiuleńki, która nikomu nic nie zawiniła, a na nią biją wszyscy. Już powiedziałam mojej siostrze, żeby mnie w białej sukni pogrzebali, nie przez pychę, chociaż to jest kolor niewinności i tak sobie życzyłam w nim iść do ślubu. A tu nie do ołtarza pójdę, tylko zaniosą mnie do krypty i dziad może jaki, albo babka kościelna będą odmawiać nademną pacierze, za pieniądze. Bo za pieniądze wszystko mieć można i ta żydowica, Pani wie, za nie sobie jeszcze może miłość swego męża kupić, nawet napewne, bo mężczyźni podli są i nic nie zważają na czystą duszę i ujmujący charakter, a nawet na wdzięczną powierzchność, tylko wezmą każde straszdyło, byle miało posag. Nie mówię tego o panu Władysławie, który tylko jest chwilowo obałamucony i zrobił mi taką straszną przykrość, nie poznając się na mojem uczuciu, które, Pani najlepiej wie, jak jest szczere i że Stasiuleńka nie kłamie nigdy. Dla tego właśnie udaję się do kochanej Pani, która mnie nie darmo swoją najstarszą córką nazywała, żeby Pani naprosto-

wała, co, zapewne bez Jej winy, ale w każdym razie przez Jej nieostrożność wynikło, takie nieszczęście, którego nigdybym się nie była spodziewała! Przez ten głupi list tyłko! Po co ja ten list pisałam! Żebym była przewidywała, w czyje ręce wpadnie i jaki z niego zrobią użytek. Nie chcę mieć do Pani zupełnie żalu i daruję Jej postępek, ale tylko pod warunkiem, że Pani wróci mi stracone szczęście!

Inaczej Panią przeklnę i przekleństwo nad sumieniem Pani ciążyć będzie, jak ołów roztopiony. Pójdzie za Panią w ślad po tropie życia i dotknie Panią w tem, co Pani ma najdroższego, to jest w dzieciach. Zobaczy Pani! Ja jestem łagodna jak gołąbka, ale z grobu powstanę, żeby zemsty dokonać, jak lwica rozjuszona, której wydarło serce z wnętrzości.

Nie, żebym się chciała mścić, bo to nie leży w mojej naturze. Ani się przed kimkolwiek skarżyć,—na to za dumna jestem i przełknę najsroższy ból w sobie, chociażbym nim udławić się miała. Nie chcę się też poniżyć do prośby o pomoc. Ale, jeżeli już Pani, jak ufam, taką dobrą będzie napisać do Władzia, to niech mu Pani zmyje głowę, bo te jego grymasy nie mają sensu. Po ślubie to ja się już nim sama zajmę, ale tymczasem, chociaż mi nieprzyjemnie, muszę kochaną Panią, jako Jego siostrę, o pomoc błagać, której odmówić nie wolno. Bo byłoby wprost nieszlachetnie. I Pani pojmuję mnie jako kobieta, że przecież nie mogę

z tą wieczystą skazą pozostać, jako opuszczona przez narzeczonego, który mnie nawet całował, nie wstydząc się, przed ludźmi. I stróż w naszym domu zawsze się uśmiecha, ile razy przechodzę, bo on to widział i może poświadczyć, chociażby przed sądem. Więc niech się pan Władysław o ten głupi list nie awanturuje, gdyż, na prawdę, nie ma, o co. I ja tylko za moją szczerą niewczesną mam pokutować? Czy to jest słuszne i czy tak się pomiędzy porządnymi ludźmi postępuje! Nigdy o takich hecach niepotrzebnych nie słyszałam i, jak się raz ktoś na taki poważny krok, na życie całe, odważy, pociągając drugą osobę, która mu zawierzyła, to nie po to, żeby się na drugi dzień odmyślić i pozostawić swą ofiarę na koszu. Jeszcze, żebym ja go ciągnęła, albo namawiała! Lecz nigdy nie było moim zwyczajem, rzucać się komuś na szyję. I sam może powiedzieć, i musi, jeżeli jest człowiek honoru, że nawet nie chciałam przyjąć jego oświadczyn, kiedy, zupełnie niespodziewanie, wtedy wieczorem, wtargnął do mojego pokoiku. Tego Pani o swoim bracie pewnie nawet nie wie i wiele innych rzeczy, które dowodzą, że jest źle wychowany, i tylko prawdziwe uczucie, które powzięłam ku niemu, pozwoliło mi na jego ułomności oczy zamknąć. I wiem, że kochająca żona wiele zrobić może z męża i poprawić go w jego błędach. Wezmę się do zadania, chociaż ciężkiego, z cierpliwością i taktem, — zobaczy Pani, że Pani jeszcze dumną będzie z swego brata,

jak ja go poprowadzę umiejętną dłonią. Nigdy nie trzeba o nikim wątpić, chyba że jest zły z natury. Ja jestem słodka i łagodna, więc wiele zniosę, byle doprowadzić do celu, którym jest Jego szczęście i moje. Gdy będzie mnie ulegał, rozsądnie postąpi. Proszę, niech Pani mu moją życzliwość dla niego i wyrozumiałość przedłoży. Bo — o miłość musi się starać na nowo. Stracił moje zaufanie. Ale Mu przebaczam. Tylko niech nie trwa w niedorzecznym uporze, w którym się zaciął, jak szaleniec, i wszystko znowu będzie dobrze. Ja nie chowam nigdy urazy w sercu. Wiem, że mogą być czasem nieporozumienia, ale są małoważne w obec obustronnych szczyrych chęci. Więc niech mi kochana Pani dopomoże,—wiem, że Pani robi chętnie wszystko, co w Jej mocy, dla szczęścia brata. A może też po trochu, jak znam Pani szlachetność, dla biednej Stasiuleńki, która zawsze tak szczerze do Pani była przywiązana i myśli o Niej jak o matce. Bez Pani błogosławieństwa ślubu nie brałabym.

Więc, raz jeszcze, proszę mi dopomódź! Do kogoż mam się udać, jak nie do Pani, która zawsze tak szlachetną i dobrą była dla mnie!

Mój Boże, gdy sobie pomyślę, jaka ja szczęśliwa byłam w Próchnówku z mojami kochanymi dziewczątkami, za którymi tęsknię i proszę, niech mi Pani doniesie, czy mnie często wspominają. Zaraz wróciłabym z miłą chęcią, gdyby się okazało, że pan Władysław już o mnie słyszeć nie

chce. Lecz niepodobna, żeby się nie miał namyślić i pożałować chwili uniesienia, w której mnie odepchnął i porzucił. Pisałam do niego z łóżka, chociaż każde słowo mi z trudnością przychodzi. Wcale mi nie odpowiedział!

Przecież ja o Nim nawet nic tak straszego nie napisałam do mej siostry, która też nie rozumie, jak można do tego listu się przyczepiać. Ja w ogóle nikogo nigdy źle nie sędzę, ani ujemnych wyroków nie pozwalam sobie wygłaszać. Tylko żartowałam niewinnie, aby rozweselić moją siostrę Lichtową, która jest skłonna do melancholji, jak my wszystkie w rodzinie. I za dobry uczynek taka miałaby mnie spotkać kara? Być pozbawioną kochającego serca na wieki! Bo Władysław mnie kocha jeszcze, to Pani przysięgam, i tylko nie śmie do mnie się odezwać pierwszy. A mnie nie wypada go ośmielać! Niech się Pani postawi w moje położenie!

Dla tego, szanowna i kochana Pani, trzeba przyjść z pomocą dwojgu szczerze kochającym się, a czyż może być piękniejsze zadanie! Wiecznie wdzięczną Pani będę. I Władzio też. On sam nie wie, co czyni i jakie szczęście odrzuca. Będę mu najlepszą i najukochańszą żoną. Takiej sobie tylko może życzyć i lepszej nie znajdzie, chociażby szukał po świecie całym, z świeczką w ręku, jak Djogenes, ten co mieszkał w beczce. Proszę, niech Pani napisze na Wspólną do niego, albo jeszcze lepiej na moje ręce, bo list może przepaść, albo

być z nim znowu jaki wypadek. Ja go święcie oddam i pójdę z nim sama.

Leżę tak chora, że o własnych siłach poruszać się nie mogę. Nikt do mnie nie zajrzy, bo nawet mojej siostry widzieć nie chcę. Gdy się jest bardzo nieszczęśliwym, to zupełny wstręt do ludzi ogarnia. Mówili mi tylko znajomi, którzy mnie odwiedzali, że w Władka fabryce na Pradze młody pan Treter, syn współwłaściciela, przypadkiem odkrył w książkach nieporządku buchaltera, którego już dawno podejrywał, i mają go oddalić. Taby pan Władysław mógł może wejść na jego miejsce, miałby wyższą pensję i tak byłoby ślicznie. A, żebyśmy mieli jeszcze jaki kapitalik, toby można z nimi wejść do spółki, bo przypadkiem słyszałam, że gotówki potrzebują, a interes sam jest dobry. Mój Boże, żeby tak Pani mogła nam dopożyczyć jaką sumę, bo do kogoż się udać, jak nie do siostry? A Władzio taki niezaradny, że posagu nie szukał, co mu się zresztą chwali.

Przepraszam, że ja tak otwarcie mówię o interesach, jak to w rodzinie, i chociaż nie marzyłam o takim szczęściu, żeby być szanownej i kochanej Pani bratową, ale widać tak już jest tam u góry pisane. Wiem, że się z sobą będziemy dobrze znosiły, bo ja Panią zawsze ceniłam i szanowałam i Pani mnie, poznawszy mnie już do głębi. Więc z utęsknieniem oczekuję Pani listu, albo żeby Władek przyszedł do mnie i mnie przeprosił, bo on udaje chorego, a mnie do grobu wtrąca,

skąd już nie ma wyjścia. I dopiero, gdy mnie już nie będzie na tym świecie, wszyscy zrozumieją, co utracili. To nie są czcze groźby, bo ja sobie życie odbiorę.....

Rudowska odłożyła kartki, z niesmakiem, i zamysliła się.

Czyżby jednak w grafologii tkwiło coś prawdy, po krętych literach leżącej na stole próby wniosku-
skując?

XXI.

Rudowska odpoczęła sobie trochę, odetchnęła, „odzipnęła“, zanim wzięła się do dalszego czytania. Praca była ciężka. Litery, kreślone rączką panny Stasi, niewyraźne, pokręcone, wznoszące się z zamachem ku górze, to znów opadające z przygnębieniem poniżej szeregu, pstrzyły się i piętrzyły tem bardziej, im więcej arkusików przybywało. Tak zapewne tworzą poeci.

Chociaż Rudowska przypominała sobie, że widziała kiedyś odbitki pisma różnych wielkich i cieszyła się wtedy równemu charakterowi wierszy, kreślonych ręką nieśmiertelnego Adama. Ten był loiczny. Już nierówniej wyglądały strofy Słowackiego.

A może jej to tylko kto zasugerował, jaki badacz, chwytający się, niepotrzebnie, aż tego środka do przeprowadzenia paraleli.

Usiłowała sobie uprzytomnić, gdzie i kiedy oglądała owe „facsimile“ Juliusza, którego, czcząc Adama, kochała jednak także, — litością. Jak wszystkie kobiety. Bo był nieszczęśliwy.

Ach, to pan Majewski, trochę zbieracz a lu-

ownik pamiątek ogromny, posiadał cennych kartek kilka, warjant z Beniowskiego, strof szereg, z poprawkami, widać szkic pierwszy, niedbale rzucony w części na odwrotną, białą stronę listu; dama jakaś zdawała swemu przyjacielowi sprawozdanie z obiadu proszonego, na którym on, ku jej wielkiemu ubolewaniu, nie był. Opisywała, wcale dowcipnie, krytykując, co podawano do stołu. Więc zupę „*aux légumes*“, w której łyżkę sztorcem utkwic było można, mięsiwo „łykowane“ i kwaśne kompoty, od których się wykrzywiały usteczka. Nadobne? Zapewne. Wielbicielka nie podpisała się nazwiskiem, tylko, modą czasu, przybraną, znaczącą nazwą: — *Fidèle*. I wyrażała nadzieję, że niezadługo się zobaczą.

Snać Słowacki nie wiele sobie robił z żartobliwo-poetyczno-sentymentalnej epistoły, bo, odwróciwszy ją, spożytkował papier ku nakreśleniu fragmentu, nie mającego żadnego związku z opisem wrażeń i wylewem uczuć piszącej damy.

A pan Tadeusz zżółkłe kartki przypadkiem znalazł u paryskiego antykwarza.

Dom Majewskich wpadł pani Zofii na myśl, odrywającą się od wywnętrzeń Józefowiczówny, dążącą tam, gdzie — zniknęło szczęście jej brata.

Ale była osobą obowiązkową, więc, z westchnieniem, wzięła się znowu do pracy. Bo pracą dla niej było zagłębianie się ponowne w wypisy nauczycielki. Oczy trochę bolały czytającą, jakto przy lampie, czuła się zmęczoną dniem, pracowicie

przy gospodarstwie spędzonym, aż tu owa miła osóbka nawaliła jej znowu przez pocztę, niepoczciwie acz poczciwie spełniającą obowiązki pośrednicze, na biórko — zajęcie po nocy.

Grafologia jest głupstwem, ale zawsze z pociągnięcia pióra i ustawienia głosek przebija nastrój piszącego. U Stasiuleńki, w coraz fantastyczniejszych kreskach, potężniał polot liryczno-tragiczny, lubo obrazy powtarzały się.

... Wziął mi serce — pisała — Władysław! Czuję, że go już nie mam, ani serca, ani Władysława! Pani się śmiać będzie zemnie. Pani powie: ta głupia Stasiuleńka powinna wiedzieć z anatomji, że bez serca żaden stwór żyjący żyć nie może. Gdy je wyjąć, jest — śmierć. O, ja to wiem, kochana Pani, i nie o tym marnym muskule myślę, który zaprawdę dałabym sobie wydrzeć z piersi, przez poświęcenie dla Niego, byle Go odzyskać. A może on niema serca? niech mu Pani pošle moje! Niech wie, jak zbolate jest i skarżące się na niego, że aż bije mi nieregularnie, bo pewnie nabyłam z tych wszystkich przejść wady serca i niedługo zamrę. I pogrzebią mnie i nad moim grobem będą rosły kaliny z liściem szerokiim! To jest, ja to tylko tak sobie wyobrażam, bo w istocie nawet pies wyć nie będzie na moim pogrzebie. Najlepiej rzucę się do Wisły i niech mnie woda zanieśie, aż do morza Bałtyckiego! Albo może trup mój utknie na łasze wiślanej, gdzie niedaleko Wyszogrodu, zkąd jest do Próchnówka, — mojego kochanego Próchnów-

ka! — tylko już kilkanaście wiorst, i będzie tam leżał, na hańbę i na wstyd dla wszystkich, którzy mnie zabili. Tak, bo zabijacie mnie wszyscy, mnie biedną, która niewinna jestem i jak śnieg biała i bronić się nie mogę przeciwko ludziom, którzy są gorsi od potworów! Potworów niema w naturze i tylko jest wąż morski, chociaż to niesprawdzone, który się pokazuje czasem marynarzom, jak ja się będę pokazywać po śmierci tym, którzy zawinili. U łóżka stanę i zionę w twarz przekleństwem! Któż wtedy spokojnie spać może?

Pani droga, niech Pani się nie dziwi mojemu wzburzeniu! Ale kiedy komu zabrano wszystko, co ukochał szczerze, głęboko i serdecznie! Tak, jak mnie zabrano, miłość i zaufanie, na które przecież zasługiwałam i zasługuję. Niech Pani powie sama! I nikt się nie znajdzie, któryby mógł rzucić cień podejrzenia na mnie. Chyba byłby z rozumu obrany lub ostatni z ostatnich. Ale ludzie są źli i kobieta, która stoi sama, zawsze narażoną jest na wszelkie podejrzenia. A tem gorzej, jeżeli ją kto na nie naraża lekkomyślnie i potem nie pamięta o swoim obowiązku człowieka honorowego, który jest, bronić ją. Bronić ją przed każdym i przed każdą i przed nią samą, gdy targnąć się chce na własne życie, złamane już, jak lilija skoszona, i nic nie warte. Takim jest moje życie. Czyż można o tem niewiedzieć, o tem niepamiętać, udając chorego, by uciec przed swoim sumieniem, które przecież do drzwi zakolata? A jeżeli nie, to

ja to zrobię. O, nieznacie mnie państwo, jeżeli myślicie, że sobie krzywdę zrobić pozwolę!! Z gołębicą łagodnej, którą jestem, zmieniam się wtedy w wilczycę, broniącą swojej czci, swego życia, swojego szczęścia! Jak ideał przyświecał mi pan Władysław, jako typ rycerza bez skazy, chociaż dzisiaj rycerzy już niema, tylko, widać, skazy pozostały. Teraz ucieka przedemną, okazał się jako najpospolitszy tchórz, gdy tylko ja jestem mężną, niewiasta. Takie dzisiaj czasy. Przyzna to Pani pierwsza sama, która przecież jest kobietą w całym słowa znaczeniu dzielną i jak Chrzanowska na murach Trembowli. Powiedziałam to kiedyś Jej dzieciom,—niewiem, czy pamiętają. Ale niech się droga Pani zapyta Maniusi, że zawsze jej mówiłam, jako matki obowiązkiem jest, czuwać nad dziećmi, nad ich wychowaniem, a zaś nauczycielka wszczepia im wiedzę, ciężko zdobytą, jak młodym płonkom, które powinny być wdzięczne, że nie pójda przez życie, jak gęsi, tylko opancerzone rynsztunkiem nauki a zawdzięczając ją nauczycielce, która więc zawsze wiele ważniejszą jest osobą od matki. I matka nie powinna się wtrącać w wykłady, ani buntować dzieciak przeciwko tej, której wszystko będą zawdzięczały. Zwłaszcza, jeżeli jest osoba odpowiedzialna, bo ma patent na nauczanie wszystkiego, co sama wie.

Więc uczyłam ich wszystkiego, spełniając swoją misję kulturalną, która jest wnosić pochodnię oświaty i rozumu kaganiec między warstwy, cofa-

jące się w rozwoju, póki się nie odrodzą z łona ludu, z którego ja wyszłam. Chociaż my coprawda jesteśmy rodzina miejska, jak się mówi, z patrycyuszów. I dziadek mój podobno przyszedł z Pabianic, które są bardzo stara osada, bo jakiś król tam pobawił, chociaż nie pamiętam, który. Ale zawsze jesteśmy ludu bliżsi, chociaż ja nie lubię chłopów, bo to jest znowu co innego i różnice muszą być na świecie.

Takie więc są moje zasady i tak je starałam się wpoić moim uczennicom, chociaż przyznaję, że nie ze wszystkim mnie zrozumiwały. Lecz to już nie moja wina, bo ja mam dar wykładu, jasny i przystępny. Czasem mi już nawet cierpliwości brakło, lubo mam anielską, ale wtedy westchnęłam sobie po cichu nad moim losem, którą mi każe cudzemi dziatkami się opiekować, gdy mogłabym mieć własne, w małżeństwie.

Pani często nawet się nie domyślała, jakie gorycze kryją się u mej piersi, niby węże, szarpiące łono, i znosiłam mękę jak bohater! Nigdy nas ludzie nie doceniają, a o sobie mają wielkie zrozumienie.

Pani mi kiedyś dała do zrozumienia, że ja nie mam dobrego akcentu francuskiego!! Bo ja uczyłam dziewczęta wszystkiego, nawet języków, bo zgodzona byłam z językami. A to już Pani rzecz, że się Pani, umawiając się zemną, nie przekonała dostatecznie o mojej wymowie. Ja nie miałam za co, do Paryża jeździć, i trudno tego odemnie

wymagać. A niemieckiego nienawidziłam od dzieciństwa, co mi tylko za chlubę może być poczytaniem. I zresztą Maniusia ma wyjść kiedyś za młodego Wismana, to przecież on już jest spolszczony i co jej potem? A jak Jadzia będzie hrabiną, to się douczy po francusku, bo w tych sferach nikt naszym ojczystym nie mówi i tylko Rysiowie nie mają na to, bo są za biedni.

Więc i to spełniałam, fizykę, geografję, literaturę, botanikę i wszystko, co potrzeba. A oprócz tego za główne zasady uważałam te, które mam, to jest: porządek, bojaźń bożą i charakter.

Tego mi nikt nie zaprzeczy!

Powracam jeszcze raz do Władzia. On jest jak dziecko i Pani go też prawie, jako matka dziecko swoje uważa. Wiec Pani obowiązkiem jest, naprowadzić go znowu na dobrą drogę, z której zszedł, przez swój upór, a bez mojej winy. Bo czym ja się kiedy tego spodziewała. I takiego skandalu, porzucać narzeczoną!

Czym ja czemkolwiek zawiniła? Naprawdę, to zupełnie nie, i przed sumieniem swoim czuję się zupełnie czystą i to jest najważniejsze. Bo ja nigdy cudzych listów nie zagramiam i nie posługuję się taką bronią. Krzywdę moję straszną, która ciążyć będzie na Pani sumieniu, jak ołów roztopiony i wrzący, tylko wtedy darować Pani mogę, jeżeli Pani zaraz napisze do pana Władysława, żeby przyszedł do mnie i że ja mu już przebaczę. Wiem, że daję sobie pozór słabości, okazując ustępliwość

zbytnią, ale z natury nie jestem zaciętą i gotowa jestem na tym punkcie ustąpić. Puśćmy wszystko w niepamięć! To będzie pięknie i szlachetnie.

Ja jestem szlachetną. I to jest prawdziwe szlachectwo,— wszak Pani nieraz tak mówiła do dzieci. A łączyć się z żydami w związkach małżeńskich, jest też rzeczą niepatryotyczną, bo to oni zgubili Polskę, jak to jest już dzisiaj dowiedzione. A krew ich przeklęta jest po wszystkie pokolenia i rozsadnikiem zarazy, bo się nigdy z naszą w jedno stopić nie może, tylko krąży w żyłach osobno, jak gangrena. Więc chyba Pani opamięta się w próżnem zaślepieniu i nie będzie chciała Władzia, który sam jest jak dziecko i niewie, co robi, oddawać na pastwę tej żydowicy! Ona brzydka jest zresztą i już co do urody, której mi Bóg łaskawy nie poskąpił, wody zamną nosić nie warta, że użyję porównania z starego testamentu, które tu jest na miejscu. Gdybym ja miała taki nos, to bym go sobie obciąć kazała! I to wcale nie za mną Manusia takie trafne zdania powtarzała, jak Pani myślała może. Bo ja mam to nieszczęście, że mnie zawsze i o wszystko ludzie posądzają! Ja nigdy i o nikim źle nie mówię. Nawet o panu Władysławie, przyzna Pani, wyraziłam się bardzo oględnie, i to w zaufaniu do mojej siostry, nie przeczuwając, jaka intryga z tego wyniknie. Dzisiaj Anna żałuje swojej nieprzezorności, bo nigdy nie wiadomo, w czyje niepowołane ręce list popadnie, i ona do Pani napisze sama, z wytłoma-

zeniem. Ja jej o to nie proszę bynajmniej, ale chcę, żeby Pani wiedziała, że mam poparcie w rodzinie. Tylko, że, niestety, nie mam brata, bobym sobie inaczej poradziła i on dopomniałby się o moją krzywdę. A Licht, jak kiedy spotka Władysława, to się z nim rozmówi!

Niechciałabym, żeby dochodziło do takich ostateczności. Bo, jakby się raz mężczyzna w tę rzecz wdał, mogłoby być źle dla Władzia! A ja sobie przecież pomsty nad nim wcale nie życzę, chociaż jego postępowanie o nią do nieba woła! Które nie są rychliwe, ale sprawiedliwe, i na pewne go jeszcze kiedy co okropnego spotka, wtedy, kiedy się będzie najmniej spodziewał. Ja mściwą nie jestem i krzywdę swoją milcząc znoszę, chociaż mi to trudno przychodzi.

I nie jestem żadna szwaczka ani sklepowa, żeby go oblać jakim kwasem gryzącym i na całe życie ukarać. Lecz, gdyby się tak stało, zasłużyłby na to i nikt nie odpowiada za chwilę uniesienia, zwłaszcza, gdy się ma i tak życie po wiek wieków złamane. Każdy sąd uniewinniłby mnie i miałiby tylko mężczyźni przykład i przestrozę, jak postępować się nie godzi! Tylko, że mam wykształcenie i umysł wyższy, więc trudno mi się decydować na krok taki. Ale któż za siebie ręczyć może? Jestem tak rozdrażniona, że w niektórych chwilach nie wiem, co robię.

Byli tacy, którzy namawiali mnie, żebym szła do adwokata, któryby mi poradził, ale ja, może

mi Pani wierzyć, takie namowy z oburzeniem odrzucam. Bo pocóż rozciągać przed obcym sprawy familijne? I tylko tyle się od niego dowiedziałam, że sprawiedliwość ludzka jest jeszcze ułomną i do spraw sercowych, jak mówił, niechętnie się mięsza, bo do małżeństwa, niestety, nikogo zmusić nie można, chociaż takich powinno się w kajdany zakładać, bo są zbrodniarze. A odszkodowania nigdy bym nie przyjęła i nawet mówić o niem byłoby niedelikatnie. A że niemam do niego prawa, to nie wierzę. Bo, że z białymi skrzydłami wyszłam z pod dachu uwodziciela, który mnie do swojego pomieszkania kawalerskiego zaciągnął, to tylko sobie zawdzięczam. A przecież mogło być inaczej! I nikt nie wie jak było, a liczni świadkowie, którzy mnie widzieli wchodzącą i wychodzącą, pomyśleli sobie, co mogli najgorszego. To już nazawsze przylgnie do mojej czci. Za to, że jest zbrukana, nie miałabym prawa niczego żądać? To niepodobna!! Jeżeli takiego paragrafu nie ma w kodeksie karnym, to дума powinna go uchwalić i to jest ważniejszym, niż samorząd, z którego nam kobietom co przyjdzie?

Nad nami wolno się znęcać i ubliżać nam takim osobnikom, którzy nie warci są, żeby im ręki podawać! A jeżeli ja Władysławowi rękę podać chcę i zrobić go porządnym człowiekiem, to na kolanach winien mi całe życie dziękować, dzień i noc, jak i Pani. W nim tylko дума jest i pycha męska, która musi być pognębiona. I gdy będzie moim

mężem, może być Pani pewną, że to zrobię, ku jego dobru. Zobaczycy pani, że się to jeszcze sprawdzi, gdyż, jak ja się na co uwezmę, zawsze swego dopnę i niepłonne mam przeczucia, gdyby nawet wszystkie potęgi piekielne były przeciwko mnie! Śnił mi się Władysław przy ołtarzu obok mnie i nawet bardzo we fraku mu było do twarzy. Ja byłam w sukni białej, którą już sobie zamówiłam, więc już widać jest takie przeznaczenie. Bo cóż-bym z nią zrobiła zresztą? Przecież mi za nią nikt nie zwróci, bo po Państwu się tego nie spodziewam. Albo też widzę Władysława w trumnie. Napewno stanie się jedno z dwojga, tak sobie ślubiwałam i, żebym zginąć miała, to dotrzymam!

Niech więc droga Pani przyjmie te słowa tak serdecznie, jak są do Niej zwrócone...

XXII.

Siostry Józefowicz dbały o to, żeby Rudowska miała wieczory zajęte lekturą. Na drugi dzień mleczarek przywiózł zapowiedziany list Lichtowej. Pani Zofia ten już stanowczo chciała odesłać nieodpieczętowany. Lecz troska o Władzia przeważała. Zdecydowaną była jechać co prędzej do Warszawy. Kto wie, co te narwane kobiety tam poczną? W dodatku, Władek, jak z listu panny Stanisławy wypływa, chory. Siostra, znając go, wiedziała, że chyba biedak nie udaje. Chciaż może użył pozorów, by oddalić zbyt natrętną osobę? Może z pisma Lichtowej się pytanie rozświetli.

Przytem wyjazd trzeba na dwa dni odłożyć. Ma odbyć się w Próchnówku narada w kwestji kolejki podjazdowej. Wisman pili do budowy. Darzyn, to jest pan Majewski, gorąco się zajął sprawą. Chce poruszyć swe stosunki warszawskie, których ma sporo, jako człowiek znany i poważany w całym kraju. Pan Karol orzekł, że najlepszym punktem zbornym do zjazdu obywatelskiego jest Próchnówek. Po koło interesowanych sąsiadów rozesłano wici. Podążą chętnie do dogodnie,

w pośrodku wchodzących w grę majątków, położonego, gościnnego dworu.

Trudno ich odpraszać.

Sięgnęła więc po pismo, mogące się przysłużyć wyjaśnieniem, co właściwie dzieje się z Władkiem.

Pani Anna Licht rozpisywała się nie mniej obszernie, jak siostra.

Uderzała w tony poważniejsze, lecz zarówno nie pozbawione liryczności.

Zdolności opisowe snać kwitły u sióstr Józefowiczówien.

Szanowna Pani!

Chociaż nie mam przyjemności znania Szanownej Pani bliżej, jednak, przypominając sobie miłe wrażenie, jakie zrobiły na mnie opowiadania siostry mojej o Pani, udaje się do niej z całym zaufaniem w Jej dobroć, o której tyle od Stasi słyszałam, i w dobre Jej chęci względem tej siostry mojej, prosząc Ją, aby zechciała nam dopomóc w naprawianiu tego, co fatalizm jakiś popsuł i użył na zgębienie Stasiulki i nas wszystkich.

Zapewne domyśla się Szanowna Pani, że mam tu na myśli projekty matrymonialne Jej Brata, pana Władysława Skalskiego. Stasiuleńka, śmiało poświadczyc mogę, tak się przywiązała w krótkim czasie do tego, którego serce jej wybrało, jak również do całej rodziny Szanownej Pani, że zupełnie

o żadnem rozumowaniu słyszeć nie chce. Daremnie przedstawiłiśmy jej, ja i mój mąż, że najwi-
doczniej pan Skalski się rozmyślił i tylko szukał
pretekstu, aby zerwać rozpoczęty projekt, i że sam
pan Władysław jest tu główną sprężyną, która
działa, nie dopuszczając do pomyślnego zakończe-
nia sprawy, — wszelkie więc z naszej strony kroki
nie są czem innem, jak narzucaniem się. Ale ona
słyszeć o tem nie chce i wyobraża sobie, że tamta
strona przez nią jest narażoną na straszne cierpie-
nia, z których się sam pan Władysław nie zdradza,
a pewność taka przeszła już u niej w jakąś manję.
Dla tego pisała do Pani i chce pisać jeszcze i mnie
każe pisać. A nawet wybiera się do Próchnówka,
by u kolan Pani klęknąć i błagać Ją, aby Pani
wpłynęła na Władzia. (Bo tak go zawsze nazywa,
szepcąc czasem bezwiednym, który jej się wrywa
z duszy, i głośno. Co poświadczyć mogę). Dlatego
chce jechać do Próchnówka, który zawsze wspo-
mina, jakby raj jaki i tak też o nim wyrażała się
zawsze. Nie pojmuję, skąd jej raz mogły przyjść
pod pióro jakieś dziecinne uwagi, których sama
żałuje, a które tylko na celu miały mnie rozwese-
lić i ubawić. Zresztą ona jest gołębiego serca, co
wiem najlepiej, jako jej siostra. I jest ona strasznie
dziecinna, jak wszystkie dziewczyny, bo kobieta
dopiero w małżeństwie dojrzewa. Ztąd ja, młodsza,
niejako rolę starszej w obec niej odgrywam, co nie
jest mi nawet miłe! Ja jej nie będę mogła towa-
rzyszyć w jej podróży, którą zresztą uważam za

chybiającą celu. Bo albo pan Władysław ją kocha, albo nie. Nikogo do ołtarza naganiać nie można. Nigdy też nie wiadomo, czy w małżeństwie takim będzie szczęście, o czem w ogóle dużo mogłabym powiedzieć, ale nie osobie obcej.

Jej podróży nie możemy przeszkodzić, bo jest pełnoletnia i wybiera się najdalej w przyszłym tygodniu. Musimy się zgodzić na jej żądanie, w obawie, żeby opór z naszej strony nie podziałał w fatalny jaki sposób na nią! Stasiuleńka jest uparta w swych przekonaniach i, gdy powźmiemy o kim pewne wyobrażenie, trudno ją przekonać, że się myli, — to samo i tu ma miejsce. Wwegzaltowała sobie wszystko do najwyższego stopnia, naprzykład dowodzi, że pan Władysław jest chory najniezawodniej z desperacji z powodu tego, co się stało, a przecież, gdyby tak było, nie odrzuciłby bezwzględnie wszelkie próby porozumienia się z nim. Chyba nie dla zadowolenia miłości własnej i pogwałcenia Stasi, która sobie wszystko tylko imaginuje. Ona twierdzi, że od Pani zależy, żeby wszystko znów było dobrze. I muszę przyznać jej słuszność. Dla jakiejś tam nedorzeczności gnębić dwoje ludzi, czyż to podobna? Między nami mówiąc, najwłaściwszem byłoby z Pani strony, wcale się nie przyznawać, że Pani cudzy list czytała, — nie ma się tak bardzo czem chwalić! Rozumiem wprawdzie, że to o brata Pani idzie i każdy na Jej miejscu tak samo postąpiłby, jako rozsądny człowiek.

Otóż prośba moja do Szanownej Pani zasadza się na tem, aby szanowna Pani zechciała rozważyć, kto ma rację, czy my, to jest ja i mój mąż, czy też Stasia, i, jeżeli rzeczywiście tak jest, jak ona przypuszcza, to jest pan Władysław z rozpaczny i tęsknoty za nią chory, to żeby Pani ze swej strony zechciała użyć wszelkich argumentów, żeby tego uparciucha przekonać. Nie powinien być tak nieugiętym. Stasia go kocha całym sercem! Rozpacza tak strasznie, iż lękamy się jakiej poważnej komplikacji ze strony mózgu! Gorączka codziennie do czterdziestu stopni dochodzi! Zaleciłam jej kłaść lód na głowę, ale ponieważ złe pochodzi ze strony moralnej, więc żadne leki pomódz nie mogą. Jedyna więc jeszcze nadzieja w Szanownej Pani, — jeśli nam Szanowna Pani nie dopomoże, to nawet niewiem, co będzie dalej!

Mieliśmy względem Stasiuleńki inne zamiary. Jest tu bardzo porządny człowiek, młody, przystojny, który się o nią wpierw starał i, jak tylko przyjechała, złożył wizytę. Ale cóż? nawet wyjść do niego nie chciała i zapowiada nam ciągle, że, jeśli nie wyjdzie za pana Władysława, to żyć nie chce i nie będzie! Cóż my w obec tego możemy zrobić, jak nie poruszyć wszelkie sprężyny, aby osiągnęła szczęście wymarzone.

Proszę więc Szanowną Panią i błagam na wszystko, co jest dla Niej najdroższego i najświętszego, aby zrozumiała mnie swem zacnem sercem i przychyliła się do mej prośby. Stasia nie wie

o tym liście, który jest ostatnią deską ratunku dla niej, biedaczki. Jeżeli jeszcze i ta się usunie, za nic nie ręczę! Mam nadzieję, że Szanowna Pani zrozumie mnie i zachować zechce tę korespondencję w należytej tajemnicy *przed wszystkimi*. Pani jest aniołem, — nieraz mi to Stasiuleńka mówiła. Byłabym również całem sercem wdzięczną szanownej Pani, gdyby zechciała mi donieść zdanie swoje w tym względzie i czy można mieć jakakolwiek nadzieję.

Myśl udania się w tym razie do Szanownej Pani powstała u mnie ztąd, że Stasia przez sen i w malig-nie nieraz powtarza najczulszemi słowy imię szanownej Pani, obok imienia Władzia, co naturalne, a nawet obojga swoich uczennic. Ciągłe kogoś z państwa wzywa! Widać ztąd, jak bardzo wszystkich pokochała. Bez wzruszenia słuchać tego nie można! Może instynktownie czuje, że z tej strony powinna się spodziewać pomocy, że Pani sercem całem tak przywiązanej do nich istocie pomoże, a z pewnością Bóg Jej to wynagrodzi!

Z przyjemnym wyrazem szacunku

pozostaję

z Józefowiczów

Anna Lichtowa.

P. s. Tak, — tak, tylko Pani jedna może tu poradzić!

.

Zaledwie pani Zofia w utraeniu swem miała czas odetchnąć po orędziu Anny z Józefowiczów Lichtowej, gdy już spadł nowy list Stasi, — list? nie, pakiet cały naraz. Gdzie ta dziewczyna nabyła takich zdolności szybko-pisarstwa? Wprawdzie nie miała zapewne chwilowo nic lepszego do roboty, ale w każdym razie, co do rozmiarów, praca była godną podziwu. Pani Zofia czytała już z złością, brnąc przez ostępy liter jedynie powodowana obawą, że znajdzie wśród nich zapowiedź natychmiastowego najazdu dręczycielki. Na odwrotnej stronie koperty zresztą było napisane, grożące:—Proszę otworzyć, ważne!

Snać słodka Stasia obawiała się, że jej praca, nieuwzględniona, pójdzie odrazu na marne. Trzeba przyznać, że podstęp, którego użyła, by zmusić odbiorczynię do przeczytania treści, udał się.

A jeżeli Rudowska rzeczywiście zawiniła niedopatrzaniem, otworzywszy ongi list, nie jej przynależny, to teraz miała za to sowitą karę.

Najpierw, w rogu pierwszego arkusika, na ukos nakreśliła panna Stanisława słuszną uwagę:

— Jeszcze Pani zapewne nigdy takiego listu nie odebrała, przestraszy się Pani jego ogromem, proszę wybaczyć, że taką pracę zadałam, nabazgrałam, bo osłabiona czuję się bardzo w mej chorobie, czasami zaledwo pióro w ręku utrzymać mogę!—

Potem szło już, jak zwykle ludzie piszą, poziomo, od lewej ku prawej stronie, jakkolwiek niezbyt równemi rządkami:

Kochana Pani!!

Nakoniec jestem w swoim pokoju i sama! Nie potrzebuję grać tej męczącej komedyi wobec moich najbliższych, których łudzę udanym spokojem, tak, że się nie domyślają wulkanicznych wybuchów, jakimi drga serce moje! Spokojem maskuję myśli, które to wrą we mnie, to znów paraliżują się, w jeden tylko punkt utkwione. Więc to wszystko prawda, więc to być może, abym tak nieszczęśliwa żyła na świecie! Taka jestem słaba i aż dziwnem mi się wydaje, że mnie ta straszna męka nie zabiła jeszcze. Silniejszych mogłaby z nóg powalić, jak kłody dębu, wichrem zwalone. A ja jestem słaba osina, która drży i z czułością mimozy zwija listki, gdy je wrogi wiatr życia trąci okrutnym powiewem. Nie doczekały się wiosny i sroga zima zmroziła je. Tak i moje życie: Czem ono jest, jeżeli nie jednym pasmem męczarni, jakich męczennicy nie przechodzili może. Bo silniejsze są udręki ducha, niż ciała!

Czyż mało jeszcze dałam dowodów tej dziwnej jakiejś, niezależnej odemnie siły, która się wyczerpać nie może? A przecież i woda w studni niezgłębionej się wyczerpie! Z głębin mego ducha wyławiano wciąż skarby i pusty jest dzisiaj!

Jakie ja mam jednak panowanie nad sobą! Doprawdy nieraz zastanawiam się nad tem, w ciichości serca, lecz głęboko. Przecież w tak krótkim czasie tyle doznać wstrząśnień, to zdaje się coś nieprawdopodobnego, a ja pomimo to żyję. Po co

ja to mówię! Taki okropny chaos w mej głowie! Za co, za co doprawdy tak straszne męki na mnie są zesłane? Przecież niebo jest za miłosierne, żeby na biedną, pracującą sobie spokojnie i uczciwie, nic nikomu nie winną dziewczynę, takie straszne ciosy, niezliczone przykrości zsyłać, chwile tak bezsilnej rozpaczyl! To przecież niepodobna! Pani droga, za co to? Ja na to nie zasłużyłam! Nie zemdlałam, ani spazmów nie dostałam (jak to uczyniłaby każda inna na mojem miejscu), gdy mi pan Władysław oświadczył, zimno i okrutnie, jak tylko mężczyzna może, że mnie już nie kocha, i wbił w pierś moją cios śmiertelny! A potem odwrócił się odemnie i poszedł, dumny z tego, że złamał serce kobiety! A ja słaśniałam się po szynach w swojej niemocy kobiecej i o mało nie wpadłam pod tramwaj. Szkoda, że mnie nie przejechał, i już! Byłoby po wszystkiem. I nie leżałabym tu biedna, na łożu śmierci, bo ja już nie powstanę.

Tak,—nie zemdlałam wtedy, bo silną jestem. Duch mocny w słabem ciele! Lecz, powoli, i mnie strawi rozpacz, jak mrówka przegryza dąb najmocniejszy i doprowadza go do upadku. Wykładałam moim dziewczętom o termitach, mrówkach afrykańskich, które chodzą całemi stadami, jak wszystkie zwierzęta w Afryce, antylopy i słonie, i tylko lew ma jedną lwicę i chodzą parami. Lwicą się czuję dla obrony swego szczęścia!

Usłyszawszy wiadomość okropną, uczułam tyl-

ko to nieznośne pieczenie w głowie, które mi pozostało na pamiątkę przeszłości różanej, w oczach ciemno, w skroniach szum, jakieś odrętwienie myśli, która nie buja swobodnie w przestwory, jak dawniej, gdy byłam szczęśliwa, czując się w przyszłości żoną pana Władysława i widząc zabezpieczony los mój od trosk życiowych. Gdy wróciłam na obiad do siostry, powiedziałam zaraz, że mi się jeść nie chce, i z trudem tylko wyciągnięto ode mnie przyczynę, którą jest zdrada Władysława. Kładłam w usta, co mi wmuszono, ale gorycz jadłam i jakby mi kto kleszcze w gardło wsadził. I pozornie nie zmieniałam się nic. Lecz, żeby tak kto zajrzał pod tę moją zewnętrzną powłokę! Tyle przeżyć, tyle, to coś okropnego! Wciąż sobie ową scenę przypominać muszę, by wierzyć, że była, że to nie jest tylko zły sen i obudzę się znowu przy boku Władysława!

Pocóż mnie oszukiwał haniebnie, udając uczucie, skoro go nie miał?

Bo nie uwierzę, żeby, jeśli było w'tim, minęło odrazu i bez powodu poważnego i o którym warty byłoby mówić?

I to mnie oszukano tak haniebnie, mnie, poważnie pod tym względem myślącą! Gdybym ja była lekka, płocha (jak są inne), to słusznie poniosłabym karę, lecz ja zawsze seryo zapatrywałam się na życie, a pomimo to złapać się dałam na czułe słówka. Jak mucha, która idzie na lep,— o, głupia ja! Czyż nie tak jest może! On mnie

tylko za nos wodził, a ja mu wierzyłam. Oddałam mu miłość swą, pierwszą i jedyną, uczucie czyste i bezinteresowne. Bo przecież ja nieraz mogłam zrobić lepszą partyę i dzisiaj jeszcze mogłabym, gdybym tylko chciała. A nie danem mi jest gonić za pieniędzmi i za pozycyę, bo zawsze byłam niepraktyczną w życiu, już mi to moje siostry przyznają. Wprawdzie też i nie miałam szczęścia takiego, jak one, ale to jest inna rzecz, która nie ma z zasługą własną nic wspólnego. Ale nie na dostatki patrzyłam, gardząc niemi, tylko na przymioty duchowe i sympatyę, bardziej może od moich siostr. Ztąd, że byłam wybredniejsza i delikatniejszych uczuć, jestem przez nie poniewierana i przez los i kopciuszkciem w rodzinie. Jest to niesłuszne, lecz znosiłam zawsze ich prześladowanie z pokorą. Zdawało się, że mi za to Bóg poszczęści! Złudzenie było tylko, a boleść została, która mnie toczy jak rak i, jak na niego jeszcze lekarstwa nie wynaleziono, lubo nauka i wiedza robią takie postępy w medycynie, jako to promienie Roentgena i radium,—tak na mnie niema lekarstwa!

Ale dobrze mi tak i niech krwawi serce moje! Przyznam się, wstyd mi, okropnie wstyd, że byłam tak niemądra i wierzyłam niegodnemu, który inteligencyą swoją szczupłą mojej nie dorównywa. A jednak w pole mnie wywiódł!

Gorszym się okazał pan Władysław Skalski,—z przekleństwem, które oby na jego głowę spadło, piszę to nazwisko,—od pana Kazimierza Błońskiego

go. Bo Błoński młodzik jest i więcej mu darować można, niż mężczyźnie dojrzałemu, poważnemu. Czy ja go ciągnęłam może? Tego nikt o mnie powiedzieć nie może, chyba byłby kłamca podły i waryat.

Są mężczyźni tak podli, że rozgłaszać gotowi, jako im się kobieta oświadczyła z miłością lub do oświadczyn pobudziła. Ale pani najlepiej wie, jaki mój charakter jest żelazny i od mężczyzn zawsze stroniący, z godnością, którą, śmiem sobie pochlebiać, posiadam w najwyższym stopniu, nigdy się nikomu nie narzucając. Chociaż, gdyby kto co na mnie powiedzieć się ośmielił, nie wahałabym się do sądu go oddać, żeby był ukarany należycie, a moja cześć przywrócona, której nigdy publicznie rozwłóczyć nie należy.

Może sobie też Pani wyobrazić, jak przykro było mi przyznać się przed moją siostrą do postępowania nie mojego, lecz Władysława. Wstyd mi było, — bo wszyscy takie dobre mieli o moim rozumie wyobrażenie, a teraz w ich oczach gąską jestem, niedoświadczoną i obraną z wszelkiego rozumu, niby z pierza. Ale któż mógł przewidzieć, że żadnemu mężczyźnie wierzyć nie można, żeby się nawet na oko najniewinniej przedstawiał? Wprawdzie o taką przewrotność, takie kłamstwo, takie podejście ja pana Władysława nie posądzałam! Zdawał mi się wcieleniem prawości, szlachetności i cnót wszelkich, że drugiego takiego na świecie niema. I dlatego go na męża obrałam so-

bie, na jego prośby pokorne, zbyt wysoko się ceniąc, by łatwo uledez. Zapomniałam, że go nie znam zupełnie, że polegam na zdaniu Pani, która nieraz, jeszcze dawniej, wobec mnie swego brata wychwalała i rozmawiała z córkami o ich „kochanym wujciu.“ Więc ja myślałam, że on jest bardzo porządny człowiek! Ah, ah!

Dlatego, na prawdę, Pani winną jest całemu nieszczęściu, które nie byłoby się stało, gdyby Pani nie była tak zaślepioną w swoim bracie. To też Jej świętym obowiązkiem, od którego uchylać się pod żadnym pozorem nie wolno, jest naprawić zło, które z Jej winy wynikło. Bo, gdyby nie owe, niezasłużone zaiste, pochwały, aniby nie była spojrzała na pana Skalskiego, albo z miną królowej, do której nie śmiałby przystąpić, jako się nikt nigdy nie poważył. Tak to nigdy nie trzeba polegać na opinii innych, tylko na własnym rozumie. A, że na chwilę od tej zasady odstąpiłam, za to teraz gorzko pokutuję! Widzi Pani, jak to ludziom nie można ufać,—nigdy dosyć znajomości! Mówię, że go nie znam, ale nie przypuszczałam, że tak nędzny kryje się w nim człowiek! Nie do uwierzenia, nie do prawdy. Takie uczucie, takie, zdawało się, prawdziwe uczucie, głębokie, czyste, szlachetne, to wszystko fałsz było i hypokryzya, wstrętne udana! Wszystko brzmi mi jeszcze w uszach, co mi mówił, tyle tam uczucia było w jego słowach, do łez mnie wzruszył i sam płakał łzami krokodyla. I jeszcze, gdy zrywał ze mną

wydawał się przygnębiony, ale on udawał tylko, spekulując na moją szlachetność, żebym się, broń Boże, nie ośmieliła mu robić wyrzutów, zasłużonych, od czego zresztą daleką jestem i nie mówię na niego ani złego słowa. Ból mój znoszę mężnie i szlachetnie i nie skarzę się nikomu! Bo i pocóż? Współczucia nie wzbudzę, bo wiem, ani sprawiedliwości dla mojej krzywdy, która jest niesłyszana i o pomstę woła. Nikt mnie nie zrozumie i o głuche ściany rzucam moją żalność, jak Helena, matka Leszka Białego.

Gdy wspomnę, przy rozstaniu, takie przygnębienie Władysława, malujące się na jego twarzy, tę głowę schyloną i wzrok niepewny, w poczuciu winy,—żał mi go. Jak jego sumienie dręczyć musi, jeżeli je ma! Wprawdzie ono u mężczyzn rzadka rzecz i przywilejem jest delikatnej kobiecości, ale może...

I dlatego mam nad nim litość! Bo cóż mi przeszkadzałoby wyrzec go się na zawsze i odtrącić na wieki, jako niegodnego, tak jak zły duch strącony został w przepaść przez świetlanego anioła.

Ale wszakże brzmi mi jeszcze w uszach, co mi mówił w Próchnówku, tyle tam uczucia było w jego słowach, a łzy jego, które czułam pod jego powieką, gotowe wybuchnąć, gdybym mu odmówił! Ja jestem litościwego serca i śmiało można powiedzieć, że tylko, na tej strunie grając, zezwolenie moje uzyskał, by się uważać za mojego narzeczo-

nego. Widziałam jego przygnębienie, cały ogrom nieszczęścia, pod którym zdawał się uginać, dopókim go nie wysłuchała. To znów, pełen nadziei, podnosił głowę pod mojem dobrem słowem, jak kwiat, gdy na niego rosa ożywcza spadnie. Rozumiałam, że gotów jest wszystko zrobić, wyrzec się nawet męskiego egoizmu, byle mnie zdobyć, tę ukochaną. Przysięgał mi, że żadnej w życiu dotąd tak nie kochał. Kłamał pewnie! A ja wierzyłam! I że nie będzie nikogo kochał, jak tylko mnie, swoją Stasiuleńkę, słodką Stasię (jak mnie czule nazywał). Że Stasiuleńka musi, na całe życie, być jego! Tyle prawdy było w tych pełnych uczucia słowach jego, że nietylko ja, ale każdyby, Pani droga, uwierzył. Przecież wszyscy to widzieli i słyszeli? Wobec wszystkich, gdyśmy siedzieli w ogrodzie, ocierał łzy, miał ataki, ścisnął i tulił moje ręce i powtarzał ciągle: — Kocham Cię, kocham Cię, moja Stasiuleńko!

Jednakże to nie może być, żeby mnie Pan Bóg nie miał pocieszyć!

— I cóż mi dało to życie??!! Parę taktów mazura, wkręconych w marsza pogrzebowego, podług którego stąпам, za własnym pogrzebem.

Nie chcę przytem świecić moim smutkiem przed ludźmi. Im mi gorzej, im smutniej, tem więcej staram się pokryć uśmiechem wesołym i przyjemnym, z rozpogodzoną twarzą i miłą dla wszystkich, to, co tam nurtuje czarną falą w głębiach mej duszy! Nie trzeba, aby dojrzał kto obo-

jętny, jak nieszczęśliwą jest Stasiuleńka. Pani jednej roztwieram na oścież tajniki mego jestestwa i skarby mej duszy, aby się Pani na nich poznała! Mam zaufanie do wrodzonej szlachetności Pani, wiem, że Pani mnie zrozumie i odczuje jako bratnią duszę! Więc Pani niech wie, bo do Niej mam pełne zaufanie, do Niej jednej, która była mi przyjaciółką i matką prawie! Tylko nie chcę, żeby wiedzieli obojętni, bo co im po tem? Zawsze taką była moja taktyka życiowa, starałam się ją udoskonalić, no i rezultaty osiągnęłam pomyślne o tyle, o ile. Tylko siostra moja i szwagier i najbliżsi znajomi pytają mnie się wciąż, czemu taka teraz dziwnie jakaś smutna jestem.

Lecz zaciskam zęby i milczę. Tak milczeli spartanie za czasów Sokratesa, czy też Lykurga. Heroizm ich zapisała historia, a któż o mnie wspomni?

Pani tylko jednej piszę wszystko, wiedząc, że Pani z bijącym sercem odczytuje te kartki i żałuje teraz napewne, że pogardziła swoją Stasiuleńką. Ale ja Pani to przebaczam i dalej do Pani śmiałość i ufność mieć będę. Bo tylko przed Panią nie potrzebuję grać tej nieznośnej komedyi, do której, doprawdy, najmniejszego talentu nie posiadam!

Pani zajrzała w moje serce i wie, jak jest proste, gołębie!

Jest w niem też dużo miłości dla Pani i pragnienia, aby Pan Bóg, darowawszy krzywdy, które Pani kiedykolwiek ludziom wyrządziła, oświecił

rozum Jej i dał rozpoznanie, co czynić wypada, a co nie. Gdybym była w Próchnówku, tobym, nie chowając żadnej urazy, dopomogła Pani na tej drodze. Bo ja to wiem. Chociaż się nigdy nie chwale z mego zdrowego rozpoznania dróg życiowych, ciernistych nieraz i krętych. A najlepsza jest prosta. Lubo nie zawsze prowadzi do celu. I dlatego niesłusznie się mówi, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, bo ja robiłam, co mogłam, żeby z panem Władysławem, w anielskiej harmonii, dojść do ołtarza, a tymczasem...

Więc chciałyby, żeby Pani tak dobrze o mnie myślała, jak ja o Niej. Nieraz o Niej myślę, ba, ciągle. Nie uwierzy mi Pani może, bo Pani droga się do mnie uprzedziła, niesłusznie, ale ja przed Nią na kolanach klęczę, jak przed świętą, i modłę się do Niej. Czego nawzajem nie wymagam co do siebie, bo to byłoby bałwochwalstwo. Nie jestem też tak zarozumiałą. Wiele wybaczać sobie trzeba wzajemnie. To jest cnota chrześcijańska. Zaś życie, gdyby się wszyscy prześladowali nawzajem, byłoby jednym pasmem męczarni, — czy nie tak? Ja mówię rozsądnie, chociaż niby nie jestem rozsądna! Nie uwierzy Pani, jak we mnie jest wiele pragnienia, żeby Pani droga była szczęśliwą we wszystkim i żeby się Jej powiodło, brata Swego nawrócić, otrzeźwiając go z jego oślepienia i zwracając ku mnie. Czekam z otwartymi rękoma!

Już widzę, jak Pani czoło marszczy i gniewa się, że tyle Jej czasu zaprzątam! A ja chciałyby

oddalić wszystkie chmurki, jakie wiszą nad Jej pogodnym czołem, usunąć smutne, niespokojne myśli, które się zaczęły w tych głębokich oczach, w tem spojrzeniu łagodnem i takim wymownem! Niech oczy będą wesołe, niech spokojnie, swobodnie patrzą przed siebie i choć raz, na chwilę jedną, przez lasy i pola, spojrzą na ulicę Wilczą, gdzie siedzi smutna taka bardzo Stasiuleńka i naturalnie płacze! Kryć się tu muszę z tym płaczem moim, bo biedne siostrzysko moje ogromnie ze mną współczuje, zaraz się łzami zalewa i błaga mnie, żebym sama płakać przestała, bo patrzeć na moje łzy nie może, ani znieść ich. To też panuję nad niemi, wylewam je po kątach, lub, przytuliwszy głowę do poduszki, która już jest cała przemoczona!

Niepokoję się też o moją przyszłość, jeżeli niebiosy nie tak postanowią, żebym Władysławową żoną została. Musiałabym nowej posady szukać, straciwszy przez niego u Pani tak dobrą. A, jak na złość, chora jestem i ani w stanie się ruszyć, ani zebrać na kroki, które poczynić powinnam. Truchleję, co to będzie, jak w nędzy zostanę ostatniej. Nie dziwię się tym dziewczynom, co wtedy dopuszczają się występku. Oj, biedna ja jestem, biedna Stasiuleńka! Zapoznana i nieoceniona! Po cóż ja się rodziłam, żeby takie męki znosić!

Wszyscy tu znajomi wiedzą, że za mąż iść miałam, a teraz się przed nimi wstydzić muszę! Wysłuchiwać pytania, wnioski, nawet żarty okrutne,—

o, kto tego nie przeżył, ten przez bogów, jak mówili poganie, jest widać wybrany. Ale ja nie!

Żal mi, żal mi siebie, droga Pani, tego zmarnowanego życia mego, — tak, jak jestem, mogłabym i sama być bardzo szczęśliwą i szczęście niezawodne dać innemu! Cóż, kiedy on nie chce! A mnie cóż pomyślnego teraz spotkać może?

Siostra i szwagier, widząc mnie w takiej rozpacz, nic dla mnie nie robią (Lichtowie), a od dwóch drugich sióstr moich nawet najmniejszej oznaki współczucia nie odebrałam! Widzi Pani, jaką ja to mam rodzinę!

Obcy ludzie czasem są lepsi od swoich! I jedyne prawdziwe słowa pociechy odebrałam z ust, z których się najmniej spodziewałam. Aniby Pani nie zgadła od kogo i ja też nie powiem, ale może się to jeszcze okaże.

Dręczą mnie Lichtowie! Bo oni twierdzą, że taki osobnik, jak Władysław, prędko się pocieszy. Pocieszyć się po mnie! Nie sądzę! A jeżeli wysypia się spokojnie lub na inną patrzy, to sumienie rozbudzi się prędzej czy później i gryźć go będzie, jak myszy, które króla Popieła zjadły. Ale ja słyszeć i wierzyć nie chcę, żeby on mógł być spokojny albo śmiał wzrokiem czy myślą gonić za inną, mnie na koszu pozostawiwszy. Nie, to jest do niego niepodobne i dowodów nie mam jego zdrady i wiarołomstwa, a przeczucie mówi mi: Ufaj!

Więc nie wierzę Lichtom i tylko myślę o tem, jak ich przekonać o jego uczuciu, które nie wyga-

sło i tylko czeka na podmuch mojego, niby owa iskra w popiele, aby znów rozżarzyć się w płomień wieczny.

Czasem, czasem, gdy już wszelkie wyczerpałam pomysły, myślę w duchu: „a może, a może, może i prawda, że mnie opuścił na zawsze!” Lecz w tej chwili, jakby na zawołanie, staje mi w oczach twarz jego, łzami zalana, jego, pełne bezsilności, przygnębienie, słyszę, z taką miłością szeptane mi, najczulsze zapewnienia takiego prawdziwego uczucia, że go w duchu myślą przepraszam. Oh, żeby on to czytał, mój Władzio! Ale odsyła mi moje listy nietknięte, przez posłańca! Żeby mu tak droga Pani te moje biedne bazgroty do Niej tak żywcem posłać chciała, jak owo moje pisanie niemądre. Ja się ledwie domyśliłam, o co mu właściwie poszło! Więc niech droga Pani Mu teraz te moje listy prześle,— dobrze? Liczę na to.

Ja kochaną i drogą Panią przepraszam za wątpliwość, którą miałam, ale przelotnie tylko, co do Jej charakteru, tak szlachetnego, wzniosłego, czystego. Już znowu się egzaltuję może? Nie. Ja Panią uwielbiałam zawsze i uwielbiam, nawet pisząc do moich sióstr, i one te wszystkie listy Pani przysłały, żeby Pani, je sumiennie przeczytawszy, miała dowód, że prawdę mówię. A, jeżeli który zaginął, to ja wiem na pamięć, co w nim stało, i wszystko, co do joty, mogę powtórzyć, nic nie opuściwszy, ani jednego słowa. Pamięć mam dobrą i zawsze wiem, co mówię i co piszę. I pamiętam na wieki.

Pani jest wzorem matrony polskiej i Pani zawsze wie, jak sobie postąpić, a, jeżeli ja się czasem omylę, to przecież jestem jeszcze bardzo młodzisieńka, więc mi te moje straszne zbrodnie wybaczyć trzeba!

Żebym ja to była jaka fałszywa, intrygantka, za plecami inna, niż w oczy, to co innego! Lecz tego nikt o mnie nie powie! Nikt!!!

Już, jak ja kogo pokocham, to szczerze i zabićbym się za niego dała, jak za Panią, Jej dziatki i cały Próchnówek! Czy Pani ma powody wątpić i jakie? Czy nieomylnie przeczucie nie mówi Pani, że ja tylko szczerą prawdą się rządzę w życiu! Prawda wypłynąć musi jak oliwa na wierzch, że użyję trywialnego porównania!

Droga Pani, ja już wcale sypiać nie mogę! A tak doskonale sypiałam w Próchnówku, bo spokój ducha miałam niezamącony i powietrze wiejskie usypia, zwłaszcza, gdy się jest zmęczonym, albo, gdy jest nudno.

Więc dobiegłam do czytelnicy i prosiłam, żeby mi dali jakie książki, z tych najnudniejszych, „na sen“. Więc właścicielka czytelnicy, która jest osoba doświadczona i doskonale umie dotrafić, zapytała mnie tylko, czy wolę pióro męskie czy kobiece. Wybrałam kobiece, bo to zawsze pewniejsze i nasze autorki albo nurzają się w błocie erotyzmu, na równi z wszystkimi niemal mężczyznami, albo gędzą tak, że — aż wstyd mi wyznać! — nawet ja wytrzymać nie mogę. Bo kobiety zawsze są szczerze.

Więc dostałam Tanatosa Drzymanowskiego, co trzeba wiedzieć, że jest kobieta, i nawet tom był zupełnie nowy, chociaż już przed rokiem wyszło. Pytałam się, czy to już kto czytał, ale odebrałam odpowiedź, że nie było zażądane, ale że na pewne pomoże.

A jakby nie, to już trzeba mężczyznę i jest Jasiek Kojiński.

Ten jasiek koji snem.

Bardzo żałowałam, że jego nie wzięłam, bo byłby mi może pomógł, a co do tamtej, to mnie wprawdzie znudziła, ale, że jestem z natury niecierpliwa, więc już po kilku kartkach książkę odłożyłam. Bo, skoro nikt tego nie czyta, to za co ja właśnie mam czytać? za jakie grzechy? I tak nikt tak daleko w niej nie doszedł, jak ja, co dowodem jest mojej wyjątkowej mocy charakteru.

Tak mi się przedsięwzięcie nie udało i już we wszystkim mam taki pech!

Liczyłam potem deski w podłodze i deseń na ścianie i to mi przynajmniej trochę myśl zajęło, a potem przyszła moja siostra i gawędziłyśmy od rana prawie. Bo Licht czasem bardzo późno do domu wraca. I takie są przyjemności małżeństwa. Czego ja sobie nie życzę i wiem, że pan Władysław jest solidny, zwłaszcza gdy mu się cugli nie popuści.

Czasem wydaje mi się, że już jestem w niebie, niedaleko tronu Wszechmocnego, który umie rozróżnić baranki białe i czarne. I myślę wtedy, jak

długo będzie jeszcze trwała pokuta Władysława, zanim się z czyśca wydostanie. Bo piekła to mu już nie życzę, gdyż trzeba być litościwym dla każdego, chociażby na żadne miłosierdzie nie zasługiwał.

Ale, gdy już będę w chórach anielskich, to się wstawię za nim.

I gorszym grzesznikom już było przebaczone, nawet łotrom na krzyżu!

Więc niech się pani nie obawia o swego brata. Gdyby nawet marnie zginął zasłużoną śmiercią, to jeszcze dusza jego może być ocalona.

Co on sobie tam myśli,—chciałabym wiedzieć. Czy naprawdę chory jest, bo on jak baba i w wychowaniu jego nie było żadnego systemu, ani hartu. Jeszcze nie widziałam mężczyzny, któryby był tak do niczego! Aż wstyd mi za niego. Ja, słaba kobieta, nie poddam się najsroższym ciosom, a na niego drobna, ledwo słowa warta, przykrość tak oddziaływa!

Słusznie się mówi, że u nas wychowanie jest zaniedbane, zarówno fizyczne, jak moralne. Dzisiajsi mężczyźni, chociaż niby na oko się zdarzy czasem który postawniejszy, cherlaki są i jednym palcem przewrócić ich można. A zwłaszcza zdegenerowani są ci, co niby od Walgierza Wdąłego pochodzą! Ręcę, że dziecko im da radę, jak Dawid Samsonowi, nawet bez procy i włosów mu obcinać nie potrzebuje, Dalila.

Ręcę, że gdyby pan Władysław był na prawdę

kiedy w niebezpieczeństwie, nie umiałby siebie obronić ani tej, która na jego opiekę byłaby skazaną. Bo na to trzeba siły i przytomności umysłu. A do tych przymiotów mu daleko, jak również nie widzę w nim trzeźwości umysłu i nie wierzę, żeby sobie sam umiał radę dać w biurze i w swojej karierze, jeżeli inteligentna żona się nim pocziwie nie zaopiekuje, wskazując mu zawsze i na każdym kroku, co ma uczynić i jak postępować. Będzie to, zaiste, ciężkiem zadaniem, ale biorę ten krzyż na siebie.

Tylko po co zwlekać? Przecież w tym przeszłym wieku już go żadna nie będzie chciała i tylko trzeba mojej dobroci i litości, żebym się w pierwszym zaraniu wiosny wiązała z człowiekiem, któremu do grobu już niedaleko? A co będzie, gdy zostanę wdową i z kilkorgiem dzieci, bo w fabryce emerytury nie wypłacają i dlatego zawsze najpewniejszym na męża jest urzędnik. Ja też sobie zawsze urzędnika życzyłam,—chyba, żeby wyjść na wieś, ale nie za dzierżawcę lub administratora, a nie spojrzałabym nawet na jakiegoś urzędnika gospodarczego, jak się Pani słusznie domyśla. Życie na wsi zdrowszem jest i nawet może tańsze, ale zawsze najlepiej na swoim gospodarować, tak twierdzą wszyscy. To mnie, wiadać, nie było pisane!

Poszłabym też za fabrykanta, któryby miał własną fabrykę, a nie był w niej tylko korespondentem. Lecz, skoro już tak ma być... Bo nie

wiem, czy się taki fabrykant ze mną ożeni, chociaż nic nie trzeba mówić przedwcześnie.

Więc po raz ostatni, za pośrednictwem pani, wzywam Władysława Skalskiego, żeby się stawił i do nóg mi upadł, a może mu przebaczę.

A, jak nie, to będzie źle.

Ja się w próżne groźby nie bawię, ani słów wiele nie tracę. Pożałuje!

Ponieważ zawsze najlepsze jest ustne porozumienie i tak w krótkości listownie nie można wszystkiego obmówić, więc na przyszły tydzień przyjadę do Próchnówka. Bo już zdrowa będę.

Jeszcze Pani zatelegrafuję o dniu i godzinie mego przyjazdu i pewna jestem serdecznego z Jej strony przyjęcia.

Tylko proszę nie przysyłać czasem po mnie bryczki, którą Pani czasem jeździ, bo będę jeszcze osłabiona i mogłabym się strząść. Pani wie, że jestem delikatnej kompleksyi i mogłabym taką fatygę życiem przypłacić. Więc zechce Pani przysłać powóz. A już konie mogą być fornalskie, bo ja nie lubię z Michałem jeździć, który jest zanadto familiarny i wogóle Pani nie dosyć krótko służbę trzyma. Ja nie lubię z byle chamem rozmawiać. Więc proszę mu przykazać, żeby się do mnie wcale nie odzywał, bo ja nie jestem ciekawa, co się na wsi dzieje i czy zboże dobrze sypie. Inna jest rozmowa z inteligentem, z którym się ma równy polot ducha. I już mnie strach bierze, że ta droga będzie strasznie nudna, i żebym chociaż Włady-

sława miała przy boku, z którym później z wizytą będziemy bywać w Próchnówku, gdy już Pani zostanie moją bratową. Ale urlopy jego, to będziemy spędzali za granicą, w Ostendzie albo w Biarritz, tak już sobie uprojektowałam.

Michał niech czapkę zdejmie, gdy mnie będzie witał na stacyi, i niech mnie w rękę pocałuje. Bo, jak mnie odwoził, to tylko coś mruknął! Dla każdego powinno się być równie uprzejmym i ja też tego przestrzegam, dając z siebie dobry przykład, nie pogardzając nikim. Więc niech cham wie, co się należy!

Dziewczynki nie potrzebują mnie w rękę całować, ponieważ tego i dawniej nie wymagałam i nawet nigdy nie mówiłam o tej kwestyi z Panią, nie wiedząc, jakie będą Jej zapatrywania co do tego, może błędne, i niepotrzebnych walk nie chciałam wywoływać między nami, jakby w przeczuciu, że i tak sprawiedliwość zatryumfuje, jaśniej od słońca, i będziemy bratowe a ja ich Wujenką, którą w rękę całować muszą.

Uważam też za stosowne, żeby Pani na moje przyjęcie zaprosiła całe sąsiedztwo, przedewszystkiem Majewskich z córką, żeby ich żydowska pycha była upokorzona,—pan Wisman też może być, kiedy już raz bywa w Próchnówku,—i hrabiostwo Rysiowie. Chętnie zobaczyłabym też Błońskiego, lubo Pani wie, że się słowem do niego nie odzywam i tylko milczącą pogardą go karzę. A nie zaszkodziłoby, żeby był też proboszcz, bo to zawsze

dobrze wygląda i daje przecucie uroczystości, która się niezadługo odbędzie.

Zabiorę z sobą suknię stosowną, która jest trochę droga, ale będzie się Pani podobała.

I wtedy albo zatelegrafujemy po Władzia, albo pojedziemy razem po niego, żeby się już nie wywinął.

Sądzę, że Pani po krótkce wyłożyłam, jak się rzecz zrobić powinna i zrobi, chyba, żeby były nowe intrygi. Myślę, że Pani się zgodzi chętnie na wszystko, co Jej wyłożyłam, bo też niema o czem dyskutować.

Kochana i droga Pani! Już zamykam ten list i jeszcze raz pukam do Jej szlachetnego serca!

Pani jest ideał prawdziwej kobiety, bez „ale“ najmniejszego, jako wzór godny naśladowania, jaki też naśladowałam po cichu.

Resztę już niech Pani pozostawi mojemu taktowi.

Wiem, że Pani jest tak pełną zacności, że myśl sama o czemś mniej szlachetnem obraża taką, jak Pani, kobietę. To też Pani nie zawiedzie ufności

Swej kochającej i kochanej (wszak tak)

Stasiuleńki.

P. s. Miałabym jeszcze wiele do powiedzenia, bo mam milion myśli, ale któż zdoła wypowiedzieć wszystko?

XXIII.

Starsi radzili, w pokoju, pod dachem, a młodsze towarzystwo zasiadło na ganku, niekoniecznie pod dachem, bo szklarz, zamówiony, się dotąd nie zjawił, by naprawić szkodę, wyrządzoną przez Błońskiego.

— Uj, — ciągnie tu trochę z góry — skarżył się Toś.

Rzeczywiście wieczór był chłodny, po dniu o niepewnej pogodzie, i przewiewało, z góry, czy nie z góry.

— Eh, głowy ci nie urwie! — pocieszał młody Rys.

— Bom ją już stracił! — wykrzyknął chłopak, skłaniając się ku sąsiadce, którą oczywiście była Manusia.

Przyjęła objaw hołdu z zadowoleniem.

Ale Kót, nie rad, że go uprzedzono w kompletach, — a nosił się właśnie od kilku dni z zamiarem wypowiedzenia swych uczuć, jasno i dobitnie, starszej z panien Rudowskich, która się może dotąd na nich nie poznała jeszcze dostatecznie, — zażartował, złośliwie:

— Jak można coś stracić, czego się nie ma! —

— Jakto? —

— Widziałem twoją cenzurę, — same dwóje! —

— Oho! — bronił się uczeń, obrażony, — najpierw, że nie prawda, a potem, co to ma do tego? —

— Panowie, nieładnie jest — spierać się wobec dam — zauważyła Jadzia i panowie umilkli.

— To może będziemy sobie co opowiadać — poddał myśl Toś, który, z nadmiaru żywości, nie mógł długo usiedzieć cicho w miejscu i tem się pono tłumaczyły niektóre klęski życiowe, jakie ponosił w obcowaniu z mniej wyrozumiałymi nauczycielami.

— Bo cóż będziemy robić? Tennisa się już nagraliśmy, — na kołobieg jest za wietrzno, mówi panna Jadwiga...

— Panna Jadwiga ma słuszność — zawyrokował gromko student.

— Damy zawsze mają słuszność. — Toś miał dzień nieszczęśliwy, bo nawet przedmiot jego uwielbień zwracał się przeciwko niemu. Ale już Manusia naprawiała pocziwie przykrość, jaką wyrządziła mimowoli swemu wielbicielowi, zwracając się do niego z troską:

— Proszę się zapiąć, — chłodno jest i można się zaziębić, zwłaszcza jak się jest zgrzanym po bieganii z rakieta. —

Toś dopełnił rozkazu. Ale odciął się, zdradzając, że nie będzie tak zupełnie podatnym materiałem na pantofla:

— Jakie panie teraz mądre, — od czasu, jak straciły nauczycielkę, zupełnie jakby same były nauczycielkami! —

Dziewczęta rozśmiały się.

— Co za ironia! — powiedziała jednak Jadzia.

— No, więc, zanim się wszyscy pokłócimy, niech kto co opowie! — postanowiła rozsądnie Manusia.

— A co, nie mówiłem? Ja dobrze radzę — chełpił się teraz młody Wisman — chociaż niby mam głowę do pozłoty — spojrzał ku Rysiowi.

Lecz student stracił nadzieję, że dziś jeszcze wypowie, co czuje w sercu, swojej pani, gdyż „bąki“, młodszy, byli nieodstępni i, gdy proponował przedtem przechadzkę po szpalerach, nie rozumieli, że powinni pójść inną ścieżką, pozostawiając mu możliwość dłuższych, rzetelnych, czułych i ognistych zarazem oświadczeń. Odłożył je więc na inny raz, a dzisiaj machnął ręką na wszystko, zdradzając tylko czasem niezadowolone tajnie swej duszy uszczypliwymi uwagami. Przecież nie miał ochoty podnosić rękawicy, rzuconej przez szczęśliwszego, bo snąć nie czującego tak nagłej potrzeby i konieczności ujmowania swych zapałów w formalną szatę deklaracji, — malca.

— Słuchamy — rzekł więc niedbale.

Lecz jeszcze Manusia przerwała:

— Wiecie państwo — obejrzała się trochę lęklawie ku drzwiom werandy, czy czasem nie zobaczy w nich postaci matki, karcącej niesforny języ-

czek — co do naszej nauczycielki, to panna Stasia pisuje wciąż do mamy. Widziałam — takie listy — pokazywała rękoma rozmiary, zapewne nieco przesadnie.

— Ale co pisze? — spytał, od niechcienia, student, którego interesowały każde dzieje miłości.

— Ba, — kiedy niewiem! —

— Nie miała szczęścia w swem uczuciu — rzekł, ponuro, — tak rozwiewają się sny najpiękniejsze! Właśnie jak — z panną Helą Majewską i z Błońskim — umilkł nagle, jakby za wiele powiedział.

Ale niedomówienie tem więcej obudziło ciekawość słuchaczy i, gdy panna Jadzia objawiła swą chęć, zasłyszeć nowiny, przytajonej w jego słowach, objaśnił:

— Właściwie to sekret i nie powinien być rozgadywany. —

Spojrzał się surowo w koło, dając do zrozumienia, że liczy na bezwarunkową dyskrecję. Ale miny słuchających z zapartym oddechem świadczyły, że chyba razem z jego ostatniem tchnieniem pozwolą sobie wydrzeć powierzane im słowa.

— Było tak. Pan Kazimierz — czuć było naganę w pogardliwym brzmieniu, z którym wymawiał imię — założył się o butelkę szampana, że się z panną Helą zaręczy. To doszło do panny Heli. Obraziła się. I słusznie. Zerwała. —

Nowina była krótka, ale sensacyjna.

Chwilę panowało milczenie, w której publiczność przeżywała raz jeszcze miły wstrząs, jakim napawa ciekawa wiadomość.

— A czy to aby pewno? — zapytała jednak ostrożnie młodsza z Rudowskich.

— Wiem od ojca. — Błoński nawet tu nie przyjechał dzisiaj, nie chcąc się spotkać z panem Majewskim. —

Tak, wiadomość była prawdziwa.

I miał słuszną politechnik, powtarzając:

— W miłości niema nic pewnego! —

Jeno poniekąd kłam zadała jego twierdzeniu Małgosiu, przebiegająca koło ganku, w kierunku ku stajni.

— Małgosiu, Małgosiu, — dokąd? — śmiała się za nią Maniusia.

— Daj jej pokój — upomniała siostrę Jazdia, — ślub za parę tygodni, *to* małżeństwo się nie zerwie na pewno. —

Dopiero, omówiwszy tak wszystkie sprawy okoliczne i domowe, przystąpiono do wysłuchania opowiadki, którą miał przygotowaną uczeń szkół; chcąc się z nią pochwalić, podał był projekt „opowiadania sobie“. Jeno, że mu dotąd wciąż przeskadzano.

A było to historia o śledziu.

Nader ciekawa.

— Jeden pan chował sobie śledzia w sadzawce, tak obłąskawionego, że, kiedy gwizdnął na niego, śledź wychodził z wody i szedł za swoim

panem; jednego razu przechodził przez mostek, spadł i utopił się...

Historja nie znalazła uznania.

— To wy takie rzeczy sobie opowiadacie w sztubie, zamiast się uczyć— zgromił nieszczęśliwego starszy kolega.

— Bardzo przepraszam. To tylko na lekcji literatury, — bo ten nasz profesor tak nudzi, jak zacznie mówić o „młodej Polsce“, — więc powiedzieliśmy mu, że to jeden z nas wymyślił i prosiliśmy, żeby nam zechciał opisać — swoim złotem piórem, — tak mu pochleбилиśmy, —

— I co? — zapytała Jadzia, której nerw literacki zadrgał.

— Przyrzekł, że ustylizuje i umieści w „Kołtunie“, a to jest jeden z najznacniejszych miesięczników literackich. —

Zachęcony — powodzeniem, zamierzał jeszcze opowiedzieć bardzo ciekawą anegdotkę myśliwską, z względu na perspektywę polowania i żeby było też coś dla Ralfa, który z wyjął wiernością dotrzymywał kompanii.

Jak pewien myśliwy polował na dziki. I widzi „dwóch dzików“, idących za sobą. Strzelił do drugiego. Ten staje w miejscu, widać trafiony. A pierwszy drapnął. Myśliwy podchodzi; dzik się nie rusza, ale też się nie przewraca. Podchodzi bliżej, — na dwadzieścia kroków, na dziesięć kroków, na trzy... I co widzi? Dzik ma w ryju kawał ogona. A to był ślepy i ten pierwszy prowa-

dził go. Gdy drapnął, pozostawiając ogon obierwany, drugi w swej ślepotcie nie wiedział w którą stronę się ruszyć!

Taką ciekawą anegdotkę miał Toś przygotowaną.

Ale, po za opłotkami, przez wieś zbliżała się gromadka wiejska ku dworowi i młodzi pobiegli dowiedzieć się, co za sprawa najście sprowadza.

Starsi już też dokończyli narady. Uchwalono: kolejkę budować. Obliczono mniejwięcej koszta, zadeklarowano wysokość udziałów. Uchwała miała być jaknajprędzej, zaraz, wprowadzoną w wykonanie. Przedewszystkiem należało wystarać się o pozwolenie na budowę. Kwestje techniczne wykonania, zebranie kapitału, z chwilą, gdy grono zamożnych ziemian, matadorów okolicznych, znanych jako dzielnych ludzi, stawało na czele przedsięwzięcia, — to już były rzeczy podrzędniejsze.

Właścicielka Próchnówka z zajęciem uczestniczyła w obradach, nie ustępując na ogół mężczyznom w znajomości rzeczy.

Była w podniecającem jej energii życiową usposobieniu; wiadomość o zerwaniu Heli z panem Kaziem i ją doszła. A pani Zofia wyciągnęła z nowo stwarzającego się położenia wnioski, które uszły krótkowidzącemu rozumowi małoletnich.

Pan Majewski jedzie zaraz do Warszawy. Starsuszek nie zwykł udawać się w podróż bez żony. Zapewne zabierają z sobą wnuczkę, żeby się po,

bądź co bądź przykrem, przejściu, trochę zerwała.

A, że pani Rudowska także jedzie, zajrzeć do chorego brata i obejrzyć się zawczasu za nową nauczycielką dla swoich pańien...

Ucieka w ten sposób też przed grożącym najeźdźcą dawnej.

Czasem, jak się składa, to się już wszystko składa.

Aby tylko znowu co nie przeszkodziło!

Tymczasem przyjmowała uprzejmie komplementa pana Karola Wismana i hrabiego Aleksandra, pochwalających gorliwość, z jaką pierwsza obstawała przy tem, żeby nie zwlekać.

— Chwali się, że pani dobrodziejka tak dba o to, żeby Próchnówek nie upadł, tylko podniósł się w wartości — mówił prosto z mostu pan Karol — będą nasze dzieci miały na czem gospodarzyć! —

— Szkoda że mojemu synowi jeszcze daleko do ukończenia studjów, — mogłaby go pani zamianować dyrektorem kolejki! —

Małgosia, której flirt z Michałem tym razem potrwał krótko, wbiegła, oznajmiając o stawienictwie gospodarzy wiejskich.

— Czego oni chcą? — pytała pani próchnowiecka, trochę zdziwiona nagłym interesem zbiorowym.

— A to wedle tej kolejki, proszę jaśnie pa-

ni, — służebna podała źródło swej orientacji, — tak mówił Michał. —

— Ale czego przy tem mogą chcieć? —

Zgromadzeni wyszli przed dwór.

Było tam chłopów kilkunastu starszych, — sami gospodarze. Dziedziczka znała ich. Kupa wyrostków, dla asysty, jako też i bab, co to chłopów nieodstępujący, zwłaszcza gdy o jenteres idzie.

Wysunął się bodaj z gospodarzy najmłodszy, barczysty, żuchowaty.

— Walenty Kuroń — szepnęła Manusia — napewnie skarga jaka! —

— Bo to, proszę państwa, przyślim bez tę kolejkę, co jom państwo niby majom budować. —

Zkąd się wieść tak szybko rozeszła, trudno i nie pora było dociekać; zresztą od początku nikt nie trzymał projektu w tajemnicy.

— Gdyby miała gdzie iść przez wasze grunta, — przeceniła pani Zofia odrazu, o co chodzi, — to będziecie bardzo dobrze zapłaćeni. —

— My ta wcale nie chcema. Ino bydló psejezdza! —

Przytaczał przykłady, zdarzające się w okolicach, bliżej śmiercionośnego toru położonych. Inni za nim przywtafzali, dodając z własnych informacji wypadki tragiczne. Baby wtórowały z wielkiem zacięciem, wyrostki, chociaż milcząc, rozdziwiałały gęby i uszy, napajając się mądrością starych.

Trzeba było usilnych namów z strony panów, przychodzących w pomoc Rudowskiej, by zacie-trzewionych skłonić, nie do zgody, lecz chociażby do odejścia.

Nie było to łatwo.

Odeszła gromada.

— Oto, niestety, nasz chłop — rzekł dziadek Majewski — a wszystko inne są — obrazy na piasku. —

— I ja znam kraj nasz wzdłuż i wszerz — do-dał Ryś — a, z wyjątkiem kilku rzadkich oaz, z wiele dawniejszych lat, gdzież jest ten chłop uświadomiony, o którym się tyle dzisiaj—fantazju-je? Współpracownictwo dworu z chatą! W naj-lepszym razie stosunek chaty do dworu jest żaden, często — wrogi. —

— Jakżeż może być inaczej? — pytała Rudow-ska — szkółki, kółka rolnicze zamierają, z zna-nych nam wszystkim powodów. —

— Ile razy posiejemy ziarno — rzekł stary — przychodzi wiatr, który zmraża wątle roślinki, led-wo kiełkować zaczną. —

— I dla tego, mojem zdaniem,—streścił Ryś,—wbrew temu, co się mówi i pisze, nie ów lud u nas, gdzie nie mamy nań i mieć nie możemy wpływu, jest ostoją naszej przyszłości, tylko my, szlachta polska. Mówię to, chociaż jestem szczerym naro-dowym demokratą. —

— Jak my wszyscy — potwierdził pan Ta-

deusz — i mieszcząc w pojęciu szlachty oczywiście także kulturalnego mieszczanina oraz — uśmiechnął się — żyda-polaka, chyba że grawituje ku — litwakom. —

— Zgoda — rozśmiał się pan Ryś, zapomniawszy o monoklu.

— A z litwakami — dodał Karol Wisman — w najgorszym słowa znaczeniu walka najskuteczniejsza, tworzyć rodzimy przemysł. Do czego jeżeli my, ot, naszym przedsiębiorstwem się choćby trochę przyczynimy, to już coś!

Ale, prawda, najnowsza anegdotka bojkotowa, posłuchajcie państwo. —

Temat był aktualny, a po poważnych naradach i rozmowach szczypta wesołości nie do pogardzenia.

Jeno Kot zmierzył ironicznie Tosia, stwierdzając, z kąd jego pomysłowość w opowiadaniu.

A Wisman Kar(o)l wykladał:

— W towarzystwie ubezpieczeniowem, którego dyrektor słynie z gorliwości w sprawach społecznych, pracuje agent-żyd. Znajomi namawiają szefa, by go się pozbył.

— Nie mogę, — za dobry agent z niego. —

— To niech się ochrzci. —

— Spróbujmy. —

Wołają księdza. Godzinę trwa między nim a przyszłym neofitą, sam na sam, rozhovor, co-

raz żarliwszy. Nareszcie ksiądz wychodzi, zmęczony.

— Cóż, ochrzci się? —

— Niewiem, — ale ja się ubezpieczyłem. —

I wobec tego, moi państwo, jakżeż się tu obyć bez żydów, co? —

XXIV.

Hela Majewska nie była w tak różowem usposobieniu, jak jej policzki, pod puszką brzoskwiowym zdradzające pulsowanie zdrowej krwi w hoźem ciele.

Nie miała też powodu do radowania się.

Oj nie!

Rozstanie się z Kazikiem Błońskim nie była katastrofą życiową. Nie kochała go. Z tego sobie zdawała dziś zupełnie jasno sprawę. Był jej sympatycznym w swej dziarskości, zrobił na niej wrażenie, uderzając wstępny bojem o jej serce i rękę. Była chwila, kiedy odczuwała dla niego coś, — no, to coś, co jest zaczątkiem miłości.

Przytem, co wtedy może mniej jasno, albo wcale nie wiedziała, trafił na szczęśliwy moment. Inny, do którego przedtem serce jej nierównie cieplej zabiło, wzgardził niem. To jest, dla panien, moment psychologiczno - małżeński.

— Idzie za Błońskiego *par dépit* — osądził też odrazu, imieniem okolicy, hrabia Ryś.

Alić broń Boże której pannie w takim położeniu to powiedzieć; przysięga, że *par amour*,

i sama święcie o tem będzie przekonana. Winszuje więc jej się głośno, że poszła za głosem swego serca. Samopoznanie przychodzi dopiero później, — bardzo szczęśliwie, jeżeli nie za późno.

Hela miała to szczęście. I powinna była za nie, prawdziwie, Bogu na kolanach dziękować. Lecz...

Narzeczeństwo, które nie doprowadziło do ołtarza, jest, z czyjejkolwiek strony zerwanie nastąpiło, zawsze w następstwie przegraną bitwą w statystyce tryumfów i klęsk, w „dzienniku służby“ pańskim. Dla niej samej. Jako, że, będąc już w pochodzie ku ołtarzowi, wstrzymać się musiała w pół drogi. Bo, chociaż młodym dziewicom przeważnie „nic na tem nie zależy“, żeby wyjść za mąż, jednakże staropanieństwo jest najstraszniejszym straszakiem dla dorosłych dzieci płci żeńskiej. Wtóre, w opinii ludzkiej:

-- Właściwie, czemu z nią zerwał?—

Albo:

-- Więc po co się z nim zaręczała?

I jako wynik sądu życzliwych bliźnich: Eh, już i była zaręczona...

Ztąd regułą, ustaloną zwyczajem dawnym, jest, że zaręczyny zobowiązują do ślubu. „Po słowie“ — słowa trzeba dotrzymać. Może być nawet ciche, nie dane w zwykłych formach, a jednak.... Honor — rycz rycerska i przetrwał w rycerskich tradycjach narodu, nawet u bielychgłów. Oczywiście, zdarzy się czasem — ścierka, co nie dotrzyma, gdy „lepsza partja“ się zjawi. Jedno z tych małych świńste-

wek, jakie popełniają dwunogi obojga płci, też jakoby na obraz i podobieństwo boskie stworzone. Ale, na ogół, — nie.

Każde zerwanie przedślubnej, cieńkiej, a jednak już wiążącej przyszłą parę, nici odbija się zawsze ujemną oceną ogółu.

Do tego, Hela była zła na siebie, że palnęła głupstwo. Nie trzeba się było zarećcać z Błońskim. Kto jej kazał? Własne uczucie? Nie. Dziadek? Też nie. Zresztą nie była tak bez woli, żeby chociażby nakazu posłuchać. Dziadek nawet nie zachęcił stanowczo. Wyraził się jedynie życzliwie o młodym i, buch, zanim się opatrzyła, już się stało nieszczęście.

Żałowała teraz, że się wtedy nie rozmówiła z dziadkiem. Byłoby się zapewne uniknęło, — omyłki.

A, tak, spisała się jak g - a - , gapa!

Dobrze jeszcze, że się tak skończyło, to jest na rozejściu, ale wszystkiego można było, przy trocha rozważeniu, uniknąć.

I uniknąć wtedy przykrości, jaka ją spotkała z strony — tego pana, którego dziarskość objawiła się w tak niestosowny sposób. Czarna Hela była ambitną i myśl, że była przedmiotem zakładu pomiędzy pijanymi, bolała ją.

— Smarkacz! — było cichym wyrazem jej refleksji.

Czy ostateczny wyrok o Kaziku nasunął jej, prawem przeciwieństwa, na nowo obraz dojrzał-

szego — męża, czy obraz ów w ogóle tkwił wciąż jeszcze nie usunięty w jej sercu, bezwiednie i mimowoli, — w każdym razie myśli panny Heleny, od chwili osądzenia „sinarkacza“, ulatywały niejednokrotnie ku rudawym wąsom, o hardem lecz statecznem rozczapierzeniu.

Miała potrzebę miłości, kochania, zamążpójścia. Doskonale docenił Władzio: ciepła dziewczyna!

Miała przecież coś z krwi wschodniej w żyłach, gorącej. Lubo i o najrdzenniejszych, bez najmniejszej domieszki, polkach powiedzieć nie można, żeby były zimne, gdy poczują wolę bożą.

Może być, że wyobraźnia jej grała trochę żywiej, niż, znajdującą zwykle upust w panińskiej sentymentalności, jej siostrzyc.

Tak jak przenosiła Heinego nad karmelkowych naszych poetów współczesnych.

Nie przeszkadzało to jej jednak kochać Mickiewicza.

Był w niej wysoki intelektualizm rasy, z której przecież pochodziła, przeszczepiony na grunt kultury polskiej, tej starej, co wykształciła się na najlepszych wzorach zachodu. Nie owej dzisiajszej swojskiej pseudokultury, tandetnego wyrobu spółkowego lichych pisarzy i płatnych chwalców, najemnych bandytów krytyki. —

Miłość, odwieczny równoznacznik Piękna, lśniła przed oczyma dziewczyny w barwach cudnych, wabiąc ją. Tęskniła za nią.

Polka, tak na serjo, nie wyobraża sobie nigdy inaczej miłości, jak w małżeństwie. Inna miłość grzechem jest i rzecz brzydka. Tak docenia, rozumkiem swoim, odpowiednio do panujących reguł życia wcale trafnie.

Hela szukała miłości, w małżeństwie.

Kochaj, dziewczyno!

Dla kogo chowasz skarby swej urody,

lilje twych piersi, róże twoich lic?

Godzina mija i czas sinobrody

z kraszy twych wdzięków—nie zostawi nic.

Przeminą zdradnie wiosny twojej maje

i traci listki, ledwo dojrzał, kwiat!

Bierz puchar życia, — raz go tylko daje

i już odbiegło — szukać młodszych lat.

Zeschną lilije i zawiędną róże,

smutku łzy zgaszą cudnych oczu blask...

szarych dni smętnych już czyhają wróże...

Kochaj, dziewczyno, póki życia brzask!

Jasna noc pachnie, księżyc w srebrnej zbroji

objął miłośnie swoją gwiazdę - cud

Kto w życiu kochał, ten się już nie boji,

gdy Czas zapuka do Miłości wrót.

.

A właśnie bywały czasem takie noce. Umyślna złośliwość Samiela, dyrygującego oświetleniem niebostropu.

Okiem cyklopa, tarczą miesiąca, łyskał w okna panny.

Po kobiercu przejrzystym, srebrzystym, żali duszyczki schodziły na ziemię, jak twierdziła niewinność Maniusi, nie wiadomo; lecz zstępowała po nim miłość, na pewno. Szła z niebiańskich sfer, gdzie jej ojczyzna, ku ziemskiemu padołowi, na którym zazwyczaj gości niechętnie. Lecz taka noc letnia, cudna, wywabiła ją z schroniska, do którego zagnała ją niewdzięczność ludzi.

Zstępowała jasna i promienna, powiewna i rzewna, słodka i cicha, ciepła i żar niosąca, niewidzialna a wielka, potężna, wszechwładna.

Miłość.

Niosła szmer westchnień, słów słodkich pieśczętę, pocałunków ciepło, pieśczęt żar... Budziła tęskną niecierpliwość i napawała rozkosznem omdleniem.

I zawładnęła raz jeszcze, raz znowu, na ziemi.

Zawoniały kwiaty na jej przyjęcie. Olśniło je księżycyca światło. Zmylone, niby na słońca powitanie, rozwarły kielichy.

I rozwierały się serca ludzi.

A noc czarna, gdzieś usunąwszy się, zadąsana, w kąć, patrzyła zdala niechętnie, co ta miłość z księżycem, pachółkiem usłużnym, w zmowie, wyprawia.

Do spania pora ta, a nie do marzeń...

Po których, gdy dzień je przegoni, przecież zawsze jeszcze nieświadomy osad tęsknicy w sercu pozostał.

— Zważywszy, jako położenie poważnem jest, duchy na polach elizejskich spieszny urządziły meeting.

Imość w szustokorze i interaku jaknajsrożej gromiła Twardowskiego.

— Acana wciąż psie figle się trzymają ino, jako za życia, miasto, cobyś, ustatkowawszy się, pokutę a ludziom dobrze czynił! —

— Ho ho! Z despektem takim jejmość pani o poczynaniu mojem się wyrażasz, które jest miłość w sercach ludzkich budzić, afekt najcelniejszy, jako nawet król Salomon przyśpiewywał. Takci nie jest, powiedz, który się bodaj od niego prozapią chlubisz? —

Starzec w sukni długiej jednak także na figlarsza wsiadł:

— Pieśń nad pieśniami jest. Grecy też ją pieli słodko, a z rzymian Horacyusz i Owidyusz najprzedniej. O polskich naszych poetach, od Jana z Czarnolasu i onej Družbackiej począwszy, wiadomo. Lecz fraszki sobie nie czynić z tego, co szczęście ludziom dać, lecz i ludziom wziąć może. Niewiast aść nie rozmarzaj po próżnicy, bo potem jeno łyż i lament. Zasię do prawnuka twojego, kość z kości, idź, który się w opresyach wije, i jemu pomóż. *Dixi.* —

— Tandem, skoroście mnie tak wasze miłości nasiedli oboje, lecę. A dla pewności, — gdzie sam Twardowski nie może, — babę mu naślę, siostrą rodzoniuteńką. Czołem! —

— Rozpierzchli się. —

Ztąd pani Zofia Rudowska, z pociechami obojgiem, spieszyła do Warszawy.

„Złożyło się“ tak, że razem z Majewskimi.

Gdy kobieta twierdzi, że się coś złożyło, to na pewno to doskonale uprzednio skombinowała.

Tylko po co się przyznawać, lub zgoła chlubić z swej zręczności dyplomatycznej? Skromność jest właśnie ozdobą najcelniejszych mężów stanu, w fraku czy w interaku.

Lecz najzręczniejsi dyplomaci miewają także chwile, gdy w najlepiej obmyślanym planie coś się nie wiezie.

Bo niby znów wszystko „składało się“. Próchnówek i Darzyn znalazły się razem, a szczęśliwie odosobnione od niepowołanych, obcych składników, zamknięte w opiekuńczej klatce przedziałowej pociągu, dążącego z Nasielska do Warszawy. Próchnówek w komplecie swych stałych mieszkańców, o ile do nich nie uparłby się kto wliczać administrację i służbę, lub, jak młodociana, Ralfa. Darzyn, reprezentowany przez najcelniejszych przedstawicieli, państwa Tadeuszostwa z najstarszą córą; młodsze rodzeństwo „nie głupie“ było, „marnować“ chociażby część wakacji w Warszawie.

Taki stan rzeczy i prezencji zgromadzenia ustaliła panna Mania, z dodatkiem kilku uwag, że wprawdzie cieszy się, iż zobaczy wujka, no, i Warszawę, niewiele jej znaną; lecz, ponieważ wujcio

przecież dopiero niedawno był w Próchnówku, więc, pozwalając odgadnąć, tęsknota jej wytrzymałaby jeszcze dłuższą próbę. A pobyt w mieście, stały, dłuższy, czeka ją i tak kiedyś, gdy nadejdzie pora dokończenia edukacji w murach stolicy.

Tymczasem „wsi spokojna, wsi wesoła!...“

Troskliwa matka, która zabrała dziewczęta, nie chcąc zostawić ich samych, słuchała cierpliwie wywodów, zawierających poniekąd krytykę jej postępowania.

Gaworzenie małej mogło posłużyć do zagajenia sprawy.

Rudowska czekała na moment odpowiedni, nadający się.

Czekała nań zaś niecierpliwie.

Droga była niedługa. Mógł wsiąść na jakim przystanku pośrednim kto z znajomych. A chociażby jaki nieznajomy wpakować się do przedziału. Wtedy trudniej będzie, w obec niepowołanych uszu, potrącić o rzeczy dyskretne.

Wiedziała, że Majewscy pierwsi nie zagadną o jej brata, po jednej już niefortunnej próbie i — przykrości, na którą ich naraziła, przez jego opór i upór.

Tak, w tem to Stasiuleńka miała słuszność, — chłopisko było uparte!

I Zofię przechodziły po trochu ciarki, że ona tu tak pięknie za niego znów wszystko układa w myślach, i gotuje się, w czynie, — a nuż on tam znowu podrwi głową.

Albo może już podrwił głową, w tem znaczeniu, że — pogodził się z Stasią.

Wszystko najzupełniej możliwe. Nie wiedziała, bo czuły brat milczał, pozostawiając przysyłanie biuletynów z placu boju swojej dawnej, ale może i znowu, narzeczonej. List ostatni słodkiej Stasi nie zwiastował zwycięstwa, równie upartej w pogoni za swym celem, nauczycielki. Lecz, zanim list dotarł do Próchnówka, w międzyczasie mogło się wiele stać.

Rudowska była w położeniu wodza, który rozpoczyna bitwę, nie wiedząc, czy może liczyć na rezerwy, mające go w stanowczej chwili poprzeć.

Dla tego niepokoiła się tem więcej.

A tu Manieczka paplała, jak nakręcona, tylko, że nie przez matkę, więc nie dając sposobności do „zahaczenia“.

Reszta towarzystwa pozostawała dość mało mówną.

Srocza wyczerpała tymczasem zasób wiadomości i spostrzeżeń, któremi musiała obdzielić obecnych, dodając jeszcze na końcu:

— Mamusiu, musimy *koniecznie* pamiętać o świerzbionkach. —

— O czym? — zapytała pani Majewska, zdumiona.

— To nasza Małgosia tak nazywa fiszbiniki, które mamy jej kupić. —

Zdrowotność garderobianej, podsycana wiktem wiejskim, rozpierała stanik i domagała się jego re-

paracy. Oczywiście dziewczyna dbałą była o zachowanie pięknej figury dla narzeczonego.

Rudowska pomyślała, że kto wie, czy po ślubie, na św. Michała, patrona onego, niewdzięczny narzeczony nie trzaśnie miejskim stroikiem po uszach swą żonę, ile że podług gustu wiejskiego wysmukłość sylfid nie może iść w porównanie z pożądaną zasobnością ciała. Baba powinna być jak baby wielkanocne, pękata i posadzista.

— Manusia niezmiernie interesuje się związkami małżeńskimi — zaznaczyła matka.

— Co ty wiesz o nich — uśmiechnęła się pan-na Hela.

— Oho, przepraszam, o związkach małżeńskich uczyłam się już w religii. —

Temat był napoczęty; potrzeba było tylko znaleźć przejście.

— Jestem w niepokoju o mego brata, — jest trochę niezdrów, a sam, bez jakiegokolwiek opieki — zwróciła się stroskana siostra ku starym Majewskim.

Ale nie znalazła oddźwięku.

Pani rzekła tylko, z obojętnością, aż umyślną: — Zapewne nic niebezpiecznego. — I urwała.

Oczywiście, jakże mogła się przejmować katarrem takiego pana, który — dał kosza jej wnuczce. Zresztą, — bez opieki? — nie był dzieciak!

Dziadzia Majewski, uprzejmiej, ale również chłodno, przepowiedział, że stan chorego, budzący na odległość niepokoje, okaże się, po zbadaniu

na miejscu, nie tak zastraszającym; poczem stary przeszedł odrazu do sprawy kolejki, która nastroczała kilka uwag.

Czuła siostra spotkała się więc z grzeczną, ale dość wyraźną odmową.

Jednakże porażka jej nie zraziła.

Wiedziała, że rozstrzygać tu będzie Hela. Jeżeli wnuczka okaże się przystępniejszą dla wznowionych rokowań, to starzy, mimo chwilowej niechęci, na pewno zgodzą się na jej wybór, któremu, poważnie, nie mogą stawić żadnego zarzutu.

Trzeba pomówić wprost z panną.

Maniusia, pociągnawszy za sobą Jadzię, stała przy oknie, przeciwległym kątom, w których, przy drzwiach, siedzieli starzy. Bo od drzwi tak nie ciągnie, jak od okna.

Mała, rozglądając się po okolicy, udzielała od czasu do czasu siedzącym w głębi towarzyszom podróży wiadomości o robotach na polach, które się przesuwały przed jej ciekawem i rzeczoznawczem okiem.

— Dziecko, siadaj. Znadto mi się wychylasz. Jeszcze ci jaka iskra z lokomotywy w oko wpadnie. —

Jako żywo, żadne iskry nie padały, a jeżeli, to, stosownie do kierunku „przeciągu“, po tamtej stronie wagonu, — ale córki były posłuszne.

I, mało troszcząc się o loikę, pani Zofia pochwyciła za rękę Helę.

— Wyjrźmy my teraz trochę, Heluś. —

Czarna panna domyśliła się celu manewru.

Coś zadrżało w niej.

Buntowała się w niej duma.

Najpierw pogardził nią, — teraz...

Ale, co było tam w sercu, nie zamarło zupełnie, gotowe było odżyć, odżywało już.

I niedarmo mistrz z Skrzypna zsyłał księżycą poświatę, kwiaty pachniały po nocach w okienko.

Czy dla tego właśnie swego pra-prawnuka, czy jeno figle stroić chciał...

...Otwórz, otwórz, panienczko, — ułanowi buzi daj!...

Mignęły jej szybko w myśli dwa obrazy, dwa zestawienia, krzyżujące się.

Najpierw — wąsy ułańskie, tam w Nasielsku, pochylone ku twarzy ładnej szynkareczki. To nie, — nie wolno ci zdradzać, — stałym trzeba być, wiernym, mnie jednej!

Ale, snać, inne chyła się też ku niemu. Za-zdrość jest bodźcem miłości.

A potem — scena, której nie widziała, ale którą sobie wyobrażała doskonale. „Smarkacz“, przy szampanie zakładający się, że ją „dostanie“.

Czegoś podobnego nie zrobiłby nigdy Władysław Skalski. O nie! Ten wie, że przedewszystkiem uszanować trzeba, z kim się chce wstąpić w związki małżeńskie, mówiąc stylem Mani, dziecinnym trochę, lecz oddającym mimowiednie trafnie powagę takiego związku. Nie zabawka,

nie igraszka, nadająca się do drwin. Sakrament i oddanie się na życie całe.

Oddać się można tylko temu, do którego się ma zaufanie pełne, u kogo się jest pewną zrozumienia i oparcia. Raczej przewodnikiem, mentorem trochę ma być mąż, gdy taki Kazik — sam jeszcze potrzebuje bony.

Pan Władysław — o, takiego nie przeżywa się ogólnie zdrobniale-dziecinnie, — jest właśnie jak na męża nie za stary, nie za młody, poważny, pracowity, pozycję ma, którą mianowicie sam sobie zawdzięcza, dobry, przez wszystkich szanowany i lubiony, sympatyczny, — czyż nie?

No, i... i...

Wąsy!

Bywają tacy, którym jest dobrze wygolonym po angielsku, lecz, na prawdę, do iście sarmackich oblicz pasuje najkorzystniej ozdoba twarzy pokrętna.

Hela słuchała.

Pani Zofja pytała krótko, bo starzy patrzyli podejrzliwie:

— Zgodziłabyś się na to, żeby się mój brat starał o ciebie? —

— Gdyby mnie szczerze pokochał...

Rudowska uśmiechnęła się. Niechby no on się ważył nie pokochać! Musi posłuchać siostry, — smarkacz!

Swoją drogą tak zupełnie pewna swego nie była.

XXV.

Władzio dźwignął się z łoża niemocy.

Nie bez wysiłku.

Bo czuł się złamanym cieleśnie i duchowo.

Zaziębienie fizyczne i moralne.

Lecz wołał go Obowiązek, potężny pan, surowy. Mógł Skalski wziąć od niego, imiennie pana Wolskiego, ulgę na dzień, dwa. Ulgę konieczną, gdyż rzeczywiście był niezdolny do pracy. Gorączka, szum w uszach,—objawy, jak je opisywała szczegółowo i z zamiłowaniem, na godną wiarę, Stasia,—u niego wystąpiły na prawdę w całej sile.

Nie spał po nocach.

Nie tylko z zmartwienia. I nie z tęsknicy uczuciowej.

Lecz gdy go myśli opadały.....

Spoglądał wspan po swem życiu, które nigdy zbyt szczęśliwem nie było,—nie jest niem i—nie będzie.....

Lata walk, pracy, trudów, upokorzeń miał za i przed sobą.

Rzadkie, oh, jak rzadkie w tem i nikłe odbły-

ski szczęścia, mijającego, ledwie mu się uśmiechnąć mógł.

Jeszcze, póki się jest młodym, wierzy się wciąż i ma się nadzieję. Matka głupich, ale zawsze matka i dla tego się ją kocha. Roi dla dzieci swych świetną przyszłość, mającą je wynagrodzić za wszelkie trudy, bóle i męki. I śpiewa dziatkom swą kołysankę. Ot, głupia matka!

Aż zmądrzeją i widzą, że w koło nich jest szaryzna życia, beznadziejna, w której ugrzęzli. I brną z wysiłkiem, coraz smutniejsi, coraz pewniejsi, że biesiadny stół nie dla nich zastawiony.

Wśród ludzi, to się jakoś o tem zapomina. Im bliżsi sercu, tem lepszy lek dadzą. Ot, kochająca rodzina, żona i dzieci. Chociażby troski i niepokoje, mniej może straszne od samotnej rozpacz.

Przynajmniej wie się, że i po co się żyje.

Lecz samotność z troskami, z nudą dzisiajszą a niepewnością jutra, wspomnieniem młodości przykrej a pewnością starości pustej, niezabezpieczonej...

Wtedy sen odbiega z powiek i nawet tego, jedynego pocieszyciela nie przywołasz.

Za starym się jest, żeby płakać.

Krzyczeć, bić pięściami, głową o ścianę?...

Pies wyje, bez powodu, ino że księżyc go drażni, a człowiekowi, by w rozpacz najsroźszej, wyc nie wolno.

Bo nie jest psem. Czasem ulżyłoby zawyć.

Ach, te noce samotnika! Rano — widzi się, że

kilka siwych włosów ciekawie zerka z pośród czupryny, dziwiąc się, że się tam znalazły, przedwcześnie...

Ale zawsze jest dzień i z nim nadchodzi ruch i życie. Bije z wszech stron o mury i o drzwi zamknięte, przypominając odludkowi, że w koło niego żyją ludzie, którzy troszczą się oń, czy chce, czy niechce.

Więc stróżka oddała panu Skalskiemu liścik, — ale tym razem nie od Stasiuleńki. Poznał po piśmie i zwykłym formacie oraz kolorze, z dodatkiem zapachu Iris.

Dawna znajoma, której przed laty nawet dopomógł trochę do dostania się na deski teatralne. Wtedy, gdy ona była jeszcze uczennicą szkoły dramatycznej, on na niższych szczeblach kariery handlowej, łączył ich ściślejszy stosunek, który brali za miłość. Mówili nawet o pobraniu się, tem śmieiej, że nie mieli za co. Zawsze on miał trochę więcej i dopomagał jej.

Artystka była wdzięczna i pamiętała, dziś, gdy nie potrzebowała jego kilku rubli. Po starej przyjaźni, widywali się jeszcze teraz czasami.

Ale z uczuciem nie miało to nic wspólnego.

Domyślała się, że wrócił z podróży, a ponieważ często przypadkowo i ona, w nieteatralnym sezonie, znalazła się w Warszawie, nudząc się, przypominała się pamięci.

Ot, miłostka, jak inne, które miał w życiu. Kilka dni szarych ozdobiła — szychem i pozosta-

wiła nienasycone pragnienie innego, szczerego, rzetelnego uczucia.

Postanowił, tymczasowo nie pójść. Szminka i puder, chociażby zmyte chwilowo, nie nęciły go zbyt.

Ale stróżka wsunęła mu i gazetę poranną, którą podczas choroby kazał, by mu przynosiła.

Przebiegając szpalty, znalazł coś, co go poruszyło skuteczniej z odrętwienia, niż ów billet-doux.

Była mowa o wyborach, których spodziewać się należy na jesieni, o widokach narodowych, szansach stronnictw i kandydatów.

Z tego wyczytał jedną rzecz, która mu się wydawała aż nieprawdopodobną. Warszawa zagrożona Sensacya dziennikarska? Nie. Artykuł mówił liczbami. Wskazywał, zawczasu, na prawdopodobieństwo, że syrena wejdzie do dumy—w jarzmie.

Stolica Mazowska, serce kraju!

W żołnierzu zagrało na dźwięk trąbki bojowej.

Skalski będzie mężem zaufania w swoim okręgu, jak stale, i, co będzie mógł, zrobi.

Przynajmniej się komuś, na coś, przyda znowu,—swemu społeczeństwu.

— W biurze okazało się, że pojawienie się Skalskiego było bardzo pożądane.

Kwaśno, jak przewidywał, powitała go panna Józefa. Ani choroba, ani narzeczeństwo nie tłumaczy...

Zniósł tę szpilkę, wzdychając do Opatrzności, by mu oszczędziła dalszych. Znalazł nawet tyle energii, że, aby się pozbyć nagabywań panny kasjerki, podał jej do wiadomości, iż już—po narzeczeństwie. Co do szczegółów, raczy się panna Stasiak nie dopytywać.

Nad spodziewanie pożałowała go, litościwem sercem niewieściem, i przyznała, że biedak mizernie wygląda.

Odeszła, dumniejąc chudemi plecami, na których zwieszał się nowy szal. Wydębiła go od „władzy“. Mianowicie od młodszego Tretera. A gdy rozrzutnikowi Wolski, śmiejąc się, wyrzucił, że traci pieniądze na kobiety brzydkie, Edwardek odpowiedział:—Tracę więcej na ładne!—

To, podsłuchane, zameldował Skalskiemu „hrabia“, łąszący się o przychylność korespondenta, którego zachowanie się praktykanta utwierdziło w mniemaniu, że z markami musi być jakiś mankament. No, wyda się,—tymczasem ważniejszą jest opieka nad Wajcenzangiem, oddana Władysławowi przez Wolskiego.

Wolski nie robił stawiającemu się do pracy żadnych wyrzutów z powodu jego nieobecności. Skalski usprawiedliwił się z góry, zleciwszy stróżce zatelefonować do młyna, iż jej lokator nie przyjdzie. Zrobił więcej, niż inni pracownicy, którzy perjodycznie, utartym w biurach lokalnym obyczajem, od czasu do czasu nie zjawiali się, nie zadając sobie fatygi chociażby uwiadomienia dy-

rekcji. I w obec nałogu, ogólnego i nie do wykorzenienia, „władza“, zresztą tak surowa, musiała pa-trzeć przez palce, zachowując sobie tylko prawo odpowiednich docinków.

Władysława nie posądzał szef o świętowanie bez powodu ważnego. Powiedział nawet:

— Lepiej, że się pan przeleżał trochę, niż żeby pan miał kwękać w gorętszych chwilach, boć teraz nie tak dużo do roboty. A dobrze, że pan jest, bo ja jutro znów wyjadę na kilka dni w interesach. Dobrze, jak tu ktoś pewny stale siedzi.—

Listów zebrało się, ale niezbyt ważnych i Władysław załatwił się z nimi dość szybko. Siedział,—ale nie beczynnienie. Uderzyło go, gdy przeglądał kopiał, szukając odbitki dawniejszego listu, że jedna karta była wycięta. Uczyniono to nawet tak zręcznie, że przypadkiem tylko brak jej zauważył.

Rzecz była w każdym razie niewłaściwa. Kopiał jest księga święta i okaleczać jej nie wolno. Zagina się kartkę, wypadkiem zepsutą, ale się ją zostawia.

Oczywiście mógł Czosnek przy kopiowaniu bi-bułkę, zbyt namoczoną, rozedrzeć i ślad swej niezręczności usunąć, co byłoby zbrodnią przeciwko porządkowi kantorowemu, ale ostatecznie bez szkody dla firmy. Lecz mógł ktoś, któremu na tem zależało, zniszczyć kopię wysłanego listu.

Do kogo owe pismo było skierowanem? Dojść można z spisu odbiorców, jaki się na ostatnich

stronach książki znajduje. Trochę mozolna praca, gdyż spis nie jest porządkowy, podług numerowanych, jedna za drugą, stronic, jeno przy nazwisku odbiorcy wynotowane są wysyłki do niego.

Skalski ślęczał nad mozolnem i męczącym zadaniem długo. Głowa mu trzeszczała. Liczby, które zapisywał sobie na kartce, zaczynały mu tańczyć przed oczami.

Ale odkrył, czego szukał.

List był do odbiorców kaszy z Białegostoku, braci Jussupow.

Co w nim było?

Domyślać się tylko było można z uprzedniej korespondencji. Ostatnim do nich odezwem było przypomnienie się o „resztujące“ młynowi za wysyłkę kaszy „dwa zera—00—“rubli stosiedmdziesiąt pięć z kopiejkami. Prawdopodobnie zniszczona strona odbijała ponowny monit, lub pokwitowanie z odbioru. Śladu pokwitowania nikt nie miał interesu unicestwić; b-cia Jussupow po raz drugi nie zapłaca. Ale może—już zapłacili w chwili, gdy im ich obowiązek „uprzejmie“ przypomniano?

Rozstrzygnąć mogły tylko księgi rachunkowe.

— Panie Wajcenzang — rzucił Władysław buchalterowi prosto w łeb — czy Jussupowie, Białystok, uregulowali konto?—

— Co? kto? skąd?—Skalski zrozumiał po zmieszaniu zapytanego, że trop nie myli. Wprawdzie winowajca udawał teraz, że sobie nie przypomi-

na. — Muszę poszukać w książce — tłumaczył się i skończył na irytacji, czelnej:—A zresztą, co pana to obchodzi, panie Skalski?—

Pomocnik jego kręcił się niespokojnie.

Władysław, nieczekając, skierował się, z kopiałem w ręku, do gabinetu dyrektorskiego. W kancorze zapanowała śmiertelna cisza.

— Panie dyrektorze, pan nie pamięta, czy bracia Jussupow, Białystok, zapłacili?—

Pokazywał corpus delicti, a raczej miejsce po nim, po usuniętej karcie, objaśniając swe odkrycie i przypuszczenie w krótkich słowach.

Wolski w mig zrozumiał.

— Ba,—rzekł jednak, — chciałby pan, żebym ja pamiętał o każdej takiej drobnej pozycji, których mamy setki? To za wiele wymagane, nawet od dyrektora! Czy wpłynęła? Jeżeli, to musi być zaksięgowana. A jeżeli nie została wciągnięta, to... może być różnie. W każdym razie zdaje mi się, tak sobie coś przypominam, że podczas urlopu pańskiego było do nich pisane, z ponownem przypomnieniem. Tak, nawet na pewne! Pan Treter dziwił się, że nie płacą. Mam wrażenie, że list do nich podpisywałem.—

— Tylko, że—nie wyszedł. I kopię zniszczono, dla pewności. Pieniądze już były. Przyszły czekiem, jak zwykle. Podczas jednego z wyjazdów pańskich Wajcenzang, który ma prokurę, czek, przysłany przez Jussupowych, odebrał, podpisał

i zainkasował, dla siebie! Potwierdził im odbiór, również „per procura“ i bez kopji.—

— No, a jeżeli pan się myli, Wajcenzang będzie górą i jeszcze będę miał przyjemność go przeproszać... No,—przecenił szybko, po handlowemu,—zobaczmy!—

I już przez uchylone drzwi poleciało na kantor grzmiące:—Panie Wajcenzang! —

— Panie dyrektorze?—buchalter nadbiegał.

Był blady.

Ale i na Władziu drżała ta część stroju, która jest przywilejem mężczyzny.

Była to także dla niego, jego stanowiska, chwila rozstrzygająca.

Toż nawet mężny Turenne, idąc w bój śmiertelny, powtarzał sam do siebie: Drżysz, nędzna powłoko, zobaczysz, dokąd jeszcze cię poprowadzę!

— Panie Wajcenzang, czy bracia Jussupow, Białystok, uregulowali, i kiedy?—

— Zaraz,—zobaczę, panie dyrektorze.—

— Pan,—buchalter,—powinien znać każdą pozycję na pamięć.—

„Dobry“ buchalter rzeczywiście—może być taką doskonałością; w każdym razie ma tylko swój dział na głowie, nie wszystko, jak dyrektor.

Zgromiony nie spierał się; otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale dźwięki nie przechodziły przez nie.

— Książkil — rzucił krótko, ostro, Wolski. Czuł, że Skalskiego domysł będzie trafny.

— Wszystkie, — podręczną, żurnal, kasową, główną—zawołał jeszcze za odchodzącym.

A jednakże minęła długa chwila, w której Władzio, wewnątrznie, drżał jeszcze. Aż nadszedł przeciwnik, zgnębiony—nietylko ciężarem ksiąg, które złożył na biurku dyrektorskiem, milcząc. Najwidoczniej nie spieszo mu było je roztwierać.

Tem więcej naglił dyrektor, coraz pewniejszy, stanowczy.

— Niech pan wyszuka, — drobnostka wynaleźć,—pieniądze mogły tylko wpłynąć w przeciągu mniej więcej ostatnich czterech tygodni. Przedtem był monit i odszedł.—

— Niewiem,—niewiem—bełkotał winowajca—jakie ich saldo..

— Obawiam się, że to będzie dla pana—*saldo mortale*—dyrektor miał humor, nawet w chwilach krytycznych; mniej go zresztą bolała strata, niż cieszyła myśl, że podejrzrywany oddawna nakoniec „wyskoczy“. — Panie Wajcenzang, co tu długo mówić,—pan wpływu—zapomniał zaciągnąć?—

Nie było odpowiedzi.

— Zapytawszy w Białymstoku, w trzy dni mamy wyjaśnienie,—a telegraficznie, zaraz,—zagroził inkwizytor.

Wtedy złodziej, domyślając się zresztą, że firma, by uniknąć niemiłego zawsze dla niej skandalu, nie zamyśla winnego zamknąć, przyznał:

— Zdaje mi się, że—wypadkowo—zapomniałem.—

— Ja panu coś powiem, kochany panie Wajcenzang,—pieniądze w trzy dni się znajdą, wszak tak? W takim razie — machnął szeroko dłonią, — naturalnie, jeżeli nie wykażą się jeszcze jakie inne —kawały, których pan nie chciałby pokryć gotówką. Tymczasem, od tej chwili jest pan z posady zwolniony—wskazał na drzwi, wychodzące na kurytarz.

Tak sprawa załatwiła się pokojowo i kantorowo.

Szef odetchnął głośno.

Władzio również, bynajmniej nie w celu, żeby się szefowi przypodobać.

— Prowadzeniem ksiązek pan się tymczasem, kochany panie Skalski, podzieli z panną Józefą,—brzmiały dalsze rozporządzenia.—Ona też jest pewna. Myli się wprawdzie na każdej stronie, że potem sam djabeł nie dojdzie, i jeszcze zrobi awanturę, gdy ją poprawić, ale będzie wiernie siedziała na swoich księgach, jak kura na jajach. A o to chodzi. Żeby się pomocnik naszego „zasłużonego“ buchaltera do nich nie dostał! Cichy współnik! Co z tym zrobić?—

— Wyrzucić!—poradził odważnie Władysław.

— Wie pan co? pan mi się podoba, coraz więcej! Wspominał mi pan też dawniej, że Czosnowski niepewny. I tego wylać...

— Na zbity łeb! — radził rażno Władzio, dostosowując się szczęśliwie do nastroju. — Zanim jaką większą szkodę zrobi.—

— Nie ma czasem, jak odświeżenie personelu,—zakończył dyrektor,—z zachowaniem rzeczywiście odpowiedzialnych, wypróbowanych sił, których zasługi firma mieć będzie w pamięci. Na własną odpowiedzialność, uprzedzając uchwałę dyrekcji,—gratyfikacja, której Wajcenzang—nie dożył, jest pańską.—

— Dziękuję panu dyrektorowi — pośpieszył, wedle obowiązujących przepisów, korespondent.—

— Bilans wypadnie dobrze. Rok był niezły. Więc, chociażby się tam wykazały jeszcze jakie manka... w tysiące skraść nie można, bobyśmy się na tem jednak byli spostrzegli nierównie prędzej. Za tem, gratyfikacja, odpowiednio do czystego dochodu, będzie nienajgorsza.

A przedewszystkiem, winszuję panu. Okazał się pan w tej sprawie jako bardzo zdolny i rutynowany handlowiec,—Wolski zawahał się, czy nie idzie może w swych pochwałach dla pracownika za wysoko, ale, z sprawiedliwością, dochodzącą do heroizmu, sięgnął po ich szczyt, — ja sam nie dokazałbym więcej! —

Skromność nakazywała zaprzeczyć. Ale dyrektor, rozentuzjasmowany niebywale, ani słuchać nie chciał, przekonywując uprzejmie ale stanowczo „kochanego pana Skalskiego“, że słowa dyrektorskie, raz wypowiedziane, święte są i należy im się poszanowanie.

— Tak, tak, kochany panie Skalski! —

Mówił wprawdzie, krótko przedtem, „kochany

panie Wajcenzang“, ale w nieco innym tonie. I „panu Skalskiemu“, już nie „panu Władysławowi“, rzeczywiście serdecznie kilka razy rękę uściśnął.

Jeszcze czekały bohatera dnia podziękowania z strony drugiej połowy firmy, połowy, reprezentowanej zastępczo przez młodego Tretera, który zjawił się już po scenie i, objaśniony w gabinecie dyrektorskim o jej przebiegu, wszedł do kantoru z rozjaśnioną twarzą, godząc wyciągniętą z daleka ku uściskowi prawicą prosto w korespondenta.

— Dziękujemy panu!

Śmiechu wartel A to fuszer z tego Wajcenzanga,—niczem nasi kasiarzel Świństwo byłoby się wydało prędzej, czy później,—ostatecznie przy bilansie. Dla tego z nim się tak ociągał. Czy nie?—

To Władzio przyznał, ale co do ewentualnego odkrycia prawdy w bilansie przypomniał, szardziawszy, stary pewnik, że tylko ów „omyłkowy“ rubel bilansowy, ostatnia pozycja, fikcyjna, jest odrazu do sprawdzenia, gdy przy innych często—długo szukać można sumki, którą zręczny bilansista tak „przeciagnie“, że aż biedna zniknie kędyś bezpowrotnie.

— Nie myślę obniżyć pańskiej zasługi, — zapewnił młody,—którą firma mieć będzie w pamięci. — Lecz wygłosiwszy sakramentalne słowa, dodał niespodziewany wyrzut:

— Tylko, że mnie pan teraz pracy nawalił, podwójnej, bo chcę coprędzej sprawdzić—zdolności bilansowe pana Wajcenzanga. A chwilowo—właśnie wolałbym mieć czas—uśmiechnął się—na co innego...

Pan zerwał z panną Józefowicz?—zapytał, zupełnie niespodziewanie.

Zkąd wiedział? Panna Józefa może powtórzyła Wolskiemu, a ten Treterowi. A jednak Skalskiego zdjął lęk przed innem skojarzeniem dróg, prostszem, któremi wieść przejść mogła. Wprawdzie on już z Stasią zakończył...

— — Wolski dodał,—tak w nawiasie, ale przy czem spojrzeli sobie z zadowoleniem w oczy,—wreszcie jedno:

— „Papa Treter“ nie będzie miał teraz powodu narzekać na „polnische Wirtschaft“, którą przecież przeważnie zawdzięczaliśmy obcym żywiolom. No, — ja muszę wyjść do młyna. — Ale wpierv oznajmił na kantor: — Proszę się we wszystkim zwracać do pana Skalskiego.—

Władzio zasiadł więc na swoim zydelku jako zastępca głównodowodzącego.

Na razie wprawdzie nie zwracał się do niego nikt.

Groza lęku i popłochu panowała na sali, przejawiając się w grobowej niemocie.

Pierwszy buchalter został „wylany,“ i to z miejsca!

To było wszystkim jasnem. Z rozmowy w gabinecie przez drzwi zamknięte niektóre głośniej-

sze tony przeniknęły. Zresztą zwołanie Wajcenzanga, znoszenie ksiąg, jego nagłe zniknięcie...

Cóż dopiero groziło pomniejszonym dygnitarzom, gdy tak nagle padł, zmielon sprawiedliwymi kolami młyńskimi, tuz taki?

Co pozostało z buchalteryi i praktykant widzieli, trafnie, przed sobą niedaleki los, podobny.

Za to kasa tryumfowała. Ale tryumf był tak wielki, że aż niemy.

Niedługo jednak.

Potem zabrzmiała na kantor piskliwa pieśń zwycięstwa, wyrażająca zarazem podziw nad własną przenikliwością, która zapowiadała oddawna i uparcie pogńębienie i pohańbienie wrogów.

Biuronaczelnik mocen był położyć kres pioniom, zamacającym spokój kantoru. Ale był delikatnym dla płci słabej.

...Lecz czyżby Edwardek już dawniej...?

Na pytanie Edwardka odpowiedział krótkim:— Tak.—A młody Treter dodał:

— Dobrze pan zrobił. Bo wogóle żenić się, a już bez posagu... Ja bo cenię sobie kawalerski stan! A pan—no, z jaką zamożną panną, to i owszem dobrze byłoby. Wszedłby pan z nami w spółkę. Z pańskim nazwiskiem, przecież pan ma stosunki...

Władysław nie był bardzo w usposobieniu wysłuchiwania prawd życiowych.

Wogóle rozmówka z Treterem zepsuła mu znacznie humor.

Wspomnienie Stasi, jeszcze bolesne, a już coraz mniej miłe...

Mimowolne przypomnienie—inne go głupstwa, które zrobił, oj, głupstwa...

Z tem wszystkim kładł się dzisiaj do łóżka, nieco pokrzepiony na duchu. Przyszłość nie przedstawiała mu się już tak strasznie rozpacznie, pod względem bytu. W młynie miał zapewnione, polepszone, zapewne coraz lepsze stanowisko.

Może też Bóg miłosierny da, że życie całe jako inaczej mu się ułoży, szczęśliwiej.

Ot tak, taka „czarna Hela,” gdyby tak wolna i chcąca go...

Nie „taka,” tylko właśnie „ta.”

Na roli ojców czy na miejskim bruku stolicy...

Złuda!

Z mieszkania sąsiedniego przez cieńką ścianę, którą nieraz przeklinał, wyraźnie dolatywały dźwięki fortepianu i głos męski, śpiewający. Nawet nie wiedział, kto tam mieszka; lokatorzy zmieniali się wciąż. Może jaki samotnik, jak on...

Bo słowa piosnki znał, tekst Heleny Vacaresco, z muzyką Tostiego:

Si tu le voulais,

ange aux yeux d'étoile,

Je me reprendrais

à vivre pour toi,

Mon coeur oublierait

tout ce qui le voile

Et j'aurais l'amour

et j'aurais la foi!

I przypomniał mu się wiersz własny, ułożony—
kiedyś, kiedyś,—niewiadomo dla kogo,—dla niko-
go, ot tak sobie:

Cichej miłości słowa
szepem do Ciebie ślę,
to wszystko, co się chowa
na—samem—serca—dnie...

To wszystko, co się chowa
na samem serca dnie,
stroję dziś w ciche słowa
i szepem do Ciebie ślę.

Wysłałem po Ciebie gońce,
szepnąłem Miłości:—mów!—
i ściągnę z nieba słońce
szepem mych cichych słów!

Czem dusza łkać gotowa,
co ciało w strzępy rwie,—
to wszystko, co się chowa
na... samem... serca... dnie...

Deklamował półgłębko.

Czyż był w malignie?

Stanowczo, cieleśnie chorzał jeszcze.

XXVI.

Skalski postanowił kazać postawić sobie bańki. Środek staromodny, heroiczny i desperacki.

Wiedział, że niewiele o nim trzyma nowoczesna medycyna, patrząca się nań, jako na barbarzyński. Niemniej ojcowie, od praojców począwszy, używali go stale i wiernie, jako środka, odciągającego złą krew i złe humory. I chwalili go sobie. Śnać dopasowanym był do ich konstytucyi. Władysław, jakkolwiek spiesząc z postępem wieku, nie lekcewał tradycyi, która wychodziła na dobre całym pokoleniom. Przecież był z nich. Wierzył więc, że, co im wychodziło na dobre, i jemu dopomoże.

W każdym razie—nie szkodziło. Miał z natury zdrowie niedźwiedzie i, na ogół, rzadko na niem zapadał. Jeno do przeziębień miał usposobienie. Wydelikacyony był trochę i nie hartował się. Ztąd zmiany powietrza dawały mu się czasem we znaki. A lekka choroba w silnym organizmie używa sobie tem silniej.

Przynajmniej dwa razy do roku więc, zwykle około jesieni i na wiosnę, słał po felczera. Chirurg

był znajomy i wielce sobie swego pacyenta szanujący. Wprawdzie klientela, chwalić Boga, nie zwiększając się, bo czasy są ku nowościom skłonne, trzymała się jednak; jeszcze sporo ludzi jest, którzy, lubo prądem zaprzeczenia owiani, nie pogardzają mądrością starych. I niektórzy lekarze nawet nie myślą tak źle o dawnych środkach. Zdarzy się nawet czasem jakiś młody, rewolucjonista, który je—wskrzesza, jako rzecz nową.

Lecz zawsze felczer bał się ze strony medycyny nielojalnej konkurencyi.

Leciał więc skwapliwie i ochotnie, gdy go zawołano, z ogromnem puzdrem, w którym mieściły się potrzebne przybory.

Skalski leżał w łóżku, oddychając głośno i pokaszlując głośniejsze jeszcze z zaflegmionej piersi, która, szeroka i wypukła, wyzierała z pod koszuli.

Z ściany patrzył się imć Onufry na cierpienia potomka.

Był wieczór. Bo najskuteczniejsze są bańki przed spaniopójściem.

Duża lampa na stoliku nocnym rozświetlała dość jasno pokój.

— Moje uszanowanie panu dobrodziejowi!—witał z pokłonem felczer.

— Dobry wieczór, panie Świerczak, — oddał powitanie pacjent, — ot, widzi pan, na co mi znowu przyszło — żartował.

— Nic nie szkodzi, proszę pana dobrodzieja, żeby tylko na płuca nie padło, — bańki zaraz od-

ciągną. Pamięta pan dobrodziej, jak to pan dobrodziej był zaziębiony na wiosnę? Mówić pan dobrodziej nie mógł, a na drugi dzień już pan dobrodziej był zdrow. Prawda?—

— Prawda. To też... tylko, żeby te bańki tak nie bolały—Władzio tchórzył, jak każdy mężczyzna, przed bólem.

— Eh, tylko troszeczkę, proszę pana dobrodzieja, w pierwszej chwili. Pan dobrodziej wie zresztą; ja tak przykładam, że zupełnie nie boli. Śmiało mogę powiedzieć, że ze mną operacja przyjemna jest.—

— Hm — troszeczkę — zupełnie—żartował już chory. Tak nadzieja ozdrowia.

— Zaręczam panu dobrodziejowi.—

— To mi pan zawsze zaręcza, kochany panie, a potem ból taki, że się wściec można!—

— Przesąd, proszę pana dobrodzieja, to się tylko tak wydaje. Zresztą pan dobrodziej ma skórę specjalnie delikatną, — uznawał Świerczak pochlebnie, — ale ja też z panem dobrodziejem spieszę się tak, że w mig i już!—

— A potem palą!—

— Troszeczkę tylko.—

— Ale więcej niż dwanaście mi pan nie przystawi?—targował się Władzio przezornie.

— Proszę pana dobrodzieja,—mało!—przekonywał operator, nie po raz pierwszy, — właściwie powinno się dać czterdzieści, ale ja już dla pana dobrodzieja...

— Okpi mnie pan znowu, z przeproszeniem,— obieca, że najwyżej dwadzieścia, a wsadzi wszystkie.—

— Uchowaj Boże—bronił się, poznany, z uśmiechem.

— No,—więc nie nad dwadzieścia, i jazda!— zakończył Władysław.

Dobroczyńca cierpiącej ludzkości rozwarł już ułożone na fotelu przy łóżku puzdro, w którym na tle fioletowego, zrudziałego trochę aksamitu ukazał się szereg rzędów ze szklanemi półkolami. Zapalił świecę, stawiając ją obok siebie na podłodze, do wygodnego użytku i, wzięwszy do ręki smoczek z waty, obsadzony na druciku, był gotów przystąpić do dzieła.

Ale Władzio, przypatrujący się z pewną obawą, jakkolwiek znanym, przygotowaniom, jeszcze nie był gotów. Do operacyi wypadało odwrócić się. Bańki przystawia się na plecach. W tem położeniu jednak jest się już na łasce operatora—i Władzio zwlekał.

— Panie Świerczak, tylko proszę ostrożnie.—

— Zaręczam panu dobrodziejowi. Już ja tak szybko robię, jak nikt.—

— I nie nad dwadzieścia.—

— Ani jednej więcej, jak pana dobrodzieja szanuję.—

Kaszel znów nadusił Skalskiego i wpłynął na szybsze postanowienie.

— Ano więc,—jak już, to już.—

Obracał się jednak dość powoli, postępując,— z obawy, nie z nijakiego bólu.

Felczer odsunął mu pieczołowicie koszulę po kark, zesunął kołdrę po biodra. Krzepkie bary rozkładały się rosochato na poduszce.

— Też to szanowny pan dobrodziej jest doskonale zbudowany—przychwalał pan Świerczak.—

— No, zaczynaj pan, do dyabła!—

Wtedy Świerczak sięgnął po jedną z przewróconych dnem do góry, tkwiących w poduszce pudeł, półszklanek, połyskujących w świetle, uniósł ją, utrzymując poziomo, w górę, zapalił błyskawicznie u świecy nasyconą alkoholem wate, którą na drążku trzymał w drugim ręku, podsunął buchający płomień pod wnętrze szklanki i z małą szybkością wlepił ją w środek prawie pleców, niedaleko krzyża, pomiędzy ramiona leżącego. Półkole szklane przypadło do ciała z lekkim, głuchym, chciwem chlupnięciem, wpijając się odrazu brzegami w skórę, ssąc ją.

Władysław krzyknął:

— Ah!—

Były strach i boleść w wykrzykniku.

Jednakże starał się nie poruszać, lubo wyęzające się muskuły świadczyły o wrażeniu i wysiłku woli.

Felczer uspakajał:

— To nic, panie dobrodzieju.—

— Ślicznie nic!—

— Wcale nie boli.—

— Dyabła tam, nie boli,—wściekle!—

— To tylko w pierwszej chwili, panie dobrodzieju. One zaraz naciągną. A potem już dobrze. Zaś pan dobrodziej jutro będzie rad, bo całkowiec zdrów. I człowiek wtedy się czuje, jakby nowonarodzony!—

— Gadaj pan sobie!—Oh!—

Pan Świerczak urozmaicał przemowę nakładaniem nowych, martwych pijawek, które pod działaniem ognia ożywiały się i spełniały swe przeznaczenie, niczem żywe.

— Panie, bo nie wytrzymam!—

— Proszę pana dobrodzieja, bagatela, — już, już!—

Pięknie, symetrycznie, rzędami pod sztrych, aplikował jedną za drugą. Lśniły wrywane szybko z pudełka szklanki, buchał płomyk, czarodziej-sko alchemiczna praca postępowała żwawo. Krótki, gruby, w kusym, czarnym surduciku, z czerwona, spoconą twarzą, pan Świerczak, przestępując w zapale z nogi na nogę, zwijał się, jak w ukropie.

A niewdzięczny pacjent, jęczał, drgając, rzucając się i wykrzywiając:

— Panie, pod słowem, już nie mogę,—dosyć!—

— Zaraz, zaraz, proszę pana dobrodzieja.—

Pac, pac, — bańka za bańką wykwitwała szklanym pagórkiem na równi pleców.

— Panie, chyba już dosyć,—dwadzieścia starczy.—

— Jeszcze niema, proszę pana dobrodzieja.—

Felczer kłamał. W puzderku było równe czterdzieści bąków i byłby sobie uważał za uchybienie wszelkim zasadom sztuki i za grzech zaniedbania w obec pielęgowanego, gdyby wszystkich sumiennie mu nie wlepił.

Kłamstwo więc było pobożne. O tyle też wybaczalne, że okłamany wiedział o niem. Operacja, od lat, miała święcie zawsze ten sam przebieg. I kończyła się, ostatecznie, zadowoleniem i pochwałą z strony niby poszkodowanego, który i teraz sykał tylko jeszcze chwilami, poddając się zresztą biernie rękoczynom chirurgicznym.

Tak, że chirurg czuł się aż uprawnionym wyśmiać nieco jego początkową lękliwość.

— Bo, żeby to były cięte, z ostremi brzegami, to co innego.—

— I te tną zdrowo—mruknął Władzio.

— Właśnie, proszę pana dobrodzieja, i zupełnie wystarczają. A tamte to ino w razie, uchowaj Boże, zapalenia płucnego; znakomicie przecinają chorobę. Jeszcze ich pan dobrodziej nigdy nie potrzebował.—

— Ładnie mi pan życzy. No,—już?—

— Już!—oznajmił z tryumfem mistrz, przykładając ostatnią z boku na dole, gdzie jeszcze było wolne miejsce na zakończenie najniższego szeregu.

Spojrzał z dumą na swe dzieło.

— A co? — szkoda, że pan dobrodziej nie może zobaczyć.—

— Rezygnuję!—

W istocie, w czterech rzędach po pięć z każdej strony rdzenia pacierzowego, sterczały, niby woj-sko, czy ustawione do partji warcaby na szachow-nicy, wypukliny szkliste, pod któremi pęczniała, wciągana przez vacuum powietrzne do ich wnętrza, skóra, szkarłatnie i niebieskawo, różowiąc się w okół.

— Ciągną, — stwierdził z zadowoleniem pa-trzący, — prawie już naciągnęły, — teraz ino dwie minutki cierpliwości, — właściwie trzeba równo pięć, ale dla pana dobrodzieja...

— Ma pan zegarek na stoliku.—

— A, śliczny zegarek — wychwalał operator, jakkolwiek znaną mu już, klepsydrę, w zamiarze przeciągnięcia trochę zapowiedzianego czasu. — A jak te wskazówki szybko biegną! —

— Nie szybciej, niż na innym!—odpierał Wła-dzio przeniknięty zamiar przetrzymywania go.

— I jaki piękny „cyzelunek“—zachwycał się, niezrażony, nad różą-Porajem.

— Zna go pan przecie.—No,—już?—

— Zaraz, zaraz. —

— Zdejmuj pan! —

— Chwileczkę, proszę pana dobrodzieja. —

— Już dwie minuty muszą być!—

— Dopiero jedna, proszę pana dobrodzieja,—przekładał naglony słodziutko pieśczośliwym głó-sem, nie patrząc nawet na zegarek, czego Władzio-zresztą w swej pozycji nie mógł zauważyć.

— — I już!—zadecydował kat wreszcie, — zaraz zdejmę—o!—

Z równym pośpiechem i oczywistą wprawą sięgał po bańki, odejmując je z ciała lekkim, okrężnym ruchem. Występowały z pod nich guzy ogromne, niby regularne szeregi wypukłych narośli na plecach, jak czasem na łusce żółwia.

Ale nim zdążył zdjąć ostatnią, roztworzyły się drzwi, wiodące z sionki do przyległego pokoju. Stróżka, mająca stale klucz od mieszkania lokatora, obsługiwanego przez nią, wprowadzała Rudowską z córkami.

— Jesteś chory, Władziu?— brzmiał, zaniepokojony trochę, głos Zofji, — stróżka mówi o przeziębieniu?—

Siostra stanęła w drzwiach pokoiku sypialnego, właśnie w chwili, gdy pan Świerczak wznosił tryumfalnie w powietrze ostatnią z lśniących szklanek.

Cofnęła się trochę w obec widoku, zgroźnego zaiste, jeża ludzkiego, uwypuklającego się na poduszce, i mówiła z poza drzwi, przedewszystkiem ratując przyzwoitość:

— Dzieci,—nie wchodzić. — Czas był najwyższy na przestrogę. Już Maniusia, nie widząca nic zdroźnego w wizycie u łoża chorego wuja, wysunęła nosek i zdradziła wrażenie bolesnej litości wykrzykiem:

— Oh, biedny wujaszek!—

— Nic mu nie będzie — uspakajała matka. —

Widzę bańki — i wobec tego nie trwożę się — to przeznaczone już było dla brata, z uśmiechem, niewidzialnym przez ścianę. Znała słabość Władzia do „końskiej kuracji“, jak ją nazywała.

Władzio tymczasem wołał głosem, doskonale świadczącym o siłach żywotnych:

— Chwilkę!—zaraz będę mógł cię przyjąć!—

— Tylko pana dobrodzieja rozetrę—dopowiadał felczer.

Odkorkowywał płyn alkoholiczny, którego zewnętrzny wpływ miał działać na ostateczne uśmierzanie bólu i zniwelowanie pagórków, wyrosłych pod cudotwórczym działaniem rozrzedzonego płomieniem powietrza. Wcierał szybko i delikatnie. Przykrył Władzia po czuprynę kołdrą:

— Do jutra, proszę pana dobrodzieja, ani znaku nie będzie i ani śladu choroby.—

— Rzeczywiście — przyznał wdzięczny pacjent—już jakoś rażniej oddycham.—

— A co? widzi pan dobrodziej? — zamykał szybko ważne puzdro z tak użytecznymi przybarami, wziął je pod pachę: — Sługa pana dobrodzieja.—

— Niech pana djab — Pan Bóg prowadzi! — Tam trzyrublówka leży na stoliku, niech pan będzie łaskaw ją sobie wziąć.—

— Zawsze gotów do usług pana dobrodzieja.—Uszanowanie pani dobrodzice,—a gdyby może czasem potrzeba, — albo dla nadobnych córeczek...?—

— Nie, nie, dziękuję panu,—broniła się, śmiejąc się Rudowska, dodając w tym samym tonie, gdy pan Świerczak wyszedł z eleganckimi pokłonami: — Dla nadobnych córeczek, gdy która się przeziębi, jest herbatka malinowa! — Siedźcie tu tymczasem. Mam z wujem do pomówienia.—

Weszła do sypialni. Władzio na powitanie, jakkolwiek w pozycji przymusowo odwróconej, wyciągał z pod kołdry nos i rękę.

— Biedaczku,—ale to, chwała Bogu, nic. Gorsze rzeczy przeszedłeś z — panną Stanisławą, którą, wiedz, spotkałam na Nowym Świecie, w towarzystwie pana Tretera, — tego młodego, którego pokazywałeś mi kiedyś. I stanowczo flirtującą z nim, bo w uśmiechach całą.—

Jęk wydobył się z piersi męskiej. Jęk ostatni. Więc Stasia, — niby chora! — już się pocieszyła. Lecz zarazem było to echo ulgi ostatecznej.

— Bałam się, że ona się tu do ciebie przyczepi,—a znam Twoje zbyt miękkie serce. I dla tego przyjechałam. I dla dzieci też trzeba nowej nauczycielki. A dla ciebie...

— Bóg ci zapłać, Zosiu kochana, —ściskał jej serdecznie rękę.—A tamto—już skończone.—

— Tem lepiej. Wiedz, że byłam w obawie o ciebie. — Rudowska zamilkła na chwilę. Potem dodała nagle:—Jest tutaj także panna Hela. —

— Jako — tutaj? — Władysław oglądał się z strachem, jakby obawiając się, że do kompletu

niewiast, zbierających się u niego, ma przybyć jeszcze jedna,—tamta...

— No, — nie tutaj — podkreśliła, rozbawiona, siostra, — ale w Warszawie. Przyjechała z dziadkiem, który, w imieniu naszej okolicy, rozpoczyna tu pierwsze zabiegi o kolejkę dojazdową, — opowiem ci później o projekcie. A Heli dobrze się trochę rozruszać, bo miała przykre przejście z — Błońskim. Pana Majewskiego doszło, że ten niemądry Kązik—opowiadająca mówiła z pewnem zadowoleniem—zakładał się o koszt szampana, że się z nią zaręczy. To się ogromnie panu Tadeuszowi nie podobało. Jakoś widać i Heli nie za głęboko Błoński w serce wrósł. I—zerwane. —

— Mamusiu, czy już można wejść?—dopominała się Mania.

— Zaraz. Więc w obec tego—kończyła—jutro będziemy wszyscy razem na kolacji w Bristolu. Wiem, że zdrów będziesz i... Co komu przeznaczone, to go nie minie, widzisz!—żartowała.

A rude wąsy, w pół jeszcze smętne, w pół już wesole, schyliły się, całując ją pokornie i grzecznie w rękę,—przed przeznaczeniem.

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

22443